

# Fredriksson Marianne

## Anna, Hanna i Johanna

**Trzy kobiety - przedstawicielki trzech pokoleń jednej rodziny. Mogłoby się wydawać, że nigdy nie połączyły ich naprawdę silne więzy, że dzieliło je wiele zadawnionych pretensji i niedomówień... W rzeczywistości jednak ich losy tworzą ciąg wzorców, dziedziczonych przez kolejne generacje. Przekona się o tym najmłodsza z bohaterek, kiedy nie mogąc się porozumieć z umierającą matką, sama postanawia rozwikłać zagadki rodzinnej przeszłości.**



Występki ojców prześladują dzieci do trzeciego i czwartego pokolenia. Dowiedzieliśmy się tego w szkole, kiedy jeszcze uczono w niej religii i czytano Biblię. Pamiętam, że uważaliśmy to za strasznie niesprawiedliwe, prymitywne i śmieszne. Bo przecież należeliśmy do jednej z pierwszych generacji wychowywanych na ludzi „samodzielnych”, czyli takich, którzy powinni wziąć swój los we własne ręce.

Stopniowo, w miarę pogłębiania wiedzy o znaczeniu dziedzictwa społecznego i psychicznego, słowo Biblii zyskało na wadze. Dziedziczymy wzorce postępowania i reakcje w znacznie większym stopniu, niż byśmy chcieli. Niełatwo było to dostrzec i zaakceptować; tak wiele „zapomniano”, tak dużo zniknęło w podświadomości, gdy nasi dziadowie opuścili swoje obejścia i domostwa, w których od pokoleń żyli ich przodkowie.

O czynach matek Biblia milczy, mimo że prawdopodobnie miały większe znaczenie niż uczynki ojców. Prastare wzorce przekazywane są przez matki córkom, które rodzą kolejne córki, a te znowu...

Może w tym właśnie trzeba szukać wyjaśnienia, dlaczego kobietom tak trudno przyszło znaleźć swoje miejsce i korzystać z praw, jakie oferuje równoprawne społeczeństwo.

Serdeczne podziękowania jestem winna Lisbeth Andreasson, kustoszowi muzeum regionalnego Bengtfors Gammelgard, która poddała krytycznej ocenie zawartość historyczno-kulturową książki poświęconej Hannie, ponadto zaopatrzyła mnie w literaturę dotyczącą Dalslandu i – co nie mniej ważne – przełożyła dialogi zapisane w szwedzkim języku literackim na dialekt używany w przygranicznych rejonach Dalslandu\*. Pragnę również podziękować Andersowi Söderbergowi z wydawnictwa Wahlström & Widstrand za jego krytykę, słowa zachęty i ogromny entuzjazm okazany projektowi. Jestem wdzięczna także moim przyjaciołom, Siv i Johnny’emu Hanssonom, którzy spieszyli mi z pomocą za każdym razem, gdy tylko udało mi się zbić z tropu mój nowy komputer. A zdarzyło się to wiele razy.

Na koniec chcę podziękować mojemu mężowi, że to wszystko wytrzymał!

I jeszcze jedno. Książka ta nie zawiera wątków autobiograficznych. Anna, Hanna i Johanna nie są pod żadnym względem podobne do mnie, mojej matki lub babki. Są to postacie zrodzone przez moją wyobraźnię i nie mają niczego wspólnego z tak zwaną rzeczywistością. I to właśnie czyni je prawdziwymi. Dla mnie. Mam nadzieję, że również dla Czytelnika, który podczas lektury zacznie może zastanawiać się nad tym, kim była jego babka i jak przekazane wzorce uformowały nasze życie.

\* Te partie książki zostały przełożone na język polski bez użycia dialektu (wszystkie przypisy tłumaczki).

# ANNA

## Prolog

W jej duszy panowała jasność zimowego dnia, tak cichego i bezcienistego, jakby właśnie przed chwilą spadł świeży śnieg. Przedzierały się do niej ostre dźwięki, brzęk upuszczanych na posadzkę kaczek i ludzkie krzyki. Przerazały ją. Podobnie jak płacz z sąsiedniego łóżka, który też wdzierał się w tę białość.

Wielu było tutaj takich, co płakali.

Cztery lata temu straciła pamięć. Zaledwie kilka miesięcy później zapodziały się gdzieś słowa. Widziała i słyszała, ale nie mogąc nazwać ani rzeczy, ani ludzi, nie pojmowała ich sensu.

Wkroczyła zatem do tej białej krainy, w której nie istniał czas. Nie wiedziała, ile ma lat ani gdzie stoi jej łóżko. Znalazła jednak nowy sposób postępowania: z pokornym uśmiechem prosiła o wyrozumiałość. Jak dziecko. I jak dziecko była otwarta na uczucia, na wszystko, co przepływa od człowieka do człowieka bez słów.

Zdawała sobie sprawę, że umrze. To była niezachwiana wiedza, nie sama myśl.

Jedynie bliscy nie pozwalali jej odejść.

Mąż przychodził codziennie. Ich spotkania upływały w milczeniu. Przekroczył już dziewięćdziesiątkę, czyli także znajdował się blisko tej granicy. Ale on nie chciał

ani umrzeć, ani wiedzieć. Ponieważ zawsze panował nad swoim i jej życiem, prowadził więc twardą walkę przeciwko temu, co nieuchronne. Masował jej plecy, zginał i prostował nogi w kolanach, czytał na głos gazetę. Nie mogła nic na to poradzić. Mieli za sobą długie i skomplikowane wspólne życie.

Najtrudniej było, kiedy przyjeżdżała córka. Mieszkała daleko, w innym mieście. Staruszka, choć nie wiedziała, co to czas ani odległość, przed jej wizytą zawsze stawała się niespokojna. Zupełnie jakby budząc się o świcie, już wyczuwała w oddali sunący szosą samochód, który prowadziła kobieta karmiąca się bezsensowną nadzieją. Anna rozumiała, że jest wymagająca jak dziecko. Mimo to wciąż miała nadzieję: jeszcze tylko ta dzisiejsza wizyta, i może uzyska odpowiedź na jedno z owych pytań, których nigdy nie zdążyła postawić. Lecz kiedy po dobrych pięciu godzinach jazdy skręcała na przyszpitalny parking, godziła się z faktem, że także tym razem matka jej nie pozna.

Mimo wszystko chciała zadać swoje pytania.

Robię to dla siebie samej – pomyślała. Mamie i tak jest obojętne, o czym mówię.

Myliła się jednak. Johanna wprawdzie nie rozumiała słów, lecz czuła ból córki i własną bezsilność. Nie pamiętała już, że pocieszanie tego dziecka, które zawsze wymyślało bezsensowne pytania, jest jej zadaniem. Ale wyzwanie trwało nadal, podobnie jak wina za nieudolność.

Pragnęła uciec w ciszę, przymknęła oczy. Nie dało się, serce waliło mocno, a pod powiekami czaiła się czerwona i bolesna ciemność. Zaczęła płakać. Anna próbowała ją pocieszać – już dobrze, dobrze – wycierała staruszce policzki i wstydziła się.

Ale desperacji Johanny nie sposób było pohamować, Anna wystraszyła się i zadzwoniła po pomoc. Nie trwało to dłużej niż zwykle i w drzwiach pojawiła się ta jasnowłosa dziewczyna. Miała młode oczy, bez głębi. Na ich niebieskiej powierzchni malowała się pogarda. Przez krótką chwilę Anna widziała to samo co tamta: niemłodą już kobietę, wylęknioną i bezradną, obok staruszki. O Boże!

– No, już dobrze, dobrze – powtarzała także pielęgniarka, lecz jej głos był równie szorstki jak dłonie głaszczące staruszkę po włosach. Mimo to dopięła swego. Johanna zasnęła tak nagle, że aż wydawało się to nierzeczywiste. – Nie wolno denerwować pacjentów – odezwała się dziewczyna. – Niech pani teraz posiedzi przez chwilę spokojnie. Za dziesięć minut przyjdziemy zmienić pieluchę i uporządkować łóżko.

Anna jak spłoszony pies wymknęła się bezszelestnie przez świetlicę na taras, sięgnęła po papierosy i głęboko wciągnęła powietrze. To uspokajało, już mogła się skupić. Najpierw pojawiły się myśli podyktowane wściekłością: co za paskudny babsztyl, twardy jak gładz. Na dodatek dziewczyna była ładna i odrażająco młoda. Czy mama posłuchała jej ze strachu? Może tu panował jakiś surowy

rygor, który ci bezradni starcy wyczuwali i podporządkowywali się jego nakazom.

Potem przyszła kolej na wyrzuty sumienia, bo przecież ta kobieta wykonywała jej, Anny, obowiązki, wszystko to, co zgodnie z prawami natury powinna robić ona. Ale nie mogła, nie potrafiła się przełamać, nawet gdyby znalazł się na to i czas, i miejsce.

Na samym końcu dokonała zdumiewającego odkrycia: mamę chyba jednak poruszyły jej pytania.

Zgasiła papierosa w zardzewiałej metalowej puszcze, którą ktoś postawił na ostatnim stoliku – niechętnie ustępstwo na rzecz zagubionych. Boże, ale czuła się zmęczona. Mamo – pomyślała – cudowna, kochana mamusiu, dlaczego nie możesz się zlitować i umrzeć?

Przerażona, rzuciła pospieszne spojrzenie na przyszpitalny park, w którym kwitły klony i pachniały miodem. Głęboko oddychając, wciągnęła ten zapach w piersi, jakby szukała pocieszenia w wiośnie. Ale jej zmysły pozostały głuche. Ja też jestem jak umarła – stwierdziła, odwracając się na pięcie, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła ku drzwiom siostry oddziałowej. Nim zapukała, przemknęło jej jeszcze przez myśl: Lepiej miejmy to już za sobą, Marto.

Marta była jedyną osobą, którą tu знаła. Przywitały się jak stare przyjaciółki. Anna usiadła na krześle dla gości i miała właśnie zadać pierwsze pytanie, gdy nieoczekiwanie uległa emocjom.

– Nie chcę płakać – powiedziała i mimo wszystko się

rozpłakała.

– To nie takie proste – przyznała siostra, podsuwając jej pudełko z chusteczkami.

– Chciałabym wiedzieć, ile ona tak naprawdę rozumie – wyznała Anna i zaczęła mówić o swojej nadziei, że matka ją poznaje, i o pytaniach, których staruszka niby nie pojmuje, a jednak coś z nich do niej dociera.

Marta przysłuchiwała się, nie wyrażając zdziwienia.

– Wydaje mi się, że starzy ludzie pojmują w sposób trudno dla nas zauważalny. Jak niemowlęta. Przecież urodziła pani dwoje dzieci i doskonale wie, że już noworodki wszystko wyczuwają, niepokój i radość. Na pewno pani pamięta.

Nie, Anna nie pamiętała, przypomiwała sobie tylko swą obezwładniającą czułość i poczucie własnej niedoskonałości. Mimo to wiedziała, o czym mówi pielęgniarka, ponieważ miała teraz wnuki, które wiele ją nauczyły.

Potem Marta opowiadała o ogólnym stanie staruszki. Wspomniała pocieszająco, że uporano się z odleżynami i chora nie cierpi fizycznie.

– Tylko jest trochę niespokojna w nocy – dodała. – Budzi się z krzykiem, jakby śniły jej się jakieś koszmary.

– Śniły się... ?

– Przecież każdemu się coś śni, jej też. Smutne jest tylko to, że nigdy nie poznamy snów naszych pacjentów.

Anna pomyślała o kocie, jakiego mieli kiedyś w domu, pięknym zwierzęciu, które budziło się z nienacka i,



gotowe do skoku, prychało, rozczapierzając pazury. Od razu zawstydziała się nawet samej tej myśli. Marta nie zauważyła jej zakłopotania.

– Ze względu na zły stan ogólny wolimy nie dawać Johannie niczego na uspokojenie. Poza tym myślę, że ona potrzebuje tych swoich snów.

– Potrzebuje... ?

Siostra, jakby nie słysząc zdumienia w głosie rozmówczyni, mówiła dalej:

– Zamierzamy dać jej oddzielny pokój. W takim stanie przeszkadza innym w sali.

– Oddzielny pokój? To jest możliwe?

– Czekamy na Emila z siódemki – rzekła siostra, opuszczając wzrok.

Dopiero gdy Anna wyjeżdżała z parkingu, zrozumiała znaczenie słów Marty o Emilu, starym kaznodziei, którego psalmy rozbrzmiewały tu przez te wszystkie lata. Nawet nie zwróciła uwagi, że w jego pokoju było dzisiaj cicho. Przez tyle lat słyszała, jak śpiewał o życiu na padole łez i o Panu, który czeka na nas ze swymi budzącymi grozę wyrokami. Tajemny świat Johanny posłuszny był zegarowi. Otwierał się przed nią około trzeciej nad ranem i zamykał znowu o brzasku blisko piątej.

Był pełen obrazów, nasycony bogactwem barw, zapachów i głosów, a także innymi dźwiękami. Szemrał w nim leśny potok, śpiewał wiatr w koronach klonów, a las rozbrzmiewał radosnym świergotem ptaków.

Tej nocy jej obrazy drgają od napięcia. Jest lato, wczesny ranek, słońce rzuca długie cienie.

– Ty chyba postradałeś zmysły! – krzyczy głos, który zna najlepiej, głos ojca.

Mężczyzna ma czerwoną twarz i jest przerażający w tym zdenerwowaniu. Johanna zaczyna się bać, oplata rączkami jego nogi, on podnosi ją do góry, głaszcze po włosach i mówi:

– Nie bój się, dziecko.

Ale jej najstarszy brat stoi pośrodku pokoju. Aż miło na niego popatrzeć: ma błyszczące guziki, skórzane oficerki i krzyczy tak samo jak ojciec.

– Wynoście się wszyscy do groty, i to zaraz, dzisiaj. Oni mogą tu być już jutro.

Słysząc jeszcze jeden głos, zdecydowany.

– Ach, chłopcze, czy ty naprawdę w to wierzysz, że Axel i Ole z Moss, i syn Astrid z Fredrikshald przyjdą tutaj i tak po prostu nas zastrzelą?

– Tak, mamó.

– Ty chyba zwariowałaś – mówi głos, ale już trochę mniej pewnie. A gdy ojciec spogląda na żołnierza i ich spojrzenia się spotykają, dorosły mężczyzna ustępuje, widząc powagę w oczach chłopca.

– Wobec tego zrobimy, jak uważasz.

Potem obrazy się zmieniają. Tupanie nóg, dźwiganie ciężkich przedmiotów. Widzi, jak pustoszeją piwnica i spiżarnia. Znikają z nich wielki garnek z nasolonym mięsem, beczka śledzi, skrzynia kartofli, słój powideł,

masło w drewnianej dzieźce, suszony chleb. Wszystko to jest znoszone na skarpę. A potem na dół do łodzi. Worki wypchane kocami i ubraniami, cały zapas wełny z komórki dźwigają po stromym zboczku nad jezioro. Widzi wiosłujących braci, ich mozolne ruchy w stronę cypla, lekkie z powrotem.

– Lampa naftowa!

To mama woła, kierując się do domku. Ale żołnierz zatrzymuje ją i też woła:

– Nie, mammo, ze światła musicie zrezygnować!

Dziecko ma oczy szeroko otwarte ze strachu. Ale oto na jego rączce przysiada cytrynek.

Obraz zmienia się znowu, dzień skąpi już światła, a ona siedzi ojcu na barana, niesiona przezeń, jak często o zmierzchu, po zboczku ku górskim jeziorom. Są tajemnicze i nieruchome, zupełnie inne niż to wielkie jezioro ze swoją jasnością i niebieskim blaskiem. Dokładnie ponad młynem największe z ciemnych jezior przełamuje ciszę i gdyby nie tama, wpadałoby z całą siłą do górskiego potoku.

Ojciec, jak zawsze wieczorem, sprawdza służę.

– Wody Norwegii – mówi z odcieniem cierpienia. – Zapamiętaj to sobie, dziecko, że wody, które dają nam chleb powszedni, pochodzą z Norwegii. Woda – ciągnie – jest o wiele mądrzejsza od człowieka, nie przejmuje się granicami.

Traci panowanie nad sobą. Ale ona się nie boi, dopóki wolno jej siedzieć na jego ramionach.

Zapada wieczór. Mozolnie i ciężko ojciec schodzi po stromym zboczu, kieruje się do młyna, sprawdza zamki. Dziewczynka słyszy, jak mamrocze jakieś przekleństwa pod nosem, a potem znowu idzie po ścieżce prowadzącej w dół do łodzi. W grocie jest cicho, bracia już śpią, ale mama wierci się niespokojnie na twardym legowisku.

Dziewczynka zasypia w ramionach ojca, mocno tuląc się do niego. Jest zimno.

Potem nowe obrazy. Jest już większa, poznaje to po własnych stopach, które biegną w stronę groty, w drewniakach, bo zbocza zrobiły się śliskie.

– Tato! – woła. – Tato!

Ale on nie odpowiada. Jest jesień, wcześniej robi się ciemno. Dostrzega światło w wejściu do groty i zaczyna się bać. Ze środka dochodzą jakieś ryki, jest tam Rudolf, kowal, który budzi w niej lęk. Widzi, że obaj mężczyźni się śmieją: i on, i jej ojciec.

– Wracaj do domu, smarkulo! – krzyczy ojciec, a ona biegnie, szlochając, pędzi i upada, uderza się o coś, ale ból rozbitego kolana jest niczym w porównaniu z bólem w piersi.

– Tato! – woła znowu. – Tato!

A potem pojawia się siostra z nocnej zmiany.

– No, już dobrze, już dobrze, Johanno. To był tylko sen, śpij już, zaśnij.

Jest posłuszna jak zawsze, zasypia na krótko, póki głosy z porannej zmiany nie wnikną w jej ciało i nie rozejdą się po nim żyłami jak lód. Drży z zimna, ale nikt

tego nie widzi, okna otwierają się na oścież. Johanna dostaje świeżą pieluchę, już nie marznie i nie czuje wstydu.

Jest z powrotem w białej nicości. Anna ma za sobą noc pełną chaotycznych i oczyszczających myśli. Wywołały je doznania, które obudziła w niej siostra Marta, pytając o dzieci: czułość i poczucie niedoskonałości. Z nią zawsze tak było, że kiedy jej uczucia przybierały na sile, ona sama ją traciła.

Zasnęła dopiero około trzeciej nad ranem. Coś jej się śniło. Mama. Młyn i rwący potok, który spadał do rozświetlonego jeziora. We śnie te wielkie wody były ciche i połyskliwe.

Sen przyniósł jej pocieszenie.

Boże drogi, mama to dopiero umiała opowiadać! O elfach, które w blasku księżyca tańczyły nad jeziorem, i o czarownicy, która była żoną kowala i potrafiła zawładnąć i ludźmi, i zwierzętami. Kiedy Anna podrosła, bajki zamieniły się w długie opowieści o życiu i śmierci ludzi zamieszkujących tę magiczną krainę pogranicza. Gdy miała jedenaście lat, pomyślała nie bez krytycyzmu, że to wszystko to od początku do końca kłamstwo i że ten osobliwy kraj istnieje jedynie w wyobraźni mamy.

Pewnego dnia, kiedy była już dorosła i dostała prawo jazdy, wsadziła matkę do samochodu i zawiozła ją do domu nad potok przy długim jeziorze. Załedwie dwadzieścia cztery mile. Pamięta jeszcze, jaka złość ogarnęła ją na ojca, gdy zmierzyła odległość na mapie.

Przez tyle lat miał samochód i chyba mógł pojechać tam z Johanną i córką, która tyle się nasłuchiwała o tym kraju dzieciństwa. Gdyby tylko chciał. I rozumiał.

Lecz gdy razem z matką dotarły do celu w ten słoneczny letni dzień trzydzieści lat temu, cała złość się rozviała. W podniosłym nastroju stała tam i patrzyła zdumiona: to prawda, tu leży kraina baśni, kraina z Długim Jeziorem daleko w dole, z potokiem i jego dwudziestometrową kaskadą oraz cichymi Norweskimi Stawami wysoko w górach.

Młyn został zburzony, na jego miejscu wybudowano elektrownię, ale wkrótce ją zamknięto, gdy pojawił się prąd z elektrowni atomowych. Lecz piękny czerwony dom z drewna stał tam nadal i służył od lat jako letnia siedziba jakichś nieznanym ludzi.

Chwila była zbyt wielka na jakiegokolwiek słowa, dlatego prawie się do siebie nie odzywały. Mama się popłakała i zaraz ją za to przeprosiła: „Jestem taka głupia”. Dopiero gdy przyniosły z samochodu kosz z prowiantem i rozsiadły się z kawą i kanapkami na płaskiej skale nad jeziorem, Johanna odzyskała mowę. Z jej ust padały słowa podobne do tych, jakie Anna słyszała, gdy była mała. Matka wybrała historię o wojnie, do której nigdy nie doszło:

„Miałam zaledwie trzy lata, gdy unia znalazła się w kryzysie i uciekliśmy do grotty. Tam, za cyplem. Może pamiętam to dlatego, że słyszałam tę opowieść mnóstwo razy, kiedy dorastałam. Ale widzę te obrazy wyraźnie

przed oczami. Ragnar wrócił do domu, wyglądał tak wspaniale, gdy stanął w tym swoim niebieskim mundurze z błyszczącymi guzikami i oznajmił, że będzie wojna. Z Norwegami!”

W jej głosie słychać było jeszcze zdumienie, osłupienie dziecka w obliczu czegoś niepojętego. Trzyletnia dziewczynka, jak wszyscy mieszkańcy przygranicznych miejscowości, miała krewnych po drugiej stronie Norweskich Stawów, siostra matki bowiem wyszła za mąż za handlarza ryb we Fredrikshald. Latem kuzyni spędzali wiele tygodni w domu młynarza, a jeszcze parę miesięcy temu matka wybrała się z nią do miasta, w którym stała wielka twierdza. Dobrze pamiętała zapach handlarza ryb i to, co powiedział, patrząc na mury potężnej budowli:

- Tam go zastrzeliliśmy, tego parszywego Szweda.
- Kogo?
- Szwedzkiego króla.

Dziewczynka wystraszyła się, ale ciotka, która była delikatniejszej natury niż matka, wzięła ją na ręce i uspokoiła:

– To było dawno temu. A ludzie w tamtych czasach nie mieli wiele rozumu.

Chyba jednak musiało coś być w głosie wuja, co utrwaliło się w jej pamięci, bo jakiś czas po wizycie w Norwegii zapytała o to ojca. Roześmiał się i odpowiedział mniej więcej tak jak ciotka, że to było dawno temu, kiedy ludzie pozwalali rządzić sobą królom i zwariowanym

oficerom.

– Ale to nie Norweg strzelał. To Szwed, nieznaną bohater historii.

Nie rozumiała, ale zapamiętała te słowa. A znacznie później, kiedy chodziła już do szkoły w Göteborgu, pomyślała sobie, że słusznie postąpił. To był błogosławiony strzał, który położył kres władzy Karola XII.

Długo siedziały wtedy na skale. Potem poszły wolno drogą nad zatoką, przez las do szkoły, która nadal stała, ale była o wiele mniejsza, niż Johanna pamiętała. W samym środku lasu znajdował się blok skalny. To olbrzym – pomyślała Anna. Mama zatrzymała się na dobrą chwilę przed kamieniem, zdziwiona: „Jaki on mały”. Córka, która też przepełniała swoje góry dzieciństwa magią, nie śmiała się.

Przez całą długą sobotę Annie udało się być dobrą córką. Przygotowała ojcu ulubione potrawy, wysłuchiwała bez zauważalnego zniecierpliwienia jego nie kończących się historii. Zawiozła go na pomost, przy którym stała przycumowana łódź, i siedziała tam, dygocząc z zimna, podczas gdy on sprawdzał liny i pokład, uruchamiając na próbę silnik i kawałkami chleba karmił kaczki.

– Może zrobimy sobie małą przejażdżkę?

– Nie, za zimno. Poza tym muszę jeszcze pojechać do mamy.

Spojrzał drwiąco. Anna nigdy nie nauczyła się wciągać żagla ani zapuszczać silnika. Może dlatego, że...



ale lepiej być ostrożną.

– Bo ty – powiedział – przez całe życie nie robiłaś niczego innego, tylko siedziałaś z nosem w książkach.

Z pełną premedytacją chciał jej zrobić przykrość, i udało mu się.

– Wcale nie najgorzej mi się z tego żyje – odparła.

– Pieniądze – rzekł, a z kącików jego ust wręcz sączyło się szyderstwo – pieniądze to jeszcze nie wszystko na tym świecie.

– To prawda. Ale dla ciebie znaczą dosyć dużo, bo ciągle narzekasz na emeryturę i parę razy obracasz każde óre, zanim je wydasz.

Dobra córka zrzuciła wreszcie maskę – pomyślała Anna, przeklinając swoją drażliwość i kuląc się w sobie przed nieuniknioną kłótnią. Ojciec jednak był jak zawsze nieobliczalny. To właśnie przez to jest z nim tak trudno – stwierdziła.

– Ty nigdy nie zrozumiesz, co to znaczy być głodnym i biednym – powiedział. – Mnie życie bardzo wczesnie nauczyło cenić dosłownie każde óre.

Zdołała się uśmiechnąć i powiedzieć: „Tylko żartowałam, tatku”. Chmura przeszła bokiem, a Anna pomogła mu zejść na ląd i wsiąść do samochodu.

On zna jedynie dwie strony: złość i czułośćkowość – pomyślała. Kiedy jedno okazuje się niewypałem, przychodzi pora na drugie. Potem stwierdziła, że jest niesprawiedliwa. Poza tym ojciec ma przecież rację: ona nigdy nie głodowała.

W szpitalu też poszło lepiej tego dnia. Anna zrobiła, co do niej należało. Szczebiotła do staruszki jak do małego dziecka, trzymała ją za rękę, karmiła: łyżeczka za tatę, łyżeczka za mamę. W samym środku tego przedstawienia ocknęła się nagle, zawstydzila. To było poniżające.

Pojedzeniu staruszka zasnęła. Anna nadal przy niej siedziała, przyglądając się spokojnej twarzy. Kiedy spała, wyglądała prawie tak samo jak dawniej. Córka, bliska wybuchu z powodu czułości i bezradności, wyszła na chwilę na taras, żeby zapalić. Z papierosem w dłoni próbowała się zastanowić nad uciążliwymi cechami charakteru matki, nad jej samo poświęceniem i poczuciem winy. Gospodyni domowa z jednym jedynym dzieckiem, mająca mnóstwo czasu, by je rozpieszczać.

To było niedorzeczne, nie pomogło jej. Nic tak nie boli jak miłość – pomyślała. Wszystko przez to, że za dużo dostałam, i to dlatego teraz nie potrafię sobą kierować, ani w stosunku do mamy, ani w stosunku do Rickarda. A już w ogóle w stosunku do dzieci.

Myśl o dwóch własnych córkach również sprawiała ból. Bezzasadnie, bo nie było powodu, żeby się o nie niepokoić. One też mają niedoskonałą mamę. I nic się nie da na to poradzić.

Kiedy wróciła do sali, matka właśnie się obudziła i spojrzała na nią, próbowała się uśmiechnąć. Trwało to tylko ułamek sekundy, a może nic takiego w ogóle nie nastąpiło. Mimo to Anna poczuła się tak szczęśliwa, jakby

ujrzała anioła.

– Witaj, mateczko – powiedziała. – Chcesz wiedzieć, co mi się śniło dziś w nocy? Przyśniły mi się Norweskie Stawy i wszystko to, o czym mi opowiadałaś.

Owa chwila dawno już minęła, ale Anna mówiła dalej, spokojnie, długimi zdaniami. Tak jak mówi się do dorosłych.

– Przypomniało mi się, jak pojechałyśmy tam pierwszy raz, ty i ja. Pamiętasz, to był ładny letni dzień, a ja tak bardzo się dziwiłam, że wszystko wygląda dokładnie tak samo, jak opowiadałaś. Siedziałyśmy na wielkim kamieniu nad jeziorem, pamiętasz? Mówiłaś o grocie, do której się przenieśliście, kiedy zanosilo się na wojnę z Norwegią, o tym, jak w niej koczowaliście i jak wszyscy marzli. Oprócz ciebie, bo ty mogłaś spać w ramionach taty.

Może to było tylko pobożne życzenie, ale Annie wydało się, że na twarz starej kobiety znowu wstępuje życie, że odbijają się w niej to zdziwienie, to radość.

Uśmiechnęła się.

Wmawiam sobie, to przecież niemożliwe, ale przecież widzę, że to możliwe, tak trzymaj, mamo, tak trzymaj.

Opowiadała dalej o wodospadzie i lesie, lecz tamten wyraz twarzy zagubił się znowu. Mimo to Anna nie przerywała:

– Często zastanawiałam się nad tym, jakie to mogło być uczucie: spać w grocie. Przecież tam było tak

wilgotno, a nie mogliście rozpalić ognia i jedliście same zimne posiłki.

Nie było wątpliwości, twarz zmieniła się znowu, tym razem pojawiła się na niej wesołość.

Matka próbowała uśmiechnąć się do Anny, to był ogromny wysiłek i, niestety, daremny: zamiast uśmiechu powstał grymas. Ale potem cud stał się znowu, brązowe oczy patrzyły prosto w oczy Anny, a ich spojrzenie było zdecydowane i wiele mówiące.

Po chwili staruszka zasnęła. Anna nie ruszyła się z miejsca. Po półgodzinie otworzyły się drzwi i błękitnooka powiedziała: „Pora na wieczorne mycie pacjentów”.

Anna podniosła się, szepnęła matce do ucha: „Dziękuję”. Kiedy opuszczała salę, staruszka na łóżku obok zaczęła krzyczeć. Anna wybrała dłuższą drogę wzdłuż plaży. Przez chwilę siedziała w samochodzie i spoglądała na zatokę, w której uczyła się pływać. Tam, gdzie zarośla bodziszka i komonicy mieszały się wśród skał z twardą morską trawą, znajdowała się niewielka stocznia. Proste domki jednorodzinne obłożono cegłą klinkierową i tak dyskretnie powiększono przez przybudówki, że były nie do poznania. Dalej, u stóp wzgórz, gdzie rozpościerały się łąki dzieciństwa pełne poziomek, chabrów i krów, stały teraz osiedla szeregowców, które wyglądały jak przewrócone wieżowce.

Tylko morze tam w oddali pozostało podobne do siebie, a także wyspy, odcinające się płaskim profilem na

szarym horyzoncie.

Utracona kraina, utracone dzieciństwo.

Szłyśmy tu kiedyś po nabrzeżnym błoniu, trzymając się za ręce. Zaopatrzone w ręczniki kąpielowe i kosz z prowiantem, w kanapki, kawę dla ciebie i sok dla mnie. Powoli stając się dorosła – pomyślała Anna ze smutkiem. I złością. Dlaczego to musi być takie brzydkie, takie barbarzyńskie?

Moja mama była piękna jak kiedyś ten krajobraz. Teraz podupada. A ja próbuję nauczyć się to akceptować. Już najwyższy czas, bo ja też jestem stara, prawie stara.

Trzeba wracać do domu.

Ale bez pośpiechu, bo tata już śpi.

Cicho jak złodziej skradała się po mieszkaniu, aż wreszcie znalazła to, czego szukała. Album ze zdjęciami. Lecz fotografie nie wywoływały żadnych wspomnień, były czymś zupełnie zewnętrznym. Proszę, tak właśnie wyglądaliśmy. I nic poza tym.

Ostrożnie wyciągała szufladę, by włożyć do niej z powrotem album, ale szuflada się zacięła. Minęła chwila, zanim Anna odkryła powód. Pod papierem w kwiatki, którym mama wyłożyła ją przed laty, leżała jeszcze jedna fotografia. W ramkach i za szkłem. To babcia!

Wyjęła portret, spojrzała ze zdziwieniem na ścianę, na której zawsze wisiał obok zdjęć dziadków ze strony ojca, dzieci i wnuków. Rzeczywiście, niewyblakła plama na tapecie wskazywała, gdzie było jego miejsce.

Dziwne, dlaczego ojciec usunął zdjęcie teściowej?

Czyżby jej nie lubił? Ale przecież lubił!

A co ja właściwie wiem? Co można wiedzieć o rodzicach? O dzieciach?

I dlaczego jest to takie ważne? Dlaczego uważa się to za wadę, jeśli człowiek niczego nie pamięta i niczego nie rozumie? U mnie to wszystko jest jakby dziurą, którą należy wypełnić. Zupełnie jakbym nie miała dzieciństwa, tylko знаła opowiadanie o nim – opowiadanie o tym, co się wydarzyło albo może nie wydarzyło.

Byli dobrymi gawędziarzami, zwłaszcza mama ze swoją umiejętnością przekładania wszystkiego na obrazy.

Pozłacane obrazy?

To, że tata upiększał, koloryzował dla wzmocnienia efektu, a usuwał wszystko, co prowadziłoby tylko do komplikacji, zrozumiała już jako mała dziewczynka. I wybaczyła mu, ponieważ dramatyzm dodawał napięcia, a zakończenia były wesołe.

Ostrożnie przemknęła po schodach na górę do swojego dawnego pokoju, położyła się na łóżku i poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Już na granicy snu uzmysłowiła sobie, że dokonała ważnego odkrycia. Może dlatego miała tak niewiele wspomnień z dzieciństwa, że żyła jakby w opowiadaniu. W historii, w której tak naprawdę nigdy nie umiała się rozpoznać.

Czy w ten sposób rodzi się poczucie wyobcowania?

Ocknęła się, kiedy staruszek zaczął pobrzękiwać w kuchni dzbankiem do kawy. Zerwała się na równe nogi i gnana wyrzutami sumienia, szybko zbiegła na dół.

– Więc jednak jesteś. A już myślałem, że mi się śniło, że przyjechałaś mnie odwiedzić.

– Zapomniałaś?

– Tak łatwo teraz zapominam.

Wyjęła mu z ręki dzbanek do kawy i powiedziała:

– Usiądź, ja to zrobię.

W zamrażalniku znalazła cynamonowe bułeczki, ogrzała je w piecyku, a potem stała i przyglądała się, jak ciepła woda ska-puje przez papierowy filtr, wdychała zapach aromatycznej kawy i w ogóle nie słuchała staruszka, który był już pochłonięty opowiadaniem o tym, jak żeglując pewnego razu z duńskiego Skagen, napotkał wieloryba. To była stara, prastara historia, Anna słuchała jej tyle razy. Z przyjemnością.

Dzisiaj ojciec nie potrafił już snuć opowieści tak, żeby przekazać napięcie i nie zgubić wątku. Jego opowiadanie wlokło się, raz po raz wracając do punktu wyjścia.

– Na czym to ja skończyłem?

– Na Varbergu.

– Tak, zgadza się – powiedział z wdzięcznością, ale wątek Varbergu należał do zupełnie innej historii – o pewnej dziewczynie i tańcu na dziedzińcu starej twierdzy. W samym środku opowiadania przerwał i wyznał zmieszany, że to chyba było jednak w twierdzy Kungälv, gdzie tańczył kiedyś w jasną letnią noc. I wdał się w bijatykę z narzeczonym dziewczyny.

Gdy opisywał swe niepowtarzalne zwycięstwo nad

tym młodzieńcem, wszystko brzmiało jasno i wyraźnie, opowieść stawała się coraz żywsza, nabierała blasku. Jednak już po chwili ojciec gubił się znowu w chaosie bezładnych wspomnień, jak to został pokonany czy też zwyciężył, jak zatrzymał konia, który poniósł, i jak w jakimś porcie uratował życie chłopcu, który wpadł do wody.

Wyjęła bułki z piecyka. Rozpacz, jaką odczuwała, była wprost nie do zniesienia. Jakie okropne jest to bezwstydnie przechwalanie się i ten rozkładający się mózg, który wyrzuca nie uporządkowane wspomnienia.

Wspomnienia? Może to tylko zmyślane historyjki, które rozrastały się z biegiem lat?

Nie chcę się zestarzyć – pomyślała. A kiedy nalewała kawę do filiżanek, przemknęło jej przez głowę: Czy kiedykolwiek będę wiarygodna? Głośno zaś powiedziała tylko:

– Cerata zaczyna się wycierać. Jutro pojedziemy kupić nową.

Po kawie staruszek zasiadł przed telewizorem, tym błogosławionym, odrażającym urządzeniem, i jak zwykle zasnął przed nim w sfatygowanym fotelu. Anna przygotowała obiad i zdążyła nawet wybrać się na krótki spacer po młodym lasku dębowym między skałami a domem.

Jedli obiad, zrazy w sosie i borówki.

– Takie jedzenie mam tylko wtedy, kiedy ty tu jesteś – wyznał. – Dziewczyny, które do mnie wpadają, nie mają



czasu ugotować czegoś porządnego.

W jego słowach była pretensja. Kiedy udała, że jej nie rozumie, podkreślił:

– Równie dobrze mogłabyś zostać i tutaj pisać.

– Mam męża i dzieci.

– Przecież mogliby cię odwiedzać – odparł, a ona przyznała, że w gruncie rzeczy ojciec ma rację. Pewnie udałoby mi się spisać relację do końca w moim dawnym pokoju na górze. Naprawdę – pomyślała, uśmiechając się w zakłopotaniu. Założmy, że powiem, jak jest, że nie mam ani chwili spokoju w twoim domu, tato, że już dzisiaj nie wyobrażam sobie, jak wytrzymam jeszcze te dwa dni do końca, żeby nie zwariować.

-Nie przeszkadzałbym ci – dodał.

W jego słowach była prośba. Anna czuła, że jest bliska płaczu. Zaczęła mówić o komputerach, których potrzebuje do pracy – o tych maszynach, które nie pozwalają na zmianę miejsca.

Naprawdę tak myślała, kiedy siedziała naprzeciwko ojca i kłamała mu prosto w twarz. Gdy wstał od stołu i podziękował za obiad, w jego głosie dał się wyczuć lodowaty chłód. Nie lubię go – przeszło jej przez myśl. Boję się go, nie znoszę, brzydzę się nim. Ale najgorsze jest to, że mimo wszystko go kocham.

Zmywała naczynia, gdy przyszedł sąsiad, miły człowiek. Był pogodny jak zawsze, pogłaskał ją po policzku i powiedział: „Nie jest łatwo, ja wiem”. Kiedy spotkała jego spojrzenie, poczuła niepojęty lęk, jakby

przez kuchnię przemknął jakiś cień.

– Wejdz do taty, a ja przygotuję wam coś do picia – powiedziała, wyraźnie słysząc, jak niepewnie zabrzmiał jej głos.

Drżącymi rękami stawiała wszystko na tacy, butelkę dżinu, którą przywiozła ze sobą, tonik, miseczkę z orzeszkami ziemnymi. Przeczucie? Nie! Jestem zmęczona i głupia. Powtórzyła to półgłosem kilka razy: zmęczona i głupia. On jest jeszcze młody, zdrowy i radosny, to jeden z tych, którzy długo żyją. Kiedy podawała drinki, spytała od niechcienia:

– Jak się czujesz, Birger?

Popatrzył na nią zdziwiony i odpowiedział, że dobrze, jak zawsze. Skinęła głową, ale przez cały wieczór nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

Pora snu przyszła wcześniej, około dziewiątej ojciec zrobił się nagle zmęczony. Pomogła mu się położyć, delikatnie i jak najdyskretniej. Bardzo łatwo było zranić jego dumę.

Wzięła sobie na górę filiżankę herbaty, to należało do obyczaju. Mama zawsze tego pilnowała, filiżanka herbaty z miodem przed zaśnięciem. Kiedy Anna piła ten słodki napój, znowu ożyło jej dzieciństwo, wspomnienia obecne w umyśle. Zapach miodu w herbacie, filiżanka w niebieskie kwiatki, a za oknem pisk mew, które w dzikiej radości życia spadały na dół z nieba.

Otworzyła okno i powiodła oczami za hałaśliwym stadem. Ptaki leciały ku morzu, ponad wyspami Asperó i

Kópstadsó. Po chwili usłyszała drozdy śpiewające gdzieś wśród dębów, na których pojawiły się już majowe pąki.

Tego było za wiele, takiej nostalgii nie dawało się znieść. Zdecydowanym ruchem sięgnęła po tabletkę na sen. Złote światło obudziło ją wcześniej. Być może nie tylko światło, bo w samym środku swoich marzeń sennych słyszała śpiew ptaków w ogrodzie, piękny i intensywny jak sama wiosna. Leżała przez chwilę cicho, próbując rozpoznać poszczególne głosy, radosne trele zięby, rześkie tony sikorek i świergot jaskółek szturmujących dach.

Przyleciały i budują sobie gniazda pod okapem – pomyślała. Przez chwilę jej się wydawało, że wszystko jest tak, jak powinno być.

Zeszła na palcach do kuchni, bezszelestnie niczym duch zrobiła sobie filiżankę kawy, chwyciła cynamonową bułeczkę i znowu po cichu weszła na schody. Przypomniała sobie, że siódmy stopień skrzypi, ominęła go i wreszcie znalazła się na górze. Udało się. Staruszek chrapał w sypialni.

Medytowała, śpiew ptaków pomagał jej zanurzyć się we własnej ciszy i przekonaniu, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo, choć wszystko przemija. Przez chwilę zdołała nawet uwierzyć, że matce wcale nie jest ciężko, ponieważ znalazła się już poza granicą bólu. I że ojciec ma tak krótką pamięć, iż jego gorycz musi szybko mijać.

Potem wzięła do ręki fotografię babci i długo jej się przyglądała.

Hanna Broman. Kim ty byłaś? Znałam cię, o dziwo, prawie tylko ze słyszenia. Byłaś legendą, wspaniałą i wątpliwą. Osobą wyjątkowo silną, jak mówiła mama.

Ale powinnam przecież mieć też własne wspomnienia, żyłaś jeszcze, kiedy już dorosłam, wyszłam za mąż i urodziłam dzieci. Lecz to zdjęcie ma niewiele wspólnego z wizerunkiem, który zachowałam w pamięci. To zrozumiałe, zrobiono je, kiedy byłaś młoda – gdy byłaś kobietą w swych najlepszych latach. Ja zaś widziałam cię tylko jako staruszkę, osobę obcą, niewiarygodnie wysoką i grubą, spowitą w obszerne, pofałdowane czarne suknie.

A więc tak wyglądałaś, gdy byłaś jeszcze w pełni sił, gdy z pięćdziesięciokilogramowym workiem mąki na plecach szłaś całą milę od młyna nad wodospadem do wsi na granicy. Wymieniałaś tam mąkę na kawę, naftę, sól i inne niezbędne rzeczy.

Czy to możliwe? Nosiałaś te ciężkie worki na własnych plecach, tak mówiła mama. Ale tylko wiosną i jesienią. Latem pływałaś łódką, zimą ciągnęłaś sanki po lodzie.

Urodziłyśmy się w różnych światach, ty i ja. Ale teraz widzę, że jesteśmy do siebie podobne, mamy takie same czoła i takie same zatoki na skroniach. Jednakowo szerokie usta i krótkie nosy. Nie masz tylko mojego podbródka, o nie, twój świadczy o sile i uporze. Twe spojrzenie jest niewzruszone, oczy zachowują dystans. Pamiętam, że były brązowe.

Długo przyglądamy się sobie nawzajem. Pierwszy raz patrzymy na siebie!

Kim byłaś? Dlaczego nigdy się nie poznałyśmy? Dlaczego w ogóle się mną nie interesowałaś?

Nagle Anna słyszy pytanie zadane przez dziecko:

– Dlaczego ona nie jest taką prawdziwą babcią? Taką, której można by usiąść na kolanach i która opowiada bajki.

I głos mamy:

– Ona jest stara i zmęczona, Anno. Ma już dość dzieci. A na bajki nigdy nie było czasu w jej życiu.

Czy w tym głosie pobrzmiewa gorycz?

Muszę dojść do tego, co sama jeszcze pamiętam.

Kiedy byłam małą, a babcia miała dość sił, żeby pokonać na piechotę długą drogę od przystanku autobusowego do domu nad morzem, w którym mieszkaliśmy, czasami odwiedzała nas przed południem. Siadywała na kuchennej ławie, pachniało wtedy ciasteczkami i świeżo upieczonym pszennym chlebem, i było tak przyjemnie z obrusem i najładniejszymi filizankami na stole. Przynosiła ze sobą błogość i zadowolenie, była jak kot, który zwija się w kłębek w rogu sofy i mruży. Ona też mrużyła, to pamiętam, skrzypiała jak derkacz w nocy. Jeśli akurat nie mówiła.

Także jej mowa sprawiała radość. Śmieszny język, na wpół norweski, pełen lekkości, czasami niezrozumiały.

Za każdym razem w równym stopniu zaskakiwała samą siebie, jak i innych, ponieważ słowa wypływały z jej

ust szybciej, niż zdążyła pomyśleć. Potem robiła zdziwioną minę, nagle milkła, wstydziła się albo śmiała.

O czym rozmawiali?

O sąsiadach z domu zarządcy. O dzieciach, które były nieszczęśliwe, o chłopach, którzy pili, i kobietach, które chorowały. Ale również o ślubach i nowo narodzonych potomkach, świętach i jedzeniu, a także o tym, jak, u diaska, ci ludzie dawali sobie radę.

W oczach dziecka wyglądało to tak, jakby po zdjęciu dachu z domku dla lalek ukazała się bezładna masa figurek. Po prostu zabawka. Lecz dla obu kobiet wszystko to było rzeczywiste i prawdziwe. Żywo się interesowały słabowitymi dziećmi Hóglundów i pijatykami mistrza malarskiego Johanssona. Nie mówiąc już o osobliwej chorobie pani Niklasson.

Plotki. Nie złośliwe, ale i nie życzliwe. Annie dopiero teraz przyszło do głowy, że ta nie kończąca się paplanina była swego rodzaju orgią emocji. Nurzały się w nieszczęściu innych, narzekały i biadoliły, wyrzucając z siebie własne troski i smutki, nigdy nie nazywając ich po imieniu. Mówienie o sobie było niedopuszczalne. Bezwstydne.

Babcia łatwo się czerwieniła.

– Czy ty nigdy nie płaczesz, babciu?

– Nie. To nic nie daje – rzekła, pokrywając się płomiennym rumieńcem.

Mama też poczuła się zakłopotana i skarciła dziecko. Wiele było takich rzeczy, o które nigdy nie należało pytać

babci. Prawdopodobnie uważała, że ciekawskie dzieci trzeba porządnie zbesztać, a Johanna nie potrafiła nauczyć moresu tej swojej rozpaskudzonej smarkuli.

Byłaś tak piekielnie praktyczna – powiedziała Anna, patrząc na fotografię.

Może się mylę – pomyślała, odrywając wzrok od zdjęcia i spoglądając na morze za oknem. Oczy musiały szukać sobie drogi daleko, hen, obok tych wszystkich małych domków, w których płot przy płocie żyli nowi mieszkańcy, nie znający pewnie nawzajem nawet swych nazwisk. Może obie odczuwałyście po prostu smutną tęsknotę za wsią, z której pochodziłyście? I kiedy przeniosłyście się do dużego miasta, próbowałyście ożywić dawne więzi i poczucie wiejskiej wspólnoty.

W tym momencie Annie wydało się, że słyszy parsknięcie babci. Ona lubiła miasto, światło elektryczne, wodę leącą z kranu, sklepy tuż obok domu i prawo zamykania za sobą własnych drzwi.

Babcia przyjechała na niedzielny obiad, przywieziona samochodem przez tatę. Na szyi miała długie czarne łańcuchy ze strasu i białe riuszki, milczała przy stole, dopóki ktoś jej o coś nie spytał, i z wielką unізonością odnosiła się do swego zięcia.

Nagle Annie coś zamajaczyło w mrokach pamięci. Jakieś wyraźne wspomnienie – pomyślała zdziwiona. Przy odświeżonym stole słysząc pełne zdumienia głosy, które powtarzają i odmieniają przez wszystkie przypadki stwierdzenie szkolnej nauczycielki, że Anna jest zdolna.

Zdolna? Co za niezwykle słowo! Nauczycielka mówiła coś o gimnazjum. Babcia poczerwieniała i prychnęła, uważając całą tę rozmowę za nieprzyzwoitą. Rzuciwszy na wnuczkę długie spojrzenie, rzekła:

– I co ci to może dać? Przecież jesteś tylko dziewczynką. To czyste zarozumiałstwo, a przydać – do niczego się nie przyda.

Być może były to słowa, które zadecydowały o przyszłości Anny. Owo „jesteś tylko dziewczynką” rozgniewało na dobre ojca – jego, który nigdy nie przyznał się do żalu o to, że jedyne dziecko, jakim obdarzył go los, to dziewczynka.

– Anna sama zdecyduje. Jeśli zechce się uczyć, będzie się uczyć.

Jak ja mogłam zapomnieć tę niedzielę, tę rozmowę – zastanawiała się Anna, wracając do łóżka i spoglądając znowu na fotografię. Pomyliłaś się, ty stara czarownico – powiedziała. Skończyłam studia, zdałam egzamin, odniosłam sukces i obracałam się w światach, o których ty nie mogłaś nawet marzyć.

Stałam się także zarozumiała, jak przepowiedziałaś ty i jak mówili wszyscy. Ty zaś stałaś się skamieliną, prymitywną pozostałością minionej epoki. Wykluczyłam cię z mojego życia, byłaś jedynie niemiłym przypomnieniem mego rodowodu, którego się wstydzę.

To dlatego cię nie poznałam i nie mam żadnych związanych z tobą wspomnień. Ale to właśnie także sprawia, że twoja fotografia tak silnie do mnie przemawia.



Bo mówi mi bardzo wyraźnie, że także ty byłaś zdolną dziewczyną.

Miałaś inne uprzedzenia niż ja, to prawda. Lecz niekiedy trzeba ci przyznać rację, a zwłaszcza wtedy, gdy mówiłaś, że również mnie nie uda się przed tym wszystkim uciec. Że nawet mnie czeka życie kobiety.

Nie nosiłam, babciu, worków mąki z młyna do miasteczka. A jednak na swój sposób to robiłam.

HANNA

1871-1964

Matka Hanny rodziła dzieci w dwóch turach. Pierwszych czworo umarło z głodu w czasie zarazy pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Maja Lisa coraz bardziej obojętniała i odważyła się nawet myśleć, że może los oszczędzi jej nowych dzieci.

Ale w 1870 roku nastąpiła wiosna jak się patrzy, obfita w deszcz. Spalona ziemia odżyła, a na stołach znowu pojawił się chleb. Nie było mowy o bogactwie, jesienią mieli jednak buraki i kartofle w piwnicy. No i krowy, które dostawały przynajmniej tyle paszy, że znowu zaczęły dawać mleko.

A Maja Lisa spodziewała się dziecka.

Przeklinała swój los, lecz August, jej mąż, powiedział, że powinni być wdzięczni. Złe lata nie zmusiły ich do ucieczki z gospodarstwa, nie musieli włóczyć się w cygańskim wozie po okolicy jak inni drobni chłopcy w Dal.

Hanna urodziła się jako pierwsze dziecko w drugiej turze, potem przyszli jeszcze na świat dziewczynka i trzech chłopcy. Z tego, co się wcześniej wydarzyło, matka wyniosła naukę, że nie powinna przywiązywać się za mocno do swoich nowych dzieci. Za to bać się brudu i nieczystego powietrza.

Nauczyła się tego w kościele.

Nim nastąpiły dni głodu, mieli w parafii młodego księdza o łagodnych oczach, który jak tylko potrafił, starał się naśladować Chrystusa. Dzielił się chlebem ze starcami i gdziekolwiek się udawał, zawsze miał mleko dla dzieci,

mimo że jedzenia nie zbywało nawet na plebanii. Za dnia odprowadzał dzieci i starców na miejsce wiecznego spoczynku i wypisywał kościelne papiery tym wszystkim, którzy uciekali na zachód do Norwegii albo do Ameryki. Nocami modlił się za biedny lud.

Ponieważ jego modły nie przynosiły żadnego widocznego skutku, zastępował je coraz częściej lekturą pism, które dostawał od swojego brata, lekarza w Karlstadzie. I tak oto jego kazania zaczęły mówić o znaczeniu czystości. Suchoty plenią się w brudzie, a choroba angielska w ciemności – głosił. Wszystkie dzieci powinny wychodzić na światło dzienne. One umierają nie z zimna, lecz z ciemności i brudu – grzmiał z ambony. I muszą dostawać mleko.

Były to przesłania, na które jego parafianie kręciliby nosem, gdyby tylko czasy były takie, jakie być powinny. Ale teraz matki słuchały go bojaźliwie, a Maja Lisa należała do tych, które wzięły sobie szczególnie do serca kazanie o czystości.

Ile musiała naawanturować się z mężem, zanim go nauczyła, że nie wolno pluć na szmaciane chodniki. Była niewzruszona, bo odkryła, że ksiądz ma rację. Jej nowe dzieci wyrastały na wyjątkowo silne i zdrowe.

Lecz łagodnooki ksiądz zniknął, a jego miejsce zajął inny, nieopisanie łasy na alkohol. Czyli z księdzem było tak samo jak prawie ze wszystkim w tej okolicy: po latach niedoli zrobiło się gorzej. Strach zagnieździł się na dobre, radości nie stawało, za to zawiści było w brud. Droga do

najbliższego obejścia zrobiła się też bardziej uciążliwa, gdyż las zagarnął z powrotem pola i łąki wokół opuszczonych gospodarstw.

A zimą przeciągały przez wsie gromady żebraków, przypominając o niedawnym nieszczęściu.

Kiedy Hanna miała dziesięć lat, do Braten przybył nowy ksiądz katecheta i powiedział, że powinni dziękować Bogu za to, iż mogą mieszkać w tak pięknym miejscu. Hanna spojrzała zdziwiona na jezioro i wysokie góry w oddali. Nie rozumiała, o czym on mówi, ten ksiądz. A jeszcze mniej go pojmowała, gdy zapewniał, że Bóg czuwa nad swoimi dziećmi. Bóg pomagał jedynie tym, co mieli mocne pięści i nauczyli się szanować każdy drobiazg.

Gdy skończyła dwanaście lat, posłano ją na służbę do majątku u ujścia rzeki. Chodziła tam do szkoły akurat tyle, by nauczyć się od biedy liczyć i pisać. To wystarczy – powiedział ojciec.

W majątku, który nazywał się Lyckan, czyli Szczęście, rządziła Lovisa, kobieta skąpa, znana z bezwzględności i pychy. W zamieszkaney przez biedotę okolicy Lyckan uchodził za bogaty, lecz niżej, na równinie, byłby co najwyżej nędznym wiejskim gospodarstwem. Lovisie nie poszczęściło się z dziećmi; dwie córki udusiła przez sen, kiedy były jeszcze malutkie, a syn coraz bardziej się kurczył, wreszcie zupełnie skarłowaciał i umarł na chorobę angielską. Teraz został jej tylko jeden, ładny chłopczyk, przyzwyczajony do tego, że

spełniano każdą jego zachciankę. Ciemnowłosy i czarnooki, był zupełnie niepodobny do tamtych także zewnętrznie.

Złe języki paplały coś o bandzie Cyganów wędrującej po okolicy akurat latem na rok przed jego urodzeniem. Jednakże rozsądni ludzie przypominali sobie, że ojciec Lovisy pochodził z Hiszpanii, był rozbitkiem, któremu na Orust uratowano życie.

Obie rodziny łączyło pokrewieństwo. Gospodarz na Lyckan, Joel Eriksson, był bratem matki Hanny. Dziadek mieszkał nadal we frontowej części dworu, ale resztę dóbr podzielił między dzieci. Syn Joel miał zostać dziedzicem Lyckan. Maja Lisa i jej mąż dostali w dzierżawę wieczystą Braten, majątek skromniejszy i mniejszy.

Ale jakby na potwierdzenie, że jednak sprawiedliwość jest na świecie, Maja Lisa znalazła sobie na męża dobrego i pracowitego człowieka, Augusta Nilssona, urodzonego i wychowanego w Norwegii, podczas gdy Joel trafił na nieznośną Lovisę z Bohuslan.

Lovisa była bigotką. Jak wiele jej podobnych znajdowała radość w utrzymywaniu bliźnich w karności i zmuszaniu ich do kroczenia śladem nauki Pana, dlatego na co dzień mogła sobie z czystym sumieniem pozwolić na okrucieństwo wobec innych.

Hanna przyzwyczaiła się już do długich dni, ciężkiej pracy i ciągłego łajania. Nie skarżyła się więc i dlatego nigdy nie słyszała, jak sąsiedzi jej żałują i rozpowiadają, że Lovisa traktuje ją jak zwierzę. Dziewczynka mogła

najadać się do syta, a raz w miesiącu nawet się cieszyć. Wtedy, kiedy wolno jej było pójść z miarką mąki do matczynego domu.

Gdy w październiku ciemność zgęstniała, Hanna pierwszy raz zaczęła krwawić. Czuła ból i mocno krwawiła. Wystraszyła się. Nie odważyła się jednak pójść do Lovisy. Wzięła swoją najbardziej zużytą lnianą koszulę, podarła ją na pasy i mocno związała nimi nogi, żeby utrzymać zakrwawioną szmatkę na właściwym miejscu. Lovisa popatrzyła na nią podejrzliwie i krzyknęła:

– Ruszasz się jak koślawa krowa, podnoś nogi jak należy, dziewczyno!

Dopiero w sobotę, kiedy przyszła do matki, mogła sobie popłakać. Ale tylko trochę, bo mama powiedziała jak zwykle, że łzy nic nie dają. Lecz wsparła ją, darując prawdziwe podpaski zrobione szydełkiem i pas do obwiązania wokół bioder. Wyjęła też z pudełka na przybory do szycia dwie cenne agrafki – prawdziwy majątek. Potem rzekła:

– Musisz teraz pamiętać, że to niebezpieczne. Nie pozwól nigdy, żeby mężczyzna przysunął się do ciebie bliżej niż na dwa łokcie.

Potem przyszła ta noc, kiedy zasnęła na sianie. Miała swoje miejsce do spania w kuchni, ale tam trudno było o spokój, bo wieczorami gospodarze zawsze się kłócili. Najczęściej o syna, którego matka rozpieszczała, podczas gdy ojciec chciał z niego zrobić prawdziwego mężczyznę.

Hanna czuła się tak zmęczona, że mimo złych słów, które się rozlegały nad jej siennikiem, i tak zwykle zasypiała. Jednak tego wieczoru domownicy bili się w izbie, a przez drzwi do kuchni docierały odgłosy mocnych razów i okropnych krzyków. Hanna pomyślała sobie, że Joel chyba zaraz zabije żonę. Ale potem usłyszała wrzask Czarnego Rickarda. Brzmiał jak jakieś niesamowite i rozpaczliwe wołanie, jak krzyk z zaświatów.

Obudzili go. Boże, zmiłuj się.

Wymknęła się do stajni. Śmiertelnie się bała tego chłopca, który od razu zaczynał ją podszczypywać, gdy tylko jego matka zdążyła odwrócić oczy w inną stronę.

Zasnęła więc na sianie jak zmęczone zwierzę i obudziła się dopiero wtedy, gdy zerwał z niej spódnicę. Próbowwała krzyczeć, ale ścisnął ją za gardło, ona zaś zrozumiała, że zaraz umrze. Uzmysłowiwszy to sobie, zamilkła. Był ciężki jak byk, gdy zwalił się na nią i wdarł do środka, raniąc boleśnie, a ona w tym nieznośnym bólu zdołała jeszcze poprosić Boga, by przyjął ją do siebie.

Potem umarła.

Mniej więcej po godzinie ocknęła się, pokrwawiona i poraniona. Mogła się ruszać: najpierw palce, później ręce i wreszcie nogi. Aż w końcu zdołała podjąć decyzję albo przynajmniej sformułować myśl: do domu, do mamy.

Szła powoli przez las, pozostawiając za sobą krwawy ślad. Przez ostatni kilometr czołgała się na czworakach, ale gdy krzyczała pod drzwiami chaty, jej głos okazał się wystarczająco silny, by obudzić matkę.



Pierwszy i ostatni raz w życiu Hanna zobaczyła Maję Lisę zalaną łzami. Położono dziewczynę na stole w kuchni, matka myła ją i myła, lecz nie była w stanie zatrzymać upływu krwi.

– Boże drogi – powiedziała. Powtarzała to raz po raz, aż wreszcie wzięła się w garść i posłała najstarszego chłopca po Annę, miejscową akuszerkę, która pomogła Mai Lisie przetrwać tyle połów. Potrafiła też zręcznie zatrzymać krwotok. – Szybciej, szybciej! – wołała za chłopcem.

Potem miała już zamiar ściągnąć z dziewczyny podarte ubranie, ale powstrzymała się. Nawet w tym dzikim gniewie, jaki ją opanował, przyszło jej nagle do głowy, że Anna jest nie tylko akuszerką, ale także tą osobą we wsi, która biega od domu do domu i roznosi najgorsze tajemnice.

Hanna spała albo była nieprzytomna, Maja Lisa nie umiała tego stwierdzić. Kuchnia wyglądała jak jatka, a ona coraz głośniej błagała Boga o zmiłowanie, podczas gdy dzieci wokół niej zasłaniały sobie uszy i oczy.

Potem przyszła wreszcie Anna, energiczna i zrównowazona. Przyniosła starty na proszek korzeń tormentum, wymieszała go z pastuszką i smalcem, po czym natarła maścią pochwę dziewczyny.

Hanna ocknęła się podczas nacierania i zaczęła cicho popłakiwać. Kobieta, pochyliwszy się nad nią, spytała:

– Kto?

– Czarny Rickard – wyszeptała dziewczyna.

– Tak też myślałam – odparła ponuro Anna.

Następnie dała chorej do picia ciepły wywar z jemioly i białej jasnoty. To powinno zatrzymać krwawienie i przynieść sen głęboki jak śmierć – powiedziała. – Ale Bóg jeden wie, czy to biedactwo będzie mogło mieć kiedyś dzieci. Bo za mąż to już na pewno nigdy nie wyjdzie.

Maja Lisa nie wyglądała na zmartwioną z tego powodu, choć nawet nie przeczuwała, że obie przepowiednie Anny nigdy się nie sprawdzą. Wyprawiła dzieci spać do izby, zrobiła kawę, umyła kuchnię i wtedy odkryła, że ze ściany zniknęła strzelba, a w domu nie ma Augusta.

Podniosła krzyk od nowa, a gdy dzieci wypadły z izby, Anna, która śledziła jej spojrzenie, fuknęła:

– Ci mężczyźni! Opanuj się, kobieto, nie możemy nic zrobić.

– Jeszcze trafi do więzienia! – krzyczała Maja Lisa.

– Nie wierzę, żeby mu się udało.

I tu się nie myliła. Kiedy August dotarł do Lyckan, syn gospodarzy gdzieś zniknął. Obaj ojcowie wypili na uspokojenie gorzałkę i postanowili, że chłopaka trzeba będzie zmusić do ożenku, jak tylko Hanna dorośnie, a na razie dziewczyna będzie mieszkać u nich w domu jak ich własna córka.

Cała ta ugoda na niewiele się zdała. Hanna oświadczyła, że woli już iść do piekła niż zostać żoną Rickarda. Maja Lisa czuła się bezsilna, a Loyisa sobie

tylko znanymi drogami przekazała synowi wiadomość, by w imię Chrystusa trzymał się jak najdalej od domu. Stara Anna przebąkiwała coś o sędzi okręgowym, o którym powiadano, że jednego takiego, co to wyrządził krzywdę jakiejś służącej, skazał na śmierć.

Ale ani August, ani Maja Lisa nie pragnęli takiej hańby swoich krewniaków na Lyckan.

Gdy ludzie raz już wzięli Lovisę na języki, gadaniu nie było końca. Wreszcie zaczęli unikać i jej, i Lyckan. Aż do chwili, kiedy stało się jasne, że Hanna jest w ciąży. Wtedy coraz częściej zaczęto powtarzać, że dziewczyna pewnie nie była wcale taka niechętna, na to wygląda. A cała ta paplanina o tym, jak bardzo została poturbowana, to zwykłe kłamstwo. Stara Anna prawdopodobnie jak zwykle nie przepuściła okazji, żeby poostrzyć sobie porządnie język. Kiedy drugi miesiąc z rzędu nie pojawiła się miesiączka, Maja Lisa powtarzała sobie z tysiąc razy na dzień, że to wszystko przez te rany. Ale pewnego ranka dziewczyna zaczęła wymiotować.

Matka poszła z nią do Anny. Akuszerka obmacała jej brzuch, zrobiła wielkie oczy i powiedziała, że czasami nie rozumie wyroków boskich. Potem udała się na polanę w lesie, gdzie rosła dzika pietruszka, zrobiła z niej napar, ale musiała przyznać, że zioła nie zaszkodziły dziecku w brzuchu dziewczyny.

– Już za późno – stwierdziła.

Piątego lipca, mając niespełna trzynaście lat, Hanna urodziła swojego bękarta, wspaniałego chłopca o

czarnych oczach. Ciężko mu było przyjść na świat, poród okazał się długi i mozolny. Ale gdy wreszcie mały ujrział światło dnia, Hannę ogarnęła osobliwa czułość.

Mimo że z wyglądu przypominał swego ojca.

Uczucie to było tak zadziwiające, że mogła jedynie poddać się nieuniknionym decyzjom. Wiedziała przecież, że gospodarstwo rodziców nie wykarmi jeszcze dwóch dodatkowych gąb. Musiała zatem wrócić na Lyckan. Gospodarz zaklinał się na wszystkie świętości, że będzie traktowana jak córka, i dopóki mógł, dotrzymywał słowa. Przywiązał się do chłopca, który rósł szybko i śmiał się światu prosto w nos. Było to, o dziwo, szczęśliwe i silne dziecko.

Hanna pracowała tak samo ciężko jak przedtem, a Lovisa nie stała się wcale miłsza, mimo że dużo mówiła o miłosierdziu, odkąd została nawrócona przez tego braciszka, co to przyjeżdżał raz na miesiąc i gromadził swoje owieczki w stodole sąsiada.

Wszyscy troje czekali na Rickarda, ale nikt ani razu nie wspomniał o nim słowem. Potem po wiosce zaczęła krążyć plotka, że widziano go gdzieś w okolicy.

To właśnie wtedy Hanna postanowiła wyruszyć w górę rzeki do wróżbiarza, który mieszkał w lesie za Diabelskim Wąwozem. Myślała o tym od dawna, ale odstraszały ją złe opowieści o tym staruchu zajmującym się runami i jego żonie czarownicy.

Wreszcie poprosiła gospodarza, żeby zaopiekował się dzieckiem. Była niedziela, powiedziała więc, że chce iść

do kościoła. Mężczyzna skinął zachęcająco głową. To dobrze, że ktoś z ich domu odwiedza Boga tam, gdzie jest on obecny – dodał, rzucając złe spojrzenie w stronę żony. Lovisa krzyczała za nią, żeby przypadkiem nie zapomniała o swoim bękarcie, gdy będzie wchodzić do domu Bożego.

Do kościoła była dobra mila drogi, najpierw brzegiem rzeki, a potem przy wodospadzie stromo pod górę. Ale w spokojnej wodzie znalazła na szczęście bród, a stamtąd wystarczyło pół godziny marszu przez las, żeby dotrzeć do chaty na końcu ścieżki. Odnalazła drogę, bo była tu raz z matką jako dziecko; musiała wtedy przysiąc, że nigdy o tym nikomu nie powie. Serce biło jej mocno ze strachu, ale staruszkowie przyjęli ją bez zdziwienia. Domyślali się, że przyszła pewnie po tabliczkę runiczną. Dziewczyna nie miała odwagi powiedzieć tego głośno, skinęła tylko głową, zerkając lękliwie w róg izby, gdzie ci osobliwi ludzie przechowywali – jak głosiła plotka – odcięty członek pewnego mordercy, powieszzonego przed wieloma laty na szubienicy.

Zauważyła od razu, że nie był to członek mężczyzny, tylko ogiera. Wcale jej nie przerażał. Widziała coś takiego już nieraz w najciemniejszych kątach wielu chałup, których mieszkańcom Pan Bóg nie chciał dać dzieci.

Stara kobieta przyłożyła dłonie najpierw do czoła dziewczyny, potem do jej serca. Jednocześnie mówiła coś do mężczyzny w jakimś dzikim i obco brzmiącym języku. On pokiwał głową i wyrzynał coś na małej tabliczce, która

pokrywała się runami. Kiedy skończył, wyglądał na zadowolonego i uśmiechał się, mówiąc, że to, czego Hanna najbardziej się boi, w ogóle jej się nie przydarzy, a hańba przeminie.

Zapłaciła im paroma nędznymi monetami, jakie zdołała uzbierać, dygnęła i z tajemniczą tabliczką ukrytą między piersiami pobiegła długą drogą do domu. Dostała policzek za to, że tak długo jej nie było, lecz przyjęła go bez szemrania. Przełknęła nawet oskarżenie, że pewnie znowu się puszczała. Bo przecież jest dziwką – powiedziała Lovisa, która dostrzegła przedziwny blask w jej oczach.

Dwa dni później do domu przyszedł Rickard, wygalowany jak kogut, w długich butach i mundurze z błyszczącymi guzikami. Przechwalał się i śmiał z osłupienia rodziców, pysznił się na żołnierski sposób. Mówił głośno, szczególnie gdy oznajmiał, że nigdy w życiu nie będzie chłopem i ani myśli zapracowywać się na śmierć w tym nieszczęsnym gospodarstwie. A Hanna niech wybije go sobie z głowy, bo on nie zamierza żenić się z dziwką.

Tylko raz na chwilę stracił rezon. Gdy w drzwiach kuchni pojawił się czteroletni chłopiec i roześmiał mu się prosto w twarz. Potem żołnierz odwrócił się na pięcie i zniknął.

Płacz Lovisy zamienił się w głośny krzyk. Tymczasem gospodarz spojrział na dziecko, a później na Hannę. Oboje z trudem ukryli ulgę. Żadne z nich nie

powiedziało Lovisie ani jednego słowa pocieszenia.

Hanna przycisnęła mocniej do piersi tabliczkę runiczną ukrytą pod koszulą. I od tego dnia co rano budziła się przepełniona przeczuciem, że przydarzy jej się coś niezwykłego.

Około świętego Jana przybył do wsi jakiś obcy mężczyzna, Varmlandczyk. Młynarz – mówili ludzie, którzy z nim rozmawiali – ma zamiar uruchomić na nowo młyn nad Norweskimi Stawami. To stary człowiek – powiadali młodzi. Mężczyzna dojrzały – powiadali starsi. Ale jedni i drudzy zgadzali się co do tego, że jest milczący i nic nie mówi o swoim życiu. Jedynie starej Annie zdradził, że żona i dzieci odumarli go tam, w Varmlandzie. I że nie mógł już dać sobie rady z samotnością w swoim młynie.

Pił, żeby zapomnieć, to też powiedział.

Teraz chodził od zagrody do zagrody, żeby sprawdzić, jakie jest zapotrzebowanie na usługi młynarza. Wszędzie trafiał na chłopów, którzy go zapewniali, że będą oddawać ziarno na mąkę do młyna przy Norweskich Stawach, tak jak robili to wcześniej i jak robili to ich ojcowie i dziadowie. Na koniec zrozumiał, że doda im wszystkim otuchy, jeśli uruchomi młyn na nowo.

Mimo to się wahał. Tutejsi ludzie byli bardziej ociężali i oszczędniejsi w słowach niż ci, do których był przyzwyczajony. W domach brakowało radości, a kawa, jaką tu częstowano, przypominała brudną wodę po roztopach i smakowała jak prażone żyto.

Pochodził z zamożniejszej okolicy, zamieszkaniej przez bardziej towarzyskich i rozmowniejszych ludzi. Jednym z upiorów, które go stamtąd przegnały, była zawiść: czyhała na każdym kroku, mierząc i porównując. Tu, gdzie przyroda była uboższa, a bieda dotkliwsza, ta okropna choroba dawała się we znaki jeszcze mocniej. Karmiła się latami nędzy i zatruchiwała każdą znajomość.

Zatem był młyn, ale przywrócenie go do użytku wymagało dużo pracy. Barrierki wzdłuż potoku połamały się, mostek był zerwany, a schody wewnątrz samego młyna znajdowały się w opłakanym stanie. Jednakże przepust z dębowego drewna przetrwał, podobnie jak koło łopatkowe i jaz na górze nad jeziorem. A obie pary młyńskich kamieni były nowe i pochodziły z Lugnas. Wyglądało na to, że są ostre. Obliczył spadek młynówki na dobre trzydzieści łokci, co obiecywało niezawodny napęd.

Spichlerz i obora stały także. A dom mieszkalny zachował się w niezłym stanie: solidny, z dużą izbą wychodzącą na jezioro, małą do spania i ogromną kuchnią.

Tak więc to wyglądało.

Oglądał wiele wspaniałych krajobrazów na porośniętej lasami fińskiej ziemi i nad brzegami Klaralv. Ale nigdy dotąd nie widział okolicy o tak pierwotnej urodzie. Patrzył na wznoszące się ku niebu pionowe góry, na gniazda wędrownych sokołów w załomach skalnych ścian i na lot tych królewskich ptaków nad urwiskami.



Słuchał grzmienia potoku i delikatnego plusku mrocznych Stawów Norweskich, spoglądał w zadumie na łagodne wzgórza, na których pasły się owce. Doskonale wiedział, że ziemie są tu nędzne, a lasy zaniedbane, w większości nieprzebyte. Jakby rosły zupełnie nietknięte od prawieków.

Mimo to czuł się tutaj wspaniale.

Był to wrażliwy człowiek, który słyszał, jak przemawiają do niego tajemniczymi głosami góry i jeziora, potoki i wysokie klony przy młynie.

Jedynym bliższym sąsiadem okazał się kowal, który wyglądał na dobrego człowieka. A dostęp do kuźni był konieczny ze względu na młyńskie kamienie.

Lecz najważniejszy powód stanowiły pieniądze. Młynarz sprzedał własny młyn w Varmlandzie, a ten chciał wziąć w dzierżawę. Erik Eriksson z Framgarden, skąpy jak wszyscy chłopcy, z niechęcią zgodził się wreszcie na częściowe opłacenie koniecznych napraw.

Jedyną osobą, z jaką nawiązał bliższą znajomość, była stara Anna, akuszerka. Ponieważ gotowała także lepszą kawę, widywano go coraz częściej w jej kuchni. Ona też ubrała w słowa myśli, które od dawna go nawiedzały, ale które ciągle odrzucał.

– Jest ci potrzebna kobieta, pracowita i cierpliwa. Tam, wysoko w lesie, nikt sobie nie poradzi bez prawdziwej gospodyni.

Gdy to powiedziała, zapadła cisza. Mężczyzna poczuł nagle, jak bardzo jest zmęczony. I stary, za stary

na to, żeby zaczynać od nowa.

– Chyba nie mam już na to ochoty – wyznał wreszcie.

– Taki młody chłop jak ty? – zdziwiła się.

– Minęła mi już czterdziestka.

– Dla mężczyzny to najlepsze lata.

– Nie mam szczęścia do kobiet.

Kiedy przyszedł następnego wieczoru, Anna już coś wymyśliła. Była przebiegła, zaczęła więc jakby od niechcienia opowiadać o Hannie, biednej istocie, z której życie tak sobie zakpiło. To wielka hańba – powiedziała – bo ta dziewczyna to przecież wnuczka Erikssona z Framgam. Młynarz przejął się historią tego okrutnego gwałtu, Anna widziała to po jego twarzy, a upewniła się, gdy jej przerwał:

– Nie macie może sznapsa?

Dostał gorzałki. Gdy po ciemku zmierzał powoli do domu, czuł się trochę niepewnie na własnych nogach. O czym myślał – nie powiedział ani słowa, ale Anna miała nieprzyjemne wrażenie, że ją przechytrzył.

Kiedy John Broman przyszedł do opuszczonego młyna, zobaczył po raz pierwszy, jak brudno jest w izbach i kuchni. Odkrycie to obudziło w nim praktyczne myśli: chyba jednak potrzebuje kobiety. Gdy wślizgnął się do łóżka, poczuł żądzę, krew wzburzyła mu się w żyłach, a przyrodzenie stwardniało. Mój Boże, ile to już czasu... ile czasu minęło od chwili, kiedy miał kobietę.

Pomyślał o Ingrid i żądza opuściła go natychmiast. Nie było im dobrze ze sobą ani w łóżku, ani w kuchni. Jak

ona wyglądała? Nie mógł sobie przypomnieć, pamiętał tylko ciągłe zrządzenie z powodu pieniędzy, których jej nigdy nie starczało. I z powodu wódki, którą pociągał sobie w soboty.

Podczas gdy obraz żony jawił mu się raczej mgliście, wspomnienie Johanny było jasne i wyraźne, jakby widział ją tuż przed sobą. Miał córeczkę, którą zabrały suchoty, gdy skończyła osiem lat.

Jak bardzo brakowało mu tego dziecka.

Kiedy obudził się następnego dnia rano, myślał praktycznie. Dziewczyna byłaby mu pewnie wdzięczna. Mógł się spodziewać, że będzie miał nad nią władzę. To, że ma syna, wcale mu nie przeszkadzało. Lubił dzieci, ale już nigdy nie chciał mieć własnych. I na dodatek to nie bez znaczenia, że jest spokrewniona z gospodarzem.

Trochę później skierował swe kroki do Lyckan. Hanna ocknęła się przepełniona jak zwykle tym osobliwym oczekiwaniem i splotła dłonie wokół tabliczki jak w modlitwie. Potem obudziła syna, który leżał obok niej na sienniku na rozkładanej ławie w kuchni.

– Ragnar, skarbie – powiedziała.

Cieszyła się z tego imienia, ponieważ okazała dość siły, by je przeforsować. W obu domach było wiele zastrzeżeń, bo w żadnej z rodzin nikt dotąd tak się nie nazywał. Ale potem wszyscy zamilkli i pomyśleli, że niech będzie, co ma być, nieślubne dzieci nie muszą nosić rodowych imion.

Hanna pamiętała pewnego chłopca ze szkoły.

Teraz wiedziała, że ten upór na coś się jednak zdał. Jej syn przypominał tamtego kolegę, był pogodny i zrównoważony. Nawet już teraz, o świcie, śmiał się do niej, ledwo otworzył oczy.

Sprzątała w kuchni i szykowała śniadanie. Gospodarz pojawiał się od razu, jak tylko ugotowała się kasza, siadał ciężko przy stole i jadł. Ona stała za nim przy piecu kuchennym i posilała się jak zwykle z dzieckiem na rękę: jedna łyżka dla Ragnara, jedna dla mamy.

I ona, i Joel Eriksson lubili te chwile o poranku. Lovisa nie brała w nich udziału, miała tyle modlitw do odmówienia.

Mniej więcej godzinę później pojawił się obcy przybysz. Dziewczyna obserwowała tego barczystego mężczyznę z krótką brodą i uznała go za przystojnego. Wyglądał jak prawdziwy pan. Zerkał na nią cały czas – to straszne, jak on się na nią gapił.

Naprawdę to robił. Stwierdził, że dziewczyna jest ładna i ma bystre spojrzenie. To jedna z tych uważnych – z tych, co to mają oczy otwarte. Silna, przebrnęła, o dziwo, bez uszczerbku przez ciemność i hańbę.

Taka młoda – pomyślał – ma siedemnaście lat, niewiele starsza od mojej Johanny, gdyby jeszcze żyła.

Poczuł nagle wstyd z powodu swoich wieczornych marzeń i praktycznych myśli o poranku. Udało mu się jednak uniknąć zakłopotania, ponieważ do kuchni wpadł mały chłopiec o oczach zezujących, ale ciekawych i nieustraszonych. Spojrzał na matkę i wybuchnął

śmiechem. To był obezwładniający śmiech, tak niecodzienny, że w tej biednej okolicy brzmiał niemal wyzywająco.

Młynarz przykucnął, wyciągnął do niego rękę i powiedział:

– Dzień dobry. Nazywam się John Broman.

– Dzień dobry, dzień dobry – odparł chłopiec, podając obie ręce.

Po raz pierwszy ktoś zwracał się do niego w grzeczny sposób. Oczy Hanny promieniały. Potem do kuchni wszedł ciężko Joel Eriksson i rzekł:

– Uwijaj się no z tymi burakami. A chłopca zabierz ze sobą.

W chwilę później pojawiła się Lovisa i podniosła krzyk z powodu kawy, której Hanna zapomniała nastawić. Dziewczyna zniknęła za drzwiami, John Broman obejrzał się za nią i zauważył, że idąc przez pole z dzieckiem na rękę, trzyma się bardzo prosto. W tym momencie podjął decyzję: powinni wynieść się z tego gospodarstwa, oboje, i ona, i chłopiec.

Potem wypił swoją kawę i uzyskał zapewnienie, że także Lyckan będzie młynażką w młynie nad Norweskimi Stawami.

Wracając do domu, wstąpił do Anny i powiedział krótko, że wszystko będzie tak, jak chciałaś, stara wiedźmo. Ale teraz postaraj się, żebym mógł porozmawiać z dziewczyną.

Nie było to łatwe, bo odkąd Hanna została córką na

Lyckan, nigdy nie była wolna. Anna poszła więc do Mai Lisy, a ta posłała jednego z synów z wiadomością, że Hanna ma przyjść w niedzielę do domu, żeby odwiedzić rodziców. W sobotę rano Broman wstał wcześnie i zrobił w domu porządek. Nie miał wiele mebli, stół i rozkładana ława – to wszystko. Szybko się więc uporał. Choć izba wyglądała ubogo, zrobiło się w niej czysto.

Przy piecu stał stary gliniany dzban. Wyszorował go i wyszedł na dwór nazrywać kwiatów. Mimo że był już wrzesień, znalazł jeszcze kępy białego i różowego krwawnika, uciął zieloną gałązkę brzożową, a potem wspiął się jeszcze nad Stawy Norweskie, gdzie widział całe łany białych i niebieskich dzwoneczków. Były już trochę nadwiędnięte, ale oskubał obeschłe liście i przekwitłe kwiaty.

Czuł się naprawdę zadowolony ze swojego bukietu.

W sobotę po południu stara Anna wstąpiła po dziewczynę na Braten. Matce powiedziała, że obie wybierają się do lasu, ponieważ muszą nazbierać ziół do jej medykamentów. Maja Lisa zrobiła zdziwioną minę, ale Hanna się ucieszyła. Lubiła wędrować po lasach i polach.

I tak doszły we dwie do domu młynarza, gdzie John Broman już na nie czekał. Anna powiedziała wtedy, że musi gdzieś nad potokiem poszukać lulka, i zniknęła.

Gospodarz oprowadził Hannę po domu, w którym wszystko wydało jej się wspaniałe: kuchnia, duża izba z dwoma oknami wychodzącymi na jezioro i mały pokoik. Było też pięterko z izbą do spania i poddaszem.

John opowiadał, a ona, choć nie wsłuchiwała się w słowa, nie miała wątpliwości co do jego zamiarów. Potrzebował kobiety w domu. Hanna przyciskała ukradkiem do piersi swoją tabliczkę ukrytą pod koszulą.

Kiedy zaczął mówić o małżeństwie, skamieniała ze zdziwienia.

– Ale mój chłopiec... – powiedziała wreszcie.

Kiwnął głową, pomyślał i o tym, powinna zabrać syna ze sobą, on lubi dzieci. Jak tylko się zdecydują, załatwi wszystko, żeby przejąć odpowiedzialność za chłopca.

Nie rozumiała. Wyjaśnił więc cierpliwie, że porozmawia z jej ojcem i z pastorem i dostanie na piśmie, że John Broman jest opiekunem małego.

– Nie znamy się nawzajem – powiedział.

Wtedy ona uśmiechnęła się po raz pierwszy i odrzekła, że ma ją jeszcze dość czasu.

– To będzie ciężkie życie – dodał. – Dużo pracy.

– Nawykłam do harówki i skromnego jedzenia.

Na wszelki wypadek, aby się nie bała, że mógłby się rozmyślić, dorzucił krótko:

– Ty i chłopiec będziecie mogli jeść do syta.

Hanna uśmiechnęła się po raz drugi i pomyślała o powiedzeniu, które słyszała jako dziecko. U młynarza chleba nigdy nie brakuje – mawiano. Ale potem spojrzała na przegniłą kładkę i przypomniała sobie, w jaki sposób umarł stary młynarz. Którejś nocy kładka się pod nim załamała i runął do młynówki.

Niedługo potem wróciła Anna. Upomniała ich, że wszystko musi pozostać w tajemnicy. Ani słowa nikomu, dopóki nie będą ogłoszone zapowiedzi. Do tej pory papiery potrzebne do opieki nad dzieckiem powinny być już załatwione, a Erikssonom na Lyckan nie można pozwolić, żeby zdążyli jeszcze gdzieś odszukać Rickarda i namówić go do uznania ojcostwa.

– Musisz szybko porozmawiać z Augustem – powiedziała. – On umie milczeć jak grób.

Hanna wracała do domu przez las jak pijana, czując, że tego wszystkiego było jak na nią za wiele. Miała zostać papieżką we własnym domu, tak samo dużym i wspaniałym jak Lyckan. Chłopiec będzie chowany jak syn – powiedział Broman. Wreszcie koniec hańby – pomyślała. Nikt już nie będzie mógł ich wyzywać od dziwek i bękartów.

To za dużo – rzekła do siebie. Bo wiedziała przecież, że szczęście ma swoje granice i temu, kto dostaje go za wiele, przychodzi potem drogo za nie zapłacić. Lecz po chwili wyprostowała się, odrzuciła do tyłu głowę i pomyślała, że ona już dawno za wszystko zapłaciła.

– Sprawiedliwość – powiedziała głośno. – Nigdy w to nie wierzyłam, że Bóg może być sprawiedliwy.

Martwiła się o meble, których brakowało w tamtym domu, o chodniki, ręczniki i wszystko to, czego nie miała. Ani jednej myśli nie poświęciła mężczyźnie, z którym przyjdzie jej dzielić życie i łóżko.

Kiedy dotarła do domu rodziców, żeby zabrać



dziecko, czuła, że ta niezwykła tajemnica wprost ją rozsadza. Musiała stamtąd uciekać, jak najszybciej, z powrotem do swojego piekła na Lyckan.

Tu łatwiej jej było skrywać własną radość. Kiedy przygotowała posłanie na zwykłym sienniku na rozkładanej ławie w kuchni i ułożyła chłopca do snu, syciła się na zapas własnym triumfem. Przynależała sobie nawet po cichu: „Ale się będę śmiała tego dnia, kiedy powiem tym nadętym wieprzom, co o nich myślę”.

Po chwili przełękała się trochę i żarliwie poprosiła Boga, aby jej wybaczył te nieczne myśli.

Zanim zasnęła, przypomniała sobie jeszcze bukiet kwiatów. Nigdy nie widziała mężczyzny ani nie słyszała o takim, który zbierałby kwiaty i układał w wazonie. Może to i śmieszne, ale ważne. Już ona zadba o to, żeby na stole u Johna Bromana stały kwiaty. Przynajmniej w lecie.

Tej nocy przyśniły jej się pelargonie, kwiaty w doniczce, które kiedyś widziała w oknie plebanii.

W kilka dni później rozeszła się plotka, że młynarz wrócił do Varmlandu i że z młyna przy Norweskich Stawach nic nie będzie.

To kłamstwo – pomyślała Hanna.

Lecz kiedy minął tydzień bez żadnej wiadomości od Johna Bromana, ogarnęła ją rezygnacja. Po raz pierwszy w życiu poddała się rozpacz. To było gorsze niż hańba, jaką przyszło jej dźwigać. Pojęła wtedy, że ludzie cierpią przez nadzieję. Człowiek nie powinien mieć nadziei. Ani wierzyć w boską sprawiedliwość.

– No, ruszaj się! – wrzeszczała Lovisa. – Jesteś blada jak upiór. Jeśli zamierzasz chorować, to idź sobie do swojej matki.

Lecz ona nie miała siły iść z dzieckiem przez las.

Jesień nastąpiła wcześniej tego roku, zdmuchując z jesionów liście do cna. Gdy w ten niedzielny poranek Hanna szła do obory doić krowy, szeleściło jej pod nogami.

W ciemnym kącie czekał na nią August.

– Ojciec? Co wy tu robicie tak wcześnie?

Wskazał na dom.

– Śpią – szepnęła.

Wtedy usłyszała, że John Broman odwiedził ojca już w ubiegły poniedziałek, rozmawiał z nim o ślubie i poprosił Augusta, żeby zaniósł jej tę nowinę. Potem wybrał się do pastora, bo chciał załatwić kościelne papiery na opiekę nad chłopcem.

– Podpisałem, co trzeba. Kiedy pastor przeczyta w kościele zapowiedzi, Broman zostanie opiekunem dzieciaka – oznajmił August z odcieniem słodkiej zemsty w głosie.

Później John wybrał się do Varmlandu, żeby sprowadzić stamtąd meble i inny sprzęt domowy do młyna przy Norweskich Stawach. Powinien wrócić za parę tygodni i wtedy Hanna i on dadzą na zapowiedzi.

– Dlaczego tyle zwlekaliście i nie przybiegliście do mnie od razu?

– Matka i ja nie mogliśmy znaleźć choćby jednej

wolnej chwili. Jesień tego roku przyszła tak wcześnie, a nie możemy przecież zostawić kartofli w ziemi.

Pokiwała głową. Nie zamierzała robić mu wyrzutów. Siedząc na zydlu, jeszcze raz pokiwała głową, kiedy ojciec zatrzymał się w drzwiach obory i powiedział, żeby pospieszyła się z tym dojeniem. Ale ona płakała, łzy spływały jej po policzkach i mieszały się z ciepłym mlekiem.

Ten tydzień nauczył ją jednego. Już nigdy nie będzie łudzić się nadzieją.

Idąc z powrotem do domu w słabym świetle poranka, August przypomniał sobie, iż nic nie powiedział córce o tym, że on i chłopcy będą mieli robotę tej zimy. Broman poprosił go o pomoc przy naprawianiu młyna.

– Znacie się chyba na ciesielskim rzemiośle?

– No pewnie.

Miał też August drewno na budulec, porządnie wyschnięte pnie, ścięte jeszcze przed tymi złymi latami, zanim utracił wiarę, że starczy mu kiedyś pieniędzy, by wybudować porządną stodołę.

Hanna robiła swoje jak zwykle. Po śniadaniu powiedziała Jo-elowi Erikssonowi, najspokojniej jak umiała, że chce się wybrać do rodziców i zabierze ze sobą chłopca. Niechętnie skinął głową i poradził jej, żeby się pospieszyła i wyszła, zanim obudzi się Lo-visa.

– Pamiętaj tylko, żebyś zdążyła wieczorem na dojenie  
– dodał.

Było przeraźliwie zimno, kiedy Hanna szła ścieżką

przez las. Nie czuła jednak przeszywającego wiatru, poczucie wdzięczności grzało ją od środka.

Pierwszy raz myślała o Bromanie i o tym, jak może mu to wszystko wynagrodzić. Była nawykła do porządku i silna, wiedziała, czego się wymaga od kobiety w gospodarstwie. Pieniędźmi nie zajmowała się nigdy, ale liczyć umiała, nauczyciel mówił, że jest dobra w rachunkach. Będzie doglądać wszystkiego jak trzeba, żeby on mógł być dumny i ze swojego domu, i z niej.

Meble – pomyślała. Co to mogły być za meble, te, które miał przywieźć z Yarmlandu? Ładne, ładniejsze od tych na Lyckan. Potem przypomniała sobie, że przecież postanowiła nigdy już na nic nie czekać z nadzieją.

Chłopiec marudził z zimna. Wzięła go na ręce i owinęła wełnianym szalem. Ścieżka na ostatnim odcinku prowadziła w górę przez las ku otwartym polom Augusta. Rodzice pracowali już na kartoflisku, ale matka przerwała kopanie i wyszła córce naprzeciw.

– A jednak dostałaś wolne – powiedziała.

Jej głos był cieplejszy niż słowa, a gdy Hanna spojrzała na zniszczoną twarz matki, dostrzegła w niej radość. I dumę. To coś zupełnie nowego, że po „dzień dobry, mamó” nie wiedziała zupełnie, co ma dalej powiedzieć.

Zrobiły kawę, usiadły przy stole w kuchni i zaczęły chciwie ssać kawałki cukru, które rozpuszczały się w ustach od ciepłego napoju.

Po chwili matka wypowiedziała te straszne słowa:

– Mam nadzieję, że nie będziesz musiała mu urodzić trzech albo i czterech bachorów.

Hanna aż się wyprostowała, zaczerpnęła głęboko powietrza i pomyślała, że matka chyba zwariowała. John Broman miał robić z nią to samo, co zrobił Rickard Joelsson? Co noc tam, w łóżku, w tej izbie?

Właściwie to już coś takiego powiedział; napomknął, że tutaj będzie stać nasze łóżko, moja miła.

Pamiętała, że trochę się zaczerwienił i że w tamtej chwili w powietrzu zawisło coś złowrogiego. Ale ona jeszcze nie zrozumiała, co to było, choć już przeczuwała.

Matka, widząc jej przerażenie, powiedziała spokojnie:

– Nie rób takiej wystraszonej miny. My, kobiety, musimy się z tym pogodzić, po jakimś czasie każda się wreszcie przyzwyczaja. Pomyśl sobie, że będziesz panią we własnym domu i że twój mąż wydaje się lepszy od innych.

– Dlaczego on mnie chce?

– Jesteś młoda i porządna. No i pracowita.

Nadal przerażona, Hanna spojrzała zdumiona na matkę. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby powiedziała o swej córce coś dobrego. Pochwały są niebezpieczne, stanowią wyzwanie dla losu. Ale Maja Lisa mówiła dalej:

– Trzeba pomyśleć o jakimś porządnym ubraniu dla ciebie, nowym, na każdą porę. A do ślubu... może dałoby się przerobić moją starą ślubną suknię.

Wydawała się niezdecydowana. Hanna milczała, aż wreszcie matka rzekła:

– Człowiek tak naprawdę nie wie, co on sobie myśli. Wygląda prawie jak jaki pan.

Spojrzała na Hannę błagalnym wzrokiem.

Będą mi okazywać szacunek, nawet moja matka...

Ale ta myśl zajęła ją tylko na chwilę, zaraz potem Hanna znowu wyobraziła sobie przerażającą alkowę w domu przy młynie.

– Mamo – odezwała się wreszcie. – To się nie uda. Ja nie mogę.

– Głupstwa opowiadasz – odrzekła Maja Lisa, zapominając już o szacunku. – Dlaczego miałabyś nie móc tego, co mogą wszystkie przyzwoite kobiety? Przywykniesz, już ci mówiłam. Powiem ci, że najgorsze jest nie to, co robi się w łóżku, tylko rodzenie dzieci.

Hanna pamiętała poród, nie był łatwy, ale na pewno nie tak okropny jak umieranie na sianie z Czarnym Rickardem.

– Trzeba zamknąć oczy i zapomnieć o własnym ciele – rzekła matka, czerwieniąc się. – Nie ma w tym niczego nieprzyzwoitego, inaczej pastor nie dałby błogosławieństwa. No, a teraz przymierzmy moją starą suknię.

Musiały jednak z niej zrezygnować. Ślubna suknia matki, zawinięta w bibułkę i schowana w skrzyni, okazała się za mała. Widać było na pierwszy rzut oka, że Hanna jest wyższa i potężniejsza niż Maja Lisa.

– Będę musiała ugiąć karku i powiedzieć Johnowi Bromanowi całą prawdę. Tak jak jest. – W głosie Mai

Lisy wyczuwało się gorycz: – Nigdy nie mieliśmy pieniędzy.

Hanna nie słuchała. Ciało nadal miała zeszywniałe i zimne jak lód mimo ciepła rozchodzącego się po kuchni.

Kiedy wieczorem wracała na Lyckan, pierwszy raz myślała o tym, żeby stąd uciec razem z dzieckiem i przyłączyć się do armii żebraków, którzy po latach biedy wciąż tułali się po kraju. Potem spojrzała na syna i pomyślała o wychudzonych do kości, obszarpanych dzieciach. Zdała sobie sprawę, że nie wolno jej tego uczynić.

Można się przyzwyczaić, jak powiedziała matka. Trzeba zamknąć oczy i zapomnieć o własnym ciele.

Kiedy położyła się już spać w swoim kącie w kuchni, usiłowała wyobrazić sobie eleganckie meble, które John Broman miał przywieźć z Varmlandu. Ale to wcale nie było łatwe, dała więc spokój i wreszcie zasnęła.

Następnego ranka najgorszy strach minął. A kiedy wstała, żeby rozpaść w piecu i zanieść do obory ciężkie cebrzyki, próbowała myśleć o tym, jak całkiem inaczej poczuje się tego dnia, kiedy rozpali ogień we własnym piecu i będzie szła do własnych krów.

Zaczęła doić. Z czołem opartym o potężny brzuch zwierzęcia postanowiła: John Broman nigdy się nie dowie, jak bardzo ona się boi, nigdy, przenigdy. Jej ciało będzie poddawać się jego życzeniom, posłuszne mu i uległe, dokładnie tak, jak mówiła matka.

Kiedy wyszła z obory, padał śnieg – duże, wilgotne

płatki.

Zatrzymała się na chwilę na mokrym śniegu i pomyślała, że to przecież dopiero początek października. Długa zima wcześniej się zaczyna. Dziewczynę ogarnął dawny lęk.

Długa zima, ostra zima, głód. Postara się być dobra dla Johna Bromana.

Około południa śnieg przeszedł w deszcz, a kilka dni potem zaświeciło słońce. Zima się wycofała. Jesień płonęła w klonach w pełnej krasie, zrobiło się ciepło, a starzy ludzie zaczęli mówić z ulgą o babim lecie. Jak zawsze o tej porze roku kobiety chodziły do lasu zbierać borówki. Również Hanna się wybrała. Po prostu powiedziała Lovisie, że obiecała matce pomóc w zbieraniu jagód. I poszła, a wściekła Lovisa deptała jej po piętach, wykrzykując za nią obelżywe słowa.

Aż wreszcie Hanna nie wytrzymała, odwróciła się i roześmiała jej prosto w twarz. Pod koniec października ku powszechnemu zdziwieniu John Broman wrócił. Miał konia i wyładowany po brzegi wóz. Przyjechał z nim też jakiś mężczyzna, kuzyn z Varmlandu. Niedługo zaczęto gadać po okolicy, że razem odmalowali dom młynarza od zewnątrz i wewnątrz. W środku na biało, z wierzchu na czerwono. Tego było już za wiele jak na wieś, gdzie nawet plebanii nie pomalowano na czerwono. Przebąkiwano coś o próżności, która zawsze poprzedza upadek.

Dwa dni później Broman stanął nieoczekiwanie w



kuchni na Lyckan i oznajmił Erikssonom, że pora pożegnać się z Hanną i chłopcem. W niedzielę będą czytane zapowiedzi. Lovisa osłupiała. Pierwszy raz w życiu zapomniała języka w gębie. Tymczasem Joel Eriksson nie zamierzał ustąpić.

– Chłopiec zostanie tutaj, to nasz wnuk.

– Chłopiec jest mój – odparł spokojnie Broman. – Mam na to papiery.

Kiedy opuszczali obejście, Hanna płakała. John, z chłopcem na rękach, nie zauważył tego, zresztą łyzy szybko obeschły. Ale ona zupełnie nie wiedziała, co się z nią dzieje, jeszcze nigdy nie słyszała o łzach radości.

Udali się prosto do pastora, który najwyraźniej się ich spodziewał, życzył im szczęścia i nawet uścisnął dłonie. Kiedy stamtąd wyszli, Hanna powiedziała:

– W ogóle nie był zaskoczony.

– O wszystkim już wiedział. Musiałem przecież dostać papiery chłopca. Dasz radę pójść drogą naokoło Norweskich Stawów?

Hanna roześmiała się w głos. Poruszali się powoli, po prostu szli spacerem przez las, jakby oboje zastanawiali się tylko nad tym, jak dużo jeszcze było między nimi rzeczy niedopowiedzianych. Nie umieli jednak znaleźć właściwych słów. Hanna raz po raz otwierała już usta, żeby zadać to swoje pytanie: „Dlaczego wybraliście akurat mnie?“, lecz słowa wciąż nie chciały przejść jej przez gardło.

Przysiedli nad potokiem pod Wilczą Skałą i napili się

wody. Góra, wznosząca się stromo ku niebu, stała odwiecznie nieruchoma w głębokim granatowym cieniu. Złote brzoźowe liście wirowały w dół po skalnych ścianach, a wędrownie sokoły szybowały unoszone wiatrem.

– Jak tu pięknie – powiedział Broman, Hanna zaś uśmiechnęła się jak zawsze wtedy, kiedy czegoś nie rozumiała. Potem podniosła się, podeszła nad wodę, umyła sobie twarz i ręce. Wróciła na miejsce i usiadła cicho naprzeciw niego.

Wtedy on zaczął mówić. Było to nieśmiałe i nieskładne opowiadanie o życiu, które za sobą pozostawił, o żonie, która awanturowała się z nim o wódkę.

– Musisz wiedzieć, że w soboty upijam się na umór – wyjaśnił.

Hanna nie wyglądała ani na przerażoną, ani na zdziwioną, powiedziała:

– To tak jak mój ojciec. I Joel Eriksson.

Broman uśmiechnął się i opowiadał dalej o swojej córeczce, która mu umarła i którą tak mocno kochał.

– Nigdy nie wolno całego swojego szczęścia i radości lokować w dziecku.

– Suchoty?

– Tak.

Nie był w stanie snuć ponurych wspomnień o żonie i o tym, jak skąpiła jedzenia. Ale Hanna, jakby czytając w jego myślach, powiedziała, że suchoty zabierają dzieci niedożywione, , tego się nauczyła. A także tego, że trzeba

dbać o czystość, bo zarazki są w brudzie i złym powietrzu.

Pokiwał głową i przypomniał sobie, że jego żona była nieporządna. Potem zaczerwienił się i rzekł, że ciężko mu jest zaczynać od początku. Mówi jej to, żeby wiedziała.

– Czasami mi się wydaje, że nie dam rady – dodał.

Hanna posmutniała, lecz opanowała gorycz i odparła:

– Musimy sobie pomagać.

Wtedy on wyznał, że cieszy się z nowego miejsca i żony, która jest taka młoda i ładna.

W pierwszej chwili Hanna się wystraszyła.

Ale później ten dzień okazał się jednym z najszcześniejszych w jej życiu. Pomalowany na nowo dom był tak piękny jak obejście ze szkolnej ilustracji. Hanna aż klasnęła w dłonie z radości, gdy go zobaczyła.

Kuzyn z Varmlandu wziął konia, wóz i odjechał, lecz przywiezione meble stały w stodole. Broman zaproponował, że wyniosą je na dwór, żeby Hanna mogła się im wszystkim przyjrzeć. Potem poustawiają je w domu tak, jak ona będzie chciała. Te, które jej się nie spodobają, wyniosą na strych.

Oczy Hanny robiły się coraz większe ze zdziwienia.

John poszedł do kuchni i przyniósł zabawki, które odłożył dla chłopca – małego drewnianego konika z wozem i stos klocków.

– To dla ciebie – oznajmił. Usiądź sobie teraz grzecznie, bo twoja mama i ja musimy popracować.

Ale Ragnar, który aż kipiał ze szczęścia, podskoczył do Hanny.

– Popatrz, mamó, zobacz, co dostałem!

Już drugi raz tego dnia Hannie pociekły po policzkach łzy szczęścia. Powiedziała jednak surowo:

– Zostań teraz w kuchni, Ragnarze.

Kiedy wyszła z Johnem na dwór, ten rozejrzał się zatroskany.

– Jak tu dużo miejsc niebezpiecznych dla dzieci.

A gdy zobaczył łzy na jej twarzy, ona pospiesznie wyjaśniła:

– Tak w ogóle to nigdy nie płaczę. Tylko kiedy jestem szczęśliwa.

Broman pogłaskał ją nieporadnie po policzku.

Meble okazały się wspanialsze, niż Hanna potrafiła sobie wyobrazić. Niektóre były na wysoki połysk i miały mosiężne okucia. Znajdowała się wśród nich sofa z brzozowego drewna o zaokrąglonym oparciu, z obiciem w niebieskie paski z... nie, to chyba niemożliwe!

– Z jedwabiu – powiedziała, przesuwając delikatnie dłonią po materiale, jakby w obawie, że może się porwać przy dotyku.

John jednak patrzył ponuro.

– To prawdziwy rupieć – rzekł. – Ani na tym usiąść, ani po-leżeć. Wyrzucimy to.

– Zwariowaliście! – krzyknęła Hanna, ale zaraz zatkała sobie dłonią usta, aby powstrzymać te zuchwałe słowa. – Chciałam powiedzieć, że nigdy jeszcze nie widziałam wspanialszych mebli, nawet na plebanii. Moglibyśmy przecież wstawić ją do dużej izby.

Roześmiał się.

– Już powiedziałem: to ty decydujesz.

Wybuchł znowu śmiechem, kiedy wciągnęli meble do dużego pokoju: sekretarzyk, regały, biurko i krzesła o tak samo zaokrąglonych oparciach jak przy sofie.

– No, a gdzie miejsce dla ludzi? – spytał.

Ku swemu wielkiemu żalowi Hanna musiała przyznać mu rację. Część tych pięknych sprzętów powinna jednak powędrować na poddasze.

Biurko postawili przy ścianie w dużej izbie.

– Nie zabrałem łóżka. Zrobię dla nas nowe. Ale dywany i ręczniki leżą w skrzyni.

Na końcu trafiły na swoje miejsce w kuchni długie ławy do siedzenia, rozkładany stół i rozkładana sofa. Hanna zaczęła przeglądać bieliznę pościelową w skrzyni. Było jej niemało, ale złożone na wilgotno prześcieradła i powłoki pokryły się plamami pleśni. Młoda gospodyni zaczęła zrazu lamentować, zrozpaczona, ale potem postanowiła zabrać wszystko do matki i porządnie wygotować.

Wreszcie odkryła jeszcze skrzynię z porcelaną – tak piękną, że znowu musiała uronić parę łez.

John miał w domu chleb i ser, posilili się więc trochę, a później, objuczeni, ruszyli z powrotem do rodziców Hanny. On niósł pudło z bielizną, ona chłopca, a chłopiec swoje zabawki.

Przez następny tydzień bracia Hanny ciągnęli nad Norweskie Stawy suche drewno na budulec, gdy

tymczasem ona razem z matką gotowały i prały chodniki, obrusy i ręczniki. Sąsiadki biegały jak spłoszone kury do pralni i z powrotem, ciekawe i zazdrosne. W czwartek przyszła stara Anna i powiedziała, że jak sięga pamięcią, ludzie nie mieli tyle do gadania. Spotkała Bromaną, skarżył się jej na kobiety, które teraz jedna przez drugą znajdowały sobie jakieś interesy we młynie do niego. Maja Lisa pozwoliła sobie na szeroki bezzębny uśmiech, a Hanna wyrecytowała szybko parę starych porzekadeł, którymi zaklinano los: „Twoje szczęście nieszczęściem innych” lub „Niech ci się nie roi, że jesteś Bóg wie kto”.

Anna dodała jeszcze:

– Starzy ludzie zaczynają teraz szeptać po kątach, że Hanna ma nieczystą moc i zaczarowała tego Varmlandczyka.

I ona, i Maja Lisa parsknęły śmiechem. Żadna z nich nie spostrzegła, że Hanna zniknęła z pralni i zatrzymała się na podwórzu, przyciskając mocno do siebie tabliczkę runiczną ukrytą pod koszulą. Przez jej głowę przebiegały trwożliwe myśli: czy to możliwe, by ów wróżbita i jego żona czarownica mieli taką moc?

Następnego dnia zamierzała iść do młyna, żeby przygotować poczęstunek z okazji zapowiedzi. Czy ma się odważyć i opowiedzieć Bromanowi o tabliczce? W piątek po południu Hanna szła przez las nad Norweskie Stawy. Słońce przygrzewało jeszcze mocno mimo końca października, a powietrze było kryształowo czyste i rześkie. Ona jednak nie cieszyła się tą wspaniałą pogodą.

Wszystko przez tę tabliczkę. I przez to, co matka szepnęła jej na odchodne:

– Zostań u niego na noc.

Potem się roześmiała.

Hanna nie mogła w to uwierzyć, ale ten jej śmiech brzmiał dziwnie i lubieżnie.

Kiedy przechodziła obok Wilczej Skały, szybko podjęła decyzję. Tutaj pozbędzie się tabliczki. Wdrapała się wysoko po stromej ścianie, owinęła ten swój skarb dębowymi liśćmi, oplótła go jeszcze giętką witką i rzuciła w przepaść.

– Zrobiłaś to, co należało – powiedziała i na wszelki wypadek dodała: – Tym razem. Jeśli kiedyś bym cię znowu potrzebowała, wiem, gdzie szukać.

Potem ruszyła dalej, przeszła potok i zbliżyła się do wzniesienia. Było dość znaczne, ale nie męczące, bo tędy prowadziła droga dojazdowa do młyna. Niebawem usłyszała huk wodospadu.

Minęło kilka chwil, zanim zrozumiała, że z oddali dochodzi jeszcze jakiś inny odgłos, niemal zatopiony w szumie wody, ale mimo to słyszalny. Ktoś grał na skrzypcach! Hanna, przerażona, stanęła jak skamieniała i długo nie mogła się ruszyć: wodnik, to zły wodnik kręci się po okolicy, żeby zwabić Johna Bromana do młynówki i go uśmiercić.

Na myśl o tym zdołała wreszcie ruszyć nogami. Pędziła tak szybko, że aż straciła dech i poczuła klucie w boku. Z pięścią przyciśniętą do piersi dobiegła wreszcie

do młyna, gdzie Broman siedział nad wodospadem i rzępolił na skrzypcach.

– To ty – powiedział. Popatrzył zdziwiony na dziewczynę, która zbliżała się do niego w rozwianej spódnicy.

Zatrzymała się i spojrzała nań, próbując złapać oddech.

– Przestraszyłaś się czegoś?

– Myślałam, że to wodnik.

John roześmiał się głośno i objął ją ramieniem.

– Malutka, nie myślałem, że ty wierzysz w leśne duchy. Ty, taka rozsądna osoba.

Hanna zarumieniła się, lecz wyczuła wyraźnie, że on żartuje.

– Gram górom – wyznał. – I drzewom, i jeziorom. One grają dla mnie, dlatego, myślę sobie, jestem winien im odpowiedź. Ale nie mogę znaleźć odpowiedniego tonu.

Zamilkł na chwilę, nim dodał zadumany:

– Znaleźć właściwą melodię jest tak samo trudno jak przypomnieć sobie własne sny.

On ma nie po kolei w głowie – pomyślała Hanna. W tym Varmlandzie uciekł pewnie z jakiegoś domu wariatów. Boże, zmiłuj się, co ja mam począć!

Potem dostrzegła flaszkę gorzałki opartą o kamień, na którym siedział, i z ulgą stwierdziła, że Broman jest pijany. Podchmieleni mężczyźni lubią, żeby im potakiwać – tego nauczyła ją matka. Nigdy nie wolno się im



sprzeciwiać.

Powiódł za jej spojrzeniem, zatrzymał wzrok na butelce, wziął ją przekornie do ręki i rzekł:

– Ty też napij się łyczek, to się uspokoisz.

Napełnił szklanke do połowy, podał ją Hannie, a sam przyłożył szyjkę do ust.

– Stuknijmy się!

Hanna nigdy dotąd nie piła wódki i zachłysnęła się od razu pierwszym łykiem. Ponieważ jednak Broman nalegał, napiła się jeszcze trochę i poczuła, że po jej ciele rozchodzi się osobliwe ciepło. Oprócz tego doznała też dziwnej lekkości. Zachichotała. A potem śmiała się i śmiała, i nie mogła się powstrzymać. Ale właściwie to wcale nie chciała przestać. Po raz pierwszy w życiu była wolna, beztroska. Jeśli człowiek nie musi się bać, wtedy jest jak w niebie – pomyślała. Dokładnie tak jak zawsze opowiada ksiądz. Po chwili spostrzegła, że wysokie pnie drzew zaczynają się kołysać. Spytała:

– Dlaczego te drzewa nie stoją spokojnie?

– Tańczą dla ciebie weselny taniec – odpowiedział, a wtedy ona przestała myśleć, że jest szalony.

Kiedy zaniósł ją na rękach do alkowy i rozebrał, w jej ciele nadal była lekkość i nic nie wydawało się niebezpieczne czy haniebne. Podobało jej się, gdy pieścił piersi i łono. I w ogóle nic nie bolało, kiedy się w niej znalazł. Pomyślała nawet, że to wszystko o wiele za szybko się skończyło.

Potem zasnęła i musiała chyba spać długo, bo kiedy

ją obudził, za oknem była już ciemna jesienna noc.

– Boli cię głowa?

Hanna zrozumiała, skąd się brało to klucie w oczach, kiedy patrzyła w bok. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżyła. Skinęła głową i poczuła jeszcze większy ból.

– Zaparzę ci kawy – powiedział ciepło, ale jej zrobiło się tak niedobrze, że musiała natychmiast wyjść przed dom i wymiotować. Dopiero gdy minęły mdłości, zauważyła, że jest naga. Zawstydziała się i jak mogła, próbowała zasłonić się swoimi długimi włosami, gdy przemykała przez kuchnię, gdzie on rozpałił dwie duże główne.

– Jesteś piękna jak leśna nimfa! – zawołał za nią, gdy wślizgnęła się do izby, w której leżały rzucone na podłogę długa spódnica i jej nowa bluzka. Kiedy się już ubrała, poczuła dużą ulgę, nie było wcale tak źle.

-Az tym wodnikiem to wcale się tak bardzo nie pomyliłam – powiedziała głośno przez drzwi. – Jesteście z nim chyba spowinowaceni.

– Jestem co najwyżej jego dalekim kuzynem – zażartował John i stwierdził zaskoczony, że Hanna ma poczucie humoru i wcale nie jest taka nieśmiała, jak mu się wydawało. Nie wiedział, że tylko ten jeden jedyny raz mógł zobaczyć ją nagą.

Pokazał jej potem, jak trzeba parzyć kawę, żeby mu smakowała. Czysty imbryk, świeża woda, która musi się tak gotować, żeby kipiała. Kiedy już była wrząca, John zdjął z ognia imbryk i wsypał do niego kawę, która

powoli musiała opaść na dno.

– Jezus Maria! – zakrzyknęła Hanna. – Czy to się godzi tak marnotrawić dary boże?

Lecz kiedy posmakowała tego napoju, zgodziła się z Bromanem, że lepiej rzadziej napić się mocnej kawy niż często raczyć się cienką lurą.

– Po co właściwie przyszłaś?

– O mój Boże! – krzyknęła znowu. – Gdzie moja torba, przecież miałam piec ciasto. W razie gdyby ktoś przyszedł na poczęstunek po zapowiedziach.

Po chwili zaczęła lamentować, bo usłyszała, jak deszcz uderza o stok, pod którym zostawiła torbę. John poszedł po nią. Była ze skóry, i prawie cała mąka pozostała sucha.

Hanna wymieszała mąkę z drożdżami, dodała rodzyнки i cukier i zręcznie zagniotła ciasto. Przykryła je ścierką i odstawiła, żeby rosło. John przyglądał się jej zwinnym palcom, z przyjemnością obserwował, jak pewnie porusza się po kuchni.

– Miałem szczęście rzucił, lecz ona nie zrozumiała, o co mu chodzi.

Rozpaliła ogień w piecu, żeby rano był ciepły, kiedy będzie piec ciasto. Śmietanę przyniosła ze sobą, cukier i kawa stały w kredensie, gdzie znalazła też suchy chleb i kawałek sera. Byli głodni.

– Jeśli macie trochę mleka, mogę ugotować mleczną zupę – rzekła.

Owszem, miał mleko, w piwnicy.

Po jedzeniu zasnęli tuż obok siebie na wielkim łóżku. John nie dotknął jej nawet, a Hannie przemknęła przez głowę myśl, że może on wcale nie jest taki lubieżny i może nie tak często będzie na nią nastawać.

Rano spał jeszcze, kiedy mocno rozgrzewała piec. Nie mogła oprzeć się pokusie i rozstawiła na stole porcelanową zastawę, ciesząc się na myśl o tym, jak osłupieją na jej widok wszystkie przekłete plotkarki. Kiedy John się obudził, czuł się ociężały i miał zapuchnięte oczy. Hanna, która często widziała mężczyzn po przepiciu, szybko zrobiła kawę tak, jak nauczył ją Broman. Upiekła też dla niego niewielki chlebek. Gdy już się najadł i napił do syta, powiedział:

– W tygodniu wybrałem się na targ i kupiłem krowę.

Hanna klasnęła w ręce, a on dokończył:

– Mam też zaręczynowy podarunek.

Była nim jedwabna chustka na głowę, zielona w czerwone róże.

– Pomyślałem, że ładnie pasuje do twoich włosów – wyznał, a ona uświadomiła sobie, że teraz będzie już mogła chodzić do kościoła jak wszyscy inni. W tej wspaniałej chustce, zawiązanej, jak przystało mężatce. Koniec z wyzywaniem jej od dziwek.

Przez te okropne łzy nic nie widziała. John spojrział na nią zdziwiony. Chyba nieprędko się nauczy, że Hanna płacze tylko ze szczęścia, nigdy w biedzie i nieszczęściu.

Przez całą sobotę czyścili stodołę, ubikację, spiżarnię i piwnicę. Hanna zauważyła, że John szybko się męczy.

Ledwie minęło południe, piec nagrzał się już wystarczająco i można było w nim upiec ogromne drożdżowe placki.

Siedzieli wyprostowani jak struna w kościelnej ławce, gdy ksiądz czytał ich zapowiedzi. Nigdy, ani przedtem, ani potem, Hanna nie czuła się tak dumna jak wtedy. Do domu przy młynie przyszło wielu gości, tak jak się spodziewała. Wodzili oczyma po wspaniałościach tego domostwa, a Hanna promieniała. Jak to było w zwyczaju, wszyscy przynieśli podarunki. Jej rodzice przydźwigali cztery worki kartofli, a stara Anna trzy kury i młodego koguta. Nawet Joel Eriksson pojawił się z wozem wyładowanym sianem. Kiedy stary Erik powiedział, że można przywieźć go jeszcze więcej z Framgarn, Hanna odetchnęła z ulgą. Bardzo się martwiła, czym będą karmić krowę, którą kupił John.

Dostali też miedziany imbryk i dzbanek do kawy, a także zegar na ścianę od ciotki Ingegerd. Krewni prześcigali się w hojności, bo ślub Hanny przywrócił honor rodzinie.

Gospodyni częstowała mocną kawą, a John wódką. To było wesołe popołudnie, opowiadano mnóstwo soczystych kawałów. Hanna słyszała je już wcześniej, ale nigdy nie rozumiała. Teraz śmiała się razem z innymi.

Trzy tygodnie później zostali sobie zaślubieni w kościele. Siostra Hanny leżała w połogu we Fredrikshald i nie mogła przyjechać. Ale przysłała pannie młodej wspaniałą suknię, która bardzo ucieszyła Maję Lisę.

Oszczędzono jej w ten sposób hańby, bo nie musiała oglądać swojej córki klęczącej przed ołtarzem w starym ubraniu.

Siostra Johna przybyła z Varmlandu na ślub razem z mężem i córką. Hanna przeraziła się, gdy usłyszała od Johna o planowanych odwiedzinach.

– Co napisaliście jej o chłopcu, o Ragnarze?

– Opowiedziałem, co cię spotkało.

Nie było to wielkie pocieszenie, ale kiedy Hanna zobaczyła Almę, od razu się uspokoiła. To szczerza i dobra kobieta.

– On jest melancholijny, ten mój brat – wyjawiała. – Zawsze taki był.

Hanna zrobiła zdziwioną minę. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby ktoś mówił o kimś innym, jeśli ten drugi stoi tuż obok.

John tylko pokiwał głową i dodał:

– Dobrze, że już o tym wiesz, Hanno. Żebyś nie czuła się winna, kiedy moja dusza sposepnieje.

Nie rozumiała, o czym on mówi. Piękna suknia Hanny jeszcze długo po ślubie wisiała w dużej izbie.

– Chcę się nią nacieszyć – mówiła młoda żona.

Nie potrafiła się jednak cieszyć, za dużo miała zmartwień. Najgorzej było z kartofliskiem, musiało zostać zaorane, zanim przyjdzie mróz. Pług mogłaby ostatecznie pociągnąć sama, ale Broman nie miał czasu, żeby nim pokierować, teraz, kiedy młyn terkotał bez ustanku. Można by pożyczyć wołu od ojca. Lecz wtedy straciłaby

parę dni na to, żeby przeprowadzić to powolne zwierzę w tę i z powrotem przez las. A czasu było niewiele, bo należało zapełnić piwnicę, no i przydałoby się więcej siana na zimę.

Pewnego wieczoru John spojrzął na nią i spytał:

– Co cię tak martwi?

Bardzo się rozgadała, gdy zaczęła opisywać pole zarośnięte chwastami i narzekać, ile czasu zajęłoby jej przepędzenie starego wołu przez las. John pomyślał sobie – jak często ostatnio – że jego żona to jeszcze dziecko.

– Jutro porozmawiam z twoim ojcem, żeby go przyprowadził – odparł, a ona aż zasłoniła sobie ręką usta, bo takie rozwiązanie w ogóle nie przyszło jej do głowy. – Gorsza sprawa z krową. Do środy trzeba ją odebrać z targu w Bótteln. Ale ja nie mogę się ruszyć. Możesz pójść sama?

– Chyba tak – odpowiedziała. – Zostawię małego u matki.

I tak się stało. Hanna wyruszyła jeszcze przed nastaniem świtu, zaopatrzona w kwit na krowę i sakiewkę z pieniędzmi ukrytą pod bluzką.

– Pieniądze ci się przydadzą, jeśli krowa okaże się do niczego. Wtedy dodaj trochę grosza na jakąś lepszą.

Odpowiedzialność za tak poważną decyzję ciążyła jej bardzo, ale gdy pojawiło się poranne słońce, marsz stał się łatwiejszy. Na pewno da sobie radę.

Nigdy nie widziała tak dużo ludzi naraz jak wtedy na jarmarku. Odszukała Andersa Bjóruma i stwierdziła, że

krowa, którą kupił Broman, jest młoda i niedawno się ocielila. Czyli będzie mleko przez całą długą zimę.

– Przydałby ci się pewnie i cielak – podsunął handlarz.

To ogromna pokusa, ale Broman nic nie mówił o cielaku. A to takie ładne zwierzę. Hanna spoglądała tęsknie na jałówkę; pomyślała, że na zimę mają dość siana i że właściwie wszystko by się dobrze ułożyło, na wiosnę zaprowadziłyby ją do byka i miałyby jeszcze młodego cielaka na mięso i mleko na masło.

Przy dwóch krowach zawsze starczałoby mleka i dla chłopca, i dla Bromana. Zanim zdążyła się zastanowić do końca, spytała:

– Ile chcecie za niego?

Miała tyle, że by starczyło. Mimo to zaczęła się targować, chciała zbić cenę do jednej trzeciej. Bjorum roześmiał się i rzekł, że – jak widzi – młoda wcale nie musi być głupia.

Zgodzili się na pół ceny. Hanna wracała do domu pełna lęku, co na to powie mąż. Droga się dłużyła, bo cielak niełatwo dawał się kierować i nie umiał iść długo na postronku. Dotarli do domu dopiero około północy. Trudno było nie zauważyć, jak wielką ulgę odczuł John Broman na jej widok.

- - Dokupiłam jeszcze cielaka – powiedziała od razu, żeby jak najszybciej pozbyć się strachu.

– Dobrze zrobiłaś – pochwalił ją. – Znasz się na tym lepiej niż ja.



Uspokojona, Hanna usiadła na samym środku podwórka. I tam została, podczas gdy John wprowadził zwierzęta do stodoły i dał im siana i wody.

Tego wieczoru Hanna zasypiała niemal na stojąco, zanim jeszcze znalazła się w łóżku. Spała głęboko i mocno całą noc.

– Musiałaś być porządnie zmęczona – powiedział Broman rano.

Żona skinęła tylko głową i jak zwykle utkwiała wzrok w jakiś punkt za jego plecami.

– Samo zmęczenie nie było jeszcze najgorsze – odparła. – Bardziej wykończył mnie ten cielak, którego kupiłam samowolnie za wasze pieniądze.

– Przecież ich nie roztrwoniłaś.

Uśmiechnęła się, lecz wciąż unikała jego spojrzenia.

– Hanno – zwrócił się do niej. – Spójrz na mnie.

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Kobieta zarumieniła się i szybko wstała.

– Muszę iść wydoić krowę.

Już w czasie poczęstunku z okazji zapowiedzi zauważył, że Hanna boi się patrzeć ludziom w oczy. Była bystrą, ale płochliwą obserwatorką. Gdy tylko ktoś na nią spojrzał, od razu uciekała ze spojrzeniem.

Nim skończyła pracę w obejściu, przyszedł August z synami i Broman nie mógł na razie wrócić do przerwanej rozmowy. Nie dał jednak za wygraną i przy kolacji zapytał wprost:

– Dlaczego nie patrzysz nigdy ludziom w oczy?

Jej twarz i szyja pokryły się płomiennym rumieńcem. Zastanawiała się, nie znajdując odpowiedzi.

– Nie wiem – wyznała wreszcie. – Nigdy o tym nie myślałam. To pewnie dlatego, że jestem taka okropnie brzydka.

– Kobieto, przecież ty jesteś anielsko piękna!

Po tych słowach twarz żony zapłonęła wręcz żywym ogniem. W zupełnej ciszy Hanna szukała słów.

– To tylko wy tak uważacie – powiedziała na koniec. – A mewacie dziwne upodobania. Te wstrętne góry wam się na przykład podobają.

Teraz on nie mógł znaleźć słów.

Hanna dbała o swoje krowy jak o niemowlęta, a w okolicy opowiadano, że w jej stodole jest tak czysto, że można by jeść z podłogi. Krowa wabiła się Lyra, cielak zaś nie miał imienia, dopóki pewnego dnia John Broman nie zaproponował, aby nazwać go Gwiazdka. Ładnie – pomyślała, patrząc z czułością na brązowe zwierzę, które miało na czole nieregularną białą plamę.

Kiedy robota w młynie dobiegała już prawie końca, Broman dostał list od siostry. Pisała, że matka jest bardzo chora i chce, żeby syn ją odwiedził. Miał ochotę wziąć ze sobą Hannę, ale tak żarliwie go prosiła, by pozwolił jej zostać, że wreszcie ustąpił.

Był w ponurym nastroju, kiedy wyruszał.

– Boicie się o waszą matkę? – spytała przy pożegnaniu.

– Niespecjalnie. Już tyle razy umierała –

odpowiedział krótko.

Ledwie doszedł do wiejskiej drogi, zabrał go na wóz jakiś chłop, który wiozł do Fredrikshald owce na rzeź. Broman cieszył się, że od granicy znowu będzie sam, bo chciał spokojnie pospać.

Słyszał, jak starsi mężczyźni mówili, że kiedy człowiekowi trafi się trudna żona, wtedy najgorsze jest to, że ciągle ma nią zaprzątnięte myśli. Z nim też tak było, bardzo dużo dumał o swojej młodej żonie. Ale Hanna wcale nie jest trudna. Gdy tak szedł na skróty przez lasy ku varmlandzkiej granicy, stwierdził, że może spisać długą listę jej zalet. Była posłuszna i cicha, nie biegała po okolicy z jęczorem, dobrze gotowała i utrzymywała dom i obejście w czystości. A najważniejsze: nigdy się nie skarżyła ani nie robiła mu wyrzutów. Porządna i pracowita, umiała gospodarować pieniędzmi. Poza tym jej widok cieszył oko i nie była niechętna w łóżku.

Kiedy tak się zastanawiał, przypomniał sobie nagle wieczór, gdy mały krzyczał przez sen, a ona w samym środku zbliżenia otworzyła oczy. John dostrzegł w nich tak wielkie przerażenie, że od razu przeszła mu cała ochota.

– Czego ty się boisz?

– To mały mnie wystraszył.

Kłamała, i to było niezwykle, bo rzadko uciekała się do kłamstwa.

Dużo czasu minęło, nim wreszcie przestał go prześladować tamten wyraz jej oczu. Stracił ochotę i nie

tknął żony.

Hanna była pełna zagadek, a on należał do tych, którzy muszą zrozumieć. Choćby jej stosunek do Boga. Co drugą niedzielę przemierzała długą drogę do kościoła. Od czasu do czasu John szedł razem z nią, bo i jemu mogło się przydać słowo boże. Ale nabożeństwo pozostawiało w nim uczucie jeszcze większej pustki, mimo że kościelny całkiem zrecznie radził sobie z grą na organach. Hanna siedziała w ławce wyprostowana jak struna, nie oglądała się za siebie, sprawiała wrażenie, że słucha nabożnie. Mimo to Broman był niemal pewien, że nudzi się tak samo jak on.

W drodze powrotnej do domu próbował podjąć rozmowę:

– Wierzysz w Boga, tak?

– Czy wierzę? – odparła zdumiona. – On po prostu jest.

Powiedziała to tak, jakby mówiła o ziemi, po której szła. On jednak nie dawał za wygraną:

– Jak to „jest”? Co masz na myśli?

– Najgorsze, że człowiek nigdy nie wie, gdzie go znaleźć. Cokolwiek by się stało, musisz się poddać jego woli.

– Twoim zdaniem... Bóg jest okrutny – powiedział John z ociąganiem, bo czuł się tak, jakby bluźnił.

– Dokładnie – odparła. – Poza tym ślepy i niesprawiedliwy. Nic go nie obchodzimy. Kto myśli inaczej, nic nie wie.

– To brzmi tak, jakbyś mówiła o ślepym losie – dodał.

Hanna zmarszczyła czoło, zastanowiła się i rzekła wreszcie:

– Tak, on chyba jest jak ślepy los, bo nikt przed nim nie ucieknie.

John Broman spytał zdziwiony, co według niej powiedziałby ksiądz, gdyby znał jej myśli. Na co ona się roześmiała i odparła:

– Ksiądz ma nie po kolei w głowie.

On też nie mógł powstrzymać się od śmiechu, gdy idąc przez mokry jesienny las, wspominał tę rozmowę. Ale nie był to radosny śmiech, bo w wierze w Boga wyznawanej przez jego żonę było coś przerażającego, coś pogańskiego i wiedźmowatego. Po chwili odegnał tę myśl, Hanna nie jest czarownicą. Jest tylko uczciwsza i bardziej szczerza niż większość.

Zanim dotarł do swojej dawnej parafii, zrobił sobie odpoczynek i zjadł prowiant, który dostał na drogę. Jak się okazało, Hanna nie zapomniała ani o maśle, ani o plastrze słoniny. Wszystko mu smakowało. Najchętniej zostałby dłużej nad potokiem w lesie. Westchnął więc ciężko, nim ruszył dalej ku rodzinnej zagrodzie. Kiedy ujrzał zabudowania, przeszło mu przez głowę, że może dlatego tak dużo dumał o Hannie, żeby nie myśleć o matce. Stał przez chwilę na skraju lasu i próbował patrzeć na Brogarden tak, jakby patrzył na nie ktoś obcy. Stwierdził, że gospodarstwo wygląda na wspanialsze, niż

jest naprawdę. Wreszcie zebrał się w sobie i ruszył zwirową alejką do drzwi.

Szwagra, który doglądał majątku, bał się prawie tak samo, jak kiedyś bał się ojca. Staruszek nie żył już od piętnastu lat, ale chora matka, choć przykuta do łóżka, rządziła całą rodziną. Oboje rodzice należeli do tego rodzaju ludzi, że człowiek, jakkolwiek by się zachowywał, zawsze czuł się wobec nich winny.

Gospodarza nie było w domu, ale Agnes przyjęła brata jak zawsze z właściwą jej uprzejmą wyniosłością. Tak jak wita się psa, o którym wiadomo, że będzie tylko ciężarem.

– Alma pisała... – zaczął John.

– Wiem – odparła. – Ale matce się nie pogorszyło. Teraz śpi, możesz się więc umyć i jeszcze zdążysz napić się kawy.

Oplukał sobie twarz i ręce w beczce stojącej na podwórzu, a potem wypił kawę, która była równic mdła i bez wyrazu jak Agnes. Kiedy chciał wejść do pokoju matki, siostra szepnęła:

– Nie budź jej. Wszystkim nam dobrze zrobi, jeśli prześpi całą noc.

– A co z ciotką Gretą? – spytał cicho.

– Mieszka u Almy i ma jeszcze całkiem jasny umysł – odpowiedziała Agnes.

Siedział tam i patrzył na matkę. Charczała, oddech miała słaby i płytki, jakby znajdowała się już na krawędzi śmierci. Wyglądała na spokojną. Przez krótką chwilę

zateśnił za tym, by poczuć dla niej tkliwość. Ale zaraz owładnęła nim gorycz i pomyślał: Gdyby Bóg był miłosierny, pozwoliłby ci umrzeć, a ja stałbym się wolny. I dostałbym swoją część spadku. On dobrze wie, jak bardzo potrzebuję pieniędzy.

To były tylko myśli. Matka wkrótce się obudziła i spojrzała na swego jedyne go syna z takim wyrzutem, że John musiał odwrócić wzrok.

– No proszę, jednak przyjechałeś! – krzyknęła. Nie brakowało jej powietrza w płucach. – Ale nie zabrałeś ze sobą swojej nowej żonki, tej dziwki z cygańskiej wioski gdzieś tam w Dal. Pewnie nie ma odwagi odwiedzić teściowej.

John milczał. Wiedział z doświadczenia, że próba rozsądnej rozmowy przyniosłaby tylko jeszcze większy ból. Tym razem cisza rozdrażniła matkę wprost do szaleństwa, zaczęła więc wrzeszczeć jak obłąkana. Do pokoju wpadła Agnes.

– Przecież ci mówiłam, żebyś jej nie budził.

John wstał i wyszedł. W drzwiach odwrócił się i powiedział z szacunkiem:

– Żegnaj, mamó.

Stara kobieta jeszcze raz wyrzuciła z siebie znane mu słowa: że okrył hańbą rodzinę i dom, dokładnie tak jak przewidział jego ojciec.

John Broman wyszedł pospiesznie przez kuchnię na podwórze, a potem skierował się na ścieżkę, która wiodła do obejścia Almy. Majątek był jeszcze nie podzielony i

oczekując na śmierć matki, siostra, jej mąż i dzieci mieszkali jako główni spadkobiercy w folwarku pod lasem.

– Wyglądasz na zdenerwowanego – powiedziała, przywitawszy się z Johnem. – Pewnie wszystko poszło nie tak.

Milczeli oboje w obliczu nieuchronnego. Wreszcie Alma rzekła:

– A tak jej zależało, żebym do ciebie napisała. Ubzdurałam sobie, że chce się pogodzić.

Nie miał siły odpowiedzieć; czuł, że ogarnia go ociężałość.

Siostra zaczęła wypytywać o Hannę, chłopca i młyn. Na chwilę John mógł odsunąć od siebie ciemność. Opowiadał, jak dobrze sobie radzą tam, w lesie, w domu przy młynie, jaka to dzielna kobieta ta jego żona i jak bardzo przywiązał się do chłopca.

Spytał o Gretę, siostrę ojca, którą tak lubili w dzieciństwie – ciotkę, po której pozostało tyle bajek i tyle uciech.

– Poszła już spać – odparła Alma. Ale kiedy zobaczyła, że brat się zasepił, szybko zaproponowała: – Zajrzyj do niej. Ucieszy się, kiedy cię zobaczy. Tylko budź ją delikatnie. Ona śpi w izbie blisko pieca chlebowego, ma tam przytulnie i ciepło.

Weszli do środka na palcach, ale niepotrzebnie się skradali. Greta nie spała, usiadła na łóżku i powiedziała, że właśnie jej się śniło, że John przyjechał ją odwiedzić.



– To nie sen – odparł John.

Gdy wziął jej ręce w swoje dłonie, ujrzał bezzębny uśmiech i tysiące zmarszczek. Nic się nie zmieniła, a jej siła przepływała strumieniem do jego ciała. Mówili o starych czasach, ciotka nie spytała o wizytę w Brogarden, bo i tak wiedziała, jaki był jej przebieg. Potem zażyczyła sobie kawy, ale Alma powiedziała ze śmiechem, że na dzisiaj już wystarczy tych szaleństw. Teraz zjedzą kolację, a potem pora na sen.

Ku swemu zaskoczeniu John poczuł, że ogarnia go senność, gdy tylko zdążył przyłożyć głowę do poduszki. Spał całą noc i nie myślał już o matce. Kiedy wędrował przez las z powrotem do domu, był ciężko obładowany: dźwigał nową lampę olejną i stare lustro w złotej ramie, wyczyszczonej do połysku przez Almę.

– Masz tu jeszcze parę ślubnych podarków dla Hanny – powiedziała, a on, idąc, pomyślał sobie, że żona na pewno się z nich ucieszy. Najwięcej jednak dumał o zgodzie z mężem Almy, który grożąc sądem, domagał się już zadatku na rzecz przyszłego dziedzictwa. Następnym razem John miał od nich pożyczyć konia i wóz.

W miejscu, gdzie droga dochodziła do podłużnego jeziora, a wysokie góry wznosiły się ku niebu, zrobił sobie odpoczynek. Pod stromą ścianą biegła wydeptana przez kozice ścieżka. Wdrapał się parę metrów wyżej i spojrzał na okolicę, która była teraz jego domem. Wąska dolina rozpościerała się po obu stronach jeziora; wzdłuż brzegów leżały wysokie góry z pasczkami nędznej ziemi. Z tego

miejsca mógł też zobaczyć dziesiątki małych jezior, połyskujących niczym lustra rzucone pośród tego bezludzia.

Była to kraina stworzona nie dla chłopów, lecz dla dzikich zwierząt i zuchwałych myśliwych. A mimo to uparty i przywiązany do ziemi lud uczeplił się tych nieurodzajnych pól, wybudował kościół i szkołę, założył rodziny, sprowadził na świat dzieci. Zbyt dużo dzieci.

– Ciężko było tu zawsze, ale bieda nastąpiła dopiero wtedy, kiedy ludzie zaczęli się mnożyć jak króliki – opowiadał August.

Przez całą drogę John widział, jak chmury wędrują po niebie w kierunku południowym. Teraz zaczęły się zbierać na horyzoncie akurat tam, gdzie stał jego dom i czekała nań żona.

Podniósł się z ziemi, wziął pakunki i zaczął iść naprzeciw deszczowi. Przemókł do suchej nitki, zanim chmury przeszły dalej i słońce wykorzystało ostatnie godziny dnia, by osuszyć las i ścieżki, ludzi i zwierzęta. Broman wcale nie czuł się zaskoczony, przyzwyczyił się już, że pogoda bywa tutaj tak samo zmienna i niestała jak krajobraz.

Kiedy dotarł do domu, był już późny wieczór. Ale drzazgi paliły się na palenisku, a Hanna prasowała. Pewnie trochę jej nieswojo samej na tym pustkowiu – pomyślał i zanim zapukał do drzwi, zawołał:

– To ja!

Wybiegła do niego. W ciemności dostrzegł te

irytujące łzy, które natychmiast otarła sobie grzbietem dłoni.

– O Boże, jak ja się cieszę, że jesteście.

– Bałaś się?

– Niespecjalnie. Przecież brat śpi na poddaszu.

John przypomniał sobie, co ustalili razem z Augustem: zawsze kiedy Hanna zostanie sama w domu, będzie u nich spać Rudolf. W tej samej chwili Broman poczuł, że melancholia go opuszcza.

A ty tak stoisz tutaj i prasujesz po ciemku?

Czasami nie starcza mi dnia.

Nie dotykali się nawzajem, ale radość rozświetliła kuchnię. Broman przypomniał sobie o lampie i rzekł:

– Zbierz to prasowanie i usiądź przy stole.

Nie patrzył na nią, kiedy skręcał lampę i napełniał naftą. Lecz gdy ją zapalił, nie mógł oderwać oczu od twarzy żony. Kiedy tak stali w jasnym świetle, upajał się zdumieniem Hanny i jej wręcz niepojętą radością.

Wreszcie wyszeptała:

– Widno jak w letni dzień.

Było tak jasno, że aż Ragnar się zbudził i spytał:

– Czy to już dzień?

Po chwili dostrzegł Johna i wyskoczył z łóżka, żeby rzucić się ojczymowi na szyję. Mężczyzna objął chłopca tak, jak pragnąłby objąć swoją żonę, gdyby się na to odważył.

Dopiero następnego ranka przypomniał sobie o lustrze.

– Mam jeszcze jeden prezent od Almy.

Po czym zawiesił okazałe lustro na ścianie w dużej izbie.

Hanna stała tuż obok i aż jęknęła z radości. Długo gładziła ręką pozłacane ramy, ale ani razu nie spojrzała na swoje odbicie.

– No, przejrzyj się w nim, zobacz wreszcie, jaka jesteś ładna – powiedział John.

Posłuchała go, a jej policzki pokrył płomienny rumieniec. Zakryła sobie oczy dłońmi i uciekła.

Kiedy podała mu kawę na śniadanie, spytała:

– Jak tam z waszą matką?

– Jak zwykle – odrzekł. I to było wszystko, co powiedział o wizycie w Yarmlandzie. Tydzień później młyn znów pracował. Huk wody wyraźnie osłabł, drewniany przepust trzymał, służa też. Broman był zadowolony i cieszył się, że zostało mu jeszcze pieniędzy, żeby zapłacić Augustowi i jego synom.

Ale Hannie wyznał zgodnie z prawdą, że wyjął z sakiewki ostatni grosz. Ona zaś odpowiedziała mu tak, jak się spodziewał:

– Damy sobie radę.

Czuła się pewnie, uważała się za bogatą. Miała krowy, piwnicę pełną kartofli i buraków, przecier z borówek i inne przetwory. Kury znosiły jajka, od kuzyna dostała świnie. W spizarni stało piwo, a na poddaszu bulgotało wino w gąsiorach Bromana. Mąki będą mieli w bród, to i chleba nie zabraknie w domu młynarza.

No, a poza tym były jeszcze ryby. John Broman wiele miał talentów i zadziwiał nimi chłopów z Dal. Sporo się mówiło o jego umiejętności łowienia ryb w jeziorze. Nikt we wsi nie posiadał łodzi, bo nigdy, nawet w latach największej biedy, nie myślano tutaj o rybach jako o codziennym pożywieniu. Broman, gdy tylko zdecydował się tu osiaść, zbił prostą łódkę i każdego wieczoru zarzucał wężyczki.

Jedyną rybą, jaką Hanna jadła do tej pory, był solony śledź. Toteż z początku nie mogła się przyzwyczaić do okoni, szczupaków i sielaw. Wierzyła jednak słowom Johna, że to pożywne jedzenie, i szybko nauczyła się zarówno przyrządzać, jak i jeść ryby.

Dzień powszedni wypełniony był pracą. Hanna nie wiedziała, że chłopci, czekając na zmielenie ziarna, chętnie napiliby się kawy. A do tego zjedli kawałek chleba albo drożdżową bułkę.

– Zupełnie jakbym prowadziła tu gospodę – powiedziała do matki. Ale dobrze się czuła otoczona ludźmi, słysząc ich paplaninę, żarty i śmiech.

Kiedy spadł pierwszy śnieg, pojawili się inni goście. Jak każdej zimy do domów pukali żebracy, stawali w drzwiach kuchni, a oczy mieli tak głęboko zapadnięte, że wydawały się zupełnie czarne. Najsmutniej było patrzeć na dzieci. Hanna nie potrafiła być nieczuła, piekła chleb i rozdawała im, potem piekła znowu.

– Nie umiem wyrzucić ich za drzwi – wyznała Johnowi, który pokiwał tylko głową ze zrozumieniem.

Ale im więcej Hanna rozdawała, tym szerzej rozchodziła się jej sława i żebraków przybywało z dnia na dzień.

– Zameńczysz się – powtarzał John, widząc, jak żona wieczorami szoruje kuchnię: podłogę, stół i ławy.

Nie chodziło tylko o wszy i pchły, których się obawiała. Hanna wierzyła z całym przekonaniem, że w brudzie, jaki pozostawiali po sobie żebracy, czają się choroby. Broman śmiał się z niej, ale nic nie mówił. Już zrozumiał, że nie jest w stanie nic poradzić na jej przesady.

Tej pierwszej zimy, kiedy uczyła się być żoną młynarza, najgorsze dla niej było to, że musiała się przyglądać, jak mąż okropnie haruje. Zmęczenie i pył mączny sprawiły, że zaczął kaszleć. Ten ciężki kaszel nie dawał mu spać po nocach.

– Zpracujecie się na śmierć – mówiła Hanna.

Kiedy nzbierało się dużo worków, które musiały znaleźć się na górze w spichrzu, pomagała mu je nosić. Ale to zawstydzalo Bromana; powiedział wreszcie: „Ty zajmujesz się swoimi sprawami, a ja moimi”. Wtedy porozmawiała z matką i razem ułożyły pewien plan. Postanowiły, że najmłodszy brat Hanny, który nie był już potrzebny w domu, dostanie pracę we młynie. Ma czternaście lat i dużo siły. Zapłatę będzie otrzymywać w mące.

Hanna musiała uciec się do kobiecej przebiegłości. Niby od niechcienia zamierzała wspomnieć mężowi, że jej

rodzice martwią się o Adolfa, który tylko obija się po domu i spędza czas na niczym. Jednocześnie Maja Lisa miała podzielić się z Augustem obawą, że do końca zimy może nie starczyć im mąki.

– Boję się tego – wyznała.

Oczywiście skończyło się na tym, że August wpadł na dobry pomysł i wybrał się do Bromana z pytaniem, czy Adolf nie mógłby zostać jego pomocnikiem we młynie. Ustalono, że zapłatę dostanie w mące. Nie sypiał na ławie w kuchni, bo Hanna, wyjątkowo zadowolona z takiego obrotu sprawy, wyszykowała mu izdebkę na poddaszu.

Broman nie musiał już tak ciężko harować. Lecz ten okropny kaszel męczył go dalej wieczorami i niepokoił Hannę.

Na dodatek mieli jeszcze zmartwienie z mąką. Chłopi z Dal płacili młynarzowi na dawny sposób: korzec mąki za beczkę ziarna. A mąkę trzeba było potem wieźć ponad milę do miasteczka nad granicą, żeby wymienić ją na kawę, sól i cukier. No i na pieniądze. Kiedy lód ścinał długie jezioro, Hanna brała to zadanie na siebie: ciągnęła ciężkie sanie do sklepiku Alvara Alvarssona, a potem wracała do domu z niezbędnymi towarami i gotówką.

Bromanowi było wstyd, bo to duży wysiłek dla kobiety, nawet młodej i silnej. Ale cieszył się, że oprócz mąki mógł wreszcie zapłacić jej bratu jednego talara za miesiąc. Dzień w dzień czekał na wieści z Varmlandu o koniu, ale jakoś nie nadchodziły, a Hanna stwierdziła, że dobrze jest, jak jest. I tak nie mieliby dla niego dość

jedzenia na zimę.

Tego roku w Boże Narodzenie śniadanie po pastercie jedli u Augusta i Mai Lisy w Braten. Stół zastawiony był peklowaną świąteczną szynką i kaszą. Hanna przygotowywała kawę, ponieważ matka została jeszcze chwilę na cmentarzu, żeby położyć świerkowe wianki na grobach dzieci. John Broman poszedł tam razem z nią i może właśnie ta jego uprzejmość sprawiła, że Maja Lisa po raz pierwszy zaczęła mówić o swoich zmarłych dzieciach. Byli już w drodze do domu, gdy powiedziała:

– Ciągle jeszcze mi ciężko, tak mocno je kochałam. O wiele bardziej niż te, które przyszły na świat potem i przy mnie zostały. To byli Anders i Johan, podobni do siebie jak bliźniaki. Tacy radośni. Potem Elin, taka delikatna, że nawet nie zdążyłam jej poznać. Właściwie to nie było warto, bo śmierć stała już przy kołysce.

Płakała, ocierając łzy odświętnym fartuchem. John milczał, ale głaskał ją po plecach.

– Najciężej mi było, kiedy straciłam Marię. Miała taką pogodną naturę. Była piękna i od środka, i na twarzy.

Potem wytarła sobie nos palcami i strząsnęła w śnieg to, co na nich pozostało.

– Jeszcze nigdy nikomu tego nie mówiłam, ale teraz muszę to z siebie wyrzucić. Kiedy urodziła się Astrid, zaledwie rok po Hannie, wyglądała... wyglądała tak, jakby wróciła Maria. Ludzie powiadają, że to niedorzeczne. Ale ja uważam, że to prawda, bo ona jest zupełnie jak tamta, i z wyglądu, i z charakteru.



Zbliżali się do Braten. Maja Lisa poszła za dom, żeby obmyć sobie twarz, a John zniknął w ciepłej izbie i zasiadł do świątecznego stołu. Miał ochotę na spory łyk mocnej kawy. Hanna zauważyła to i podała mu pełen kubek. Pewnej soboty u progu wiosny, kiedy śnieg już stopniał, lecz noce były jeszcze chłodne, John Broman przyniósł do domu nowinę, że Rickard Joelsson został przez pomyłkę zastrzelony podczas polowania na niedźwiedzia w Trósil.

– Czyli ojciec naszego Ragnara nie żyje – zakończył.

Hanna zrobiła się biała jak prześcieradło i zeszywniała, jakby kij połknęła.

– Czy to prawda, czy tylko tak sobie gadacie? – wyszeptała.

– Chyba prawda. Na Lyckan był żandarm i powiedział o tym starym.

Hanna poczerwieniała na twarzy i zaczęła dygotać. Nagle krzyknęła głośno:

– Dobrze im tak, tym pomiotom szatana!

Broman patrzył zdziwiony na żonę, jak uwalniała się od swej hańby i jednocześnie pozbywała rozsądku i godności. Wypadła z domu i zaczęła biegać w kółko po podwórzu. Niczym obłąkana wrzeszczała i płakała na przemian. Z jej ust padały przekleństwa, słowa, o których znajomość nigdy by jej nie podejrzewał.

– Te diabelskie ścierwa... Przeklęta Lovisa dostała wreszcie to, na co zasłużyła, o Boże, jak ja się cieszę! A dobrze ci tak, dobrze ci tak, kochana ciociu!

I znowu zaczęła się śmiać, tak głośno, że aż ptaki

poderwały się z drzew.

– Ragnar, Ragnar, gdzie jesteś, synku? Jesteś wolny, nareszcie jesteś wolny od tego zła.

John, przerażony, pobiegł za nią, gdy popędziła w dół nad jezioro, wykrzykując to swoje:

– Jestem wolna! Ragnar, uwolniliśmy się od tego koszmaru. Bo twój ojciec smaży się teraz w piekle.

Ruszyła z powrotem w stronę domu i rzuciła się jak opętana na ziemię. Spódnica podfrunęła wysoko ponad głowę, odsłaniając jej łono, ale ona albo tego nie zauważyła, albo się tym nie przejęła. Poprawiła spódnicę tylko po to, by z zaciśniętymi pięściami zwróconymi ku niebu wrzasnąć:

– Nigdy ci tego nie wybaczę, jeśli ty mu wybaczysz, ty przeklęty Boże! Słyszysz mnie, słyszysz?!

Potem nagle ucichła, przycisnęła do siebie spódnicę, położyła się na boku, kuląc się w pozycji embriona, i zaczęła płakać. John podszedł do żony i pogłaskał ją po głowie. Przestała szlochać i powiedziała szeptem:

– Wiecie przecież, że płaczę tylko wtedy, kiedy się cieszę.

– Wiem, wiem – odparł. Potem długo nic nie mówił, aż wreszcie wyznał: – Nie przypuszczałem, że jest ci tak bardzo ciężko.

Hanna pohamowała gwałtowny płacz. Jej głos był mocny i zdecydowany, gdy rzekła:

– Wy jesteście za dobrym człowiekiem, żeby zrozumieć coś takiego.

Broman zawahał się chwilę, ale wreszcie odparł:

– To nieprawda. Ja też się cieszyłem, kiedy umarł mój ojciec.

Łzy już prawie obeschły. Hanna usiadła, otarła sobie twarz fartuchem i powiedziała z wielkim zdziwieniem w głosie:

– To jesteśmy podobni, wy i ja. Przynajmniej trochę.

Pierwszy raz popatrzyła mu prosto w oczy, spojrzenie spotkało spojrzenie, a ona nie odwróciła wzroku, gdy Broman przyznał, że chyba tak właśnie jest.

Kiedy spostrzegł, że jej zimno, powiedział:

– Musisz się ogrzać, żebyś się nie przeziębiła.

Posłuchała go i gdy znalazła się w kuchni, od razu umyła sobie twarz i ręce. Potem podeszła do lustra w dużej izbie, stanęła przed nim po raz pierwszy i długo przypatrywała się własnemu odbiciu.

– Wyglądam przecież jak całkiem zwyczajny człowiek – rzekła wreszcie.

Ale po chwili znowu ogarnął ją wstyd.

– Gdzie jest mały?

– U kowala, bawi się.

– To i lepiej.

– Chyba tak.

– Zachowałam się jak wariatka – powiedziała drżącym głosem.

– Dobrze, że wyrzuciłaś to z siebie.

Ku jego zaskoczeniu Hanna zrozumiała, o czym on mówi, i przyznała:

– Raczej dobrze. Nic nie mówicie...

– Teraz dopiero jesteś głupia – odparł.

W następnej chwili do domu wpadł chłopiec, już od progu krzycząc, że kowal powiedział, iż w lesie zamordowano Rickarda z Lyckan.

– To nieprawda – sprostował John Broman stanowczym głosem. – Miał wypadek. Człowiek, który strzelał, myślał, że Rickard to niedźwiedź.

– Pomylił się?

– Tak, czasami coś takiego się zdarza. To był wypadek na polowaniu.

– Wiem – powiedział cicho chłopiec.

Ale gdy John oznajmił, że trzeba iść nad jezioro sprawdzić więcierze, w małego na powrót wstąpiło życie.

– Mamo, mogę też popłynąć łodzią?

– Możesz – odparł za nią Broman. – Mama nie ma czasu, żeby wiosłować, wobec tego ty to zrobisz, a ona przygotowuje kolację.

W łodzi chłopiec znowu spoważniał, aż wreszcie zebrał się na odwagę i spytał:

– On był moim ojcem, prawda?

– Tak – rzekł Broman. – Był twoim ojcem.

Tego wieczoru Hanna pierwszy raz szukała męża w łóżku. Potem natychmiast zasnęła, John zaś, trawiony lękiem, leżał jeszcze długo, nie mogąc zmrużyć oka. Przeraził się bardziej, niż chciał się do tego przyznać, i pomyślał sobie, że ona zwariowała i może się stać dosłownie wszystko. Lecz przypomniał sobie własną

dziką radość, kiedy przyszli z nowiną, że stary Broman wpadł pod lód. John wzbudził wtedy sensację, tak długo płakał na pogrzebie ojca.

Czyżby był taki jak Hanna, która płakała z radości?

Rano, kiedy rozpalala ogień pod kuchnią, doznała przeczucia własnego losu. Jestem w ciąży – pomyślała.

Po tym dniu atmosfera w domu młynarza zrobiła się czystsza. A w czwartek, gdy nieoczekiwanie odwiedzili ich rodzice i przynieśli tę straszną wiadomość, że Joel z Lyckan udusił swoją żonę, a potem poszedł do stodoły i się zastrzelił, Hannie udało się przywołać na twarz prawdziwe przerażenie. Lecz nie uciekała przed spojrzeniem Bromana, zatopiła się głęboko w jego oczach.

On też nie uciekał, ale czuł się dziwnie winny. W piątek pracowali na polu, na którym mieli zasadzić kartofle. Hanna ciągnęła pług, a John Broman wstydził się, kiedy tak szedł za swoją żoną i robił bruzdy w ziemi. Koniecznie musi jakoś zdobyć konia.

Zaraz po Bożym Narodzeniu dostał list od Almy. Próba, by z pomocą prawa uzyskać awansem swoją część spadku, spełzła na niczym, a z matką w ogóle nie dawało się rozmawiać.

„Ona przeżyje nas wszystkich” – pisała Alma, John zaś pomyślał, że to zupełnie możliwe. Zanim stara ustąpi, on zakaszle się na śmierć.

W liście siostry nie było ani słowa wyrzutu, Broman umiał jednak czytać między wierszami. Bo gdyby nie

wyniósł się z domu i jako jedyny syn przejął gospodarstwo, majątek zostałby już podzielony i Alma ze swoją rodziną miałyby się znacznie lepiej. Ale on opuścił ich jako młody chłopak, poszedł do sąsiedniej wsi na naukę do młynarza i na domiar złego jeszcze się ożenił.

Chociaż samobójcami gardzono w okolicy, na pogrzeb Joela Erikssona przyszło sporo ludzi. I żeby wszystko było tak, jak być powinno, męża z żoną pochowano obok siebie i obok ich syna, którego przypadkowo postrzelone ciało sprowadzono z Trósil. Erik Eriksson stał nad grobem wyprostowany, jakby kij połknął, a kiedy wypito już kawę i rozeszli się pogrzebowi goście, przedstawił swoje plany. August miał przejąć Lyckan, a jego najstarszy syn Braten. Lecz pierwszy raz w życiu ten stary bogaty chłop spotkał się z odmową. August oświadczył bowiem, że nie potrzebuje Lyckan, chce mieć tylko dokumenty własności Braten. A jego syn poinformował, że zdecydował się wyjechać do Ameryki.

Potem obaj przyznali zgodnie, że żaden nie zamierza mieszkać na Lyckan, gdzie Joel i Lovisa pewnie jeszcze długo będą straszyć. Nie mówiąc już o nieszczęsnym Rickardzie. Gadanie to przeraziło Hannę. Jeszcze mocniej uczepiła się ramienia Johna Bromana.

Erik Eriksson, któremu nigdy dotąd się nie sprzeciwiano, siedząc przy stole w dużej izbie w Braten, dosłownie zapadł się w sobie. Plecy wygięły mu się w pałąk i nagle wszyscy zobaczyli, że jest już naprawdę stary i że to nieszczęście dało mu się mocno we znaki. Jak

zwykle rozwiązanie podsunęła Ingegerd. zaproponowała, żeby połączyć oba gospodarstwa i przepisać je na Augusta, który potem zdecydowałby o podziale majątku.

– Nie będzie ci lekko, jeśli myślisz, że możesz dalej mieszkać w Braten i jednocześnie gospodarować na Lyckan – powiedziała do szwagra. – Ale to twoja sprawa.

August usilnie starał się nie okazać, jak bardzo jest zadowolony. To było rozwiązanie, na jakie liczył. Hanna, patrząc na ciotkę Ingegerd oczami okrągłymi ze zdziwienia, pomyślała – jak wielokroć przedtem – że ta najstarsza córka Erika Erikssona jest prawa i piękna. Skończyła już pięćdziesiąt lat i była o siedem lat starsza od Mai Lisy, ale wyglądała o wiele młodziej.

O niezamężnych córkach, które zostawały w rodzinnym domu, mówiono zwykle z pogardą, ale Ingegerd z Framgarden traktowano zupełnie inaczej. Powiadano już od dawna, że Erik Eriksson nie podejmował żadnej decyzji bez narady z córką.

Kobieta może stać się taka, jeśli umie obejść się bez męża i dzieci – pomyślała Hanna. Ale już po chwili zawstydziała się swych myśli, bo wiedziała, że niewiasty, chcą czy nie, muszą się podporządkować temu prawu. Przecież na świat muszą przychodzić dzieci.

Gdy Erik Eriksson i jego córka ruszyli wozem w drogę powrotną do domu, August z synami i Johnem Bromanem uczcili swoje zwycięstwo wódką. Pili tak obficie, że nie było mowy, aby młynarz mógł wrócić do domu. Hanna z matką zawlokły pijanych mężczyzn na

poddasze, poukładały na podłodze i porządnie przykryły. Potem zeszły do kuchni, żeby posprzątać po gościach i pijatyce. Rozmawiały o Ingegerd, która była mądra i ładna już jako młoda dziewczyna.

– Zalotników nigdy jej nie brakowało – opowiadała Maja Lisa. – Przychodzili tabunami, ale ona tylko się z nich śmiała. A ojciec się cieszył, bo nie chciał jej stracić. Biedny Joel ciągle musiał wysłuchiwać, że powinien był urodzić się babą, bo to Ingegerd jest prawdziwym dziedzicem, jakiego potrzebuje majątek. Jej nieszczęście polegało na tym, że była dziewczyną.

Maja Lisa z bólem wyrzucała z siebie te słowa, a Hannie wydało się, że matka myśli o Joelu i jego nieszczęśliwym życiu. Nagle jednak krzyknęła, że nigdy nie wybaczy swojemu bratu, który splamił honor rodziny. Mordercy i samobójcy.

Powyżej domu, prawie na brzegu Norweskich Stawów, rosło blisko siebie pięć dużych klonów. Kiedy zakwitły tej wiosny, pachniało miodem w całym obejściu, a Hanna powiedziała, że to wielka szkoda, iż nie da się pić tego słodkiego soku prosto z drzew. Broman jednak, widząc, jak jasnozielone kwiaty sypią się na ciemną wodę, wyśmiał ją, nie dostrzegając, że ma mu to za złe.

– Musicie mi pomóc wnieść tę elegancką sofę na poddasze – powiedziała. – Potrzebuję w izbie miejsca na krosno.

Bardzo mu to odpowiadało.

– Dobrze wiesz, co myślę o tej sofie.



Hanna fuknęła, że krosno to tylko tak na razie i że niedługo jej wspaniały mebel stanie znowu na dole.

– To rupieć nie sofa, człowiek nie może nawet na niej usiąść – stwierdził.

Na co ona rozzłościła się nie na żarty i krzyknęła, że są w życiu ważniejsze rzeczy niż przesiadywanie.

John spojrział na nią zdziwiony.

– Coś ci się ostatnio poprzestawiało w głowie.

– Będę miała dziecko! – krzyknęła, zasłaniając sobie usta dłonią. Pomyślała, że to do niej podobne: całymi tygodniami zastanawiała się, jak mu to powiedzieć i jakich dobrać słów!

Widziała, że nie jest zadowolony, objął ją jednak ramieniem i rzekł:

– No tak, można było się spodziewać.

Zdążyła jeszcze wykopać kartofle i schować je w piwnicy, zanim w listopadzie urodził się chłopiec. Poród był taki, że nawet Broman myślał, że zwariuje. I nie poczuł się bynajmniej lepiej, kiedy stara Anna wpadła do kuchni po kubek kawy i rzekła, że „ta twoja żona jest okropnie pokiereszowana”.

– Wyjdź na powietrze, Broman – rzekła akuszerka.

Posłuchał jej rady i pomyślał, że Rickard Joelsson ma szczęście, że nie żyje. Bo dzisiaj nawet on, Broman, byłby w stanie zamordować tego mężczyznę. Potem poszedł do młyna, przykrył się paroma workami i zasnął na podłodze.

O świcie obudziła go Anna, oznajmiając uroczyście:

– Urodził ci się syn, Johnie Broman.

– Co z Hanną?

– Śpi sobie zdrowo. Masz dzielną żonę.

Ogarnęło go uczucie ulgi, a podniosły nastrój Anny udzielił się także jemu. Umył się starannie w kuchni i włożył świeżą koszulę, zanim wślizgnął się do alkowy. Była blada, ta jego kobieta, ale spała głęboko i oddychała miarowo.

Chłopczyk leżał już w kołysce w nogach łóżka, taki brzydki i nędzny tłumoczek z ognistą czupryną na głowie. Broman przyglądał się długo dziecku, rozpoznawał rysy twarzyczki i wreszcie pomyślał sobie, że niełatwo mu będzie z tym małym. Lecz po chwili usłyszał, że do młyna zajżdża już pierwszy chłopski wóz, udał się więc do codziennej pracy.

Pod wieczór zjawili się Maja Lisa i August z Ragnarem, którego John Broman zaprowadził do Braten, gdy tylko zaczęły się bóle. Nie chciał, żeby chłopiec się wystraszył – wyjaśnił. Maja Lisa przyjęła wnuka, ale uważała, że to dziwny pomysł. Dzieci muszą się przecież uczyć, jak wygląda życie. Kiedy powiedziała to Augustowi, przyznał jej rację. Od dawna już uważał, że Broman rozpieszcza chłopca, poza tym zawsze czuł się zmieszany, kiedy John głaskał Hannę po policzku.

Teraz przyszli, żeby zobaczyć swojego nowego wnuka. Od razu stwierdzili, że nie jest podobny do nikogo z rodziny, bo nikt nie miał takiej okrągłej twarzy, takiego zadartego nosa i rudych włosów. Wtedy Broman musiał powiedzieć zgodnie z prawdą, że mały jest podobny do

jego ojca. Lecz tylko Hanna zauważyła, że posmutniał, kiedy to mówił.

– Wygląda jak żaba – rzekł Ragnar.

Hanna i Maja Lisa ofuknęły go od razu. Ale Broman wziął chłopca na kolana i chcąc go pocieszyć, wyjaśnił, że noworodki zawsze śmiesznie wyglądają.

– Niedługo zrobi się taki ładny jak ty – dodał, choć wiedział, że to nieprawda. To nowe dziecko nigdy nie będzie takie urodziwe jak jego brat.

Postanowiono, że na chrzcie dostanie imię John, po ojcu.

– Już w najbliższą niedzielę – powiedziała Maja Lisa tak zdecydowanie, że nikt nie ośmielił się zauważyć, że tym razem nie ma pośpiechu. A Hanna musiała wysłuchać długiej listy rad. Żadnych nieproszonych gości w domu w najbliższym tygodniu. Powinna się też wystrzegać kulawej Malin, żony kowala, o której powiadano, że rzuca urok i ma złe oczy.

Kiedy teściowie poszli, John przygotował dla Ragnara i dla siebie posłanie na rozkładanej ławie w kuchni. Zmęczeni napięciem, zasnęli od razu. Hanna zaś leżała długo w łóżku, nie mogąc zmrużyć oka. Patrzyła na swoje nowe dziecko i wreszcie powiedziała:

– Ty mały brzydalu.

Ogarnęła ją taka sama zadziwiająca czułość, jakiej doznała po przyjściu na świat Ragnara. Potem podziękowała Bogu, że już po wszystkim i że to chłopiec. Na moment z niepokojem przypomniawszy sobie, jak kiedyś

Broman powiedział, że niemal oszalał z radości, gdy umarł jego ojciec. To musiał być zły człowiek – pomyślała i spojrzała znowu na niemowlę.

– On na pewno jest z innej gliny – rzekła głośno, jakby wypowiadała jakieś zaklęcie. I może to pomogło, bo ten brzydki niemowlak wyrósł na miłe i grzeczne dziecko.

Śnieg spadł już pod koniec miesiąca, ale, chwała Bogu, musiał jeszcze ustąpić deszczowi z Norwegii. John Broman zapomniał o swojej dumie i wybrał się do Erika Erikssona pożyczyć konia i wóz. Staruszek leży w łóżku z gorączką i bólem w piersi – powiedziała Ingegerd.

Lubił Ingegerd; była jedną z nielicznych osób w dolinie, z którymi mógł porozmawiać. Ciotka Hanny poczęstowała go kawą. Siedzieli w kuchni i zaczęli mówić o wszystkim i o niczym. O Rickardzie powiedziała, że ten biedny chłopak dostawał szału, kiedy jego ojciec bił Lovisę.

– Próbowałam niejednego, żeby pomóc Hannie – powiedziała. – Ale ojciec był przeciwny. Dobrze wiesz, jak myślą starzy ludzie: dziwka jest dziwką, nieważne, jak to się stało. A przecież z dziećmi Mai Lisy to też taka dziwna sprawa.

– Dziwna sprawa?

Ingegerd żałowała, że zaczęła o tym mówić. Nie uszło to uwagi Bromana. Przycisnął ją jednak do muru, a ona opowiedziała mu o Astrid, siostrze Hanny, która wyszła dobrze za mąż we Fredrikshald.

– Gdy była jeszcze dzieckiem, coś ją raz napadło –

rzekła Ingegerd. – Po prostu zwariowała. Popędziła jak szalona na cmentarz, całą długą drogę do kościoła biegła, a potem powyrywała kwiaty i krzyże z grobów swojego rodzeństwa. Księdzu powiedziała, że oni nie zmarli, tylko żyją i ich miejsce nie jest w grobie.

Ingegerd cała się trzęsła. Napiła się kawy.

– Możesz sobie pewnie wyobrazić, Broman, jak mielono jęzorami po domach we wsi. Ale ja już postarałam się o to, żeby ojciec o niczym się nie dowiedział, i wzięłam Astrid do siebie. Była pilną i grzeczną dziewczynką, do tego ładną. I już nigdy więcej ani razu jej nie odbiło. Przywiązałam się do niej i miałam ochotę zostawić ją u siebie. Ale ludzie nie przestawali gadać, dlatego ucieszyłam się, kiedy znalazłam dla niej posadę służącej w Norwegii. Razem z nią pojechałam do Fredrikshald i dlatego wiem, że dostała się do dobrej rodziny, nie do żadnych chłopów, tylko do kupieckiego domu. Później tamtejszy kupiec rybny zakochał się w niej i we Fredrikshald odbył się ślub. Jej mąż należy do tych ludzi, którzy stoją mocno na ziemi. Nie ma pojęcia o obłądzie.

– Czyli wszystko dobrze się skończyło?

– Owszem. Listy, które od niej dostaję, są wesołe. Wydaje mi się, że te dziwne myśli zniknęły, kiedy tylko wyniosła się od Mai Lisy.

– Maja Lisa uważa, że Astrid przypomina jedno ze zmarłych dzieci.

– Bo tak jest. Ale nie ma w tym nic dziwnego,

przecież rodzeństwo często jest podobne do siebie kubek w kubek.

John uspokoił się, słysząc ten opanowany głos i rozsądne wyjaśnienie. Bo musiał przyznać, że od poprzedniego Bożego Narodzenia, kiedy Maja Lisa opowiedziała mu o Astrid i jej zmarłej siostrze, chodziły mu po głowie przeróżne myśli.

Na koniec wreszcie wyjawiał swój problem. Ku własnemu zaskoczeniu opowiedział o matce, która nie chciała umrzeć, o spadku, który nie mógł zostać podzielony, i o tym, jak długo I daremnie czeka na pożyczenie konia z gospodarstwa.

– Nie damy sobie bez niego rady – powiedział. – Tutaj żaden chłop nie płaci pieniędzmi i dlatego raz w miesiącu muszę pojechać do miasteczka, żeby sprzedać mąkę. Alvarsson skąpi mi grosza, bo wie, jak się bogacić na czyjejs biedzie.

– Posłuchaj, Broman, przecież żeby pojechać do Fredrikshald, możesz pożyczyć konia i wóz od nas – rzekła Ingegerd. – Ojciec nie musi nic wiedzieć, w najbliższych tygodniach raczej nie wstanie z łóżka. A do tego czasu coś na pewno wymyślę.

Nie mógł się nadziwić życzliwości ciotki, kiedy zaprzęgał do wozu konia, mocnego i młodego, ale i niełatwego w powożeniu. Kiedy się z nią żegnał, co nieco zrozumiał.

– My dwoje, ty i ja, mamy wiele wspólnego – powiedziała

Ingegerd. – Rzeczywiście jest niełatwo, kiedy człowiek życzy starym ludziom śmierci.

Hanna bardzo się zdziwiła, gdy John wrócił do domu wozem. Kiedy jednak powiedział, że zamierza jechać z mąką do Fredrikshald, niepokój i troska przesłoniły radość.

- Nie będzie was przez parę dni.
- Masz tu przecież swojego brata.
- To nie to samo. On najczęściej milczy.

Broman pomyślał, że wszystkie dzieci z Braten są milczące, nawet Hanna. Ale głośno powiedział:

– Myślałem, że nie przepadasz za moją gadaniną i moimi opowieściami.

– Ale to tylko dlatego, że tak się należy – odparła, a on zaczął się z niej śmiać, zbyt późno dostrzegając, że jest jej przykro.

– Wyjaśnij mi, Hanno, dlaczego to człowiek ma udawać, że nie lubi czegoś, co tak naprawdę lubi.

– Bo to niepotrzebne.

– Rozmawianie z tobą i opowiadanie tobie i chłopcu różnych historii?

– Tak – odpowiedziała, już wyraźnie zła. – Od tego nie napełni się miski na stole.

– Nigdy nie zauważyłem, żeby brakowało ci chleba – powiedział i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi z takim hukiem, że aż zadrżał cały dom.

Wtedy Hanna się przestraszyła.

Ale Ragnar, który bawił się klockami na podłodze,

spojrzał w zamyśleniu na matkę i powiedział:

– Trochę poprzestawiało się wam w głowie, mamó.

Próbowała, ale jak zwykle nie umiała rozzłościć się na syna.

Fuknęła jedynie, że dzieci nie powinny mówić o rzeczach, których nie rozumieją.

– To wy nic nie pojmujecie – rzekł Ragnar.

Przez moment przebiegło jej przez myśl, że może on ma rację. Tymczasem chłopiec wymknął się do Johna, który czyścił konia, a potem zamierzał zrobić dla niego miejsce w stodole. W tym momencie odezwał się w kołysce mały John. Przystawia

jąc go do piersi, Hanna uspokoiła i jego, i siebie. Kiedy syn i mąż wracali z podwórza, usłyszała, że śmieją się głośno. Pomyślała, że pewnie śmieją się z niej. To bolało. Ale będzie musiała się przyzwyczaić. Jej synowie na pewno jeszcze nieraz będą sobie z niej żartować. W półtora roku po narodzinach małego Johna przyszedł na świat następny chłopiec i – jak należało się spodziewać – był podobny do Erikssonów: miał duże piwne oczy, prosty nos i ciemnoblonde włosy. Maja Lisa była tak dumna, jakby to ona sama go urodziła. Postanowiła, że mały będzie nosić imię Erik, po jej ojcu.

Poród był ciężki także i tym razem. Kiedy Broman patrzył, jak Hanna znowu się męczy, przyrzekł sobie solennie, że nigdy już nie dotknie swojej żony. Ale była to obietnica, której nie zdołał dotrzymać, bo gdy Erik skończył dwa lata, urodził się trzeci chłopiec i dostał na



imię August, tak jak ojciec Hanny.

Ostatnie dziecko było słabsze niż poprzednie. Hanna zauważyła to natychmiast, zanim jeszcze stara Anna zdążyła je umyć. A kiedy pierwszy raz przystawiła małego do piersi, czuła, że ma on niewielką ochotę do życia.

Wdał się w ojca – pomyślała.

Żyła w ciągłym lęku o męża, którego kaszel z roku na rok się nasilał i często był tak dokuczliwy, że nie dawał mu oddychać. Wtedy John wybiegał na dwór i z trudem łapał powietrze. Stara Anna przychodziła, kiedy już było bardzo źle, robiła młynarzowi gorące okłady na piersi i przemawiała do niego długo i kojąco.

– On musi jechać do doktora – powiedziała.

Przed nadejściem wiosny, kiedy Broman miał najmniej roboty, wybrał się z ciotką Ingegerd w daleką drogę do Yanersborga, gdzie pewien porywczy lekarz oznajmił mu, że ma astmę i musi natychmiast rzucić pracę we młynie.

– Ale kto wyżywi moją rodzinę, kiedy rzucę pracę we młynie, tego nie umiał mi wyjaśnić – opowiadał John żonie po powrocie do domu.

Lekarstwo, jakie dostał, szybko się wyczerpało. Ale to nieważne, bo i tak mu nie pomagało.

Z koniem załatwiono tak, jak postanowił Erik Eriksson: August dostał prawo do trzech czwartych, a John Broman do jednej czwartej zwierzęcia. Młynarz czuł się rozgoryczony, Hanna jednak stwierdziła, że to dobry

układ. Tu, w górach, wśród skał, nie ma dla konia dość trawy do skubania, poza tym przecież potrzebują go nie na dłużej niż na jeden tydzień w miesiącu, kiedy należało zawieźć mąkę na sprzedaż do Norwegii.

Jak przepowiedziała Ingegerd, Augustowi nie było łatwo mieszkać w Braten i gospodarować na Lyckan. Ostrożnie napomknął o tym Mai Lisie, ta jednak oznajmiła krótko, że przenigdy się nie przeniesie do tego pechowego gospodarstwa. Kiedy do sporu wciągnięto Johna, ten najpierw zastanawiał się długo, aż wreszcie wystąpił z propozycją. Zburzymy stary dom i pobudujemy na wzgórzu nowy – oświadczył.

– Ładniejszy, z widokiem na potok i jezioro.

Ale August nie miał pieniędzy na budowę domu. Ani sił. Dlatego w końcu doszło jednak do przeprowadzki na stare Lyckan, gdzie August z synami i Johnem Bromanem pomalowali farbą klejową sufity i ściany, a także pobielili piec.

Na świętego Jana wprowadzili się tam z całym dobytkiem. Maja Lisa wprawdzie przestała biadolić, ale nie udało jej się przyzwyczać do nowej siedziby. Musiało minąć sporo czasu, zanim wreszcie zauważono, że dzieje się z nią coś złego. Pewnego dnia John powiedział żonie, że jej matka po prostu znika w oczach, odkąd zamieszkała na Lyckan. Hanna okropnie się przestraszyła i wyszeptwała, że te złe duchy pewnie wciąż jeszcze się tam kręcą. Ale Broman obruszył się tylko i stwierdził, że Maję Lisę po prostu męczy choroba, i to z rodzaju tych, które siedzą w

środku człowieka.

Hanna, kiedy tylko mogła, chodziła z dziećmi odwiedzać matkę. Widziała, że staruszka za każdym razem jest chudsza i bledsza.

– Czy coś cię boli, mamó?

– Nie. Tylko jestem taka strasznie zmęczona.

W domu panował nieopisany nieład, Hanna zmywała i gotowała, ale niebawem była zmuszona powiedzieć Augustowi, że musi sobie nająć służącą.

– Widzę, że matka nie daje rady.

Jednakże w tamtych czasach niełatwo już było znaleźć służącą. Młode dziewczyny jedna za drugą ciągnęły do Norwegii i znajdowały w Moss pracę w zamożniejszych domach albo w gospodach i fabrykach we Fredrikshald. Ta czy tamta wyjechała do Ameryki, niektóre zostały i powychodziły za mąż za Norwegów. Inne znów odwiedzały niekiedy rodzinne strony podczas świąt, wystrojone w eleganckie suknie i wielkie kapelusze z różami, co drażniło wszystkie uczciwe kobiety, które mówiły o nich, że to same ladacznice. Albo jeszcze gorzej. Bo przecież nietrudno było się domyślić, ile taki wspaniały strój może kosztować.

Hanna pomagała swojej matce, ile mogła. Prawie codziennie zostawiała dzieci u starej Anny i z małym Augustem przy piersi pędziła na Lyckan, żeby sprawdzić, czy rodzice i bracia mają przynajmniej co jeść. Pewnego dnia wymknęło jej się pytanie, którego nigdy nie miała zamiaru zadać:

– Czy to prawda, mamó, że zmarli straszą w tym domu?

– Tak – odpowiedziała Maja Lisa z uśmiechem. – Ale to nie są Joel i Lovisa. To dzieci, Anders i Johan. A czasami pojawia się też mała Elin.

– Przecież oni tu nigdy nie mieszkali!

– Ale teraz mieszkają, i już.

Kiedy Hanna wróciła do domu i opowiedziała, co usłyszała od matki, John odparł, że smutek nigdy nie przemija. On po prostu jest i nie znika, karmi się życiem człowieka, trawi je kawałek po kawałku.

– Ci, którzy mają wielu zmarłych, coraz bardziej tracą chęć do życia.

August, nie mogąc się pogodzić z chorobą żony, napisał list do swego krewnego, Johannes, znanego szeroko uzdrowiciela. Niemało się natrudził, zanim wreszcie go przekonał, że po prostu musi przyjechać, bo on, August, nie da sobie rady bez swojej żony.

Gdy Hanna opowiedziała o liście, John odparł zdziwiony, że ten cały Johannes uzdrawia zwierzęta, a nie ludzi.

– Ludzi też. Na pewno słyszeliście o starym żołnierzu umierającym na raka i o tym, jak Johannes wszedł do jego chałupy, naparzył herbaty i wmusił ją w starca. Potem kazał mu wstać. Jest ustalone, powiedział, że stary wiarus dożyje dziewięćdziesiątki. I tak się stało.

Tej historii John akurat nie słyszał. Za to znał wiele innych, jedną osobliwszą od drugiej. Albowiem szacunek, jakim cieszył się Johannes, był niemały, nawet jak na Varmland. Broman nigdy nie dawał wiary tym opowieściom, rzekł jednak do Hanny, że może ta wizyta przyniosłaby pociechę Augustowi i Mai Lisie.

Jednakże John się pomylił. W niedzielę po południu, kiedy cała rodzina zebrała się na Lyckan, przyszedł Johannes, przywitał się ze wszystkimi, podając każdemu rękę, a potem wszedł do izby, w której leżała Maja Lisa. Rzucił na nią tylko krótkie spojrzenie i rzekł:

– Widzę, że zbierasz się do drogi.

Teraz mogła już przyznać się do tego przed sobą i

przed innymi.

– Jestem taka zmęczona – odrzekła. – Kiedy to się stanie?

– Chyba już w tym tygodniu. Nie bój się bólu. Odejdiesz we śnie.

– I spotkam później dzieci?

– Tak myślę. Wszystkie oprócz Marii, ale pewnie sama to wiesz.

John Broman stał w kuchni i słyszał każde słowo, nie chciał jednak wierzyć własnym uszom. Po chwili z izby wyszła Hanna, blada jak ściana, a tuż obok niej stanął ojciec, który wyglądał tak, jakby to na niego wydano wyrok śmierci. Nikt nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Na koniec odezwała się wreszcie Ingegerd:

– Musimy chyba zawiadomić Astrid.

Mimo że powiedziała to szeptem, a Johannes znajdował się nadal u Mai Lisy, usłyszał wszystko i rzekł głośno:

– Nie, Astrid nie potrzebuje przyjeżdżać.

– Słusznie – potwierdziła Maja Lisa. – Astrid nie powinna przyjeżdżać. Ale księdza chciałabym mieć, jeśli tylko ten pijaczyna wytrzyma cały dzień na trzeźwo.

Hanna została na Lyckan, żeby przygotować dla wszystkich jedzenie. Ale John wrócił do młyna, gdzie Ragnar, już dziesięcioletni, był sam z młodszymi braćmi. Podwiozła go Ingegerd. Ona też spieszyła się z powrotem do domu; stary Erik już od ponad roku leżał śmiertelnie chory.

Siedząc na wozie, John Broman spytał, w co właściwie człowiek ma wierzyć.

– Że Johannes dobrze zna się na chorobach. Przecież wcale nie tak trudno zauważyć, że z Mają Lisą niedługo będzie koniec.

– No tak, ale chodzi mi o to, co powiedział o Marii i Astrid.

– Nie bierz tego na poważnie, Broman. Johannes był długi czas w Ameryce i od tamtej pory wyznaje nową religię. To jakaś taka dziwna nauka, która mówi, że dusze zmarłych wstępują w nowo narodzonych. I inne podobne niedorzeczności.

Rzuciła przelotne spojrzenie na Johna. Nie wydawał się przekonany.

– Posłuchaj. Johannes mieszkał w Braten tej zimy, kiedy Astrid była jeszcze bardzo mała. To wtedy powkładał Mai Lisie do głowy te dziwaczne myśli, od których później biedne dziecko zwariowało.

John westchnął z ulgą i z całej duszy przytaknął jej słowom, gdy powiedziała, że kto umarł, to umarł. Ty sam wiesz to najlepiej, Broman.

Ksiądz wydawał się lekko podchmielony, kiedy przyszedł w poniedziałek udzielić Mai Lisie komunii. Wyglądała na spokojną, niemal pełną oczekiwania. Ale August był odrętwiały ze strachu i milczący, jakby wypędzono go do obcego kraju.

We wtorek Maję Lisę chwycił silny ból w piersiach. Z trudem łapała oddech. W nocy rodzina czuwała przy jej

łóżku i stało się tak, jak przepowiedział Johannes. Spała, w pewnej chwili głęboko westchnęła i zaraz potem przestała oddychać.

Johna przy tym nie było, bo przecież ktoś musiał zostać w domu z dziećmi. Zdążył je właśnie położyć do łóżka, gdy rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł Johannes.

Gospodarz zrobił kawę, wyjął chleb. Lecz jego ruchy były jakieś kanciaste, nie czuł specjalnie sympatii dla swojego gościa. Obaj milczeli, lecz gdy opróżnili już kubki, Broman spytał:

– Czy ty zawsze wypowiadasz te swoje wyroki tak bez ogródek?

– Tylko tym, którzy chcą je słyszeć – odpowiedział Johannes z uśmiechem. – Augustowi też już niewiele pozostało. Ale on nie czuje potrzeby, by to wiedzieć.

John pomyślał przez chwilę o swojej astmie i przeraźliwym zmęczeniu, nie miał jednak odwagi zapytać. Ale okazało się to zbędne.

– Przed tobą, Broman, jest jeszcze więcej lat życia, niżbyś może chciał. A ma to określoną przyczynę. Czy mógłbym przespać się w izbie na górze?

John się przeraził. Ale gdy rozpałał ogień w izdebce na poddaszu i przygotowywał łóżko, czuł się tak szczęśliwy, jak już dawno mu się nie zdarzyło.

Hanna była blada, kiedy wróciła do domu, i spięta, gdy karmiła zgłodniałe niemowlę. Siedząc z małym przy piersi, długo patrzyła na Johna. Wreszcie powiedziała, że



bardzo by chciała umieć płakać. Przespała się z godzinę, a potem, mimo całonocnego czuwania, musiała wstać, by wydoić krowy. Jak się spodziewała, do stodoły przyszedł Johannes. Najpierw wypowiedział się z podziwem o zwierzętach, a potem rzekł, że Hanna nie musi niepokoić się o męża.

– Myślę, że on pożyje sobie jeszcze dobry kawałek czasu. Wierzę, że go nie zabraknie, kiedy nastanie rok 1910.

Hanna doznała wielkiej ulgi. Było lato 1894 roku, jeszcze daleko do przełomu wieków. Dopiero gdy Johannes się z nią pożegnał, miała czas, żeby policzyć. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że obiecał Bromanowi nie więcej niż szesnaście lat. Ale to wystarczy: Ragnar będzie miał wtedy dwadzieścia sześć, John dziewiętnaście, a Erik osiemnaście lat. Czyli we młynie będzie już trzech mężczyzn jak się patrzy.

– Nawet ty, mój biedaku, będziesz miał szesnaście lat i będziesz dorosły – szepnęła pogodnie do Augusta, przystawiając go do piersi.

– Wyglądasz trochę weselej – stwierdził Broman, kiedy przyszedł na obiad.

Hanna skinęła głową, lecz mocno zacisnęła usta. W uszach dźwięczały jej jeszcze słowa pożegnania: „Jeśli piśniesz Bromanowi choćby słówkiem o tym, o czym mówiliśmy, umrze z czystej przekory”.

Gdy wieczorem położyli się do łóżka, Hanna mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Wspomnienia o matce

napływały i odpływały, a niektóre z nich sprawiały ból.

– Wyglądasz na zupełnie wyczerpaną – rzekł John przy śniadaniu.

– Mam złe myśli.

Zrobiła się czerwona, ale musiała wyrzucić to z siebie.

– Jak tej zimy, kiedy byłam w ciąży z Ragnarem. Matka chciała, żebym pomogła jej przy szlachtowaniu, po prostu mnie zmusiła, bym trzymała wiadro z krwią. A gdy we wsi umarła pewna kobieta... możecie mi nie wierzyć, ale matka posłała mnie tam, żebym umyła jej zwłoki. A to wszystko było po to, żeby dziecko w moim brzuchu się rozchorowało i umarło.

Hanna uśmiechnęła się nieco krzywo i wskazała na Ragnara, który spał na rozsuwanej ławie.

– A potem on przyszedł na świat i był zdrowszy i piękniejszy niż którekolwiek z jej własnych dzieci.

John tylko pokręcił głową. Jednak kiedy już stał przy drzwiach, żeby odejść do swojej roboty, odwrócił się i rzekł:

– Ale jednego można się z tego nauczyć. To całe dawne straszenie duchami nie ma żadnego sensu.

W samym środku znojących żniw August Olsson poczuł ból w piersiach i położył się pod drzewem, chcąc odpocząć. Gdy po paru godzinach podeszli, by go obudzić, był już martwy. Stali w milczeniu wokół niego i nie byli ani zdumieni, ani przerażeni. Stary August właściwie i tak już nie żył, odkąd Maja Lisa spoczęła w

grobie.

Nie znaleziono żadnego testamentu i dlatego oba gospodarstwa przeszły na synów. Robert, który wybił sobie z głowy wyjazd do Ameryki, i Rudolf, równie pracowity jak Hanna, urządzili się na Lyckan. Tymczasem Adolf został we młynie przy Norweskich Stawach jeszcze parę lat. Gdy synowie młynarza dorośli już na tyle, by móc wziąć na swe barki tę ciężką pracę, zażądał wypłacenia należnej mu części spadku i wyjechał do Ameryki.

Żaden z braci Hanny się nie ożenił. Na pogrzeb ojca przyjechała wreszcie Astrid z mężem i dziećmi. John Broman raz po raz spoglądał uważnie na swą szwagierkę, niezwykle wytworną w tej miastowej sukni w kwiaty. Po prostu miło było na nią patrzeć. Poza tym przyjaźnie odnosiła się do wszystkich, rozmawiała chętnie i dużo, śpiewała kołysanki dzieciom i nuciła krowom.

Sposobem bycia nie przypominała żadnego z rodzeństwa. Miała jednak taką samą wyprostowaną postawę jak Hanna, a po dokładnym przyjrzeniu się można było odkryć także pewne podobieństwa w rysach twarzy.

Ta piękna siostra sprawiła jednak, że Hanna wydawała się ociężała i prostacka. Gdy Astrid sfruwała ze wzgórza, Hanna kroczyła dostojnym krokiem. Twarz Astrid odbijała każde uczucie i zmieniała się jak kwietniowa pogoda. Oblicze Hanny było nieprzeniknione. Astrid paplała i śpiewała, Hanna milczała. Astrid

odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się, Hanna parsknęła parę razy, ale natychmiast zasłoniła sobie usta ręką, jakby czuła się zawstydzona tym, co zrobiła. John współczuł żonie. Ale chwilami zirytowany myślał sobie, że mogłaby wreszcie zdjąć z głowy tę chustkę i pokazać swoje piękne włosy. I ubrać się w coś innego, a nie ciągle w te wełniane suknie w czarne albo brązowe pasy.

Siostra powiedziała to wprost:

– Dlaczego chcesz koniecznie wyglądać jak stara baba ze wsi? No, chodź, przymierzysz moją zieloną spódnicę i bluzkę w kwiaty.

– Nigdy w życiu się nie odważę – prychnęła Hanna. A Astrid musiała przyznać, że rzeczywiście w tym leżał problem – ona nie miała odwagi.

Jedno w każdym razie nie ulegało wątpliwości: obie siostry lubiły się nawzajem. Nie było ani cienia zazdrości czy dystansu między nimi, choć Hanna raz czy dwa wspomniała coś o wyniosłości i próżności. Na dźwięk tych słów Astrid uśmiechnęła się ciepło i wyrozumiale.

– Los dotknął cię za mocno.

– Jest, jak jest.

I już nic więcej nie powiedziały.

Johna ciągnęło do szwagierki, czuł się oczarowany jej promienną postacią. Ale ta kobieta przerażała go jednocześnie i dlatego oboje nigdy się do siebie nie przybliżyli.

Pewnego razu Broman rzekł:

– Ty nie jesteś całkiem z tego świata.

Astrid go wyśmiała, lecz on zdążył zauważyć, że Hanna się wystraszyła.

Szwagier jednak przyznał mu rację.

– Moja żona to istny anioł – wyznał. – Jeśli nie jest trollem. Jak się domyślasz, nie mam łatwego życia.

Wszyscy się roześmiali – wszyscy oprócz Hanny, która poczerwieniała na twarzy i zagryzła wargi. Nie może zapomnieć tej wariatki – pomyślał John.

Z czasem polubił handlarza rybami, prawdziwego mężczyznę o wielkim sercu i otwartej głowie. Zaprzyjaźnili się podczas wypraw rybackich na jezioro wczesnym rankiem. To właśnie tam, na łodzi, Broman uświadomił sobie, że między Norwegią I Szwecją zanoszą się na kryzys albo jeszcze coś gorszego.

Głos Arnego Henriksena rozbrzmiewał z taką siłą ponad wodą, że aż płoszył wszystkie ryby.

– Szwedzi powinni wreszcie przestać uważać się za panów i władców. Pora skończyć z tymi szwedzkimi manierami – powiedział. – Bo jak nie, to dopiero się zacznie. Wspomnisz moje słowa. Mamy broń i mamy też ludzi.

John przypomniał sobie własne wyprawy do Fredrikshald, gdzie biedni chłopcy z Dal całymi szeregami stali pokornie na targowisku, żeby sprzedać swoje owce, siano i osełki masła.

– Ja mówię o tych panach ze Sztokholmu – wyjaśnił Arne. – A nie o was.

– Ale to my pójdziemy się bić, jeśli wy przyjdziecie z

bronią.

– Dlatego powinniście przyłączyć się do nas, żeby razem policzyć się z tym szczwanym lisem, królem.

John Broman był zdziwiony. Nigdy dotąd nie czuł się tak bardzo Szwedem. Przez chwilę miał po prostu ochotę wyrzucić tego norweskiego pyszałka za burtę. Lecz Arne nie zauważył jego gniewu; wdał się w długi wywód, objaśniając swojemu towarzyszowi tekst konstytucji z Eidsvold – tej, która dawała zwykłym ludziom więcej uprawnień niż jakakolwiek inna konstytucja na świecie. Potem zaczął mówić o sporze o konsulaty.

Broman słyszał coś o nim, ale jak większość Szwedów nie brał go zbyt poważnie. Teraz jednak się dowiedział, że lewica, domagająca się własnego ministra spraw zagranicznych, uzyskała większość w Stortingu, czyli norweskim parlamencie. I że Norwegowie na swoich statkach, które pływały po całym świecie, zaczęli już usuwać z flagi symbol unii.

Młynarz przysłuchiwał się wszystkiemu, nie rozumiejąc do końca. Ale kiedy Henriksen powiedział, że Storting kupił nowe okręty pancerne za osiem milionów talarów i że nowy norweski minister obrony, który nazywa się Stang i jest podpułkownikiem, wznosi twierdze wzdłuż szwedzkiej granicy, Johna Bromana ogarnął lęk.

– Stang to piekielnie mądry człowiek – rzekł Henriksen i zaczął opowiadać o tym, jak to minister obrony zakupił nową niemiecką broń. Twierdza

Fredriksten miała teraz nowe działa o większym niż dotąd zasięgu. Zmierzywszy Johna badawczym spojrzeniem, zakończył swoją przemowę:

– My wiele o tym nie mówimy, ale każdy Norweg dobrze wie, że najpierw jest broń, a potem...

Wrócili do tej rozmowy, kiedy wieczorem zasiedli razem do wódki. Henriksen okazał się niezwykłą osobą: gadułą o doniosłym głosie po trzeźwemu, ale spokojnym i rzeczowym człowiekiem, gdy trochę sobie wypił.

– Zrozum, to przecież czyste szaleństwo, że norwescy marynarze, którzy pływają po całym świecie, nigdzie nie mogą liczyć na rodaków, co by się nimi zajęli.

Broman to rozumiał.

– Storting podjął uchwałę o utworzeniu własnych konsulatów – kontynuował Henriksen. – Przyznaliśmy na to pieniądze. Ale król w Sztokholmie odmawia swojej zgody.

John skinął głową.

– Ten król Oskar to nikczemny łotr – powiedział Henriksen.

Usłyszały to obie siostry, które już wołały ich na kolację. Hanna wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć, ale Astrid się śmiała.

Gdy norwescy krewni dowiedzieli się, że John Broman raz w miesiącu bywa we Fredrikshald, oburzyli się na niego. Dlaczego nigdy nie wstąpił? John nie miał pojęcia, co ma powiedzieć, więc wreszcie bąknął, że jest nieśmiały.

– Zawracanie głowy – rzekł Arne, lecz Astrid jak zwykle śmiała się do rozpuku, po czym oświadczyła, że teraz się to zmieni. Następnym razem Broman po prostu u nich przenocuje, musi im to zaraz obiecać. A za parę miesięcy Hanna będzie mogła odstawić małego Augusta od piersi i wtedy John zabierze także ją.

– Matka nigdy mi na to nie pozwoli – rzekła Hanna i zaczerwieniła się, gdy sobie przypomniała, że Maja Lisa nie żyje. – Uważam, że jeśli chce się mieć zdrowe dzieci, trzeba je trzymać przy piersi ze dwa lata.

Zupełnie nieoczekiwanie Astrid wybuchła ze złością:

– Już najwyższa pora, żebyś wyzwoliła się wreszcie od matki i tych jej wszystkich bajdułek! Przyszły nowe czasy.

Na co Hanna powiedziała coś, co bardzo zdziwiło Johna.

– Czuję to. Ale bardzo się ich boję. No bo jeśli wszystko, co stare, było złe, to w co człowiek ma teraz wierzyć?

– Każdy musi sam znaleźć sobie odpowiedź – odparła Astrid, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

Siostry opłotkowały wspólnie całą najbliższą okolicę. Astrid przeraziła się wszystkimi zmianami: ludzie z Kasa wynieśli się do Ameryki, na Bónan zostali sami starcy, posiadłość Klewa pochłaniał las, nie żył Jonas, nie żyła Klara, nie żył Lars.

– Przecież oni nie byli starzy!

– Nie, nawet jeszcze nie mieli dzieci.



– To na co oni wszyscy poumierali?

– Zaharowali się na śmierć.

– Ja myślę, że oni wszyscy umierają ze zgryzoty po tych latach głodu i nędzy.

Przypominały sobie kolegów szkolnych. Co się działo z Ragnarem, co z Yitalią, Stenem, Jóranem, Oleną?

A Hanna tylko odpowiadała: w Norwegii, w Góteborgu, w Ameryce, na morzu.

Do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo dolina opustoszała. Dopiero teraz zobaczyła to wyraźnie.

– Minęło tak niewiele czasu, a tu zrobiła się pustynia – powiedziała jej siostra.

Astrid zakochała się w Ragnar/. e, ciemnookim jedenastolatku o szczerym uśmiechu i pogodnej naturze.

– To dziecko bogów – rzekła. – Życie jest niepojęte, Hanno.

– Jest podobny do swojego ojca – wyjaśniła siostra i od razu dodała, że tylko z wyglądu. Z usposobienia Ragnar był miły i wesoły.

– Chyba trudno jest go nie rozpieszczać.

O tak! Hanna musiała przyznać, że Broman ma słabość do chłopca, kocha go o wiele bardziej niż własnych synów.

Ale Henriksen powiedział, że John powinien na niego uważać.

– Takie dzieci, które umieją wkraść się w łaski, potem trudno dojrzewają.

John skinął głową. On też już o tym myślał.

Kiedy norwescy krewni odjechali do domu, postanowiono, że John w czasie swych wypraw z mąką do Fredrikshald będzie zatrzymywać się u nich. I że każdego lata choć raz weźmie ze sobą Hannę.

– Kupimy ci nowe ładne sukienki i pójdziemy z tobą do fotografa – oznajmiła Astrid, a Hanna skuliła się ze strachu. I z radości. John to widział.

Był wczesny ranek i słońce stało nisko, gdy wóz ze śpiącymi jeszcze dziećmi ruszył przez góry ku granicy. Hanna, stojąc przed domem, machała krewnym na pożegnanie, a John odprowadził ich do bramy. Kiedy goście zniknęli za zakrętem, odwrócił się, postać chwilę w miejscu i popatrzył na żonę. Jej cień był długi w ukośnym świetle, a kontury miał ciemne i ostre.

Pierwsza podróż Hanny do tego tętniącego życiem miasta okazała się wielkim przeżyciem. Podobało jej się wszystko, co widziała – ruch na ulicach i niezliczone sklepy. Ale najbardziej to, że wszędzie naokoło byli sami obcy.

– Pomyśl tylko – powiedziała do Johna – mogę sobie chodzić po ulicy, wstępować do tych wszystkich sklepów i nie muszę nikomu się kłaniać.

Zmuszana przez siostrę, przymierzała suknie jedną za drugą. Była śmiertelnie zakłopotana, pot ściekał jej spod pach przez piersi aż na brzuch.

– Strasznie się wstydzę – szeptała.

Ale Astrid nie dawała za wygraną, naciągała na nią

kolejną suknię, mówiąc, by przejrzała się w dużym lustrze. Hannie starczało odwagi tylko na kilka sekund, potem od razu zasłaniała sobie oczy dłońmi.

Wreszcie jednak ustąpiła i kupiła suknię w zielone kwiaty i wolanty na białym tle. Lecz kiedy zaciągnięto ją do fotografa, włożyła swoją najlepszą starą sukienkę, tę w brązowe pasy. Cały czas patrzyła poważnie prosto w obiektyw.

Potem była pod wielkim wrażeniem tej fotografii. Powiesiła ją w ramce za szkłem w dużej izbie i często się przed nią zatrzymywała. Zupełnie jakby nie mogła się nasycić tym, co widziała.

W drodze powrotnej do domu powiedziała Bromanowi, że nigdy sobie nie wyobrażała, że Norwegia jest taka... taka wesoła. Była tam jako mała dziewczynka, ale nie pamiętała, że Norwegowie to taki radosny naród.

John podzielał jej zdanie. On też jako dziecko jeździł tam z Varmlandu dosyć często, nie dostrzegał jednak żadnych większych różnic. Lecz teraz wprost czuło się w tym kraju rozpieszczającą pogodę życia i werwę, zauważalne od razu po przekroczeniu granicy. Odkąd poznał Henriksena, rozumiał to lepiej. Norwegowie mieli wspólny cel i jedno wielkie marzenie. John nie chciał jednak niepokoić żony i dlatego nic nie wspomniał o kryzysie unii. Zaczęli rozmawiać o Astrid. Hanna stwierdziła, że jej siostra to jakby wielu ludzi w jednym człowieku.

– Ona ma wiele przebrań – przyznał Broman, na co

Hanna się rozzłościła. Przecież ona się wcale nie przebiera. John ustąpił. Nie, Astrid nie gra. Jest jednocześnie wszystkim: aniołem i trollem, matką i dzieckiem, wytworną damą i beztroską chłopką.

Broman zastanawiał się często, jaka ona naprawdę jest; myślał, że kryje w sobie jakąś wielką tajemnicę.

Gdy tylko wrócili do domu, Hanna wzięła się do szycia firanek z cienkiej białej bawełny, którą kupiła w Norwegii. Małe okienka w izbie od razu wydały się sympatyczniejsze.

– Śliczne, śliczne – powtarzała, jakby nie wiedząc, co począć z radości.

Na nowe firanki w jej oknach patrzono krzywym okiem, jak na każdy przejaw próżności i nowej mody w tej okolicy. Ale Hanna nie ustąpiła, firanki pozostały na swoim miejscu.

Nigdy jednak nie odważyła się założyć kwiecistej sukni kupionej w Norwegii. Do robienia masła Hanna miała dobrą rękę. Zawsze jej się udawało. Nawet wtedy, gdy do kuchni weszła jakaś żebraczka i rzuciła na dzieżkę złe spojrzenie. Ale pewnego dnia kowalowa Malin powiedziała, że przecież od dawien dawna wiadomo, że dziwkom szczęści się przy robieniu masła.

Wtedy Hanna straciła panowanie nad sobą i wrzasnęła:

– Wynoś się z mojego domu, ty koślawa zmijo! I żeby mi tu więcej twoja noga nie powstała!

Od tamtej pory minęły już lata. Lecz od owego dnia

między oboma domami nad Norweskimi Stawami panowała wrogość. Broman w żaden sposób nie mógł się dowiedzieć, co zaszło, a martwił się tym, bo przecież był zależny od kowala, i to nie tylko dlatego, że w sobotnie wieczory razem pili.

Co dwa miesiące musiał oddawać kamienie młyńskie do oszlifowania. Była to ciężka robota.

Robił żonie wyrzuty.

– Powinniśmy żyć w zgodzie z sąsiadami, przecież mamy ich niewielu.

Ale Hanna okazała się niewzruszona. Kulawa Malin nigdy już nie przekroczyła progu jej domu.

– Spytaj ją – krzyczała – spytaj, dlaczego zawsze udaje mi się masło!

Broman wybrał się więc do kowala z tym pytaniem, a Malin odparła, że jest chyba tak, jak mówi Hanna: masło udaje jej się dlatego, że utrzymuje czystość i w obejściu, i w kuchni.

Dopiero wieczorem, kiedy Broman wrócił do domu z odpowiedzią Malin, usłyszał od żony, co też tamta naprawdę kiedyś powiedziała. Rozzłościł się wtedy tak bardzo, że poszedł znowu do sąsiadów i zwymyślał kowalową. Obaj mężczyźni musieli więc pójść z gorzałką do wielkiej groty nad Długim Jeziorem.

Ale potem Hanna poczuła skruchę i pomyślała, że chyba posunęła się za daleko. Zwłaszcza że nie mogła zabronić swoim synom chodzenia do kuźni i zabawy z synami kowala, którzy byli mniej więcej w podobnym

wieku.

Kiedyś nawet nie drgnęła mi powieka, gdy wyzywali mnie od dziwek – przemknęło jej przez myśl. A teraz, kiedy jestem przyzwoitą kobietą, od razu ogarnia mnie diabelna wściekłość.

Uczciwość rozczarowała Hannę. Nie odpowiadała jej oczekiwaniom. Na początku biegła do kościoła, żeby siedzieć wśród innych kobiet, i to nawet na skraju ławki, aby te młodsze musiały się przepychać. Ale nie należało to do przyjemności i kiedy Broman spytał ją, jakiego pocieszenia szuka w domu bożym, zawstydziała się. Od tamtej pory już całe lata nie była na mszy.

Pewnego dnia pod koniec zimy Ragnar wrócił ze szkoły zakrwawiony i poturbowany. Tak, bił się. Inni dostali jeszcze mocniej niż on – wyjaśnił, ścierając sobie wierzchem dłoni krew z górnej wargi.

Hanna posłała po Bromana.

Przyszedł i kazał przynieść gorącej wody, żeby obmyć rany. Zdrapał chłopcu z twarzy zaschniętą krew i oznajmił, że chciałby wiedzieć, co się stało.

– Nazwali mnie synem dziwki – odparł chłopiec.

– Jezus Maria! – krzyknęła Hanna. – To przecież żaden powód do bijatyki, bo to prawda!

W następnej chwili Broman odwrócił się i uderzył ją prosto w twarz. Hanna zatoczyła się i uderzyła plecami o ławę pod oknem.

– Czy wyście oszaleli?! – wrzasnęła.

– Możliwe! – krzyknął Broman. – To ty

doprowadzasz mnie do szaleństwa. – Po czym wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Ragnar płakał, lecz matka widziała przez te łzy, że jego oczy są lodowato zimne.

– To wy, mamó, oszaleliście.

Potem zniknął. On także.

Hanna dygotała na całym ciele, wreszcie zdołała się opanować. Przyjrzała się dokładnie swojej twarzy w lustrze: była spuchnięta, zaczynał pokazywać się już na niej siniak. Ale nie krwawiła. Gorzej było z kręgosłupem, który bolał ją od uderzenia o ławę.

Chwała Bogu, że dzieci były na dworze – pomyślała. Nagle przypomniała sobie, gdzie są. W kuźni, gdzie od kulawej Malin dostawały chleb i sok.

Gdy przygotowała kolację, synowie wrócili, posłała więc Erika po ojca i Ragnara. Broman przyszedł, wyglądał na strapionego, ale nie powiedział ani słowa.

– Boli was, mamó? – spytał Erik.

– Gdzie jest Ragnar?

– Popędził do lasu – wyjaśnił John, a Hanna szepnęła w panice:

– Boże drogi, to przecież trzeba go szukać!

Wyglądała okropnie, była biała jak ściana, mocno spuchnięta i na dodatek miała na twarzy brzydkie sine place. Broman wstydził się, lecz oznajmił mocnym głosem:

– Chłopak wróci. Powiedział mi, że potrzebuje samotności, aby pomyśleć. Można to chyba zrozumieć.

Kiedy Hanna podawała do stołu, a potem wzięła się do zmywania, poruszała się tak sztywno, jakby połknęła kij. Gdy Broman to zobaczył, wyjaśniła przeproszającym tonem, że uderzyła się plecami o ławę. John zawstydził się jeszcze mocniej.

Ragnar wrócił, kiedy przygotowywano na noc posłania. Tak jak Broman: milczał.

Dobry Boże, jak ja mam to wyjaśnić?

Kiedy już położyli się do łóżka, John spytał:

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nie jesteś w stanie wybaczyć, kiedy Malin wyzywa cię od dziwek, ale uważasz za słuszne, jeśli dzieci w szkole wołają na Ragnara „bękart”?

Hanna długo milczała i wreszcie zaczęła wyjaśniać:

– Ja nie jestem dziwką, zostałam napadnięta. Ale Ragnar to... to bękart, temu nie można zaprzeczyć.

– Czyli ty jesteś niewinna, a on jest winien.

– Nie to miałam na myśli.

Rankiem nie mogła się prawie ruszać, jednakże Broman oślepl na jej dolegliwości. Spróbował znowu:

– Posłuchaj, ty przecież nie jesteś głupia, potrafisz myśleć. Musisz wreszcie mnie i chłopcu wszystko wyjaśnić.

Medytowała cały dzień, ale nie wymyśliła niczego, co mogłoby uczynić jej słowa zrozumiałe dla innych. Dla niej były oczywiste. Przy kolacji powiedziała Ragnarowi, że tak jej się to po prostu wymknęło.

– Tak się bałam, że nie wiedziałam, co mówię –



rzekła.

Dla niej słowa te oznaczały coś na kształt prośby o wybaczenie. Na inną nie umiała się zdobyć, jednakże chłopcu to nie wystarczało. Jego oczy nadal były lodowate. W domu nastał upiornie cichy tydzień, wszyscy troje Ragnar, Hanna i Broman – okazali się mistrzami w milczeniu. Dni mijały, jej plecy wyglądały coraz lepiej, sine plamy i obrzmienia stopniowo znikwały. Ale gdzieś na dnie oczu krył się wstyd i smutek.

Aż wreszcie któregoś ranka, zanim Ragnar i jego bracia wyruszyli do szkoły, chłopiec powiedział:

– Wiesz co, mamó, ty jesteś naprawdę głupia.

Pierwszy raz zwrócił się do niej per ty i powiedział „mamó”. Hanna siedziała długo przy stole w kuchni i nagle zdała sobie sprawę z tego, że straciła syna i że był on dla niej tym, co miała najdroższego.

I znowu zapragnęła, aby móc zapłakać. Ale w jej duszy jak zwykle nie było łez. Broman pojechał z mąką do Fredrikshald, a Hanna bała się, że opowie jej siostrze o tym, co się wydarzyło. Próbowwała się uspokoić, mówiąc sobie, że John nie ma w zwyczaju wszystkiego rozpowiadać.

Lecz gdy wrócił do domu późno wieczorem, zrozumiała, że się myliła. Broman powiedział krótko, że wspólnie ze szwagrem ustalili, iż kiedy tylko Ragnar skończy trzynaście lat, powinien zacząć pracować we Fredrikshald w handlu rybami.

Gdy John ujrzał jej przerażoną twarz, oznajmił, że

musi to zrozumieć. Chłopiec zaczyna dorastać i powinien mieć własne życie.

W tym momencie Hanna podjęła decyzję:

– Niech on sam wybierze – rzekła.

– Dobrze, niech sam postanowi.

– Jest potrzebny we młynie.

– Nie, mam teraz dość ludzi, wystarczą mi Adolf i chłopcy.

– Spytamy go jutro przy obiedzie – oświadczyła, a Broman przytaknął.

Gdy tylko następnego ranka wszyscy wyszli z domu, Hanna wzięła się do robienia ciasta. Nie żałowała ani cukru, ani masła. Smakowała je raz za razem, dopóki nie stwierdziła, że jest w sam raz słodkie i tłuste. Potem poszła z tym swoim ciastem do kowalów, gdzie kulawa Malin o mało nie przewróciła się ze zdziwienia.

– Pomyślałam sobie zwyczajnie, że my, sąsiedzi, powinniśmy się trzymać razem.

Malin była tak osłupiała, że nawet nie nastawiła wody na kawę. Ale Hanna mogła być jej tylko za to wdzięczna, bo nie zniosłaby dłużej okropnego zaduchu i brudu w domu kowala. Porozmawiała chwilę o synach sąsiadki, którzy – jak się wyraziła – tak dobrze się rozwijają. I o zimie, która nie chciała ustąpić.

Potem wróciła do domu i powiedziała do Tego, który jest w niebie: „Oto ja zrobiłam swoje. Teraz Ty musisz okazać się wielkoduszny i pozostawić mi wolną wolę”.

Ale przy obiedzie, gdy Broman opowiedział

Ragnarowi o tym, co uzgodniono we Fredrikshald, chłopiec wprost oszalał ze szczęścia.

– Czyja chcę?! – krzyknął. – Wy jeszcze mnie pytacie, ojciec. Czyja chcę?!

Broman wyjaśnił, że Henriksen ma klientów w całym mieście i potrzebuje posłańca, który rozwoziłby rowerem zamówiony towar. Niektórzy w środy potrzebują śledzia, od razu jak tylko przyjedzie, inni znowu chcą we czwartki makrelę. No i był jeszcze dorsz, którego wszyscy muszą mieć koniecznie na sobotę.

John bardzo się rozgadał, kiedy zaczął opisywać cały ten handel, ale Ragnar usłyszał tylko jedno jedyne słowo.

– Rowerem? – dopytywał się. – To znaczy: ojciec mówi, że dostałbym rower?

Hanna już wiedziała, że Bóg również tym razem jej nie wysłuchał.

Po wyjeździe Ragnara w domu zrobiło się pusto i Broman uzmysłowił sobie, że to ten wesoły chłopiec wypełniał go zawsze swoim śmiechem. Martwił się też o Hannę, była przygnębiona i zmęczona. Niepodobna do siebie. Próbował z nią porozmawiać.

– To mądrze z twojej strony, że zawarłaś pokój z kowalową.

– I tak wszystko na nic.

Broman jak zwykle jej nie rozumiał.

Kiedy nadeszła wiosna z roztopami i szpakami, oswoili się. Nawet Hanna zaczęła powoli odzyskiwać dawną rześkość i bardziej interesowała się pozostałymi

synami. Broman przyglądał się często małemu Johnowi, swojemu najstarszemu, rudowłosemu, o drobnej posturze, i stwierdzał zaskoczony, że chłopcu prawie już się udało wypełnić pustkę po Ragnarze. Mały John był pełen pomysłów, śmiał się tak samo jak jego przyrodni brat i tak jak on potrafił rozsiewać wokół radość i bez troskę.

Był także wrażliwy, zauważał smutek matki i robił, co mógł, aby ją pocieszyć. Z ojcem nigdy nie układało mu się najlepiej, ale Broman musiał przyznać, że John pracował we młynie najciężej ze wszystkich synów.

– Jesteś bardziej wytrzymały niż twój brat – rzucił mu jakby od niechcienia pewnego dnia.

Kiedy chłopiec zaczerwienił się ze szczęścia, Broman poczuł wyrzuty sumienia. Zaniedbywał swoich synów. Nie tylko małego Johna, ale także Erika i Augusta, najmłodszego, który go irytował, bo ciągle chorował i marudził.

Erikowi dobrze szło w szkole. Hanna już dawno powiedziała, że chłopiec ma głowę do nauki. Minęło niewiele czasu, a kościelny nauczył go wszystkiego, co sam umiał.

Broman zaczął teraz szperać na poddaszu w swoich starych książkach, których po przeprowadzce z Varmlandu nawet nie rozpakował. Znalazł „Robinsona Crusoe” i uśmiechnął się melancholijnie, kiedy wspomniał, ile to dziecięcych marzeń wiązało się z tą książką.

– Tylko nie mów, że to niepotrzebne – powiedział

ostrzegawczo do Hanny, schodząc z książką w ręku ze strychu.

A gdy usiedli do wieczerzy, dał chłopcu prezent.

Erik zaczerwienił się, tak jak przedtem John. Potem zniknął w izdebce na poddaszu, gdzie było lodowato zimno. Biegał tam w każdą wolną chwilę. Hanna zaczęła się martwić, chodziła za nim na górę z kocami i swetrami, powtarzając: „Nabawisz się śmiertelnej choroby, chłopcze”.

Wreszcie poddała się i rozpałała mu ogień w kominku.

Kilka dni potem powiedziała, że „krew zamarznie ci w żyłach, jeśli będziesz tu leżał co wieczór i wślepiał się w tę książkę”. Ale Erik śmiał się z niej. Hanna rozpoznawała ten śmiech, był tak samo pobłażliwy jak śmiech Ragnara.

Niedługo chłopiec sam zaczął zaglądać do skrzyni ze starymi książkami Bromanów.

Tej wiosny August miał koklusz. Hanna całe noce chodziła z małym na ręku, dawała mu gorące mleko z miodem, ale nic to nie pomagało, często zwracał jedzenie. John na próżno próbował zasnąć w izbie. Sam się zaraził tym okropnym kaszlem. Ojciec i syn kasłali jeden przez drugiego.

– Tyle czasu tak dobrze się czuliście – powiedziała Hanna z niepokojem.

John Broman po raz pierwszy się zorientował, że ten wstrętny kaszel nie męczył go od chwili, gdy uzdrowiciel

Johannes obiecał mu długie życie.

Henriksen był zazdrosny? Astrid potrafiła wyczuć zły humor u innych na długo przedtem, zanim oni sami zdali sobie z niego sprawę; toteż gdy zaczęły się rozmowy na temat przyjazdu Ragnara, starała się nie wpływać na ostateczną decyzję męża.

Lubiła tego chłopca, ale zachowała to wyłącznie dla siebie. Kiedy przybył do Fredrikshald, przywitała go uprzejmie, lecz nie wylewnie, i wskazała mu pokój dla służby na poddaszu. Nie powinien być faworyzowany tylko dlatego, że jest naszym krewnym – przekonywała Henriksena.

– On i tak jest rozpieszczony – stwierdził jej mąż.

– To prawda. Musimy go od tego odzwyczaić.

I tak oto Henriksen okazał się miłszy dla Ragnara, niż zamierzał, a to tylko dlatego, żeby zrównoważyć gburowatość żony.

Pierwsze, czego Ragnar musiał się nauczyć, to przestać mówić po szwedzku i przestawić się na norweski. A że oba języki były do siebie dość podobne, opanował go w ciągu tygodnia.

– Ma niezłą głowę – rzekł Henriksen.

Ragnar jednak nigdy nie zrozumiał, dlaczego ma unikać szwedzkiego. Fredrikshald to żadne duże miasto; większość osób, z którymi się stykał, wiedziała, że jest Szwedem, siostrzeńcem żony handlarza rybami. Zwykli ludzie nie mieli nic przeciwko takim samym zwykłym ludziom z Dalslandu czy Varmlandu.

O wiele ważniejsze było dlań to, że tutaj nikt nie znał jego pochodzenia: był synem młynarza z nad Norweskich Stawów po drugiej stronie granicy.

Na rower musiał poczekać, dopóki nie nauczył się orientować w mieście. Tak więc przez pierwsze pół roku własnoręcznie ciągnął wózek z zamówionym towarem. W drzwiach każdego domu pokazywał swój serdeczny uśmiech, na którego widok kobiety topniały. Niedługo potem oznajmił Henriksenowi, że mógłby sprzedawać więcej ryb, niż było zamówione, i wkrótce jego wózek zamienił się w sklepik.

– To bardzo obrotny sprzedawca – rzekł Henriksen. Kiedy żona nic mu na to nie odpowiedziała, wpadł w złość i dodał: – Poza tym jest uczciwy i pracowity. Nie narzeka na długi dzień pracy i szanuje każde óre.

Któregoś dnia w wąskich uliczkach u podnóża twierdzy doszło do spotkania, które wywarło piętno na całym życiu Ragnara. Jakiś wytworny mężczyzna z Kristianii nadjechał autem z szoferem! Ten nieprawdopodobny wprost pojazd musiał się zatrzymać, aby przepuścić chłopca ciągnącego wózek do bramy. Ragnar stał długo w miejscu i rozpalonym wzrokiem odprowadzał ową osobliwą maszynę, która wkrótce zniknęła na rynku. Ojciec rozmawiał z nim o samochodach, pewnego razu przeczytał mu nawet na głos artykuł w gazecie o nowych autach, które jeździły same z siebie, płosząc ludzi i konie. Ale słowa nigdy nie robiły wrażenia na Ragnarze, który żył zmysłami. Teraz czuł się

tak oszołomiony i szczęśliwy, że zwolnił kroku i spóźnił się z dostawą.

Spytał Henriksena, ile może kosztować taka maszyna.  
– Około pięciu tysięcy koron.

Dla chłopca była to suma zupełnie fantastyczna. Próbował wyobrazić sobie tę wielką górę pieniędzy. Może sięgałaby aż do sufitu?

Od tego dnia Ragnar oszczędzał każdy grosz, jaki zarobił. John Broman całe lata dotrzymywał swej cichej obietnicy, że już nigdy nie tknie Hanny. Jego żona skończyła trzydzieści lat, a akuszerka ostrzegła, że kolejny poród mógłby kosztować ją życie.

Stara Anna została wdową, ale dalej mieszkała w swoim gospodarstwie. Jej synowie wyjechali do Ameryki, dlatego całą ziemię musiała oddać w dzierżawę sąsiadowi. Tej surowej zimy na przełomie stuleci John i Hanna zaproponowali jej, żeby zamieszkała razem z nimi. Oboje stwierdzili, że rozsiewa wokół pogodny nastrój, i bardzo odczuli jej brak, gdy nadeszła wiosna i Anna uparła się przenieść do siebie.

Broman pomógł jej w przeprowadzce, a kiedy wrócił do domu, był przygnębiony. Dawna melancholia znowu zaczęła go prześladować. Zostali teraz sami i pod ich dachem na dobre zagnieździ się cisza.

Z biegiem lat John zrobił się jeszcze bardziej małomówny i pogodził się z tym, że nigdy nie zbliży się do swojej żony. Milczał całymi tygodniami, a kiedy już się odezwał, to ze złością.



„Masz sieczkę w głowie” – mówił. Albo: „Wyglądasz jak stara czarownica”.

Mieli też kłopoty z utrzymaniem domu. We wsi porzucano gospodarstwo za gospodarstwem i coraz mniej mąki było nawet w skrzyni młynarza. Za to tym bardziej uzależniali się od uprawy kartofli i zboża, a także od łowienia ryb.

Bromana niepokoił też kryzys z Norwegią. W gazecie, którą przynosił sobie dwa razy w tygodniu ze sklepiku Alvarssona nad granicą, pisano o ciągle nowych konfliktach w coraz mocniejszych słowach. Wrogość zaczynała powoli zarażać też ludzi. Ragnar, który przyjeżdżał do domu raz w miesiącu, opowiadał o nagabywaniu i zaczepkach, na jakie narażony był każdy Szwed po drugiej stronie granicy. Gdy kiedyś Astrid odwiedziła ich razem z mężem, unikali rozmowy o polityce. Henriksen był bardziej milczący niż zwykle, a Broman zrozumiał, że także jego norweski krewny zaczął się obawiać tego, co może się wydarzyć.

Mąkę z młyna do Fredrikshald woził teraz Ragnar. Broman niby się cieszył, że nie musi już tego robić, bo – jak powiadał – nie ma na to siły. Ale brakowało mu tych podróży.

Na przednówku musiał pożyczyć trochę pieniędzy z Framgarden na przeżycie dla rodziny. Pomagał im też Ragnar, oddając to, co mu zostawało. Dobrze mu się wiodło w Norwegii. Arne Henriksen powiedział nawet:

– Gdyby nie był Szwedem, zrobiłbym go

wspólnikiem.

Nadeszło zimne i deszczowe lato, które zmuszało do siedzenia w domu. Hanna i John coraz częściej się ze sobą kłócili. On kaszlał po nocach więcej niż zwykle, odkąd osamotnienie zawładnęło jego ciałem. Właśnie jednej takiej nocy zbliżył się do swojej żony.

Przyjęła go pełna ciepła, jakby ta samotność stała się nie do wytrzymania także i dla niej. Zbliżenie uspokoiło ich oboje. I gdy wreszcie w pełni lata zaświeciło więcej słońca i zrobiło się cieplej, owo nocne kochanie uczynili nawykiem.

W listopadzie stara Anna wprowadziła się do nich z powrotem. Powitali ją kawą i świeżo upieczonym pszennym chlebem. Przyniosła im wielkie nowiny. Odwiedził ją Anders Olsson, młodszy brat Augusta i rodzony stryj Hanny, i zaproponował kupno jej gospodarstwa. Pracował wiele lat w stoczni we Fredrikshald, zaoszczędził trochę pieniędzy i chciał wrócić do domu.

– Tu przecież nigdy nie był jego dom – powiedziała Hanna zdziwiona. – On urodził się w Norwegii, tak samo jak mój ojciec.

– Też go o to spytałam – wyjaśniła Anna. – Ale jego zdaniem nadeszły teraz takie czasy, że Szwecja jest domem każdego, kto jest Szwedem.

Hanna popatrzyła na Johna i pomyślała o Ragnarze.

– Dla Ragnarza znajdzie się chyba inne wyjście – rzekł Broman. – Pewnie niedługo go powołają i zostanie

szwedzkim żołnierzem.

– Myślicie, że będzie wojna?

– Mamy nowe prawo o obowiązku obrony.

Czy Anna miała sprzedać swoją ziemię? Jeszcze jedno gospodarstwo w sąsiedztwie wprowadziłoby trochę więcej życia w okolicy. Anders Olsson ma czterech synów i trzy córki. Najstarszy nawet zasięgał już języka w sprawie kupna Svackan, gospodarstwa u podnóża Trollasen. Było opuszczone od kilku lat, ale ciągle jeszcze należały do niego urodzajne pastwiska.

Anna czuła, co myślą młynarz i jego żona. Pokiwała głową. Ona też tak po cichu myślała. Ale wiedziała także, czego chce.

– Chcę mieć swoją izdebkę i w niej swoje meble. I będę płacić za siebie przyzwoicie.

– Z tą zapłatą to się jeszcze zobaczy – odparł John.

– Możesz ją odpracować – dodała Hanna.

– Wiem, że się wam nie przelewa – powiedziała starszuszka. – Przywiązałam się do was, ale ciężarem być nie chcę i dlatego będzie tak, jak postanowiłam.

John czuł się niemal szczęśliwy, kiedy wypłynął łódką na jezioro. Złowił na wędkę dwa szczupaki. Z nią nie zginiemy – pomyślał.

Radosny nastrój trwał kilka miesięcy, podczas których kiszono, robiono soki i przeciery, a kuchnię wypełniały miłe zapachy i kobiece pogaduszki. Lecz kiedy jesień przytłumiła światło dnia, Anna szybko zauważyła, co dzieje się z Hanną.

– Masz nowe dziecko w drodze – powiedziała do Bromana. Jej głos był ostry, a twarz surowa, lecz kiedy zobaczyła, jak bardzo się przestraszył, zmiękła. – Musimy się modlić do Boga – dodała.

John poszedł do lasu, przepelniony lękiem i winą. Dobry Boże – rzekł, ale nie wiedział, co dalej. Nie modlił się od czasów, kiedy był dzieckiem, a wtedy modlitwa też mu nie pomagała.

Gdy wrócił do domu, zastanowił się. Mogliby przecież wybrać się do doktora i kazać usunąć dziecko?

– To chyba byłoby możliwe – rzekła Anna po krótkim namyśle. – Doktorzy robią takie rzeczy, jeśli trzeba. A u twojej żony raczej trzeba.

Spojrzeli oboje na Hannę, która stała sztywna przy kuchni, przyciskając pięść do ust. Raz po raz opuszczała rękę i chwyciła łapczywie powietrze. Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Na koniec krzyknęła:

– Nigdy! Czy nie pojmujecie, że to grzech i wiedzie do piekła?

– Hanno, posłuchaj. Przecież jeśli nie przeżyjesz, chłopcy zostaną bez matki.

– Taka będzie wola Boga.

– Zawsze mówisz, że nikt jej nie zna.

– No właśnie. I dlatego trzeba się jej po prostu poddać.

Na tym musieli przerwać rozmowę, bo do domu wrócili synowie, zmęczeni i głodni. Wieczерzę jedli jak zwykle, lecz gdy Hanna położyła się w dużej izbie, rzekła

do Bromana cichym, ale opanowanym głosem:

– Tylko nie martw się. Na pewno dam radę.

Przez chwilę odważył się nawet jej uwierzyć.

Rozpromieniony szepnął:

– Ty jesteś wyjątkowo silna.

Następnego dnia była taka jak zawsze – zręczna w ruchach i energiczna. Jak każdego ranka, odkąd wprowadziła się do nich Anna, słyszał, jak żona mówi sobie pod nosem, że brak jej sofy. Stary mebel bowiem wylądował wreszcie na strychu, gdy Anna dostała własny pokój, a oni ustawili swoje łóżko w dużej izbie.

Może zapomniała – pomyślał Broman. Albo może w ogóle nie boi się śmierci?

Zapomnieć nie zapomniała – zdał sobie z tego sprawę, gdy pewnego dnia przypadkiem usłyszał, jak rozmawia z synami. Szeptem dawała im rady na przyszłe życie. Mówiła o czystości ubioru, ciała i duszy. Prosiła, aby jej obiecali, że będą uważać na ojca, gdyby jej miało się co przytrafić.

John poczuł wzruszenie, ale chłopcy ją wyśmiali.

– Będziecie żyć sto lat – powiedział Erik.

– Na pewno – rzekła Hanna. – Ale na wszelki wypadek zapamiętajcie to, co wam powiedziałam.

Anna wyliczyła, że dziecko powinno urodzić się w marcu. Już około połowy lutego zmusiła Hannę, żeby nie wstawiała z łóżka. Powinna odpoczywać i nabierać sił. Staruszka przesiadywała, jak zwykle, w dużej izbie i bez przerwy trajkotała, by dać Hannie zapomnieć o jej

sromocie – że oto ona, zdrowa kobieta, leży w biały dzień w łóżku i próżnuje. Rozmawiały o rozmaitych rzeczach, także o śmierci.

– Chciałabym mieć pogrzeb jak się należy – wyznała Hanna. – Tam, w szkatułce, są pieniądze, które odłożyłam za masło. Weźmiesz je i dopilnujesz, żeby chłopcy dostali porządne czarne ubrania.

– Obiecuję ci.

Hanna wstawiała tylko po to, żeby iść do ubikacji. Piętnastego lutego wróciła właśnie stamtąd i powiedziała Annie, że krwawi. Akuszerka zrobiła zadowoloną minę i zaparzyła zioła, które miały powstrzymać krwawienie.

– Wypij to teraz i będziemy zaczynać. Dobrze, że tak wcześnie, dziecko nie jest jeszcze takie duże.

– Musisz wyrzucić z domu Bromana – rzekła Hanna.

John jednak się nie zgodził. Tych trzech dni, które potem nastąpiły, miał nie zapomnieć nigdy w życiu. Hanna parła i krzyczała, ale dziecko ani drgnęło, jakby przyrosło na zawsze do jej wnętrza. Akuszerka próbowała wszystkich starych sposobów. Wreszcie rodząca uczepiła się belki pod sufitem, bóle parte następowały w coraz krótszych odstępach, lecz dziecko nie ruszało się z miejsca.

– Muszę cię naciąć.

– Zrób to.

– Uciekaj stąd – powiedziała stara kobieta do Bromana.

Anna była na tyle rozsądna, że najpierw zanurzyła

swoje ostre nożyce we wrzółku, po czym rozcięła pochwę. Maleństwo wyslizgnęło się z niej jak korek z butelki. Hanna straciła przytomność, ale na szczęście nie krwawiła tak bardzo, jak obawiała się Anna. Akuszerka nie umiała zszyć rany, ścisnęła więc razem obie ścianki najlepiej, jak potrafiła, i posmarowała to miejsce maścią z jemioli.

Hanna powoli wracała do siebie.

– Dobrze się spisałaś. Już po wszystkim. Teraz się prześpij.

Dziecko było zakrwawione i sine, ale staruszka klapssem w pośladek przywołała je do życia, potem przecięła pępowinę i umyła maleństwo.

– To dziewczynka – rzekła do Hanny, która już prawie zasypiając, wyszeptała:

– Boże, zmiłuj się nad tym biedactwem.

Broman leżał na strychu we młynie, skulony i zimny jak lód. Kiedy Erik przybiegł do niego z nowiną, że już po wszystkim i Hanna śpi, najpierw nie miał odwagi w to uwierzyć. Dopiero kiedy Anna przyniosła mu spory łyk gorzałki, uzmysłowił sobie, co usłyszał.

– Urodziła ci się córka – powiedziała stara.

Te słowa obudziły w nim wspomnienia. Wypił wódkę, która pozwoliła mu je odpędzić. Dopiero gdy potem się umył, włożył czystą koszulę i stanął w dużej izbie z małą na rękach, dawne obrazy powróciły z całą siłą.

– Będzie się nazywać Johanna – rzekł.

Stara kobieta miała zastrzeżenia i powiedziała mu

szeptem:

– To nie wróży dobrze, jeśli chrzci się dzieci imionami zmarłego rodzeństwa.

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, mówiło wyraźniej niż słowa, że niczego nie pojmowała.

Hanna jęczała i płakała na przemian, gdy obudziła się następnego ranka.

– Boli ją – rzekła stara, lecz jej podopieczna wyznała, że smuci się, ponieważ wydała na świat dziewczynkę, a przecież wszystkie kobiety czeka w życiu marny los. Nie miała nic przeciwko imieniu, dlatego Anna i John uznali, że pewnie już dawno zapomniała, jak nazywała się zmarła córka Bromana. Mylili się oboje, albowiem dobrze pamiętała i cieszyła się z tego, że urodziła mu córkę na miejsce tej, którą tak bardzo opłakiwał. Przecież na własne oczy widziała, że niemowlę podobne jest do ojca.

Widziała też, że to wyjątkowo piękne dziecko.

– Biedne maleństwo – westchnęła, przystawiając je do piersi. Czego stara kobieta dodawała do wody, którą codziennie myła Hanny łono, tego nigdy się nie dowiedzieli. Ale przez następne tygodnie pachniało w kuchni jakimś tajemniczym wywarem, a chora nadal nie wstawała z łóżka, zmuszana do nieruchomego leżenia i picia jakichś cuchnących ziół.

Lecz cały ten wysiłek nie był daremny: Hanna zdrowiała i po dwóch tygodniach mogła wreszcie wstać. Nogi jeszcze jej drżały i musiało minąć trochę czasu, nim znowu mogła w pełni przejąć odpowiedzialność za dom.



– Ty zajmij się gospodarstwem, a ja zajmę się dzieckiem – zaproponowała Anna.

Ale stało się inaczej. Dzieckiem zajmował się prawie wyłącznie Broman, przewijał je i smarował, przemawiał do niego pieszczotliwie i kołysał do snu.

– Jest gorszy niż baba rzekła Hanna, wstydząc się za niego.

– Jest stary i zmęczony. Dlaczego miałybyśmy nie pozwalać mu opiekować się małą, jeśli sprawia mu to taką przyjemność?

– To przeciw naturze – powiedziała Hanna, rada z tego, że przynajmniej mieszkają na uboczu, z dala od ludzi. Kulawa Malin nie przychodziła już do nich, toteż nie groziły im żadne babskie języki, które roznosiłyby plotki po całej okolicy. Kiedy mieli odwiedzić ich nowi sąsiedzi, bardzo zależało jej na tym, żeby trzymać wtedy córkę przy piersi.

To mili ludzie, ten wuj i ciotka z Norwegii. Hanna naprawdę się cieszyła. Uważała, że to wspaniale mieć znowu blisko jakichś krewnych po tylu latach samotności. Ragnar przyjechał do domu i od razu przywiązał się do małej siostrzyczki prawie tak mocno jak Broman. Miał podarunki od Astrid: ubranka dla malutkiej i piękne prześcieradełko do kołyski.

Również siostra dostała prezent: korale z czarnego bursztynu, tak długie, że mogła je sobie okręcić trzy razy wokół szyi. Ragnar kupił je za własne pieniądze, gdy Astrid od niechcienia mu wspomniała, że kiedy matka była

ostatni raz we Fredrikshald, przyglądała się tęsknym wzrokiem bursztynowym naszyjnikom.

Hanna rozplakała się, jak zawsze, gdy się cieszyła, a jej duży chłopiec cały poczerwieniał. Nigdy, ale to nigdy matka nie może się dowiedzieć, co Astrid i ja wyprawiamy ze sobą w łóżku, kiedy Henriksen wyjeżdża w interesach do Kristianii.

Nadeszła ciepła i wczesna wiosna. Broman uplótł z brzozy-wych witek kosz na plecy, wymościł go owczą skórą i usadziwszy w nim córkę, wędrował tak nad jeziorami. Uczył ją dostrzegać, jak przylaszczki ostrożnie wychylają główki z młodej trawy, jak płocie śmigają ponad wodą, pokazywał pjerwszego motyla, wędrujące obłoki, błękitne niebo.

Stara Anna śmiała się z niego; dziewczynka jest jeszcze za mała, żeby pojmować całe to jego gadanie – przekonywała. Ale on po migotaniu miodowo-brunatnych oczek widział, że mała rozumie.

Uczył ją także słuchać.

– Posłuchaj, jak woła nurek!

Gdzieś w środku lata umarł wreszcie stary Eriksson na Framgarden. Od kilku lat leżał w łóżku jak kawałek drewna, nic nie czuł i nie rozumiał. Ingegerd przyszła sama z tą wiadomością do młyna, pogratulowała krewniakom córki i poprosiła Bromana, żeby zebrał u siebie rodzinę w najbliższą sobotę, wtedy wszystko się podzieli.

– Chyba jest jakiś testament?

To Hanna spytała, ale tamta pokręciła głową i wyjaśniła, że ojciec nie zdążył go spisać, nim choroba zatrąła mu myśli.

W sobotę Ingegerd wyłożyła jasno i rozsądnie swój plan. Chciała sprzedać Framgarden i pieniądze podzielić równo między siebie i braci Hanny. Dla niej zaś przewidziała prawo własności młyna i domu przy młynie, a do tego wszystkie meble i sprzęty, które jej się spodobają. Poza tym mogła sobie wziąć inwentarz – ile zechce kur, świń i krów. Astrid dostałaby się stara rodzinna biżuteria po obu babkach.

– Dałam ją wycenić i wiem, że część spadku przypadająca Astrid nie jest wcale gorsza niż wasza.

Wszyscy uznali podział za sprawiedliwy. Zdziwiło ich tylko jedno: nieślubnemu Ragnarowi miało przypaść tysiąc talarów.

– Przecież on jest z rodziny, i ze strony matki, i ojca – wyjaśniła Ingegerd.

Broman był zadowolony, dobrze jest gospodarować na własnym. A trochę zwierząt będą mogli sprzedać.

– A ty? Co ty zamierzasz?

Usłyszeli wtedy, że dostała posadę zarządzającej w jakimś domu towarowym w Sztokholmie.

Sztokholm... To wzbudziło ogromne zdumienie. Tam nie ciągnęli uchodźcy z Dal, tak daleko, niemal na koniec świata. Ingegerd roześmiała się. To przecież o wiele bliżej niż Ameryka – powiedziała i dodała, że już dawno pragnęła przenieść się do stolicy.

– Chcę zobaczyć króla – rzekła.

Przygotowała już papiery, wszystko spisane jasno po najmniejszy detal.

– Przeczytajcie je uważnie – poprosiła. – To ważne, żebyście wszystko rozumieli, bo nie chcę potem żadnych kłótni.

Przeczytali i powpisywali swoje nazwiska pod tekstem.

Ledwie Ingegerd wyszła, Hanna już zaczęła załamywać ręce. Skąd, na litość boską, wezmą teraz paszę dla tylu krów i takich wspaniałych koni? Broman odrzekł, że muszą się zastanowić, czy nie sprzedać części inwentarza we Fredrikshald. Ragnar wziąłby to w swoje ręce, przecież z niego taki zdolny kupiec. Hanna posmutniała, musiała jednak przyznać mężowi rację, gdy powiedział, że potrzebują teraz gotówki.

W duchu pomyślał sobie, że będzie mu brakować Ingegerd.

Tej jesieni wydarzył się w domu młynarza cud. Pewnego wieczoru nurek skrzeczał jak zwykle i nagle mała Johanna, siedząc u ojca na kolanach, powiedziała:

– He, he. Nulek, nulek.

Ojciec i bracia śmiali się do rozpuku, lecz Hanna i stara kobieta wymieniły pełne niepokoju spojrzenia. Nigdy jeszcze nie słyszały, żeby ośmiomiesięczne dziecko umiało mówić.

– Jestem przerażona – rzekła Hanna, gdy zostały potem same w kuchni. – Czy to znaczy, że nie dane jej

długie życie?

– Nie, to przesąd – odparła Anna. Ale już wcześniej sama myślała o tym starym porzekadle. Wedle niego ci, których kochają bogowie, umierają młodo. A ta mała dziewczynka była wyjątkowo ładnym i mądrym dzieckiem.

Gdy Johanna w jakiś miesiąc później zrobiła swoje pierwsze kroki po kuchennej podłodze, obie kobiety nie potrafiły się nie cieszyć.

– Czy widział kto kiedy takie zdolne dziecko – rzekła Hanna, rozdarta między dumą i lękiem.

Broman był zmęczony i przesiadywał tej zimy wiele czasu w ciepłym domu. Na szczęście ów zły kaszel nie dawał mu się już tak mocno we znaki, dlatego młynarz był w dobrym nastroju.

– Nigdy jeszcze nie widziałam go tak zadowolonego – powiedziała Hanna.

– A ja nigdy nie myślałam, że on zna tyle bajek i że ma taki ładny głos – dodała Anna.

Johanna śmiała się równie dużo i często jak kiedyś Ragnar, Hanna zaś nieraz myślała, że to takie dziwne, iż dzieci, które wydała na świat w największych bólach, były najbardziej promienne z całego rodzeństwa. – Była sobie kiedyś biedna żona wyrobnika, której urodziło się dziecko. Ale nikt nie chciał zanieść maleństwa do księdza, no bo oboje byli tak biedni, że ludzie by się wstydzili, gdyby mieli z nimi coś wspólnego. Dlatego wyrobnik musiał sam wziąć dziecko i iść z nim do księdza.

John opowiadał Johannie sagę o wyrobniku i śmierci. Dziewczynka chciała słuchać jej ciągle na nowo. Wreszcie знаła ją już tak dobrze, że gdy ojciec zmienił choćby jedno słowo albo coś pominął, od razu go poprawiała.

– Przecież to niemożliwe, żeby ona rozumiała to dziwaczne opowiadanie – rzekła Hanna.

– Coś tam chyba rozumie, bo nie słuchałaby z takim przejęciem – odparł Broman i nie mógł powstrzymać się od śmiechu, kiedy przypomniał sobie, jak pierwszy raz opowiadał tę sagę o śmierci Hannie. Była tak zasłuchana, że aż upuściła czajnik na podłogę. Stało się to w tym miejscu, gdy wyrobnik spotkał w drodze samego Pana Boga, a ten zaofiarował się pójść z nim do księdza. Wyrobnik rzekł wówczas:

„Nie sądzę, żebym chciał mieć z tobą coś wspólnego. Jesteś takim niesprawiedliwym ojcem. Niektórym ludziom dajesz bardzo dużo, innym bardzo mało, a mnie nie dałeś nic. Bądź zdrow!”

Zrobiło się wtedy wielkie zamieszanie, gdy pełen czajnik upadł na podłogę. Hanna musiała potem na kolanach długo wycierać z niej wodę. Wykręcała i wykręcała tę swoją szmatę i cały czas nie przestawała się śmiać.

John śmiał się także.

– A potem – powiedziała Johanna, a jej oczy błyszczały – potem spotkał szatana.

– Tak, samego Belzebuba, i on też go spytał, czy

może z nim iść do księdza.

„O, nie – powiedział wyrobnik – bo dostałbym się jeszcze w twoje szpony. Żegnam cię!”

– A później – rzekła Johanna – później spotkał samą Śmierć!

– Zgadza się, i Śmierć spytała go także, czy może iść z nim do księdza. No i popatrz, całkiem mu to odpowiadało, bo pomyślał sobie, że Śmierć to dobry kompan. „Przynajmniej jesteś taka sama dla wszystkich, czy to dla bogatych, czy dla biednych”, rzekł wyrobnik.

John przeciągał i przeciągał opowiadanie. Najpierw kazał iść swoim bohaterom przez las, a dopiero potem zaprowadził wyrobnika i Śmierć do księdza, gdzie dziecko otrzymało chrzest.

– Teraz będzie to najładniejsze – powiedziała Johanna.

I rzeczywiście: Śmierć zaprosiła wyrobnika do swojego domu.

„Chodź teraz ze mną. Zobacysz, jak mieszkam”.

Kiedy doszli do domu Śmierci, wyrobnika oślepił blask świec.

– Bo paliło się tam takie mnóstwo świec, po jednej dla każdego człowieka żyjącego na ziemi. I jedna też dla nowo narodzonego dziecka wyrobnika.

– Poczekaj, tato, poczekaj – szepnęła Johanna, bo chciała zatrzymać się dłużej w domu Śmierci, żeby poszukać swojej świecy, przekonać się, że jest wysoka i pali się mocnym płomieniem. Świeca mamy też była w

porządku, ale ojcowej nie mogła znaleźć.

Opowiadanie kończyło się tym, że Śmierć wzięła wyrobnika do siebie na służbę i nauczyła go, jak ma leczyć ludzi i kiedy powinien im mówić, że już nie warto przedłużać ich życia. Wyrobnik stał się sławny i bogaty i dobrze mu się żyło, dopóki jego własne światło nie wypaliło się i nie zgasło.

– W domu Śmierci – dodała Johanna, drząc z rozkoszy. – Myślę, że powinnaś pojechać – powiedział John do Hanny. – Nie wiadomo, kiedy ty i Astrid będziecie mogli znowu się zobaczyć.

– Jest aż tak źle?

– Zabierz małą, ją naprawdę warto pokazać.

Hanna skinęła głową, bo Broman chyba rzeczywiście miał rację.

Ragnar wpadł na krótko do domu, a potem wybierał się ostatni raz do Fredrikshald, żeby się pożegnać i spakować swoje rzeczy. Stamtąd droga wiodła do Vanersborga, gdzie miał zostać rekrutem w pułku Vastgóta-Dal. Dwanaście miesięcy służby wojskowej !

Cieszył się, że wydostanie się z Norwegii. Był maj 1905 roku, rząd norweski właśnie ustąpił. Gdy król w Sztokholmie odmówił przyjęcia dymisji, Storting oświadczył, że władza króla nad Norwecją wygasła, a unia została rozwiązana. Szwecja uznała to za rewolucję. Norwegowie umacniali swoje twierdze nadgraniczne.

Broman przeczytał w gazecie, że naród szwedzki przepełniony jest usprawiedliwionym gniewem. Ale tutaj,



na terenach przygranicznych, ludzie kulili się ze strachu przed tym, co miało się wydarzyć, nawet jeśli tu i ówdzie dało się słyszeć złośliwe uwagi o chełpliwych Norwegach.

Hanna nie brała na poważnie całego tego gadania o kryzysie unii, jak zawsze miała dość swoich codziennych kłopotów. Ale kiedy zobaczyła, że nad granicą i w samym Fredrikshald aż roi się od żołnierzy, ogarnął ją strach. Jeszcze bardziej przerażające było spotkanie z Astrid, która szamotała się jak ptak zamknięty w klatce, zbyt nerwowa, by móc siedzieć spokojnie i rozmawiać. Źle się też działo między nią a jej mężem, który zaczął nienawidzić wszystkiego, co szwedzkie.

– Może pojedę z tobą do domu – powiedziała Astrid do Hanny.

– Nie gadaj głupot – rzekł Henriksen. – Ty jesteś teraz Norweżką i twój dom jest tutaj. Jeśli boisz się wojny, to bezpieczniejsza będziesz po tej stronie.

Dla Ragnara był oschły i niemiły. Ale swoją szwagierkę i jej małą córeczkę zabrał na twierdzę Fredriksten, żeby im pokazać, że Norwegowie są nie do pokonania.

– Tu go zastrzeliliśmy, tego piekielnego Szweda.

Wizyta trwała tylko dwa dni. Kiedy przekroczyli granicę, Hanna odetchnęła z ulgą i powiedziała do Ragnara:

– Nie mogę zrozumieć, jak ty to wytrzymałeś.

– Nie było łatwo.

Hanna zauważyła zaskoczona, że jej syn się

zaczerwienił.

Nim Ragnar wyruszył na południe w kierunku Vanersborga, odbył krótką rozmowę z Johnem Bromanem.

– Ojciec musi przygotować jakąś kryjówkę.

Ale John pokręcił głową.

W sierpniu młody żołnierz dostał swoją pierwszą przepustkę. W tym czasie toczyły się pertraktacje w Karlstadsie. Szwedzi żądali, aby Norwegowie zburzyli nie tylko umocnienia przygraniczne, ale także stare twierdze Kongsvinger i Fredriksten.

– Oszaleli – rzekł Ragnar, który słyszał, że zagranica trzyma stronę Norwegii: Anglia oświadczyła, że należy wreszcie uznać ten kraj, Rosja i Francja zaś poinformowały, że „w najwyższym stopniu” potępiają roszczenia Szwecji dotyczące obu twierdz.

Wtedy właśnie nadszedł ten moment, w którym Broman przeniósł swoją rodzinę do groty.

Zaledwie w parę tygodni później osiągnięto porozumienie w Karlstadsie. Umocnienia nadgraniczne zniknęły, ludzie po obu stronach granicy odetchnęli z ulgą, a konserwatywna gazeta Bromana cytowała, co Hjalmar Branting napisał w „Socialdemokraten” już wiosną tego roku:

„27 maja 1905 dokonała żywota unia królewska między Norwegią i Szwecją w wieku dziewięćdziesięciu i pół roku. To, co jeszcze pozostaje do zrobienia, to pogrzeb i podział dziedzictwa. Musimy rozstać się jak

bracia w pokoju”.

– Gdybyśmy się trzymali „Socialdemokraten”, czulibyśmy się w lecie spokojniejsi – powiedział John do Hanny.

– Chybaście oszaleli. Wtedy ludzie nazywaliby nas socjalistami!

– Moim zdaniem to nic złego.

Hanna wpatrywała się długo w swojego męża, aż wreszcie znalazła odpowiednie słowo:

– Czyli wy jesteście i bezbożnikiem, i królobójcą?

– Skąd ci przyszły do głowy takie bzdury? – roześmiał się John.

Johanna, która siedziała na podłodze i bawiła się lalką, miała nigdy nie zapomnieć tej wymiany zdań. John Broman nie był jedyną osobą, która cały swój wolny czas poświęcała małej dziewczynce. Również stara Anna się nią zajmowała, uczyła ją domowych zajęć i opowiadała najciekawsze historie z rodzinnych stron.

Dla Hanny zostawało zatem niewiele miejsca w życiu córki. Miała tylko wpoić jej posłuszeństwo i zasady przyzwoitości. Czyniła to z zapałem. Ale prawdziwie bliska więź między matką a córką nigdy się nie wytworzyła.

Johanna skończyła pięć lat, gdy nauczyła się czytać i pisać. Kiedy Hanna to odkryła, wpadła w gniew. Co ludzie powiedzą? Dobrze wiedziała, co mówi się za plecami o takich, którzy są inni albo zdolniejsi. Poza tym co pocznie nauczycielka, kiedy już dziecko pójdzie do

szkoły?

Broman kazał jej trzymać język za zębami. Uzmysłowił sobie jednak, że coś jest w tym gadaniu żony. Ponieważ znał bliżej nową nauczycielkę, odwiedził ją i wyjaśnił, jak ma się rzecz z Johanną.

Nauczycielka, która była jeszcze tak młoda, że wierzyła w swoją misję, roześmiała się tylko i rzekła, że dziewczynka umiejąca czytać to przyjemny problem. Poza tym uważała, iż jest na tyle wykwalifikowana, że potrafi zająć czymś takie dziecko i jednocześnie wbijać literki do głów początkującym.

– Córka może rysować i malować – rzekła. – Znajdę też dla niej jakieś książki, które mogłaby sobie sama czytać w czasie lekcji.

John poczuł się spokojniejszy. Ale zarówno on, jak i nauczycielka nie wzięli pod uwagę innych dzieci. Johannie było trudno: pozostała sama, nie lubiana i często wyśmiewana. W całej okolicy o niej mówiono, dokładnie tak, jak przewidywała Hanna.

Jednakże dziewczynka nie wspominała ani słowem o swojej szkolnej udęcie. Mama wpadłaby w złość. To jeszcze dałoby się znieść. Przede wszystkim nie chciała sprawić przykrości ojcu.

Kiedy skończyła siedem lat, umarła Anna. Śmierć przyszła szybko. Przez parę dni bolało ją coś w piersi. W sobotę wieczorem Hanna widziała, jak stara kobieta przygotowuje sobie lekarstwo, które miało złagodzić dolegliwości. Zauważyła ze zdziwieniem, że do napoju

chora dodaje ogromną ilość wilczej jagody i lulka.

– Czy aby na pewno nie bierzecie za dużo? – spytała.

– Już ja wiem, co robię – odparła staruszka.

Rano znaleźli ją martwą. Hanna stała blada i nieruchoma przy łóżku; chłopcy płakali, pociągając nosami. John Broman też był blady i miał wilgotne oczy, kiedy tak tkwił nieruchomo z Johan-ną na rękę.

– Już jest razem z Bogiem szepnęło dziecko, na co John skinął głową i posłał Hannie surowe spojrzenie, aby nie zabierała dziewczynce tego pocieszenia. Lecz żona nawet nie poczuła na sobie jego wzroku, zajęta swoimi dziwnymi myślami. Nigdy jednak nie wspomniała ani słowem o napoju, który Anna przygotowała sobie poprzedniego wieczoru.

Pewnego dnia w czasie roztopów mieszkańcy domu przy młynie stali się świadkami wydarzenia, którego żadne z nich miało nigdy nie zapomnieć. Jedli właśnie obiad, gdy Broman walnął pięścią w stół i krzyknął: „Spokój!” W ciszy, jaka nastąpiła, dało się słyszeć skrzypienie, dudnienie i łomot. John i chłopcy wypadli z domu, pełni obaw, że coś się stało z młynem.

Śluza!

Ale śluza była w porządku. Stojąc w milczeniu na zboczu, uzmysłowili sobie wszyscy jednocześnie, że hałas dochodzi gdzieś z daleka, od strony drogi.

Przybliżał się coraz bardziej.

Hanna wzięła na ręce śmiertelnie wystraszoną Johannę i pomyślała o szatanie, który w dniu Sądu

Ostatecznego miał przyjechać swoim wozem ognistym, żeby zabrać złych ludzi do piekła.

Było to rzeczywiście coś w rodzaju wozu ognistego. Zobaczyli oto, jak ten potwór zjeżdża po zboczu z prędkością pocisków wylatujących z armaty. Ale to nie szatan kierował tym dziwolągiem, tylko Ragnar, który zatrzymał się z piskiem hamulców i zaczął trąbić jak oszalały.

Potem zapadła cisza, a oni stali, szeroko otwierając oczy i rozdziawiając usta, przekonani, że jeszcze nigdy nad Norweskimi Stawami nie było tak cicho jak w tej chwili.

– To jest automobil – objaśnił Broman. – Ten zwariowany chłopak sprawił sobie automobil!

Po czym zaczął się śmiać, a kiedy Ragnar wygramolił się z potwora, ojciec i syn śmiali się już tak szczerze, że aż łzy ciekły im z oczu.

Wreszcie Ragnar uspokoił się na tyle, że mógł powiedzieć:

– No, mam, wrzuciłbym coś na ząb. Jestem głodny jak wilk.

Hanna na drżących nogach wróciła do domu, żeby odgrzać zimny już obiad, podczas gdy bracia otoczyli pojazd niczym rój pszczół.

– Kupiłeś go za własne pieniądze? – spytał Broman.

– Tak. Odkąd zacząłem pracować dla Henriksena, odkładałem każdy talar. A wszystko to, co zarobiłem w Góteborgu na budowie, też zaoszczędziłem. Do tego

doszedł jeszcze spadek. A teraz to automobil będzie na mnie zarabiał.

John nie miał odwagi spytać, ile to kosztowało. Tysiąc? Kilka tysięcy?

Ragnar jadł i objaśniał wszystko z pełnymi ustami. Hanna nie śmiała powiedzieć mu ani słowa o jego manierach przy stole.

Miasto u ujścia Gota Alv rozrastało się z dnia na dzień. Fredrikshald to po prostu wioska w porównaniu z wielką metropolią nad morzem. Mnóstwo ludzi chciało budować tam domy i fabryki, ale istniały trudności z przewiezieniem drewna, cegieł i zaprawy murarskiej.

– Środki transportu nie nadążają za rozwojem – mówił dalej. – Konie i wozy blokują ulice. Rozwiązaniem jest automobil. Pracy mi nie zabraknie.

Hanna pojmowała z grubsza to, o czym opowiadał, ale ciągle nie dawało jej spokoju jedno pytanie: jakim, u licha, językiem on mówi?

Na koniec jednak spytała go o to, na co Ragnar znowu się roześmiał i odparł:

– Szwedzkim, mamó. Nareszcie nauczyłem się mówić po szwedzku.

– Mówisz tak samo jak w książkach – rzekła Johanna, której wyraźnie to imponowało.

Po południu wybiorą się na wycieczkę – postanowił Ragnar. Wzięli ze sobą kilka starych sienników i ułożyli je wygodnie na platformie.

– Mama będzie siedzieć w szoferce z malutką na

kolanach.

Hanna odzyskała już równowagę i była znowu sobą.

– Nigdy nie usiądę w tej piekielnej maszynie. I moje dziecko też nie.

Wobec tego w szoferce zasiadł John, a chłopcy wdrapali się na platformę z tyłu. Johanna połykała łyzy, Ragnar zaś, gdy tylko to zobaczył, szepnął jej do ucha:

– Innym razem, maleńka. Nie odjadę stąd, dopóki się ze mną nie przejedziesz.

Kiedy mniej więcej po godzinie mężczyźni wrócili do domu, opowiadali jeden przez drugiego, jak chłopci rozdziawiali gęby, jak kobiety krzyczały ze strachu, a dzieci z zachwytu. Alvar Alvarsson ściągnął czapkę, kiedy Broman wysiadł po swoją gazetę. Nawet sam ksiądz wyszedł przed dom, żeby przyjrzeć się dokładnie pojazdowi. „Wiedziałem, że on dotrze nawet do tej odludnej okolicy – powiedział. – Nie przeczuwałem tylko, że tak szybko”.

Cała ta rozmowa sprawiała Hannie przyjemność, to było widać. A kiedy Ragnar oznajmił, że jutro ona i Johanna mogą się z nim przejechać, dziewczynka rzekła:

– Przecież nie jestem znowu aż takim złym człowiekiem, żeby mogło mi się coś stać.

W 1910 roku wiosna przybyła do Dalslandu powolnym krokiem. Zupełnie inaczej niż zawsze, gdy zjawiała się nagle, a potem się rozmyślała. Nie, w tym roku skradała się z taką ostrożnością, że nawet przyłasczkom nie zmarzły nóżki.



Szpaki przyleciały wcześniej i znalazły swój dom na północy miłszym niż dotąd. Padał deszcz, świeciło słońce, a po przyłuszczkach pokazały się zawilce. Pewnego majowego ranka zakwitły klony, a Norweskie Stawy spowił zapach miodu.

John Broman czuł się bardziej zmęczony niż zwykle, kiedy wędrował po lesie ze swoją córeczką. Ale to tylko ciało było zmęczone, bo jego umysł nigdy jeszcze nie wydawał się tak jasny.

Razem z Johanną obserwowali, jak powracają wędrowne ptaki i obejmują w posiadanie swe dawne siedziby. Gdy jaskółki budowały gliniane gniazda na pochyłościach Wilczej Skały, samica nurka wysiadywała już jaja, a sokół karmił pisklęta.

John był szczęśliwy, a dziecko wszystko sobie zapamiętywało.

To właśnie tej wiosny Johanna stała się religijna. I taka miała pozostać. Nawet jako socjalistka i bezbożnica.

Minęło trochę czasu, zanim Broman pojął przyczynę owej osobliwej pogody, która go opanowała: to śmierć i życie odbywały w nim spotkanie. Wyobrażał sobie, jak pewnie przepijają do siebie niczym dobrzy przyjaciele, ponieważ uczucie, jakie rozlewało się po jego ciele, przypominało lekkie odurzenie po pierwszym łyku wódki.

Nie przestraszył się, kiedy siedząc nad potokiem, którego spienioną wodą Johanna gasiła pragnienie, wreszcie zdał sobie z tego sprawę. Poczul ulgę. I smutek. Ale smutek nie był z tych przytłaczających, był błękitny

jak melancholia, która nadaje światu głębię.

W najbliższych tygodniach dość często podejmował próbę spojrzenia za siebie. Czasami stwierdzał, że życie nie najgorzej się z nim obeszło i że w gruncie rzeczy zrobił to, co powinien był zrobić. W inne dni dochodził do wniosków, które go przerażały. Pełen skruchy myślał o matce, której nie widział od dwudziestu lat. I o własnych synach, których zaniedbywał i zmuszał do pracy, zbyt ciężkiej dla dojrzewających dopiero chłopców.

No i była jeszcze Johanna, ta dziewczynka, która biegała wokół niego podczas wędrówek po lesie i nad jeziorami. Może ta jego miłość do niej jest samolubna i źle uzbraja córkę przeciwko trudom życia?

Johanna miała osiem lat. Tyle samo, ile liczyła pierwsza córka, gdy umarła. Ta istotka będzie żyła, jest dobrze odżywiana i zdrowa jak ryba.

Dzięki Hannie.

Pomyślał o niej. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że żona to jedyna osoba, wobec której nie ma poczucia winy. Nie ma, bo jest na wskroś dobrym mężem i gospodarzem. Wprawdzie zdarzyło się to i owo, czego żałował, ale nie musiał czuć się winny, bo w jej myślach nie pojawiał się żaden zarzut przeciw niemu.

Zastanowił się nad tym dłużej i doszedł do wniosku, że ten, kto przygotowany jest na niesprawiedliwość, nie umie być mściwy.

Poza tym są jeszcze wszystkie ziemskie sprawy. Trzeba je uporządkować. Wiedział, że może polegać na

Ragnarze. Młyn był wart co nieco, mimo że teraz, gdy gospodarstwa w okolicy ziały pustką, najczęściej nie pracował. Ale John otrzymał zadziwiającą propozycję.

No i był jeszcze spadek z Varmlandu.

Nagle ogarnęła go pewność, że jego matka umrze, kiedy się dowie, iż on pożegnał się z życiem.

Musi napisać list do Ragnara, potrzebna jest im długa i szczerza rozmowa, póki jeszcze nie jest za późno.

Jak bardzo powinien się spieszyć?

Ragnar przyjechał pod koniec lipca. W aucie siedziała jakaś kobieta, nieśmiała i blada miejską bladością.

– Nędzniętka – rzekła Hanna.

Ale Johanna stwierdziła, że Lisa jest miła.

– Ona ma sklep galanteryjny w Góteborgu, nie może więc być chyba taka biedna, na jaką wygląda – zwróciła się Hanna do Johna.

On zaś, kiedy spostrzegł, że Lisa jest uległa tylko wobec Ragnara, że jest jedną z tych pożałowania godnych osób, które kochają za mocno – ostrzegł żonę:

– Uważaj, Hanno, żebyś nie została złą teściową.

Słowa te nie padły na właściwy grunt. Albowiem żadna z sy-nowych Hanny nie nadawała się dla jej synów.

John zrobił porządek na poddaszu, rozstawił składany stół i pozbierał wszystkie swoje papiery. Żonie wyjaśnił, że zaprosił Ragnara, aby najstarszy syn pomógł mu napisać testament. I że chciałby, aby ona była przy tym, kiedy będą wszystko omawiać. Gdy ujrzał, jak jej oczy zasnuwa cień, starał się ją uspokoić. Przecież coś takiego

powinien zrobić każdy ojciec rodziny, kiedy skończy sześćdziesiąt pięć lat.

Hanna nic nie odpowiedziała. Zakryła sobie usta upartą dłonią, odwróciła się na pięcie i sztywna zeszła na dół.

Ona wie – pomyślał Broman.

Hanna nie mówiła wiele, gdy wraz z Johnem i Ragnarem przesiedziała przy stole całe popołudnie. Nawet wtedy, kiedy Ragnar oznajmił, że gdyby stało się to najgorsze, wówczas mama z dziećmi musiałyby się przenieść do Göteborga.

– Co mama o tym myśli?

– Muszę się zastanowić.

– Tu nie ma żadnej przyszłości dla chłopców – rzekł Broman. – Nie utrzymają się z młyna, dobrze wiesz. A ja nie chcę, żebyś siedziała potem sama na tym pustkowiu.

– Moglibyście przecież spróbować jeszcze trochę pożyć – rzekła Hanna, ale od razu pożałowała swych słów.

Ragnar przyglądał się długo ojczymowi. W tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że John chce przenieść się na tamten świat, zanim nastanie zima i powróci kaszel.

Coś ścisnęło go za gardło.

Lecz Broman mówił dalej, jakby w ogóle nie dosłyszał słów żony. Teraz nadeszła pora, by porozmawiać o propozycji.

Ostatniej jesieni, kiedy Hanna akurat zbierała w lesie

jagody, odwiedził Norweskie Stawy pewien inżynier z Towarzystwa Dystrybucyjnego w Ed. Długo przyglądał się spienionej wodzie, ba, poprosił nawet Johna o otwarcie śluzy. Potem powiedział, że niewykluczone, iż Towarzystwo kupi tę posiadłość. Chcieli zapłacić pięć tysięcy talarów. W gotówce.

– Dlaczego nic nie powiedzieliście?

– Nie chciałem cię denerwować.

Hanna zamilkła. Ragnar oznajmił, że nawiąże kontakt z Towarzystwem w Ed. W jego głosie dało się wyczuć ulgę.

A poza tym był jeszcze przecież Varmland. John nie miał pojęcia, ile mogło być warte gospodarstwo na wyżynie.

– Tam też robi się pustynia, jak tutaj rzekł. – Ale moja matka raczej nie pożyje już długo, ma dziewięćdziesiąt osiem lat. Posłuchaj, Ragnar, musisz utrzymywać kontakt z moją siostrą Alną. Ona i jej mąż to uczciwi ludzie i nie oszukają cię przy podziale spadku.

Nie wspomniał nic o swoim przekonaniu, że matka się podda, kiedy tylko otrzyma wiadomość o śmierci syna.

Następnego dnia przed południem Ragnar spisał niewprawną ręką testament, robiąc błędy ortograficzne. Łatwość miał tylko do słowa mówionego.

– Musimy poprosić Lisę, żeby nam to przepisała na czysto – oświadczył, a rodzice mu przytaknęli.

Broman wahał się trochę, ale wreszcie odważył się zapytać, czy już niedaleko ślub. Ragnar zaczerwienił się i

wyjaśnił, że wszystko jakby zmierza w tym kierunku.

Nawet Hanna musiała przyznać, że testament ładnie wygląda i że narzeczona syna pisze nie gorzej od księdza. Zawołano kowala, żeby razem z nią podpisał jako świadek.

Kiedy po południu Lisa pakowała rzeczy do samochodu, zauważyła, że Ragnar, zegnając się, długo trzyma w swoich dłoniach obie ręce ojczyma. Johnowi zaszklily się oczy, a młody mężczyzna się rozplakał. Hanna spojrzała na nich obu i przypomniała sobie, jak to wiele lat temu obcy młynarz podał rękę bękartowi i powiedział: „Dzień dobry, nazywam się John Broman”.

Gdy pierwszy jesienny wichur zerwał liście z drzew, John Broman zakaszłał się na śmierć. To był pierwszy i jedyny raz, gdy dzieci z nad Norweskich Stawów widziały, jak ich matka płacze. Sama Hanna była zdziwiona. Nigdy nie myślała, że w jej głowie jest aż tyle wody – powiedziała potem. Szlochała i pochlipywała w dzień i w nocy, kiedy doglądała przygotowań do pogrzebu.

Nikt w całym domu nie poświęcał ani jednej myśli Johannie, która jakoś dziwnie się poruszała i ciągle okropnie marzła.

– No, pospiesz się, dziecko – pokrzykiwała Hanna, jeśli coś trzeba było zrobić. Tylko raz dostrzegła w przelocie, że mała jest zziębnięta. Dotknęła jej rąk i rzekła: – Włóż grubszy sweter.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że dziewczynka nie odzywa się ani słowem.

Dopiero kiedy pojawił się Ragnar, stało się to nagle dla wszystkich oczywiste.

– Johanna przestała mówić! – krzyknął. – Mama tego nie zauważyła?!

Hannie zrobiło się wstyd. Brat wziął siostrę na ręce i zaczął chodzić z nią wokół domu, przemawiał do niej i starał się ją ożywić. Było jej już cieplej, ale nadal nie chciała niczego oglądać, ani Norweskich Stawów, ani potoku czy długiego jeziora. I nie udało mu się sprawić, żeby się rozplakała albo odezwała.

W domu Hanna piekła pszenny chleb i ciasto, a Lisa nakrywała do stołu na stypę. Ragnar podszedł do niej z małą na rękę i rzekł:

– Może ty spróbujesz.

Lisa nie miała siły, aby nieść dziewczynkę. Gdy zbliżały się do stodoły, w której leżał Broman, Johanna wzięła młodą kobietę za rękę. Hanna już chciała krzyknąć i zabronić im tam wchodzić, ale jej najstarszy syn wrzasnął:

– Mama milczy!

Lisa ściągnęła prześcieradło z twarzy zmarłego i rzekła:

– To, co tutaj leży, to nie jest twój tata, Johanno. To tylko jego zewnętrzna powłoka. On sam czeka na ciebie w niebie.

To wystarczyło. Dziewczynka rozplakała się w objęciach obcej ciotki i wreszcie zdołała wyszeptać, że ona też-tak myślała.

Stały tam długo, nie ruszając się z miejsca. Potem Lisa powiedziała, że chciałyby, aby zaraz po pogrzebie Johanna pojechała z nią do Góteborga. Będzie im dobrze razem, a po pewnym czasie mama i bracia do nich przyjadą.

I tak się stało. Nazajutrz po pogrzebie Ragnar odwiózł Lisę i Johannę do pociągu. On sam odwiedził przy okazji inżyniera w Ed. Potem miał wrócić do matki i braci.

– Żeby wszystko z grubsza uporządkować – powiedział.

W Towarzystwie Dystrybucyjnym poszło mu nadspodziewanie dobrze, do transakcji miało dojść już na przedwiośniu. Kiedy jechał wyboistą starą drogą nad jeziorem, poczuł się zadowolony. Najwięcej myślał o tym, że wreszcie zrozumiał słowa, które Broman wypowiedział przy pożegnaniu: „Musisz mi obiecać, że zatroszczysz się o Johannę. Ona jest ulepiona z innej gliny”.

Johanna siedziała na kolanach Lisy i myślała, że to jej nowe, niesamowite życie zaczyna się właśnie tutaj, w pociągu, który pędzi poprzez ciemność i gwizdże jak jakiś potwór.

Gdy umarł John, Hanna już z samego rana posłała Erika z wiadomością do Almy w Varmlandzie. Po powrocie do domu chłopiec zaczął się rozwodzić, jaki to okazały jest Brogarden, jakie rozległe otaczają go pastwiska i ile to ziemi jest wokół.

John nigdy o tym nie wspominał – pomyślała Hanna. Ale też go o to nie pytałam.



Wieczorem tego dnia, w którym odjechał Ragnar, . ktoś zapukał do drzwi. Na dworze stał mężczyzna. Hanna nigdy przedtem go nie widziała. Oznajmił, że pochodzi z Varmlandu i jest zięciem Almy. Teraz on przybył z wiadomością, że stara gospodyni na Brogarden umarła w niedzielę. Czy Hanna i dzieci mogliby przyjechać na pogrzeb?

Hanna usmażyła trochę słoniny i wyjęła chleb, podczas gdy przybysz wprowadzał swojego konia do stodoły. Erik rozpałił ogień w izdebce na poddaszu, ona zaś ogrzała bieliznę pościelową dla gościa. Następnego ranka powiedziała, że ma zamiar wysłać na pogrzeb swoich dwóch najstarszych synów. Sama nie ma tam nic do roboty – oświadczyła.

Mężczyzna skinął głową, jakby zrozumiał, po czym oboje rozstali się niczym przyjaciele.

Kiedy odjechał, Hanna usiadła na składanej ławie w kuchni. Siedziała na niej długo w milczeniu, zastanawiając się nad tym dziwnym zbiegiem okoliczności: stara umarła dokładnie w tydzień po swoim synu.

W środę dwudziestego drugiego kwietnia 1911 roku Hanna wybrała się do sąsiedniego gospodarstwa, aby pożegnać się z krewnymi, którzy w czasie kryzysu unijnego sprowadzili się tu z Norwegii. Wiodła ze sobą krowy, świnie i pięć owiec. Była to ciężka wędrówka i niewiele pomagało to, że Olssonowie z Kasa przyzwyczajeni zapłacili za zwierzęta.

Z Kasa poszła do księdza, żeby wystawił jej zaświadczenie o przeniesieniu do parafii Haga w Góteborgu. Dla niej i dla czwórki dzieci. Zamienili ze sobą zaledwie parę słów. Kiedy się z nim żegnała, pomyślała sobie, że odkąd nagle skończył z wódką, wyraźnie się skurczył.

Na samym końcu ruszyła do kowala i jego żony. Oboje byli już starzy i nowinę o elektrowni przyjęli z przerażeniem. Hanna nie przeciągała wizyty dłużej, niż musiała. Na progu oznajmiła, że zostawia trochę rzeczy, na przykład chodniki na podłogę, to, czego nie zabierze do Góteborga. Wszystko położy pod stodołą, a oni mogą sobie wziąć, co im potrzebne.

Kowalowa, chciwa i ciekawska, od razu się rozpromieniła. Gdy Hanna szła potem przez podwórze w stronę młyna, postanowiła, że będzie się pilnować, by nie zostawić dla Malin za dużo. Lecz potem przypomniała sobie słowa Ragnara: „Tylko nie bierz ze sobą żadnych rupieci. Zapakuj na wóz same najpotrzebniejsze rzeczy”. Te słowa do tego stopnia zaprzętały jej myśli, że nie zdążyła nawet popłakać sobie przy rozstaniu z Norweskimi Stawami czy podenerwować się o przyszłość. Co, na litość boską, było rupieciami z tych wszystkich rzeczy, które zgromadziła w ciągu minionych lat?

Wyrzuciła wszystkie maty, ubrania Bromana i obie rozkładane ławy z kuchni. Akurat ich miała potem żałować.

Meble pochodzące z Varmlandu chciała zabrać. A

jeśli Ragnar powie choć słowo na tę ozdobną sofę, to wtedy ode mnie usłyszy – pomyślała.

Kiedy przyjechał samochodem, rzekł tylko:

– Mama nie będzie miała miejsca na tę kanapę. Ale zawsze może ją mama sprzedać, i to chyba całkiem nieźle.

Gdy wszystko było już upchnięte i pozwiązywane na platformie samochodu, a chłopcy usadowili się na niej, najwygodniej jak się dało, Hanna nadal stała na podwórzu i jeszcze raz ogarniała wzrokiem dom, młynówkę i długie jezioro. Wreszcie westchnęła ciężko, a kiedy zajęła już w sfoferce miejsce obok Ragnara, załkała.

– Chyba mama nie płacze?

– A gdzieżby tam...

– Mniej więcej za rok przyjedziemy tu z wizytą.

– Nie, synu, ja już tu nie wrócę.

Gdy ujechali kawałek, spytała o Johannę, jak daje sobie radę w dużym mieście.

– Nie jest już tak wesoła jak kiedyś. Ale jest zadowolona i bardzo przywiązana do Lisy.

– Wyobrażam sobie rzekła oschle Hanna.

Całą krętą drogę prowadzącą wzdłuż jeziora do Ed milczeli. Gdy na horyzoncie pojawiła się wieża kościoła, Hanna spytała:

– Kiedy ty i Lisa się pobierzecie?

Ragnar poczerwieniał, a jego głos był lodowato zimny, gdy odpowiedział:

– Niech się mama nie wtrąca do nie swoich spraw.

Hanna wpadła w gniew.

– To znaczy, że matka nie ma prawa wiedzieć, kiedy jej dzieci wezmą ślub?

Ragnar żałował swych słów, ale nie ustępował.

– W dużym mieście jest inaczej, mamó. Tam nikt się nie dziwi, jeżeli ludzie, którzy się lubią, mieszkają razem bez ślubu.

– Widzę, że będę musiała wiele się nauczyć – powiedziała Hanna, osłupiała.

– Owszem, prawie wszystkiego musi mama uczyć się od nowa.

Opuścili Ed i Hanna znalazła się teraz na nieznannej ziemi. Dalej niż do Ed nigdy nie dojechała. Pod Vanersborgiem zrobili krótki postój i zjedli kanapki, które wzięli na drogę. Hanna patrzyła daleko przed siebie ponad jeziorem Vaner, tam gdzie spotykają się niebo i woda.

– Czy to morze?

– Nie, mamó. Morze jest o wiele większe.

Śmiał się z niej, wobec tego wołała już o nic nie pytać. Naprawdę trudno jej było zrozumieć, że jakaś woda mogłaby być jeszcze większa od tej tutaj. Milczała przez całą drogę w dół rzeki i nic nie odpowiedziała, gdy Ragnar rzekł, że ten krajobraz też jest wspaniały.

Dopiero kiedy wjechali do kamiennego miasta, znowu otworzyła usta.

– Coś takiego trudno by sobie wyobrazić nawet we śnie.

Między wozami zaprzężonymi w konie, ludźmi i samochodami dotarli do Jamtorget. Żeby zaimponować

matce i braciom, Ragnar nadłożył drogi przez Linnegatan z jej okazałymi fasadami, objechał wokół Skanstorget i skierował się Sprangkullsgata w stronę Haga Nygata.

– Chyba musi być targ, bo tyle ludzi na ulicach.

– Nie, tu jest tak zawsze.

– Jezus Maria – jęknęła Hanna, ale nie wystraszona, tylko raczej ożywiona. A gdy wreszcie przejechali przez wielką bramę, promieniała jak słońce. – Ale... ale elegancko – rzekła. – Gdzie będziemy mieszkać?

– Tam, na górze – odpowiedział Ragnar, wskazując ręką.

Pod samym niebem – pomyślała Hanna.

– Trzecie piętro z widokiem na ulicę – dodał z dumą.

– Lisa zawiesiła nowe firanki, żeby nikt nie zaglądał do środka.

– To miło – odparła Hanna, która już zaczęła się martwić o firanki.

Po chwili z jednych z wielu drzwi wybiegła ku nim Johanna.

Matka stała długo i patrzyła na dziewczynkę. Moje dziecko – myślała – moje dziecko. Wreszcie się odezwała:

– Jak ty ładnie wyglądasz!

– Dostałam nowe ubrania. Takie, jakie się nosi w mieście. Lisa mi je uszyła.

Hanna nie miała najszcześniejszej miny, ale starała się nie zapominać, że musi nauczyć się lubić tę dziewczynę, bo to dobry człowiek.

Ciekawskie oczy przypatrywały im się z okien i

drzwi, kiedy wnosili na górę meble. Wyglądamy na wieśniaków – zawstydziała się Hanna, pragnąc uciec przed tymi spojrzeniami. Mimo wszystko musiała zapytać, co to za długie, niskie budynki stoją tam, pod kasztanami, na wielkim podwórzu.

– To są wychodki i zachowanka. Każda rodzina ma swoje, zamykane na klucz.

– Jak elegancko!

Z drzwi wchodziło się prosto do kuchni, która była całkiem obszerna i miała żelazną, a nie kafłową kuchnię, dokładnie taką, jaką Hanna podziwiała u Astrid we Fredrikshald. Znajdował się w niej też kamienny zlew i rura do wody. Hanna słyszała już o czymś tak dziwnym, co nazywało się bieżącą wodą, a teraz, proszę – stała sobie tutaj i na zmianę odkręcała kran i zakręcała.

– To się nigdy nie wyczerpie?

– Nie, mamó, to się nigdy nie wyczerpie.

– Jezus Maria!

W pokoju znajdował się piec kafłowy, a podłoga była zbita ze lśniących jak lustro sosnowych desek. To naprawdę wielkopańskie mieszkanie – stwierdziła Hanna.

Ale najprzedziwniejsze ze wszystkiego było światło, z którego mieli się potem śmiać jeszcze po wielu latach. Na szczęście tym razem to nie Hanna się skompromitowała, tylko John.

– Zmierzcha, mamó. Pobiegnę na dół i przyniosę naftową lampę.

– Nie trzeba – rzekła Johanna. – Popatrz, wystarczy

zrobić tak.

Po czym przekręciła wyłącznik na ścianie przy drzwiach do kuchni i wszystkich zalało światło.

Kiedy Hanna otrząsnęła się już z osłupienia, pomyślała sobie, że to dobrze, iż Ragnar nie widzi, jak oni wszyscy stoją tutaj i gapią się z rozdziawionymi ustami. Poszedł, żeby kupić coś dojedzenia i przyprowadzić Lisę. Przynieśli ciepłą zupę, którą ugotowała Lisa, chleb i masło kupione przez Ragnara.

– Witajcie w mieście rzekła dziewczyna.

– Dobry z ciebie człowiek – powiedziała Hanna. – Dziękuję za firanki. I za to, że tak pięknie wystroiłaś moją córkę.

Lisa odparła, że sprawiło jej to radość.

– Jutro kupimy ubranie i dla teściowej.

– Na pewno przyda mi się pomoc we wszystkim, w czym tylko się da – odparła Hanna.

Lisa nawet nie przeczuwała, jak nieprawdopodobne było to wyznanie.

Lecz synowie się przestraszyli. Jeszcze nigdy nie słyszeli, żeby matka mówiła coś podobnego.

Potem zaczęli się jakoś urządzać w tym jednopokojowym mieszkaniu w czynszowej kamienicy. Chłopcy dostali dla siebie rozkładaną kanapę, a August nowoczesne łóżko, które dawało się złożyć i odstawić do garderoby.

Na samym środku królował ogromny okrągły stół, także nowoczesny. Pasuje dobrze do starych krzesel z

Varmlandu – twierdziła Hanna.

Hanna i Johanna spały w kuchni. Bardzo by się tam przydały składane ławy z Dalslandu. Matka pocieszała się tym, że także nowa kuchenna sofa jest bardzo nowoczesna.

– To niesamowite, jak pieniądze przeciekają tu człowiekowi przez palce – wyznała Ragnarowi.

Na co odparł pocieszająco:

– Dasz sobie radę, mamó.

Kiedy mieszkanie było już gotowe, Hanna zaprosiła sąsiadki na kawę i nieprawdopodobnie drogi tort z cukierni. Tak wypada doradziła Lisa. Gospodyni miała na sobie nową, gotową suknię. Nowoczesną. Przyszli najrozmaitsi ludzie i wszyscy serdecznie jej współczuli, gdy powiedziała, że dopiero od niedawna jest wdową; nikt też z niej nie drwił, że mówi dialektem.

– Pani jest z Norwegii?

– Niezupełnie – wyjaśniła Hanna. – Jesteśmy Szwedami, ale mieszkaliśmy dokładnie na granicy. Mój ojciec pochodził z Norwegii, a moja siostra wyszła za mąż za Norwega.

Hulda Andersson, która mieszkała po drugiej stronie korytarza, trochę przypominała Hannę sposobem bycia. Obie kobiety szybko się zaprzyjaźniły. Następnego dnia po wizycie sąsiadka powiedziała:

– Jesteś bogata czy musisz pracować?

– Jasne, że muszę pracować.

– Potrzebują ludzi w piekarni parowej przy Risasgata.



Ja sama tam pracuję. Umiesz piec ciasto?

Hanna roześmiała się głośno i rzekła, że czego jak czego, ale piec to żona młynarza nie może nie umieć. I tak oto Hanna przyjęła pracę w piekarni. To była ciężka harówka. Każdego dnia zaczynała o czwartej rano. Ale miało to tę dobrą stronę, że kończyła już o drugiej i w ten sposób zyskiwała dość dużo czasu na zajęcie się domem.

Pierwszego maja stała na Jamtorget i przyglądała się, jak czerwone flagi powiewają nad głowami maszerujących ludzi, którzy śpiewali:

„Wyklęty, powstań, ludu ziemi...”

– Mądrzy to oni nie są – rzekła do Huldy, która też tak uważała.

Obie przeraziły się jeszcze bardziej pewnego ranka, kiedy przechodząc przez rynek, spotkały kilka wyzywająco ubranych kobiet z wymalowanymi na czerwono ustami.

– Co ta za jedne?

– Dziwki – wyjaśniła Ilulda. – Sprzedają się marynarzom w porcie i teraz pewnie wracają do domu.

Hanna długo się wahała, nim wreszcie zadała to pytanie:

– Myślisz, że one co noc mają innego mężczyznę?

– Coś ty, one co noc mają ich paru. Inaczej to dla nich żaden interes.

Hannie zabrakło słów, czuła pustkę w głowie.

Ale w tym początkowym okresie największe wrażenie zrobił na niej mężczyzna, który zatrudnił ją w

piekarni. Nie żeby był niemiły, tylko trochę zadzierał nosa. Lecz człowiek tak wytworny jak on miał do tego prawo.

– Jak się nazywacie?

Hanna dopiero po chwili zdołała odpowiedzieć:

– Hanna Lovisa Greta... Broman.

– Mężatka?

– Tylko że mój mąż nie żyje.

– Znaczy się wdowa – powiedział mężczyzna i zapisał.

– Urodzona?

Milczała, czegoś tak głupiego nigdy dotąd nie słyszała.

Mężczyzna powtórzył:

– Gdzie i kiedy się urodziliście, kobieto?

Znała zarówno rok, jak i parafię.

Została zatrudniona. Dali jej biały fartuch i kazali pleść drożdżowe chałki. Szło jej to bardzo zręcznie. Chałki były okazałe i podobały się mistrzowi piekarskiemu.

Hanna bardzo szybko oswoiła się z babską paplaniną w cieple wielkiej piekarni. Gdy tylko mistrz zniknął z horyzontu, od razu w ruch szły języki. Było tu dużo kobiet takich jak ona, żon chłopów i wyrobników, które mówiły jeszcze brzydszym dialektem. I którym z gromadą drobnych dzieci wiodło się jeszcze gorzej niż jej.

Lecz tego przesłuchania nie zapomniała nigdy, powtarzała je sobie co wieczór jeszcze długo potem:

nazwisko, mężatka, urodzona? Czuła się tak, jakby spadła na samo dno ogromnej otchłani pod Wilczą Skalą. Kimże, do licha, ona jest, skoro nikt nie wie, że ona to Hanna, córka Augusta z Braten, wnuczka bogatego Erika z Framgarden, a potem żona młynarza znad Norweskich Stawów?

Na szczęście nie była stworzona do medytowania. Lecz w najbliższych latach wiele razy musiała opędzać się od myśli, że straciła swoje miejsce na ziemi.

Piekarnia była wielka jak pałac, ale zbudowana niczym twierdza z ogromnym dziedzińcem pośrodku. Wszystkie cztery skrzydła miały po trzy piętra wysokości, obłożono je ceglami i ozdobiono zielonymi figurami z kamienia. Znajdowały się tam działy wypiekające delikatesowy chleb wieloziarnisty, chleb razowy, pszenny, chałki i bułki paryskie.

Ale najwytworniejszy ze wszystkiego był ogromny sklep na rogu Ófre Husargata i Risasgata.

Hanna musiała tyle rzeczy pojąć i zrozumieć, że czasami wydawało jej się, iż nie ma na to miejsca w głowie. Pewnego dnia Hulda spytała mistrza, czy może pokazać koleżance młyn na samej górze tego pałacu. Zastały tam młynarza i cały zastęp pomocników. To tam mieszano i przesiewano mąkę na różne gatunki pieczywa.

– Skąd oni biorą tyle siły? – spytała Hanna szeptem.

W odpowiedzi usłyszała o maszynach parowych, które dudniły dwadzieścia cztery godziny na dobę, i o prądnicy, która wytworzone siły zamieniała na prąd.

Broman chyba by zemdlał, gdyby to zobaczył – pomyślała sobie.

Jednakże najbardziej ze wszystkiego zadziwiło ją to, co ujrzała na drugim piętrze. Żona młynarza po prostu zaniemówiła. Stały tam bowiem jedna przy drugiej potężne maszyny do wyrabiania ciasta i wykonywały tę ciężką pracę, od której nie mogła uciec żadna gospodyni.

Obie kobiety zjechały potem na dół windą, i to także przeraziło Hannę.

Jej synowie włóczyli się po mieście i zabijali pustkę gorzałką. Tak jak robił to kiedyś ich ojciec. Lecz strach nie dawał się przepędzić za pomocą takich środków.

Ragnar załatwił im pracę na budowie, ale wydrwiono ich tam z powodu śmiesznego języka i delikatnych młynarskich dłoni. Porzucili więc robotę, wrócili do domu i pokrzepiali się wódką. Gdy było z nimi już tak źle, że przez całe dni nie wstawali z łóżka, Ragnar zbeształ ich nie na żarty. Wyśmiali go jednak i wyszydzili, doszło do bijatyki i w rezultacie z eleganckich varmlandzkich krzesel Hanny zostało drewno na opał.

– Nigdy – krzyczał Ragnar – nigdy nie myślałem, że z was takie diabelne maminsynki! Jak wam nie wstyd? Pozwalacie na to, żeby utrzymywała was matka, was, dorosłych chłopów?!

Potem wyrzucił ich na ulicę, a sam zamknął drzwi od zewnątrz i poszedł własną drogą.

Hanna nigdy jeszcze się tak nie bała jak tej nocy, kiedy samotnie chodziła po mieszkaniu, zamknięta na

cztery spusty, i próbowała doprowadzić je do ładu po bójce.

Johannę Ragnar zabrał ze sobą do Lisy i oznajmił:

– Mała będzie mieszkać z nami, dopóki mama nie zrobi porządku ze swoimi przeklętymi synkami.

Kiedy wrócił do niej w niedzielę przed południem, był już spokojniejszy.

– Co my mamy zrobić, mamo?

– Na początek musisz mnie stąd wypuścić, żebym mogła pochodzić po mieście i ich poszukać.

– Idź na policję. Bardzo prawdopodobne, że tam siedzą. Policja zbiera wszystkich, którzy włączają się po mieście pijani.

– Dobry Boże – rzekła Hanna, ale od razu pokręciła głową, bo przecież ona najlepiej wiedziała, że Bóg wcale nie jest dobry. Uczesła się więc, włożyła swoją najlepszą sukienkę i nowy kapelusz i poszła na komisariat przy Sódra Allegata.

Synowie siedzieli tam w areszcie. Musieli własnoręcznie podpisać jakiś papier, zanim Hanna mogła zabrać ich do domu.

Mieli też do zapłacenia karę.

– Jeśli to się powtórzy, skończą w więzieniu – oświadczył nadinspektor na odchodne.

Ragnar wziął do siebie do pracy na ciężarówce Johna, najstarszego i najsilniejszego z braci.

– Wielkiej zapłaty dać ci nie mogę, ale jeśli będziesz pił w robocie, obiecuję, że zabiję.

Dwaj pozostali poszli do marynarki.

– Tam już was nauczą moresu – rzekł Ragnar.

Hanna nie odważyła się sprzeciwić, ale po nocach jęczała przez sen z lęku o swoich synów. I z tym lękiem musiała się zmagać cały długi rok. Obaj jednak przeżyli, wrócili do domu, bardziej rubaszni, ciężsi i poważniejsi. Dostali stałą pracę, pożenili się jeden po drugim i pili już tylko w święta.

Życie Hanny płynęło w samotności. Córka była najczęściej u Lisy. Z Johnem, który mieszkał razem z nią, zamieniała słów raczej niewiele. Ale miała swoją sąsiadkę, Hulde Andersson. Mówiła jej, że gdyby nie ona, to chybaby zwariowała.

Z Lisą nigdy się nie zżyła. Nadarzyła się jednak sposobność, by podziękować za pomoc, jaką jej wyświadczyła synowa. Właściwie to niezupełnie synowa, bo Ragnar wzbraniał się przed ożenkiem.

Lisa spodziewała się dziecka. Odwiedziła teściową i – zdaniem Hanny – strasznie biadoliła. Mimo wszystko matka podjęła się porozmawiać z synem. Co mu powiedziała podczas długiej rozmowy w kuchni, na zawsze pozostało tajemnicą, ale na pewno nie omieszkała wspomnieć o bękartach ani o okrucieństwie, jakim jest skazywanie własnego dziecka na życie w hańbie.

W każdym razie Ragnar oświadczył Lisie, że mogą się pobrać.

– Ale musisz mnie wziąć takiego, jaki jestem. I dobrze wiesz, że jeśli chodzi o kobiety, nie można mi

wierzyć.

Lisa była wdzięczna. Hanna nie mogła odżałować tych pięknych varmlandzkich krzesel, ale przy pomocy Huldy wniosła na górę sofę. Właściwie to nie było dla niej miejsca, obie jednak uznały, że z nią mieszkanie wygląda naprawdę elegancko.

Kiedy wracali synowie, rzucali na sofę o jedwabnych obiciach swoje zasmolone ubrania. Hanna ciężko wzdychała i krzyczała na Johannę, że nie sprząta po braciach. Dziewczynka robiła się coraz bardziej milcząca, lecz matka nie zwracała na to uwagi. W jej domu, w którym ciągle się kłócono, a w każde święto pito na umór, nie było wiele ciepła. Ale ona przymykała na to oczy. Bolały ją plecy.

Ból promieniował od łopatek w dół wzdłuż kręgosłupa. Najpierw myślała, że to minie, potem jednak usłyszała, że prawie wszystkie kobiety z piekarni cierpią na to samo. I że z latami będzie coraz gorzej.

Trzeba wytrzymać – powtarzały sobie. Ani słowa mistrzowi, bo zaraz zwolnią.

Kiedy Lisa urodziła syna, stała się rzecz niesłychana: Ragnar tak się cieszył z chłopca, że każdą wolną chwilę spędzał w domu. Miał coraz mniej czasu dla własnej matki i rodzeństwa.

Rok mijał za rokiem, wybuchła wojna światowa i brakowało chleba. Na Hadze doszło do zamieszek, przeciwko głodującym użyto policji i wojska. Ludzie dawali upust swojej nienawiści do królowej, która była

Niemką; obwiniali ją o to, że przemyca żywność ze Szwecji i dostarcza ją szalonemu cesarzowi. Hanna zaciskała zęby i starała się nie myśleć o bolącym kręgosłupie, wdzięczna losowi za pracę w piekarni, gdzie dostawała zapłatę w chlebie. Ona i jej dzieci nie cierpiały głodu. Potem wybuchła epidemia hiszpanki i Hanna znowu była wdzięczna, że nikt w rodzinie nie zachorował na tę straszną chorobę.

Johanna skończyła szkołę i mogła teraz pomagać w utrzymaniu domu. Zrobiło się w nim spokojniej, ponieważ chłopcy wyprowadzili się wreszcie. I porządniej. Ale między Hanną i Johanną nie układało się dobrze. Córka była arogancka i krnąbrna, nie taka miła i uległa jak synowie. Wymyślała matce, że jest głupia i nic nie umie, poprawiała jej sposób mówienia i wykrzykiwała, że powinna uwolnić się wreszcie od tych swoich przesądów i zacząć myśleć. Na początku Hanna próbowała się bronić. Za pomocą słów. Lecz Johanna znała ich o wiele więcej niż ona i miała znacznie jaśniejszy umysł.

Przecież ona zawsze była mądrzejsza od innych – pomyślała Hanna.

Kiedy Johanna wzięła udział w pochodzie pierwszomajowym socjaldemokratów, matka omal nie spaliła się ze wstydu.

– Czy ty już do końca straciłaś rozum?! – krzyczała.

– A co mama może o nim wiedzieć, przecież mama nigdy go nie miała! – wrzasnęła córka w odpowiedzi.

Z upływem lat plecy bolały coraz bardziej, Hanna



pochyliła się, ledwie dawała radę chodzić. Wytrzymała jednak aż do emerytury, na której pierwszy raz w życiu mogła sobie odpocząć. Miała swoje zdanie na temat emerytury, którą otrzymywała co miesiąc. To hańba dostawać pieniądze, na które człowiek tak naprawdę nie zapracował – wyznała Johannie. Ale tylko jeden raz, bo córka wpadła w taką wściekłość, że matka aż się przelękła.

Johanna wyszła za mąż. Hulda Andersson umarła.

Hanna doczekała się tylu wnuków, że nie mogła ich rozróżnić. Rozpoznawała tylko paskudną córeczkę Johannę. Było to dziecko o przenikliwym i oskarżycielskim spojrzeniu. Źle wychowane i brzydkie, chude i o słabych włosach.

W latach czterdziestych wybudowano na Kungsladugard dom emeryta. Johanna zadbała o to, żeby matka dostała tam nowocześnie urządzonej jednoosobowy pokój. Hanna czuła się tak, jakby znalazła się w rajach, miała łazienkę i toaletę, ciepłą wodę i centralne ogrzewanie.

– Ale co, na litość boską, człowiek ma robić, jeśli nie musi ciągle palić w piecu?

– Niech mama odpoczywa.

Hanna odpoczywała i, o dziwo, nigdy się nie nudziła. Umiała czytać, ale tak się męczyła przy składaniu wyrazów, że nie rozumiała sensu całego zdania. Czasami słuchała radia, ale i audycje słowne, i muzyka denerwowały ją.

Natomiast lubiła chodzić do kina, kinematografu – jak zwykła mawiać. Synowie ją tam zabierali, gdy tylko mieli czas, córka rzadziej. Johanna nie lubiła komików i wstydziła się głośnego śmiechu matki. A już zupełnie fatalnie było wtedy, kiedy mężczyzna i kobieta całowali się na ekranie. Wówczas Hanna zakrywała sobie oczy i wołała gromko: „Jak wam nie wstyd!”

Publiczność się z niej śmiała. Czy ona tego nie widzi? Nie, chyba nie – zastanawiała się Johanna.

Z czasem zrobiła się niesamowicie gruba. Po wielu kłótniach córka zdołała wreszcie zaprowadzić ją do lekarza, który stwierdził jakąś wadę żołądka, łatwą do zoperowania. Słyszając jego słowa, Hanna omal nie dostała zawału, tak bała się noża i szpitala. To właśnie po tej wizycie u lekarza Johanna musiała obiecać, że będzie się nią opiekować w domu, gdy przyjdzie pora umierać.

– Nie będę uciążliwa.

– Wszystko na pewno dobrze się ułoży, mamo.

Kiedy August odebrał sobie życie, niewiele brakowało, a umarłaby ze zgryzoty. Przez miesiąc postarzała się o dziesięć lat.

Ale aż do śmierci w wieku prawie dziewięćdziesięciu lat miała kryształowo trzeźwy umysł. Dokładnie w tydzień po niej podczas polowania na łosie w Hallandzie zginął Ragnar.

Śmiertelny wypadek na polowaniu. W taki sposób umarł też jego ojciec.

Lecz nie było już nikogo na świecie, kto mógłby

pamiętać Rickarda Joelssona i jego śmierć w tamtych czasach, kiedy chłopi w lasach Dalslandu polowali jeszcze na niedźwiedzie.

ANNA

Interludium

Anna siedziała w swoim pokoju do pracy, a przed nią leżał gruby niebieski notatnik. Na okładce napisała drukowanymi literami JOHANNA, na odwrocie zaś: „Próba ustalenia strategii postępowania wobec własnej matki, bez negowania jej wewnętrznego bogactwa lub wypierania się siebie”.

Stwierdziła, że to brzmi pretensjonalnie.

Na pierwszej stronie znajdowało się kilka luźnych, nie powiązanych ze sobą notatek. Dalej było pusto, kartka za kartką nieskalana biel. Jeszcze do tego nie dojrzałam – pomyślała. Za wcześnie.

Powróciła więc do szarego stustronicowego zeszytu w formacie A4, gęsto zapisanego i wypchanego uwagami na karteczkach, listami i wycinkami z gazet. Na okładce widniał napis: Hanna. Babcia.

Zaczęła od ksiąg parafialnych w Dalslandzie, co już samo w sobie okazało się przygodą: śledzenie, jak stary ród rozgałęział się po świecie, po Norwegię, w dół do samego Góteborga i za ocean do Ameryki. Potem wędrowała brzegami Długiego Jeziora, szczerze próbując otworzyć się na tajemnice tego niepojęcie pięknego krajobrazu.

Po powrocie do domu szperała w bibliotekach i antykwariatach. Studiowała folklor i płakała nad babką, która już jako dziecko stała się nierządnicą. Wzmiankę o leśnym wieszczbiarzu i jego żonie czarownicy znalazła w jakimś starym wycinku z prasy, zdumiona, jak długo pogańskie wierzenia przetrwały w odległych regionach

przygranicznych. Śledziła rozwój gospodarczy tej części kraju, próbując zrozumieć to, o czym mówiły księgi parafialne: że czworo starszego rodzeństwa babci umarło z głodu w latach kryzysu.

Przebrnęła przez stos zapisków z parafii położonych wokół jeziora. Starzy ludzie pisali w nich o niedzielach i świętach, opowiadali o dniu powszednim wyznaczanym przez rytm pór roku, a nie przez zegar. Czytała historie o zwykłych ludziach, ale jeszcze częściej o niezwykłych, takich, o których długo pamiętano w okolicy. Wspomnienia z tych złych dni wydawały się opromienione jakimś światłem. Była w nich jakby wielka tęsknota za tym, co na zawsze utracone.

Siedziała przy dużym oknie swojego pokoju do pracy i z wysokości dziesiątego piętra spoglądała na rozpościerający się pod nią nowy świat. Tu i ówdzie pozostawiono między domami parę sosen. Wyglądały, jakby zostały niedbale rzucone byle gdzie, przez ludzi, którym nagle znudziła się zabawa w budowanie miasta.

W jej mieszkaniu było głośno, ponieważ tuż przy wieżowcach biegła autostrada.

Hanna stała się postacią z krwi i kości dopiero wtedy, gdy Anna włamała się do skrzyni na poddaszu w domu rodziców. Znalazła tam całą spuściznę po babce, pod postacią dokumentów, spisów inwentarza, kopii testamentów, aktów urodzenia i nekrologów. Były tam też całe paczki pożółkłych listów od krewnych z Ameryki, Norwegii i z Góteborga.

Najczęściej pełne ufności, pisane starannym charakterem pisma. Ani słowa w nich o niesprawiedliwości, głodzie czy hańbie. Ich autorzy trwali nadal w granicach tego świata, w którym wyrosli i którego nigdy nie opuścili. Nawet jeśli od dziesiątków lat mieszkali w Minnesocie.

Niektóre z listów Hanna włożyła pomiędzy kartki swego notatnika. Wyjęła teraz kilka z nich, przeczytała je powtórnie i po raz pierwszy pomyślała, że chyba na swój sposób odpowiadały one prawdzie. Odzwierciedlały rzeczywistość, w której nie przyznawano się do goryczy i niewdzięczności, a tym samym zaprzeczano ich istnieniu.

Jedynie listy od Astrid z Halden i z Oslo były inne, pisane dużymi, nierównymi literami, pełne jakichś zwariowanych pomysłów, medytacji i plotek. Istna kopalnia złota, bardzo osobiste świadectwo! Anna rozumiała jednak, że Astrid nie jest obiektywnym świadkiem prawdy. Raczej poetką. A ona właśnie potrzebowała prawdy i sposobu widzenia poety.

Czy mama przeczytała listy Hanny, kiedy odziedziczyła ten zbiór? Chyba nie. Ona była taka jak ja, zbyt przytłoczona rodziną.

O tym, że wujek Ragnar miał innego ojca, Anna wiedziała od zawsze. Księgi parafialne potwierdzały to w swym surowym języku: „NS”, a dalej „Ojciec nieznany”. Co znaczyło być nieślubnym dzieckiem, potomkiem nierządniczy czy samotną matką i dziwką – nauczyło ją studiowanie etnografii.

Hanna miała trzynaście lat, kiedy urodziła syna. Wyliczywszy to, Anna zaczęła płakać ze współczucia i bezradnej wściekłości.

Chyba rzeczywiście byłaś silna. Tak jak mówiła mama.

Anna dobrze pamiętała wujka Ragnara. Myślała o nim jak o królu z bajki, pięknym i silnym aż po podeszły wiek, ekscentrycznym i rozrzutnym. Przypominała sobie jego uśmiech, który zaczynał się od błysku czarnych oczu, potem rozlewał się niżej i zmierzając do ust pod gęstymi, krótko przyciętymi wąsami, układał smagłą twarz w fałdy.

– Na jego widok mięknie nawet serce z kamienia – mawiała mama.

– Masz na myśli serce kobiece – dodawał tata.

Od czasu do czasu, ale zawsze niespodziewanie, jej fantastyczny wujek zajeżdżał swoją ciężarówką, która była równie imponująca jak on sam. „No, siostrzyczko, wstawiaj garnki do pieca!” Przypominała sobie gromki śmiech, który grzmiał w całym domu, przerażał i oczarowywał. Pamiętała też, jak pachniał mężczyzną, czyli potem, tabaką i piwem.

I pieniędzmi. Ciepłymi srebrnymi monetami. Często siadywała mu na kolanach, a jemu za każdym razem udawało się w jakiś sposób wcisnąć jej coś do ręki albo do kieszeni, zawsze wtedy, kiedy mama na chwilę odwróciła wzrok. Potem mrugał do niej lewym okiem na znak, że mają wspólną tajemnicę, on i dziecko.

To było wspaniałe.



Umiał także ruszać uszami.

Kto był tym nieznanym ojcem – dowiedziała się z jednego z listów z Ameryki. „Słyszeliśmy, że Rickard Joelsson z Lyckan zginął na polowaniu. Czyli doczekał się wszak kary ten potwór, który zrujnował Hannie życie”.

Postawiła przy jego nazwisku duży wykrzyknik. Ojciec dzieci Anny też miał na imię Rickard. Nie był złoczyńcą jak młody Joelsson, ale jemu też się zdarzało padać ofiarą własnego uroku. Nieszczęsna skłonność...

Anna westchnęła.

Potem poszukała koperty z fotografiami, które wykradła z rodzinnego albumu. Tu on jest, ten wujek Ragnar, podobny do swojego ojca Rickarda, ale niewiarygodnie różny od pozostałych krewnych. Może zła Lovisa pozwoliła sobie na dziką miłość z jakimś Cyganem, może w leśnej kryjówce żądza trawiła jej spragnione łono przez kilka nocy.

Nagle zdała sobie sprawę, że między jej mężem a tym gwałcicielem z Dalslandu istniało jeszcze jedno podobieństwo. Obaj mieli matki, które przejawiały chorobliwą manię: zmuszały własne dzieci, aby dzieliły z nimi ich gorycz. Z córkami najeźściej im się to udawało, one bowiem identyfikowały się z niedolą matek i niosły ich zgorzknienie dalej przez kolejne pokolenia. A z synami? O nie, ci najsilniejsi zwykle bronią się przed tym i stają się mężczyznami, uciekając bezustannie przed wszystkim, co jest trudne i wymaga wrażliwości.

Signe z Johannebergu była subtelniejsza i znacznie

sprytniejsza niż Lovisa z Lyckan. Jej mąż nie znalazł wszakże dosyć powodów, by ją zabić, i dlatego wolał sam umrzeć młodo. Ale Rickard Hard wcale nie miał łatwiejszego życia niż swego czasu Rickard Joelsson na Lyckan. Zegar wybił dwunastą. O tej porze karmiono mamę.

Anna wyjęła sobie kefir z lodówki i wkruszyła do lekko kwaskowatego mleka kromkę razowego chleba. Gdy jadła, nie dawały jej spokoju myśli o Rickardzie, jakby niechcący otworzyła starą, nie dającą się zaleczyć ranę.

Przypomniła jej się czas sprzed rozvodu, najgorsze lata, kiedy ciągle płakała, jeśli tylko znalazła się sama. Początkowo nie brała tych swoich codziennych łez na poważnie, uważała je po prostu za przejaw litowania się nad sobą. Dopiero gdy zaczęła płakać przez sen, przestraszyła się i poszła do psychiatry. Do takiego, który akurat był bardzo modny. Powiedział jej:

„Jest pani jedną z tych współczesnych kobiet, które dokonują kastracji własnych mężów”.

Wtedy wstała i wyszła.

Głupio zrobiła, bo w ten sposób do niego należało ostatnie słowo, ją zaś latami dręczył wewnętrzny przymus, aby się z nim rozprawić.

Włożyła talerz do zmywarki i od razu wróciła do swych notatek. Różnic między nią a babcią było dużo, dokładnie tak jak się spodziewała. Hanna przyjmowała życie takim, jakie ono jest, Anna się buntowała. Hanna to

osoba spontaniczna, Anna zawsze szukała odpowiedniego wyrazu. Hanna całą duszą należała do swego trudnego i niesprawiedliwego świata. Anna czuła się w miarę dobrze i bezpiecznie tylko przez krótkie chwile, kiedy na przykład mogła skinąć w stronę jakiegoś drzewa i powiedzieć: „Ja ciebie skądś znam”.

Nie były nawet tak bardzo do siebie podobne z wyglądu, jak Anna sądziła. Hanna miała ciemniejsze włosy i potężniejszą sylwetkę.

Znowu zatrzymała się przy opisie tego gwałtu. Zaledwie dwanaście lat, to przecież szaleństwo. Ile ja miałam lat, kiedy dałam się nabrać temu Donaldowi, studentowi z Ameryki, którego zwabiły tu opowieści o szwedzkiej rozwiązłości? Musiałam chyba skończyć dziewiętnaście, bo stało się to na pierwszym roku studiów. I nie był to akt gwałtu, choć oczywiście w pewnym sensie tak – gwałt wzajemny, jeśli coś takiego w ogóle istnieje.

Od wielu, wielu lat nie myślała już o Donaldzie, mimo że dosyć długo utrzymywali znajomość. Siedziało to w niej mocno, ponieważ oboje rozwinęli w sobie niezwykłą umiejętność ranienia uczuć partnera, choć przecież ani się nawzajem nie rozumieli, ani nie znali. Była to dość osobliwa relacja, coś w rodzaju pokrewieństwa.

I, ma się rozumieć, zaszłam w ciążę, babciu. Tak jak ty. Usunęłam ją, w tamtych czasach w środowisku uniwersyteckim dawało się to bez trudu załatwić. Nie miałam żadnych skrupułów, moja jedyna obawa dotyczyła

mamy – żeby tylko się o tym nie dowiedziała. Ale ja studiowałam w Lundzie, a ona mieszkała w Göteborgu i, chwala Bogu, niczego się nie domyśliła.

Wierzyłam oczywiście, że to miłość pchnęła mnie w ramiona Donalda. Całe moje pokolenie było wprost opętane tęsknotą za wielką namiętnością.

Ty, babciu, w ogóle nic byś nie pojęła z tego rodzaju uczucia. W twoich czasach miłość jeszcze nie przeniknęła z wyższych klas do chłopskich nizin.

Nie brakło romantycznych przeżyć, opowiadano po wsiach tragiczne historie miłosne. Ale nie miały one niczego wspólnego z problemami i warunkami życia. Były jak opowieści z ulicznych piosenek. Jeśli Hanna w ogóle ich słuchała, to myślała pewnie, że młody podporucznik był fircykiem, a tancerka na linie lekkomyślną dziewczyną. „Dla ciebie dziecko zabiłam...” – ta znana ludowa przyśpiewka pewnie wyprowadziłaby ją z równowagi.

Jezu drogi, co za bzdury! Dlaczego oni od razu nie skrócili tego faceta o głowę?

W latach dwudziestych wielka miłość zawładnęła także prostym ludem. Johanna uważała, że poszukiwania młodych sprowadzały się przede wszystkim do tego, co ona całkiem poważnie nazywała „znalezieniem tego właściwego”. A fakt, że w jej przypadku ów „właściwy” stanowił kopię zmarłego ojca, umocnił mit, lecz bynajmniej nie uczynił jej życia mniej skomplikowanym.

Mimo to Johanna nie była romantyczna i w

konsekwencji również nie tak wymagająca jak następne pokolenie kobiet.

Dla Anny i jej rówieśników miłość to fakt nie podlegający dyskusji. Współczuli każdemu, kto jej nie znalazł. Do tego dochodził jeszcze jeden wymóg: doskonały seks. Zakochanie trwające całe życie i nieustający orgazm.

Teraz marzenia rozpryskiwały się jak bańki mydlane. Ale każda zmiana wymaga czasu. Kiedy ludziom nie udawało się znaleźć miłości i utrzymać obezwładniającej żądz przez całe długie życie, myśleli wtedy, że coś jest z nimi nie w porządku. Dopiero dzisiaj, gdy niemal co drugie małżeństwo kończy się rozwodem, zaczynamy niechętnie przyznawać, że zakochanie rzadko przeradza się w miłość i że nawet ona nie jest w stanie wyzwolić człowieka z samotności. I że seks nie napędza życia sensem.

– Jezu, co to za idiotyzmy – powiedziała Anna. Lecz po chwili dodała: – Może jednak nie!

Najchętniej by uciekła, kiedy się zorientowała, dokąd zmierza. Do Fjaras Bracka, pasma wzgórz, dokąd tego gorącego lata pod koniec lat pięćdziesiątych wymykali się w każdy wolny dzień. Obwąchiwali się nawzajem, gryźli, lizali i śmiali. Przed nimi leżało morze ze stadami mew, a z tyłu czarodziejskie nadmorskie krajobrazy przepełnione świergotem ptaków, które zamieszkiwały wielkie lasy opadające pionowo ku morzu. Jak on pachniał, smakował i śmiał się! Radość, jego radość w jej ciele. I jego oddanie,

jej wdzięczność, jego wdzięczność.

Powiedział, że zrodził się z morza, a ona mu uwierzyła, mogła bowiem sobie wyobrazić, jak pewnego jasnego ranka wynurzył się z fal, z wiankiem trawy morskiej we włosach i trójzębem niedbale opartym na ramieniu. Ona wywodzi się z lasu – stwierdził – pięknie ukształtowana przez wiatr i deszcz, lekka jak mgła unosząca się nad morzem. Sylfida, która kryła się w lasach przez miliony lat, zapomniała języka elfów i teraz z całą powagą próbowała nauczyć się ludzkiej mowy. To jego zadaniem jest nadać jej substancję, uczynić z niej ziemską kobietę.

– A moim trzymanie morskiego bożka tak mocno, żeby nie porwała go najbliższa fala.

Roześmiała się, lecz on spochmumiał, zamknął oczy i złożył razem ręce:

– Co ty robisz?

– Proszę o siłę, żebym nie sprawił ci bólu.

O dziwo, nie spytała go wtedy, czy jest wierzący. Tamta chwila była na to zbyt wielka.

Poza tym nie miała też dość rozsądku, żeby czuć się czymkolwiek zaniepokojona.

Stosunek Hanny do własnego odbicia wywarł na Annie głębokie wrażenie, ponieważ ona sama też miała zawsze dosyć sceptyczne nastawienie do swego wyglądu. Zastanawiała się właśnie, kiedy to się zaczęło. I jak. Czyje to spojrzenia, czyje słowa sprawiły, że przez całe życie nie opuszczało jej poczucie, iż jest brzydka, niezgrabna,

niemal szpetna?

Johanna była ładna, miała jednak ten sam problem. Na filmach, w których Anna utrwała zabawy swoich dzieci, nieraz widać, jak mama ucieka przed obiektywem albo zasłania sobie twarz rękami, gdy zostaje skierowany w jej stronę.

Chudej i zalęknionej nastoletniej córce Johanna powtarzała:

– Jesteś taka słodka, moje dziecko. Poza tym wygląd nie ma w ogóle znaczenia.

Rozdwojona postawa, podwójne przesłanie.

Gdy Anna miała zaledwie kilka lat, często rozmawiano o tym, do kogo z rodziny jest podobne to czy inne dziecko. Jeśli chodzi o nią, nie było dyskusji: przypominała swoją babcię ze strony ojca. Dziewczynka nie znosiła tej kobiety, pomarszczonej niewielkiej staruszki o ostrych rysach i wodnistych jasnoniebieskich oczach. Na dodatek w jej osobie dawało się zauważyć coś ponurego i jednocześnie wspaniałego.

Johanna bała się swojej teściowej.

Wszyscy mówili, że babcia była kiedyś piękną. Anna nie mogła tego pojąć; dopiero gdy staruszka umarła i wyciągnięto jej zdjęcia z młodości, zrozumiała. Przekonała się, że wszyscy mają rację: babcia była piękna i rzeczywiście istniało między nimi podobieństwo.

Ale było już za późno. W jej świadomości na zawsze utrwalił się wizerunek brzydkiej dziewczyny.

Nic więc dziwnego, że Rickard Hard swą namiętą

miłością sprawił, iż zaczęła widzieć siebie jako sylfidę. Już od pierwszej chwili dał Annie to poczucie, w sposób niemal cudowny, jakby dotknął jej czarodziejską różdżką.

' Mimo że gwizdał przy tym na palcach.

Latem zawsze wyjeżdżała do domu z Lundu, gdzie ciężko pracowała, ale nigdy nie czuła się dobrze. W swoim rodzinnym mieście zaczęła się w korektorni jednej z gazet.

Przymyka teraz oczy i widzi przytulne, zniszczone pokoiki, słyszy, jak trzaskają maszyny drukarskie, i czuje zapach papieru, kurzu, farby drukarskiej i papierosowego dymu. Już pierwszego dnia stanął w drzwiach jej pokoju jeden z młodych reporterów, najsprytniejszy i najprzystojniejszy. Jak jakiś chłopak z ulicy gwizdże z zachwytu, ale po chwili się opanowuje i mówi:

– Czy ty jesteś kobietą, czy tylko snem?

– Chyba tym ostatnim – odpowiada ona ze śmiechem.

Jak on wyglądał? Był wysoki, barczysty, ciemnowłosy, o wrażliwej twarzy pełnej życia i śmiejących się szarych oczach. Anna wyciąga znowu zdjęcie wujka Ragnara. Może oni dwaj są jednak do siebie podobni? Ot, choćby sposób, w jaki się uśmiechają. Może rodzą się jeszcze bogowie na ziemi, pełni życia i ciepła, lekkości i uroku. Niewierni i zmysłowi jak sam bożek Pan.

Tak czy inaczej, on błyskawicznie się w niej zakochał, ten młody bożek z nie pozamiatanej redakcji. Oczywiście tak jej to pochlebiło, że niebawem



skapitulowała. Teraz była wdzięczna Amerykaninowi za to, czego nauczyła się od niego w łóżku. Wszystko rozwijało się szybko, za szybko. Nieoczekiwanie Rickard poczuł się w kuchni Johanny jak u siebie, nie szczędził swego ciepła, śmiechu i opowiadał te zwariowane historyjki.

Kiedy pożegnał się po pierwszym wieczorze, tata powiedział: „Przyjrzyj no się, to był mężczyzna”. A mama raz po raz w milczeniu kiwała głową, pochylona nad zlewem. Anna zrozumiała wtedy, że znalazła tego właściwego.

Johanna nigdy nie zmieniła zdania. Natomiast Anna zaledwie po miesiącu zaczęła mieć wątpliwości.

– Mamo, wszyscy mówią, że to kobieciarz.

Na dłuższą chwilę w słuchawce zapanowała cisza. Wreszcie matka rzekła:

– To smutne. Ale mam wrażenie, że przed nim nie uciekniesz.

Kiedy siedzi teraz w Sztokholmie w swoim pokoju do pracy, wspomina i zapisuje – czuje, jak narasta w niej wściekłość. Powinnaś mi była doradzić, żebym uciekła od tego mężczyzny gdzie pieprz rośnie. Ale już po chwili śmieje się głośno. A potem wszystko zaczyna układać się jasno w jej głowie – o dziwo! Teraz bowiem myśli tak, jak zwykła to czynić Hanna:

„To było przeznaczenie”.

Duma długo nad ciotką Lisą, żoną Ragnara, za której istnienie była wdzięczna. To przecież jedna z pierwszych

samodzielnych kobiet, właścicielka sklepiu mająca własne dochody.

Ale taka zmęczona, zawsze zmęczona.

Wspomnienie własnej babki zawiodło Annę do babki Rickarda, delikatnej, nierealnej starej kobiety, przejrzystej i jasnej. Spotkała ją tylko jeden raz, w domu starców, w którym czekała na śmierć. To były jej własne słowa.

Annie zaś powiedziała:

„Mam nadzieję, że jesteś miękka i elastyczna. Twarda kobieta może uczynić z chłopaka potwora”.

„Jak to?”

„Nie wiem. Może to się dziedziczy. Taka... jest właśnie jego matka. Czasami synowie muszą być jak krzemień, jeśli chcą przeżyć. Przecież pewnie wiesz, że krzemień jest twardy, ale łatwo się kruszy”.

Po czym zasnęła, tak szybko, jak zdarza się to tylko ludziom starym. Za ledwie czternaście dni później już nie żyła.

To takie dziwne, że zapomniałam ją i jej słowa, że w ogóle tak szybko zapomniałam. Bo przecież ja sama też zrobiłam się wreszcie twarda.

„Ty jesteś z kamienia, to zawsze dasz sobie radę” – powiedział podczas którejś kłótni.

Nie miała siły mu na to odpowiedzieć, nie wtedy. Krzyknęła tylko:

„Jesteś oszustem!”

Jest godzina czwarta. Teraz przygotowują mamę na noc. Boże drogi, ile jednak nazbierało się win, mammo.

Z pamięci wynurza się obraz starego prześcieradła z monogramem „A. H. ” wyhaftowanym ozdobnymi wersalikami. Albo te ręczniki, które sama uszyłaś. Powiedziałaś, że znalazłaś takie fantastyczne frotte. To prawda, one ciągle jeszcze się trzymają i żaden inny ręcznik nie schnie tak dobrze ani nie jest tak miły w dotyku.

Uszyłaś mi moją „wyprawę”, a ja śmiałam się z ciebie, bo takie rzeczy można było przecież kupić, jeśli się ich potrzebowało. Mam nadzieję, że nie poczułaś się wtedy odrzucona i wzgardzona. Pewnie zrobiło ci się tylko jakoś tak dziwnie przykro.

Twoje lustro. Przyniosłaś je, dumna i szczęśliwa – do mojego przedpokoju. Byłam zwolenniczką prostoty, miałam to, co na początku lat sześćdziesiątych nazywano dobrym smakiem. Boże, jak ja bardzo chciałam wierzyć, że nie zauważyłaś mojego rozczarowania, kiedy tak stałyśmy przed tym lustrem o pozłacanych ozdobnych ramach. Teraz wisi u moich dzieci, należących do pokolenia uwielbiającego kicz.

Muszę niedługo zadzwonić do taty.

Hanna przez całe swoje życie zachowała wiarę w to, co raz ustalone, i żywiła głęboką nieufność wobec wszystkiego, co odmienne, nieznanne i nowe. Gardziła poszukującymi, co to chodzą tajemniczymi i krętymi ścieżkami w świecie, w którym wszystko zostało wymierzone. Niezwykła myśl, nowa idea lub niewytłumaczalna tęsknota zagrażają samym

fundamentom.

Kiedy niewzruszona postać babci zaczęła coraz wyraźniej zarysowywać się na tle notatek, Anna poczuła rozdrażnienie. Jakże ta kobieta była jednak nieskomplikowana, jak ograniczona.

Potem pomyślała, że właściwie Hanna nie różni się od większości ludzi, nawet tych, którzy żyją dzisiaj. Jeśli nowe fakty zagrażają utrwalonym wzorcom, wówczas rzadko zwycięża rozsądek: „Wiem, co mam myśleć, więc niech nikt mi tu nie wyjeżdża z jakimiś nowymi punktami widzenia i nie robi zamętu”. Przecież nawet ona postępuje tak samo, automatycznie wypiera doświadczenia, które nie są w zgodzie z jej własnymi ocenami. I ze ślepą, ale niezawodną pewnością rozpoznaje informację, która jej odpowiada i usprawiedliwia postępowanie.

To samo robiła Hanna.

Tyle że dzisiaj inne są prawdy, pewniejsze, wyposażone w dowody i wsparte przez naukę.

Anna żyła świadomie – tak to teraz nazywano. Była świadoma na przykład niesprawiedliwości wobec kobiet, tego wszystkiego, czym tak wnikliwie zajmowała się w swoich badaniach. Prowadziło to do rozgoryczenia – uczucia, którego odbicie można znaleźć na twarzach tylu kobiet, a echo usłyszeć w ich śmiechu.

– Chcę wierzyć w sprawiedliwy świat – powiedziała głośno, zwracając się do fotografii stojącej w ramce na jej biurku. – Jest mi to potrzebne, rozumiesz! Świat powinien być tak urządzony, żeby dobro było nagradzane, a zło

karane. Żeby wszystko miało sens.

Boże drogi, jakie to głupie!

O wiele głupsze niż twoja wiara w niesprawiedliwego Boga. I znacznie okrutniejsze. To przecież wiara w sprawiedliwość każe nam, ofiarom, mieć swój udział w winie. W sprawiedliwym świecie małe dziewczynki nie będą gwałcone.

Ale posłuchaj mnie, babciu, mimo wszystko! To właśnie wiara w to marzenie, że dobro jest możliwe, pozwoliła nam zbudować nowe społeczeństwo. Również ty skorzystałaś z tego postępu – emerytura, ciepła woda, łazienka...

Godność człowieka?

Zawsze mnie zdumiewa kobiece współczucie, po co ono komu? Istnieje subtelniejsze słowo: empatia. Jeśli wierzyć psychologom, zdolność człowieka do empatii zależy od tego, ile miłości doznał jako dziecko i jak był traktowany. Ale przecież chłopcy nierzadko bywają bardziej kochani niż dziewczynki i mimo to wyrastają na dorosłych, którzy nie odczuwają potrzeby ciągłego współodczuwania bólu innych. A może... ?

Mama miała niewyczerpane współczucie dla słabych, chorych i upośledzonych. Czyli w jej przypadku ta prawidłowość znajdowałaby potwierdzenie, ponieważ jak na dziecko urodzone na przełomie wieków Johanna doznała wyjątkowo dużo ciepła.

Nagle nowa myśl, nowe zapiski. Czy to miłość ojca sprawiła, że Johanna wmówiła sobie, iż ma prawo czegoś

wymagać? Przez całe życie była aktywna politycznie, to jej pokolenie – w przekonaniu, że sprawiedliwość jest możliwa – zbudowało społeczeństwo socjalnego dobrobytu. I to ono wychowało następną generację – zawiedzionych mężczyzn i kobiet, nie przygotowanych na żalobę i smutek, bez gotowości śmierci. Anna znowu spojrzała na fotografię Hanny:

Triumfowałaś, kiedy umarł Rickard Joelsson. Ja płakałam, gdy wносиłam pozew o rozwód z Rickardem Hardem. Ty oddałaś się radości i zaszłaś w ciążę, a ja urodziłam dziecko właśnie wtedy, gdy dowiedziałam się, że mój mąż od pół roku ma romans z koleżanką z pracy. Zalewałam się łzami nad kołyską nowo narodzonej córki. Moi przyjaciele mówili, że tak będzie dla mnie lepiej. Ale nie było lepiej, ani dla mnie, ani dla dziecka.

Ty nigdy nie płakałaś, zapłakałaś dopiero wtedy, kiedy umarł dziadek.

Przewróciła kilka kartek do tyłu, cofnęła się do opisu Hanny i zwyczaju, który pozwalał nosić chustkę na głowie tylko uczciwym kobietom. Opisu, z którym nie była w stanie nic zrobić. Dobrze wiedziała, dlaczego. Czuła hańbę babki na własnej skórze.

Pamiętała każdą sekundę po kolei.

W pewnej willi na Lidingó odbywało się przyjęcie, sami ludzie z prasy. Mokro. Ona w ósmym miesiącu ciąży, spowita w namiot ze srebrnej lamy. Błada, sztywna, nie na swoim miejscu. Gdy tylko skończono jeść, Rickard oddalił się w stronę sypialni na piętrze wraz ze swą

towarzystką od stołu, podobną do Cyganki. Po prostu zniknął. Inni starali się nie patrzeć na Annę. Ona nie istniała, była tylko hańba. Nie pamięta, jak wyszła z tego domu, przypomina sobie jedynie, że szła i szła po mokrych od deszczu ulicach, aż wreszcie pokazała się jakaś taksówka i zawiozła ją do domu.

Następnego dnia chciał z nią o tym porozmawiać.

Ona nie słuchała.

On zawsze chciał o tym mówić, o swoich „skokach w bok”, jak to określał. Żeby zrozumiała.

Ale ona nigdy nie słuchała. Nie umiała zrozumieć. Pragnął wybaczenia, lecz ona nie potrafiła mu wybaczyć.

Dopiero w wiele lat po rozwodzie potrafili ze sobą porozmawiać. Ale to był niewłaściwy dzień i niewłaściwa pora, bo właśnie za godzinę wyjeżdżał do Rzymu, gdzie miał obserwować konferencję na temat ochrony środowiska. Powinni spróbować jeszcze raz. Ze względu na dzieci – oświadczył.

– Przecież ty mieszkasz w tym samym domu co my – powiedziała. – Nasze dzieci są w lepszej sytuacji niż te wszystkie maluchy, które wyrastają w rodzinach, gdzie ani na chwilę nie ustają kłótnie.

– Ty masz zawsze rację – rzekł. – I to jest właśnie okropne, nienawidzę cię za to. Jesteś tak diabelnie praktyczna. Nie dam sobie rady bez ciebie. Czy mam paść przed tobą na kolana?

Nie zauważył, żeby płakała.

– Nigdy nie rozumiałaś, że te moje śmieszne historie

z innymi kobietami to tylko sposób przybliżenia się do ciebie. Ale to też nic nie dało. Moja niewierność nic cię nie obchodziła.

Rozwścieczony mężczyzna, jej mąż, kontynuował:

– Kobiety twojego pokroju zawsze rodzą we mnie odczucie, że zostałem przejrany. Właśnie dlatego boję się za każdym razem, kiedy wkraczam na twoje terytorium. To nie kwestia twojej inteligencji, nie, tu chodzi o coś znacznie gorszego.

„Gatunek kobiety kastrującej własnego męża”.

W tym momencie jej paraliż ustąpił.

– Ale dlaczego to jest takie niebezpieczne „być przejrzanym” i takie ważne, by utrzymać własną przewagę?

– Nie wiem.

Być może on też stał się ofiarą schematu podziału ról i jednocześnie nie był tak głupi, by tego nie zauważyć. Inaczej niż tata.

– Koniec z tymi idiotycznymi historiami, przyrzekam ci, Anno.

Wtedy mogła zacząć krzyczeć:

– Ty idioto! Ta twoja niewierność mnie zabiła, zabrała mi wszystko, czym byłam, moją ufność, moją niewinność. Umarłam, rozumiesz? To, co ze mnie pozostało, to tylko jędra. Ta, której tak się boisz.

Zauważyła, że pojął. Że wreszcie pojął.

– O Boże, dobry Boże – westchnął.

Na koniec prawie niesłyszalnie dodał:



– Dlaczego nigdy tego nie mówiłaś?

Płakała, nie mogła odpowiedzieć.

Nagle wpadł we wściekłość.

– To ty mnie zmuszałaś, żebym cię źle traktował! I wreszcie znienawidziłem samego siebie. Przyglądałaś się spokojnie, jak nie udawało mi się to, czego najgoręcej ze wszystkiego pragnąłem, i myślałem wtedy, że dla ciebie nie ma to w ogóle żadnego znaczenia.

– To nieprawda! – krzyknęła.

Nie miał wątpliwości, że ona płacze.

– Ty płaczesz! Nigdy przedtem tego nie robiłaś.

Wtedy roześmiała się tak donośnie, że aż sama się przeraziła.

– No, widzisz.

Ale ten straszny śmiech nie cichł, nie umiała go powstrzymać. Gdy wreszcie się uspokoiła, powiedział:

– Możesz być pewna, że nie chciałem, byś cierpiała. Byłbym szalony, gdybym wiedział, jak naprawdę się czujesz. Byłaś taka inteligentna i szczerą. Napawałaś mnie dumą. Może to ja sam chciałem, abyś była właśnie taka. Ale potem się wściekłem, bo ty rzeczywiście taka byłaś. Taka diabelnie silna.

– Wcale nie. Niewiele brakowało, bym zwariowała.

Na ulicy zatrąbiła taksówka. Pora na niego.

Oczywiście wiedziała, że przyjmie go z powrotem. Jej samotność już podjęła za nią decyzję. I może głód jego ciała w jej ciele?

Anna spojrzała na zegarek. Minęła piąta, muszę

zadzwoić do taty! Każdego dnia było tak samo trudno.  
Wyrzuty:

- Ach, tak, nagle sobie przypomniałaś o starym ojcu.
- Dzwoniłam wczoraj. Jak mama się dzisiaj czuła?
- Dobrze, nie najgorzej. Udało mi się ją zmusić, żeby wszystko zjadła. Dawałem jej na zmianę łyżkę mielonego mięsa i łyżkę owocowej zupy. Wiesz przecież, ona jest jak dziecko, najpierw chciałyby deser.
- Świetnie dajesz sobie radę, tato.
- Kiedy wpadniesz mnie odwiedzić?
- Byłam u ciebie w zeszłym tygodniu. Nie pamiętasz?
- Tak łatwo zapominam.
- Zadzwoię jutro jak zwykle.

Koniec, dzisiaj poszło wyjątkowo gładko, ale słuchawka była wilgotna od potu. Dlaczego, u licha, ta rozmowa jest taka ciężka? Zmusza się do niej co dnia.

Chciałabym, żebyście nie żyli. Oboje.

W kilka dni po kłótni z Rickardem znalazła w jakiejś książce myśl, która zrobiła na niej duże wrażenie: „Miłość wolnego mężczyzny nigdy nie jest pewna”.

To prawda – pomyślała.

Była tak przejęta, że kupiła pierwszą lepszą widokówkę, zapisała na niej tę mądrą myśl i wysłała ją do hotelu w Rzymie.

Potem nadszedł list. Musi go wyjąć, poszukała w swoich szufladach kluczyka do tajemnej szkatułki, otworzyła ją, znalazła kopertę z rzymskim stemplem i

zaczęła czytać.

„Nigdy nie chciałaś mnie słuchać. Ale słowu pisanemu nie potrafisz się oprzeć, dlatego może spróbuję wytłumaczyć Ci to w liście.

Jesteś naiwna. Wolny mężczyzna to chyba taki, który nie poddaje się żadnej władzy nad sobą. On nie musi się mścić. Moje kobiety były podobne do mnie, szukały zemsty. W każdym razie tak przypuszczałem. Co do pierwszej, Soni z przyjęcia na Li-dingd, jestem tego pewien, bo jej kochanek też tam wtedy był. To gówniarz, którego znałem już od dawna.

Kogo ja chciałem upokorzyć i na kim ja chciałem się zemścić – to nie ulega wątpliwości. Na Tobie. My, Ty i ja, ulegliśmy temu samemu katastrofalnemu obłędowi, chcieliśmy zademonstrować, co to jest miłość – nie władza, lecz pożądanie w zetknięciu się dowolnej kobiety i dowolnego mężczyzny. To perwersyjne. Ale perwersja nie osłabia pożądania, sądzę, że tyle jesteś w stanie zrozumieć nawet Ty. Natomiast nie potrafisz pojąć podniecenia, które towarzyszy dwojgu ludziom łączącym się z zamiarem wyrządzenia krzywdy.

Dokładnie tak samo było ze wszystkimi moimi kobietami. Choć z Lilian zdarzyła mi się pomyłka. Ona zakochała się we mnie, a ja się na nią wściekłem. Moim zdaniem coś takiego nie wchodziło w zakres umowy.

I dlatego tak długo trwało, zanim się jej pozbyłem. Ty byłaś w ciąży z Malin, podobna do bogini bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Do diabła, co ze mnie za potwór!

I tu dotarliśmy do głównego pytania: dlaczego musiałem się zemścić na Tobie? Jesteś uczciwa, lojalna i słodka – czyli masz wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłem.

Nic nie wiedziałem o miłości, kiedy Cię spotkałem. Gdybym to zrozumiał, uciekłbym. Właściwie to nie chciałem tego destrukcyjnego podporządkowania, które czyni z mężczyzny niewolnika. «Wolny mężczyzna» odpowiada Ci więc, że to Ty miałaś nieograniczoną władzę. Jeśli byłaś kwaśna przy śniadaniu, mój dzień zamieniał się w piekło. Jeśli byłaś wesoła, czułem się odurzony własnym zwycięstwem. A jeżeli byłaś zła i mnie zwymyślałaś, zasługiwałem na to. Tej Twojej władzy nade mną nadal się boję. Ale nie jestem w stanie żyć bez Ciebie. Nie dorastam Ci do pięt, to ja się puszczałem, kłamałem i oszukiwałem. Mimo to ośmielałem się sądzić, że to wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, gdybyś chociaż jeden jedyny raz spróbowała wysłuchać, co mam Ci do powiedzenia. Jesteś bardzo dumna, tak zostałaś wychowana, dlatego Cię nie oskarżam. Już sama próba zrozumienia byłaby poniżej Twojej godności. A może się mylę?”

List był nie podpisany, zastanawiała się, dlaczego.

Uśmiechnęła się jednak, kiedy sobie przypomniała, jak literowała swój telegram do Rzymu:

„Spotkamy się Zielone Świątki Fjar8s Bracka”.

Potem nasunęła się jej ta sama myśl co wtedy, gdy dostała list – Rickard wymagał wyjątkowo dużo uwagi.

Żeby zachować władzę nad swym życiem, musiał mieć możliwość wyboru i odmowy, chwytania i odrzucania. Na tym polegała jego słabość, jego zasadnicze rozdwojenie.

A to – dokładnie tak jak pisał – nie dawało się pogodzić z miłością, z zależnością oznaczającą dożywotnią wspólnotę.

Anna przypomina sobie całe to zamieszanie, kiedy Maria była nastolatką. Zwłaszcza kłótnię o Sandrę, koleżankę szkolną, z którą flirtował Rickard. Córka, czerwona ze wstydu i wściekłości, wykrzykiwała własnemu ojcu:

– Jesteś playboyem, przeklętym dziwkarzem, który próbuje żyć w przekonaniu, że żadna mu się nie oprze. W szkole pełno jest takich jak ty, ale dziewczyny, które mają trochę oleju w głowie, tylko się z nich śmieją. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak mama może z tobą wytrzymać.

Maria nie wyszła za mąż, Malin też nie. Żyły tak, jak od wiek wieków żyli mężczyźni: w przelotnych związkach, na krótko zakochane. Ale obie miały dzieci, wolne dzieci, którym zaoszczędzona została zabawa w diabelskim trójkącie: ojciec, matka, dziecko.

Anna przeczuwała od samego początku, że Rickard ma niewielkie poczucie własnej wartości. Władcza matka? Słaby ojciec? Ale wtedy, w młodości, nie chciała tego zrozumieć. Nieustannie okazywane zrozumienie stanowi ogromne zagrożenie dla nas samych, tego nauczyło ją życie matki. Johanna była jedną z tych kobiet, które zawsze okazywały zrozumienie i dlatego musiały

tak wiele znosić.

Nagle Anna przypomina sobie inną kłótnię, znacznie późniejszą. Wspomnienie jest do bólu wyraźne, widzi wieczorne słońce rozlewające się przez panoramiczną szybę dużego pokoju przy Minkgata, dostrzega kurz wirujący między promieniami. Rickard przyzwyczał się nazywać ją mamą, nawet wtedy, kiedy byli sami. Wrzasnęła:

– Nie jestem twoją matką, nigdy nią nie byłam i nigdy nie będę!

Zauważyła, że wyjątkowo mocno go to dotknęło. Osłupiał.

– Oczywiście, że nie. To tylko taki zwrot, głupi nawyk.

W tym momencie Anna już wiedziała, że to nie był ani zwrot, ani nawyk. Nie zdołała jednak powiedzieć tego na głos.

– Przepraszam, że tak wybuchłam – bąknęła i więcej już do tego nie wróciła.

Ujrzała bowiem twarz swojej teściowej, ładną i zarozumiałą. Przemknęło jej przez myśl, że mały chłopiec musiał pewnie często i mocno tęsknić za nią nadaremnie. I uzmysłowiła sobie: to dlatego jest na mnie taki wściekły, on mści się na niej.

Zaczęła wszystko zapisywać. Miała wrażenie, że zyskała nowe spojrzenie na sytuację, lecz zawahała się, postawiła znak zapytania na marginesie i po chwili zanotowała: Rickard jest zawsze taktowny wobec swojej

matki i broni jej przed każdą próbą krytyki. Ale o zmarłym ojcu mówi z pogardą: „Był playboyem”. Teraz słyszy klucz w zamku.

– Przyniosłem pstrąga! – zawołał. – Świeżego!

– Wspaniale, już idę.

– Zrobię tymczasem drinka.

Wznieśli szklanki do góry, a on charakterystycznym dla niego oficjalnym tonem powiedział: „Jak to dobrze, że jesteście”. Potem wziął do ręki gruby szary notatnik, księgę Hanny. Zaczął kartkować.

– Poczytaj – rzuciła – a ja obiorę ziemniaki.

Kiedy wszedł do kuchni, rzekł:

– Z tego będzie prawdziwa książka. To piekielnie mocne.

Ucieszyła się.

– Chyba trochę za dużo nostalgii, nie uważasz?

– Nie. Poza tym nie ma niczego złego w nostalgii.

Zawsze pomagał jej przy pracy. Od samego początku. To on wpadł na pomysł, że powinna wykorzystać swój doktorat, aby napisać coś lepszego.

– Dlaczego miałby tylko porastać kurzem na wydziale? Zasługuje na lepszy los.

Chciała dotrzeć do wielu ludzi.

– Myślisz, że dam radę?

Damy radę – odparł.

I tak oto skończyła szkołę dziennikarską, nauczyła się wyrażać skomplikowane problemy w sposób prosty, uogólniać i stosować przykłady. Spodziewała się dziecka,

pisala w domu calymi dniami, a on co wieczor poprawial jej rękopis.

Cieszyli się sobą, byli tuż po ślubie, mieszkali w swoim pierwszym dwupokojowym mieszkaniu w jednej z nowych peryferyjnych dzielnic Sztokholmu.

Na początku był surowy:

– Co to, u licha, za język! Szwedzki? Chyba nie. Posłuchaj sama, jak to brzmi.

Posłuchała, zrozumiała. I wkrótce rozkwitł całkowicie nowy język, jej własny. To było niczym cud, niemal równie niepojęty jak dziecko, które rosło w jej ciele.

– Znalazłam mojego mistrza – stwierdziła.

Książka ukazała się kilka miesięcy przed przyjściem na świat córki. Oboje byli zaskoczeni sensacją, jaką wzbudziła.

Sukces. Szczęście. Aż do tego wieczoru w willi na Lidingó.

Oczyścił rybę, usmażył ją. Ona siedziała nadal przy kuchennym stole ze swoim drinkiem, przyglądała się zwinnym dłoniom, zręcznie i elegancko, bez zbędnych ruchów, operującym nożem i drewnianą łopatką.

Nie znam nikogo, kto byłby tak zmysłowy jak on.

– Hej, hej, obudź się, nad czym tak dumasz?

Zarumieniła się i po chwili przyznała, o czym myślała. Usłyszała jego głęboki śmiech, dobywający się gdzieś z brzucha, będący zawsze elementem gry wstępnej.

– Jestem głodna – oświadczyła. – Najpierw musimy coś zjeść.



– Przecież nawet się do ciebie nie zbliżyłem.

– Tylko byś spróbował...

Chciał mieć dom.

– Zamieszkać na własnym kawałku ziemi, Anno.  
Póki jeszcze nie jest za późno.

Kiedy powiedział to pierwszy raz, pomyślała sobie,  
że już jest za późno.

– Kto to słyszał, żeby przesadzać jabłonie po  
pięćdziesiątce.

– Ja – odparł spokojnie.

Potem ta myśl zaczęła dojrzewać. Nagle odważyła się  
przyznać, jak bardzo jest zmęczona mieszkaniem w bloku,  
anonimowością i ruchem na autostradzie, wypełniającym  
dudnieniem ich dni i noc. Nie mówiąc już o tych  
biednych sosnach.

Własny ogród!

– W domu zawsze były kłótnie z powodu ogrodu –  
przypomniała sobie. – Mama musiała sama się z nim  
męczyć, kiedy tata żeglował.

Rickard wpadł w złość.

– Przecież nie możemy, u diabła, całe nasze życie  
kierować się tym, co było u twoich rodziców.

– Masz rację.

Dobrze wiedziała, co miał na myśli, mówiąc „całe  
nasze życie”. Było mu przykro z powodu przywiązania  
Anny do matki i irytował go jej stosunek do ojca. W  
zasadzie przyznała mu rację, mimo że jego motywy nie  
wydawały się do końca jasne.

Dzisiaj obejrzał dwa obiekty. Jeden był za duży i za drogi, drugi składał się z dwóch domków na ogromnej, zachowanej w naturalnym stanie działce. Ładne położenie. Solidne budynki. Jeden dom do pracy – dla niej i dla niego, jak tylko przejdzie na emeryturę. Drugi do mieszkania.

– Stoi tam też stara, rozwalająca się chałupa.

– Pewnie jest jakieś „ale”. Cena za wysoka?

– Nie. To dość daleko od miasta. Prawie czterdzieści kilometrów.

– Nie mam nic przeciwko temu. Lepiej już zamieszkać na prawdziwej wsi niż znowu na jakimś przedmieściu.

– Nie boisz się, że będziesz się czuć samotna?

Nagle dał o sobie znać jej dawny niepokój.

– A jak się stamtąd można dostać do miasta?

– Jest pociąg – wyjaśnił. – Będziesz jak Amerykanki odprowadzać męża na dworzec i wieczorem po niego wychodzić.

Przed zaśnięciem długo rozmyślała o tych dwóch niewielkich domach, otaczała je jabłoniami i różami. Nazajutrz Rickard zamierzał porozmawiać z agentem i umówić się na spotkanie na miejscu.

W sobotę – pomyślała Anna. Już się zdecydowała. Kiedy następnego ranka wzięła się do swoich notatek, wydały jej się o wiele poważniejsze, donioślejsze. To za sprawą Rickarda. „Z tego będzie książka”.

My, ludzie, jesteśmy śmieszni. W gruncie rzeczy

zawsze to wiedziałam. Ale było mi łatwiej, dopóki udawałam, że to tylko taka wycieczka, podróż do własnych korzeni. Trochę psychologii, odrobina socjologii, nieco więcej samopoznania.

I w istocie tak było. Podczas tej podróży stała się spokojniejsza, dokonała odkryć, niemało zrozumiała. I skończyła z tym desperackim szukaniem wspomnień z dzieciństwa, „rzeczywistości”, jak to nazywała. Pojęła, że istnieją tylko okruchy, że „wspomnienia” zawsze składają się z fragmentów, które mózg lepi we wzorce. Dopasowuje do obrazu, który został wykształcony wcześniej i nie musi mieć związku z czymś, co naprawdę się wydarzyło. Jest tak dużo rzeczy, które małe dziecko źle rozumie i utrwała sobie jako obraz, przyciągający do siebie podobne obrazy, potwierdzające go i wzmacniające.

Potem przyszło jej do głowy, że to, co się nie wydarzyło, mogło być prawdziwsze niż to, co się wydarzyło. Mogło nieść ze sobą bogatą treść.

Teraz te jej okruchy miały pozostać na miejscu, odrzucone, rozproszone. Stwierdziła, że tylko w ten sposób może uzyskać wiedzę o własnej przeszłości. Dotyczącą oczywiście jedynie krótkich chwil.

Unikała tego, co najtrudniejsze, tego, co sprawiało ból. Nie powinna tak robić, jeśli ma poważne zamiary. Musi szukać głębiej. Na przykład u Hanny. Nie może się jedynie prześlizgiwać ponad smutkiem babci, gdy pewnej ciemnej nocy gdzieś w Bohuslan August wjechał na poręcz mostu i upadł prosto do morza.

Anna miała niewiele ponad dziesięć lat, kiedy to się stało, i nie potrafiła zrozumieć rozpaczyny starej kobiety. August to przecież dorosły mężczyzna, który sam decydował o swoim losie. Był rozwiedziony, dzieci też nie miał.

Spytała Johannę, która spojrzała na nią chłodno.

– To było jej dziecko, Anno.

Muszę dojść, dlaczego tak strasznie rozpaczała. I tak okropnie się postarzała zaledwie w ciągu kilku tygodni.

Augustowi zawsze brakowało chęci do życia – powiadano. Przeszedł wszelkie możliwe choroby. Przez wiele lat Hanna nosiła go nocami na rękach po starym domu.

Tak opowiadała mama.

– To było jej dziecko, Anno.

Peter – pomyślała Anna – Peter.

Podobnie jak jej babcia i matka, także miała ciężkie porody. Czy to też dziedzictwo? Genetyczne? Psychologiczne? Peter urodził się po ich rozwodzie i ponownym zejściu, w sześć lat po Malin. Przyszedł na świat dwa miesiące za wcześnie; miał ułożenie kleszczowe i był chudziutki jak pisklę. Gdy tylko przystawiono go jej do piersi, Anna wiedziała, że coś jest z nim nie tak, coś nieodwracalnego. Nie miał woli życia.

Lekarze śmiali się z jej lęków, chłopiec był zdrowy. Powinna być wdzięczna, że mały nie leży w inkubatorze.

Rickard przebywał wtedy gdzieś na Wschodzie, gdzie akurat trwał kryzys. Z powodzeniem zdążyłby na

rozwiązanie, gdyby donosiła ciążę do końca...

Przyjechała Johanna. Siedziała przy jej łóżku w klinice położniczej i miała równie niespokojne oczy jak córka.

– Najlepiej mi pomożesz, jeśli weźmiesz dzieci ze sobą do Góteborga. Kiedy wrócę do domu, będę mogła poświęcić cały czas małemu.

Johanna miała wątpliwości, lecz po rozmowie z lekarzem uspokoiła się. Uzgodniły, że nic nie powiedzą Rickardowi, aby go nie niepokoić.

Zabrała dziewczynki i pojechała, ale dzwoniła dwa razy dziennie.

– Nie masz żadnych przyjaciół, Anno? A gdzie jest Kristina?

– Na Alandzie. Wszyscy wyjechali.

Było gorące lato, gdy Anna weszła sama z chłopcem do zaciemnionego mieszkania. Dziecko płakało przy świetle. Nie umiało krzyczeć, nie umiało obejść się bez jej ramion ani minuty, żeby nie kwilić.

Och, to kwilenie, pokorne, wyzbyte nadziei.

Jeden tydzień, dwa, cztery, pięć. Dokładnie po czterdziestu dniach, w środowe popołudnie, Peter umarł. Spojrzała na zegarek. Trzecia. Banał ze świata gazetowych nekrologów zamienił się w głęboką prawdę: „Mały aniołek przybył, uśmiechnął się i zawrócił”.

Ale Peter ani razu nic obdarzył jej uśmiechem.

Anna nie położyła dziecka, kiedy odsłaniała zasłony. Światło oślepiło ją jak błyskawica. Spojrzała zdumiona na

świat. Nic się nie zmienił: ludzie biegali i chodzili, dzieci huśtały się na placu zabaw i sprzeczały w piaskownicy. Zadzwoił telefon, nie odebrała, już nigdy nie będzie odbierać telefonów – pomyślała.

Potem zasnęła z martwym dzieckiem w objęciach, towarzyszyła mu do krainy zimna i śmierci. W dziesięć godzin później obudził ją Rickard, który po telefonie od Johanny wrócił do domu samolotem przez Berlin.

Zajął się załatwianiem wszystkiego, pogrzebem, zawiadomieniem rodziny i znajomych. Zajął się także nią, wykapał ją w ciepłej wodzie, zmusił, żeby się czegoś napiła, powlókł świeżą pościel i otulił ciepłymi kocami.

Słyszała, jak płakał po nocach.

Ona sama przez wiele tygodni nie umiała płakać. Nazwała je później tygodniami nierzeczywistości. Przepęłniały ją osobliwe doznania.

Tak jak tego dnia, kiedy Rickard musiał pojechać do redakcji.

– Tylko na dwie godziny, Anno. Obiecuj mi, że będziesz leżeć spokojnie w łóżku.

Obiecała.

Kiedy wrócił do domu, nie było jej. Zaczął biegać po mieszkaniu i właśnie miał już dzwonić na policję, gdy zauważył ją idącą ulicą. Prosto do niego, uśmiechniętą.

– Jakie to szczęście, że cię znalazłam! Musisz mi pomóc.

– Ale gdzie ty byłaś?

– W ośrodku opiekuńczym. Tylko że tam chodzi się z

dziećmi.

– W jakim ośrodku opiekuńczym?

– W zwykłym, w barakach za rynkiem.

– Ale przecież on został zburzony już parę lat temu.

– Dziwne – powiedziała. – To pewnie dlatego, kiedy wracam, nie mogę znaleźć drogi. Wiesz, zapomniałam zabrać stamtąd Piotrusia. Zostawiłam go u siostry.

Kiedy ujrzała jego spojrzenie, oceniła je fałszywie.

– Nie bądź na mnie zły, Rickardzie. Wydaje mi się, że nie jest mu tam źle, oni są wykształceni i...

– Idziemy – powiedział i wziął ją za rękę.

Poprowadził ją przez rynek, ozdobiony tą idiotyczną rzeźbą i pełen kałuż, obszedł narożny dom i skierował się w dół, w stronę działki, na której kiedyś stał ośrodek opieki nad dziećmi, a teraz znajdował się parking.

– Nic nie rozumiem. Przecież byłam tu zaledwie parę minut temu. Gdzie jest Piotruś?

– On nie żyje, i ty o tym wiesz.

Spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem, Rickard nie uciekał przed jej wzrokiem.

Wreszcie Anna skinęła głową.

– Wiem.

Tego wieczoru odzyskała równowagę, ale czuła się wystraszona.

– Byłam tam, pamiętam, widzę to tak wyraźnie, drzwi pomalowane na jasnoniebiesko, siostra Solveig, bardzo zmęczona, ale tak samo cierpliwa jak zawsze. Ja tam byłam, Rickardzie. A mimo to nie mogłam tam być.

– Siostra Solveig umarła, kiedy Maria miała dwa albo trzy latka. Na raka, pamiętasz, poszliśmy na jej pogrzeb.

– Umarła. Tak jak Piotruś?

– Tak.

Anna na dłuższą chwilę przymknęła oczy, twarz jej się wygładziła, jakby zrozumiała. A kiedy mówiła, słowa brzmiały rozsądnie.

– Posłuchaj, przyrzekam ci, że nie popadnę w obłęd.

– Śmiertelnie mnie wystraszyłaś – rzekł.

Anna zobaczyła, jak bardzo jest zmęczona i blada. Zrozumiała, że musi wziąć się w garść. Miała potem jeszcze więcej przeżyć w nierzeczywistości, lecz już nigdy go w to nie wciągnęła.

Osobą, która pomogła jej przekroczyć mur, była teściowa. Przyjechała z wizytą i powiedziała:

– Nie powinnaś się tak smucić. To był przecież jeszcze prawie embrion.

– To było moje dziecko – odparła Anna.

Potem wreszcie mogła płakać. Płakała bez przerwy przez dwie doby.

Następnie wysprzątała dom, odstawiła tabletki na sen i pojechała razem z Rickardem na zachodnie wybrzeże, do mamy i pozostałych dzieci. Kiedy Rickard wrócił do domu, zapisywała właśnie w komputerze wspomnienie o Piotrusiu. Spojrzył na nią z wyraźnym niepokojem:

– Jesteś taka blada, Anno.

– Przeczytaj, a ja przygotuję obiad.

Już przed południem kupiła i podgotowała kawałek



wołowiny. Teraz obrała tylko pietruszkę, ziemniaki, marchewkę, pokroiła wszystko na drobną kostkę, ugotowała i dodała do wywaru.

Rickard lubił taką zupę.

Był przygnębiony i blady, kiedy wszedł do kuchni. Nie mieli siły rozmawiać przy jedzeniu, ale potem, gdy znaleźli się w pokoju, rzekł:

– Często myślę o Piotrusiu. Mogłoby się wydawać, że on miał misję do spełnienia. Bo przecież później ułożyło się tak... jak powinno być. Między nami, oczywiście.

Anna nie była w stanie nic powiedzieć. Czy mama kiedykolwiek powiedziała babci, że się rozwiodłam?

Anna zapisała to pytanie, zastanowiła się nad nim.

Potem dodała: Nie sędzę. Pewnie nie chciała jej denerwować. Hanna też przepadała za Rickardem, mówiła, że przypomina jej Ragnara.

Odpowiadało to prawdzie bardziej, niż Anna początkowo myślała.

Po chwili znalazła jeszcze jedno wytłumaczenie: mama nic nie wspomniała o rozwodzie, bo w ogóle w niego nie wierzyła. W tych samotnych latach czasami mówiła głośno: „Nie mogę sobie wyobrazić, że wy dwoje rozstaliście się na dobre”.

Anna podjęła decyzję, gdy po urodzeniu Malin wróciła ze szpitala do domu. Rickard od miesiący żył z inną kobietą, jej zapach czuć było w jego ubraniach, w ich pokoju, w łóżku.

Kiedy oznajmiła mu, że chce się rozwieść, był

zdesperowany. Nie wierzył własnym uszom.

– Anno, to przecież nic poważnego... A potem nie mogłem się jej pozbyć.

– Nie żądam żadnych wyjaśnień.

– Ale posłuchaj mnie!

– Nie, Rickardzie, nie chcę słuchać. Stanie się tak, jak powiedziałam. Daję ci czas do lata, żebyś znalazł sobie inne mieszkanie. Potem wspólnie wyjaśnimy to Marii.

– O wszystkim już pomyślałaś.

– Rozmawiałam z adwokatem.

– Maria będzie zdruzgotana.

– Wiem.

Maria była centralną postacią wydarzeń, które od tej chwili zaczęły się rozwijać z nieubłaganą własną dynamiką. Na córkę Anna przenosiła wszystkie swoje lęki i poczucie winy. To ona przepełniła dni Anny troską. A noce koszmarami. Pojawiała się w nich pod tysiącami różnych postaci: opuszczone dziecko, dziecko rozdarte, zagubione w poszukiwaniu własnego ojca.

Maria kochała Rickarda.

Rickard był dobrym ojcem, wesołym, nie stroniącym od zwariowanych pomysłów i tak samo ciekawym życia jak córka. Niezawodnym.

A Maria była dzieckiem wrażliwym, przepełnionym czułością dla wszystkich i wszystkiego, bystrym, spragnionym wiedzy. Ładnym. „Jest podobna do ciebie” – zwykł mawiać Rickard. Mylił się, Maria to jasnowłosa kopia Johanny.

Z Malin sprawa miała się inaczej, na razie to tylko i wyłącznie dziecko Anny.

Nie wspomniał ani słowem o tym, czego obawiała się najbardziej: że będzie się procesował o opiekę nad dziećmi. Na razie rzekł:

– Czy mogę podarować Marii psa?

Było to w piątek wieczorem. Potem zniknął. Wrócił dopiero w niedzielę, pijany w sztok, pełen szyderstwa, niemal bliski obłądu z rozpaczy.

Anna zeszła z dziećmi piętro niżej do Kristiny.

– Proszę cię, zajmij się nimi.

Kiedy wróciła na górę, brał prysznic. Powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła:

– Musimy porozmawiać ze sobą jak dorośli ludzie.

– O czym?

– Jak to wszystko ułożyć, żeby jak najmniej ucierpiały na tym dzieci... i ty. I ja.

– Ponieważ jesteś z kamienia, tobie na pewno wszystko ułoży się idealnie. Jeśli o mnie chodzi, zamierzam się zapić na śmierć.

– Rickard!

Poszedł spać.

Następnego ranka był spokojniejszy i bardziej skłonny do rozmowy. Zaprowadził Marię do przedszkola tak jak zwykle, wrócił do domu i zadzwonił do pracy: „Jestem chory”.

Karmiąc Malin, wykladała mu wszystko po kolei. Będzie mógł widywać dzieci co drugi weekend i zabierać

latem na cały miesiąc.

– Wspaniale.

Potrzebowała pieniędzy na utrzymanie dzieci, tysiąc koron miesięcznie.

– Żeby związać koniec z końcem – wyjaśniła. Zdecydowała już, że przeniesie się do mniejszego mieszkania i przyjmie posadę wykładowcy na socjologii. Poza tym miała sporo prac zleconych, które mogła wykonywać w domu.

– Przecież nie chciałaś przyjąć tej posady. A co z twoją książką?

– To przeszłość – odparła.

Zaczął płakać. Z trudem wydobywał z siebie słowa, kiedy ją błagał:

– Czy nie ma niczego, naprawdę niczego na tym świecie, co mógłbym zrobić, żebyś zmieniła zdanie?

– Nie.

Więcej nie była w stanie powiedzieć.

Potem jednak wszystko potoczyło się nie tak, jak sobie wyobrażała. Rickard został delegowany jako korespondent zagraniczny do Hongkongu.

– Odpowiedzialny za cały Daleki Wschód.

Gdzie diabeł mówi dobranoc – pomyślała Hanna, gratulując mu.

Wspólnie odbyli rozmowę z Marią. On powiedział, że musi wyjechać, Anna wyjaśniła, że tacie i jej trudno jest się porozumieć. Dlatego muszą... się rozstać.

Maria uznała, że to dobrze.

– Może wreszcie przestaniesz tak okropnie szlochać, mammo.

Rickardowi zaś oznajmiła, że nie chce mieć psa.

Razem odwiozły go na lotnisko Arlanda. Pięcioletnia dziewczynka wyciągnęła doń rękę.

– Do widzenia, tato.

To wszystko.

Wydawał się przygnębiony i stary, kiedy zmierzał w stronę wyjścia, a Anna miała wrażenie, że pęknie z litości. I z rozpacz.

Pierwsze samotne miesiące... Boże, jak bardzo go jej brakowało. Szukała go po omacku w półśnie, obejmowała ramionami jego poduszkę, ale nie płakała. Trzeźwa, wyprana ze wszystkiego, szukała go za każdym rogiem ulicy, na targowiskach i w sklepach.

To właśnie wtedy zaczęły się te jej pustynne sny. Noc w noc Anna wędrowała przez bezkresną pustynię i widziała, jak jego plecy znikają między wydmami. Było ciężko, jej stopy zapadały się w piasku, czuła śmiertelne wyczerpanie, chciało jej się pić, szukała wody, nie mogła znaleźć, próbowała chwilę odpocząć, ale wtedy jego postać znowu przemykała gdzieś w oddali, i musiała iść dalej.

Wzięła od Kristiny parę proszków nasennych i przez kilka nocy miała spokój.

Ostatni z tych pustynnych snów był najgorszy. Mężczyzna, który szedł przed nią po spalonej słońcem ziemi, odwrócił się. Tym razem nie był to Rickard, tylko

tamten lekarz, który powiedział: „Pani dokonuje kastracji własnego męża”.

Dostała dwupokojowe mieszkanie, bezpośrednio nad przedszkolem. Pojawił się też pewien mężczyzna i pomógł jej przy przeprowadzce. Stary przyjaciel, zaradny i zręczny. Z wdzięczności? samotności? pożądania? poszła z nim do łóżka i stwierdziła, że ich zbliżenie przypominało ową wędrówkę przez pustynię – było sterylne i bezsensowne. Obudziła się z piaskiem w ustach, szepnęła, że powinien już pójść, aby nie zobaczyła go Maria. Posłuchał, a ona zrozumiała, że ta noc stanowiła rozczarowanie także dla niego.

Opowiedziała o tym Kristinie.

– Jestem kobietą jednego mężczyzny.

– Brzmi wspaniale. Szkoda tylko, że Rickard jest mężczyzną wielu kobiet.

Stwierdziły zgodnie, że powinno mu się raczej podobać na tym Dalekim Wschodzie. Był wolny, mógł bez przeszkód poświęcać czas gejszom, żonom dyplomatów i wyrafinowanym dziennikarkom, jakie można oglądać w telewizji.

Ale kiedy Anna znalazła się sama, wiedziała, że prawda jest inna, że Rickard jest tam samotny i zrozpaczony. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy przypadkiem to jego uganianie się za kobietami rzeczywiście nie prowadziło do jednego: do zbliżenia się do niej, Anny.

Potem uznała, że jest śmieszna. A jeszcze później

pomyślała, że gdyby tak było naprawdę, to jeszcze gorzej.

Tak bardzo zagłębiła się w swoje notatki, że aż podskoczyła do góry, gdy zadzwonił telefon. To Maria.

– Co tam, kochanie? – spytała.

– Spałaś, mamusiu?

– Nie, nie, siedzę sobie i piszę, cofam się w przeszłość.

– Nie jestem pewna, czy to wspomnianie naprawdę dobrze ci robi – rzekła Maria z troską. Była na konferencji w Oslo, racja, Anna przypomniała sobie teraz.

– Wracałam przez Göteborg i wstąpiłam do dziadka.

– To miło z twojej strony.

Potem wyznała, że trudno jej było wytrzymać i w domu ze staruszką, i w szpitalu.

– To jest nie do zniesienia, a jednocześnie nic nie można zrobić. Wyobrażam sobie teraz, jak strasznie musisz się czuć samotna, kiedy jeździsz tam miesiąc w miesiąc. Następnym razem wybiorę się z tobą.

– Wspaniale. Pojedziemy sobie samochodem, przenocujemy gdzieś po drodze i wreszcie będziemy miały dość czasu, żeby się nagadać.

Anna czuła tak przemożną radość, że nie potrafiła jej ukryć. Dopiero gdy usłyszała w głosie córki pewną rezerwę, zrozumiała, że znowu robiła to, czego u siebie najbardziej nie znosi: spychanie winy.

W pół godziny później zadzwoniła Malin i powiedziała, że rozmawiała z Marią. Od tej pory będą na zmianę jeździć z nią do Göteborga. Tak często, jak tylko

się da.

– Chyba zwariowałyście – rzekła Anna.

Malin jest zupełnie inna niż jej siostra. I także inna niż matka. Bardziej rzeczowa, otwarta, mniej emocjonalna, logiczna. Ani Rickard, ani Anna nie mogli po prostu pojąć, że mają córkę, która studiuje fizykę teoretyczną.

– Naprawdę się ucieszyłam, że Maria poczuła wyrzuty sumienia.

– Ja też – powiedziała pogodnie Malin. – Posłuchaj, mamó, dobrze wiesz, że tylko potwory potrafią nie mieć wyrzutów sumienia.

– Sól życia – rzekła Anna. To jedno ze starych pieśczętliwych imion jej niezwyklej młodszej córki.

Johanny nie było przy Annie w ciągu pierwszych sześciu miesięcy jej samotnego życia – ani kiedy się przeprowadzała, ani kiedy organizowała dla dzieci wszystko na nowo. W owym czasie Hanna była umierająca i leżała u niej w domu. Mamie na pewno przydałaby się wtedy pomoc. Zdążyłam być u niej tylko jeden raz.

Jak powiedziała Malin, po prostu nie da się żyć bez poczucia jakiegó winy.

Przez cały dzień robiła zapiski w trzeciej księdze, tej czerwonej, z napisem ANNA na okładce. Teraz wróciła do strony tytułowej i napisała:

„O winie i wdzięczności, i o tym, jak to jest mieć córki”. Następnie postawiła znak zapytania przed tym



zdaniem. W piątek rano Rickard był w kiepskim nastroju.

– Źle spałeś?

Tak.

Nim wyszedł do redakcji, powiedział, stojąc w przedpokoju:

– Zacytowałaś mój list z Rzymu.

– Ale to przecież są na razie tylko luźne notatki. Potem wszystko jeszcze raz omówimy... jeśli rzeczywiście się okaże, że ma być z tego książka.

– Nie o to chodzi. Przeszkadza mi, że nigdy nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– A jak ono brzmiało? – spytała, mimo że dobrze pamiętała.

– Dlaczego nigdy mnie nie słuchałaś, nigdy nawet nie próbowałaś?

– Właśnie o to chodziło – odparła.

Zmyła naczynia, posprzątała po śniadaniu, a w uszach dźwięczały jej ciągle te słowa: „Właśnie o to chodziło”.

Potem zasiadła do swojej pracy i napisała:

Chcę spróbować odwołać się do bajki. Dlaczego do bajki? Nie wiem, może dlatego, że to prawda, co mówią niektórzy ludzie: bajki mogą wyrazić więcej niż relacje z tak zwanej rzeczywistości.

Ale główny powód jest chyba taki, że bajki nie trzeba rozumieć.

Była sobie kiedyś mała dziewczynka, która mieszkała w zamku. Miała trzy pokoje pełne tajemnic, szafy pełne cudownych przedmiotów, książki z obrazkami, fotografie

obcych ludzi, którzy już nie żyli, a mimo to patrzyli na nią poważnym wzrokiem. Wokół zamku roztaczał się wielki ogród. Rosły w nim róże i truskawki. W jednej z odległych jego części stała góra, wysoka niemal do nieba. Pewnego dnia dziewczynka wdrapała się na nią i zobaczyła, że gdzieś hen, w oddali, niebieskie morze spotyka się z niebem. Od tego dnia uczyniła górę swoją własnością, wspięła się na sam jej szczyt i stworzyła sobie własny świat wśród kamieni i półek skalnych.

Góra wiodła rozmowy z morzem, dziewczynka usłyszała to już pierwszego dnia. Po jakimś czasie zrozumiała, że góra rozmawia także z nią, i z bzem, który kwitł u jej stóp, i z kocimi łapkami, rozchodnikiem i skalnicą, rosnącymi w szczelinach.

Panowało wieczne lato, pogoda była piękna, a mała dziewczynka czuła się szczęśliwa. Mama ją kochała. A tata był dumny, że jest taka mądra i zdolna. Poza tym mama powtarzała jej niemal każdego dnia, że jest szczęśliwą dziewczynką, której tak dobrze się wie dzie.

A jeśli komuś dobrze się wie dzie, nie powinien się smucić. Bardzo to martwiło dziewczynkę. Bo czasami była niepojęcie smutna. A niekiedy ogarniał ją też przerażający lęk.

Czego się tak bała? Chyba nie tego, że jej mama mogłaby umrzeć, a może jednak? Czego zatem?

Nigdy by się tego nie dowiedziała.

Pewnego razu, kiedy myślała, że umrze ze strachu, a serce biło jej tak mocno, że aż bolało, znalazła

niewidzialne schody, które prowadziły prosto do wnętrza góry. Znajdowała się tam grota, dostatecznie duża, by dziewczynka mogła w niej usiąść i poczuć, jak znika cały ból.

Czuła się wybrana.

Jak długo bawiła się w ten sposób? Przez jedno lato czy więcej? Tak czy inaczej, minął cały rok, zanim szczęśliwa dziewczynka pojęła, że jest to niebezpieczna zabawa, bo czyni ją niewidzialną i niewrażliwą. Kiedy to wreszcie zrozumiała, stała się już dorosła i wyniosła się z domu.

Ale górę zabrała ze sobą. Ona zawsze istniała, i gdy tylko ogarniał ją smutek albo zaczynała się bać, mogła się w niej schronić. Ale teraz już tego nie chciała, lękała się groty o grubych ścianach. Jednakże góra posiadała nad nią ogromną władzę.

A kiedy pojawił się książę i miłość, która uczyniła ją wrażliwszą niż kiedykolwiek do tej pory, tajemna jama w górze znalazła nowe zastosowanie.

Książę zauważył, że jego ukochana bywa często chłodna i nieprzystępna. I miał rację. We wnętrzu góry bowiem jest śmiertelnie zimno, ten, kto tam przebywa, sam zamienia się w kamień. Nie potrafi walczyć o swoje prawa, pałać zazdrością, krzyczeć, słuchać, pytać, oskarżać.

I choć tego nie chciała, dziewczyna nadal umykała do swojej groty, sprawiając ból księciu. Poczucie winy dręczyło ją jednak za każdym razem, kiedy z niej

wychodziła i spostrzegła, co wyrządziła.

A potem pobrali się i żyli... aż po kres swych dni. Gdy Anna skończyła bajkę, zaczęła krążyć po pokoju jak koń na uwięzi, raz po raz kopiąc nogi od stołu albo krzesła.

Potem nalała sobie szklanekę whisky i wypła jednym haustem. Pokój zaczął się kołysać. Jednakże uparcie i szaleńczo, jak ktoś bliski odnalezienia jakiejś ważnej zguby, nie dawała za wygraną. Chwyła pióro i przewróciła kartkę.

Znalazła: Kiedy umarł Peter.

Jak zasnęła z martwym dzieckiem w objęciach.

I jak wylądowała w świecie całkowitej nierzeczywistości, gdy straciła swojego synka w domu opieki nad dziećmi.

Kto ucieka, naraża się na niebezpieczeństwo, że zwariuje.

Napełniła szklanekę po raz drugi i zabrała ją ze sobą do sypialni. Nie obudziła się, kiedy dzwonił telefon ani gdy wrócił Rickard.

Potrząsnął nią i powiedział:

– Anno, ty jesteś pijana!

– Tak. Idź i przeczytaj.

Kiedy znów się ocknęła, siedział na brzegu łóżka, ze szklanką mleka i kanapką w ręce.

– Czułem, że tak będzie – powiedział.

Przez chwilę nic nie mówił, po czym ciągnął dalej:

– Nie uważam, że grozi ci obłąd. I wcale nie musisz

czuć się winna wobec mnie. Człowiek uczy się z czasem, że każdy jest inny. Najgorsze jest chyba to, że ktoś, kto ma taką swoją grotę, w której może się schronić, nigdy nie nauczy się bronić.

– A powinien?

– Tak. Sobota. Wycieczka.

Anna obudziła się wcześniej, przygotowała prowiant, spojrzała przez okno i zobaczyła, jak brudnoszare opary nad miastem ustępują miejsca słońcu.

Oczywiście, że musi być ładna pogoda.

Kiedy Rickard wszedł do kuchni, zaspany, nie ogolony i otulony w swój stary szlafrok, zapytał od razu:

– Jak się czujesz?

– Zupełnie jakby w moich żyłach płynął jakiś syrop, nie krew. Bulgocze.

– Dziwny kac.

– Gadanie. Jestem zadowolona, takiej ulgi dawno już nie czułam.

– Katharsis?

– Właśnie tak.

Słyszała z kuchni, jak dzwonił do córek i zapraszał je na niedzielną wycieczkę. Wycieczkę z niespodzianką-jak powiedział. Jest taki pewny – pomyślała – taki pewny, że będą miały czas. I ochotę. Poza tym przekonany, że coś wyjdzie z tego kupna.

Kiedy wyjechali na drogę do Roslagen i ruch trochę się zmniejszył, rzekł:

– Dzisiaj w nocy przyszło mi coś do głowy. Uparłaś

się, żeby mieszkać w tych przeklętych blokach, bo boisz się ogrodów.

– Boże drogi!

On ma rację – pomyślała. Betonowe podmiejskie dzielnice nie mają żadnych tajemnic. Tam, w blasku neonowych latarni nie ma miejsca na jakąkolwiek mistykę, na jakiegokolwiek symbole, związek z drzewami i kwiatami. Albo z górą.

– Boże drogi – powtórzyła.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że to takie smutne. Przez tyle lat mieszkaliśmy tak... tak ponuro i nie czuliśmy się dobrze.

Dłuższy czas milczeli oboje, po czym Rickard, wyprzedzając inny samochód, dodał:

– Na tej działce jest niesamowicie dużo skał.

– To wspaniale!

Starszy mężczyzna czekał na nich przy rozwidleniu dróg, a kiedy potem trzęśli się na wąskiej drodze wysypanej szutrem, Annie przyszło do głowy, że może tu być ciekawiej, niż myślała. Zwłaszcza zimą, nim dotrze pług. I wiosną w czasie roztopów. Ale las okalał okolicę zieloną wstęgą, prawdziwy mieszany szwedzki las z jesionami, brzoźami i jarzębinami wśród sosen.

Dwa niskie domy przycupnęły tuż przy ziemi, letnie domki z lat sześćdziesiątych. Teraz połączono je oszklonym przejściem przypominającym werandę. Między jesionami prześwitywała woda, nie morze, tylko duże, spokojne jezioro.

– O Boże – powiedziała Anna, a gdy mężczyzna spojrzał na nią zdziwiony, rzekła: – Chciałam tylko powiedzieć, że nie rozumiem, jak można chcieć pozbyć się czegoś takiego.

– Latem umarła moja żona.

To wszystko wyjaśniało.

Obaj mężczyźni zaczęli od studni, Anna słyszała jakieś strzępy rozmowy o hydroforze i o tym, że zimą może być trudno. Wreszcie ruszyła sama obejrzeć działkę. Tak jak powiedział Rickard, było tu wiele wzniesień, płaskich bloków skalnych z żywicą w szczelinach. I całe masy róż, dokładnie jak sobie wyobrażała. Nad jeziorem stała stara chałupa, spróchniała, zaniedbana i cudowna.

Dalej od brzegu, w miejscu osłoniętym od wiatru, był kiedyś ogród. Rosły tam nadal dwie sękate jabłonie, obwieszane czerwonymi jabłkami. Anna oparła się plecami o jeden z kostropatych pni i powiedziała: witaj. Nie miała wątpliwości, ona i te drzewa znali się od tysiący lat. W następny weekend Anna i Maria pojechały do Goteborga. Maria zajęła się przede wszystkim staruszką w jego domu nad morzem, rozmawiała z nią, sprzątała, gotowała. Anna odwiedziła matkę w domu starców.

Mówiła jej o Hannie.

– Ostatnio dużo przebywałam z twoją matką. Wydaje mi się, że chyba zaczynam ją rozumieć.

O wiele trudniej jest stworzyć twój obraz – i twojego życia. A to dlatego, że jesteś mi tak bliska, iż właściwie

nie umiem na ciebie spojrzeć. Mam wrażenie, że tych, których najbardziej kochamy, najmniej rozumiemy.

Zdążyłam pojąć, że byłaś tajemniczym człowiekiem. Dlatego pomyślałam, że powinnaś o sobie opowiedzieć sama. Zawsze tak dobrze opowiadałaś, mamó.

Jadąc do domu, mówiła Marii po drodze o Hannie i Dalslandzie.

– To twoja prababka.

Potem, pierwszego dnia po powrocie, chodziła od jednego regału z książkami do drugiego, czytała tytuły, zaglądała to tu, to tam, szukała słów, które kiedyś dużo dla niej znaczyły.

Szukała wzorców?

Nie, myślała o rzeczach praktycznych, zastanawiała się, jak ma to wszystko zapakować i gdzie to potem pomieści w tych małych domkach nad jeziorem. Rickard powiedział jej to samo, co kiedyś Hanna usłyszała od Ragnara:

– Są tu całe stosy rupieci, możesz się ich spokojnie pozbyć.

A ona pomyślała tak jak Hanna: Co, u licha, z tych wszystkich rzeczy, które zbierałam latami, można uznać za rupiecie?

Utknęła przy półce z liryką, usiadła, zaczytana w Ekelófie, Stagneliusie, Martinsonie, Boye. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że poszukuje określonego tonu, tonu swojej mamy. Bo każdy człowiek – pomyślała – ma swój ton, jedyny, niepowtarzalny, taki, który należy tylko do



niego. Oczywiście nie znajdzie go teraz, nie w ten sposób. Świadoma jest także tego, że zuchwalstwem byłoby sądzić, iż przywróci mu takie brzmienie, jakie miał kiedyś.

Ale jeśli okaże cierpliwość, jeśli poczeka, być może odnajdzie właściwą tonację.

JOHANNA

1902-1987

Moje życie dzieli się na dwie połowy. Pierwsza to osiem lat dzieciństwa, ciągnących się równie długo jak siedemdziesiąt pozostałych. Kiedy spoglądam za siebie na tę drugą połowę, dostrzegam cztery wydarzenia, które mnie odmieniły.

Pierwsze było wtedy, gdy jakaś niewidzialna dłoń powstrzymała mnie przed otworzeniem pewnych drzwi. To cud, który przywrócił mi sens wszystkiego.

Następny decydujący fakt nastąpił wówczas, gdy otrzymałam pracę, która mi się podobała; dzięki niej stałam się niezależna finansowo i wstąpiłam do partii socjaldemokratycznej.

Potem była miłość i małżeństwo.

Czwarty punkt zwrotny to narodziny córki i nazwanie jej imieniem starej akuszerki znad Norweskich Stawów. Później córka sama urodziła dzieci – moje wnuki.

To, co rozgrywało się między tymi wydarzeniami, było zwyczajnym życiem kobiety: dużo niepokoju, ciężka praca, wielka radość, sporo zwycięstw, jeszcze więcej porażek. No i oczywiście smutek kryjący się za tym wszystkim.

Wiele rozmyślałam o tym smutku. To przecież z niego, z niczego innego, bierze się prawdziwe zrozumienie. A także rozwaga i chęć zmian. Nie bylibyśmy chyba ludźmi, gdyby w głębi naszej istoty nie było smutku.

Muszę dodać jeszcze jedno, zanim zacznę swoje opowiadanie. Zawsze dążyłam do prawdy – w dziecińskiej

wierze, że ona istnieje i jest niepodzielna. Dopiero gdy rozpadła się na setki drobnych prawd, myślenie zaczęło mi przychodzić z coraz większym trudem.

Nie znam słów tak wielkich, by zdołały oddać moje pierwsze osiem lat w Dalslandzie. Może pożegnałam się z nimi, gdy Anna była mała, zużyłam je na niej. A robiłam to, ponieważ doznawałam wtedy przyjemności, poza tym chciałam również, żeby ona nie czuła się obco w świecie, który wyrasta pomiędzy dzieckiem, opowieściami i przyrodą. Dzisiaj nie wiem, czy miało to sens. Anna nie stała się szczęśliwym człowiekiem.

Z upływem lat również ja utraciłam poczucie więzi. Uwidocznilo się to wyraźnie, gdy Anna zabrała mnie do Dalslandu. Wszystko rozpoznawałam, potok i jeziora, drzewa i ścieżki. Ale one mnie zapomniały. To było gorzkie. Ogromnie wówczas płakałam.

Nie należy wracać do świętych miejsc.

Johanna – dziecko miasta – narodziła się w sklepie galanteryjnym na rogu Haga Nygata i Sprangkullsgata. Pachniało w nim elegancko nowymi materiałami, było ciasno jak w pokoiku dla lalek i aż roilo się od szuflad pełnych tajemnic: wstążek, gumek, koronek – wszelkich możliwych wspaniałości, jakie rozpostarto przede mną na błyszczącej ciemnobrązowej ladzie. Najbardziej ze wszystkiego lubiłam pudełeczka ze szpulkami jedwabiu do szycia.

– Musisz mieć zawsze czyste palce – powiedziała Lisa, a ja szorowałam ręce tak mocno, aż zrobiły się

szorstkie.

Zazwyczaj zaczynałam od szuflady fioletowej, śledząc migotliwą grę jasnego błękitu o różowawym odcieniu poprzez jasny lila do głębokiego granatu z tchnieniem czerwieni.

– Czy to kolor królewski?

– Chyba masz rację – rzekła Lisa z uśmiechem.

Lisa rzadko się śmiała i nigdy nie krzyczała ze zdziwienia czy złości. Była cicha i zrównoważona, co dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Przez pierwsze dni ja zajmowałam się sklepem, podczas gdy ona siedziała przy maszynie do szycia w małym pokoiku na tyłach i z bawełny w drobną szaro-białą kratkę szyła dla mnie sukienkę.

– Musimy być ostrożne z kolorami. Ze względu na twoją mamę.

Mimo to mankiety, kołnierzyk i patki na kieszeniach zrobiła z jasnozielonej bawełny w jasnoczerwone różyczki.

Kiedy zakładała mi nową sukienkę, czułam się tak, jakbym zaczynała życie jako ktoś zupełnie inny, daleko od ojca i wodospadu. Nie było wcale łatwo, wiele razy myślałam, że gdyby nie Lisa, skończyłabym w kanale Rosenlund.

Najpierw zaczął się ten koszmar ze słowami, starymi słowami, które wypływały mi z ust, nim jeszcze zdążyłam się zastanowić. W Dalslandzie byłam przecież pilną uczennicą, a gdy szłam pierwszy raz do szkoły w mieście,

miałam na sobie ładne ubranie. Jasne, że się bałam, ale mimo wszystko... myślałam, że jestem taka sama jak inni. I może jakoś by to było, gdyby nie te słowa. O Boże, jak oni się ze mnie śmiali!

Miałam przeczytać coś na głos z książki. Lecz przez ten okropny śmiech nie udało mi się w ogóle dojść do końca. A pani powiedziała:

– Czy Johanna nigdy nie pomyślała o tym, że mówi się tak, jak się pisze? Że w ustach muszą być takie same słowa jak w książce? Idź teraz do domu i wbij to sobie do głowy.

Na pewno nie chciała być złośliwa, bo przecież skąd mogła wiedzieć, jak ja się czułam, kiedy wróciłam do domu i zastałam nie zasłane łóżka, stosy brudnych ubrań, góry pozasychanych naczyń. I jeszcze na dodatek zabłocone buty moich braci, które musiałam wyczyścić. Miałam zaledwie pół godziny do powrotu mamy, rozzłoszczonej jak zawsze wtedy, kiedy po pracy w piekarni siły odmawiały jej posłuszeństwa. Jesteś śmierdzącym leniem, rozpieszczonym za małego przez ojca – krzyczała. Któregoś razu uderzyła mnie tak mocno w twarz, że następnego dnia nie mogłam pójść do szkoły.

Od tamtego dnia, kiedy tylko mama wracała do domu, ja uciekałam do Lisy. Widziałam, że jest jej przykro, ale nic nie mówiła. Pewnie nie miała odwagi, bo przecież mogłabym o wszystkim opowiedzieć Ragnarowi.

W pokoiku na tyłach sklepu czytałam sobie na głos, dzień w dzień. Wkrótce stwierdziłam, że wcale nie zawsze

jest tak, jak mówiła nauczycielka: to i owo wymawia się jednak inaczej, niż się pisze. Lecz przy pomocy Lisy nauczyłam się wreszcie mówić jak ludzie.

Myślałam, że posługuję się językiem literackim. Tymczasem wiele lat później na jakimś zebraniu politycznym pewna kobieta powiedziała do mnie:

– Góteborski dialekt brzmi wprawdzie bardzo ładnie, ale może jednak popracowałabyś trochę nad swoim językiem.

Boże, ale mnie wtedy zatkało.

Z czasem stałam się dobrą uczennicą, choć nigdy nie znalazłam sobie przyjaciółki, a koledzy nie przestawali się ze mnie śmiać. W rodzinie było coraz gorzej. Moi bracia rzucili pracę, siedzieli w domu i pili. Kiedy zaszywałam się w kuchni, żeby się przed nimi schować, słyszałam, jak rozmawiają o kobietach, o dziwkach i dmuchaniu, o ptaszkach i cipkach. Zmywałam naczynia, słuchałam i nienawidziłam.

Właśnie wtedy podjęłam moją pierwszą decyzję: postanowiłam, że nigdy nie wyjdę za mąż i nigdy, w żaden sposób, nie będę miała niczego wspólnego z jakimkolwiek mężczyzną.

Kiedy doszło do tego, że musiał wkroczyć Ragnar, który pobił braci i roztrzaskał meble, stałam w kącie i się cieszyłam. Mama krzyczała ze strachu, a ja, och, całym sercem byłam przekonana, że ma, na co zasłużyła. Po tym wszystkim mogłam zamieszkać u Lisy i Ragnara. Poczułam wtedy w sobie ogromny spokój. Po szkole

nadal szłam prosto do domu i robiłam z grubsza porządek. Uważałam jednak bardzo, żeby się stamtąd wynieść, zanim mama włoży klucze do zamka.

To wtedy zaczęłam jej nienawidzić. Ona zachowuje się jak jakaś Cyganka – powiedziałam Lisie.

Lisa mnie zbesztła, podsunęła mi jednak słówko, którego nigdy nie zapomniałam.

– To prawda, że ona jest trochę... prymitywna – rzekła.

Prymitywna. Jak tubylcy – pomyślałam sobie, bo w szkole uczyłam się właśnie o dzikusach z Afryki i spotkaniu Stanleya z Livingstone'em.

Po rozmowie z Lisą podjęłam swoją drugą decyzję: będę cywilizowanym i wykształconym człowiekiem.

W mieszkaniu Lisy, po drugiej stronie podwórza, dokładnie naprzeciwko naszego, znajdowało się dużo książek. Na pewno z dziesięć, a może z piętnaście. Przeczytałam wszystkie, mówiły o miłości, co wydało mi się zabawne. Kiedy wyznałam to Lisie, zdziwiła się. Myślała długo, zanim odpowiedziała:

– Bo to tak jest, Johanno. Na przykład ja po uszy zakochałam się w Ragnarze. I choć mnie to wykańcza, jak mam to z siebie wyrzucić?

Musiałam chyba wyglądać bardzo dziwnie. Pamiętam, że usiadłam na krześle w sklepiku i otworzyłam już usta, ale nie wydobyłam z siebie ani słowa. Pragnęłam jej powiedzieć, że Ragnar jest miłym człowiekiem i nadzwyczaj dobrym mężem, chciałam ją



pocieszyć.

Pocieszyć?

– A więc to dlatego jesteś taka smutna – rzekłam na koniec, dziwiąc się sama, że nigdy dotychczas nie pomyślałam o czymś, co teraz wydawało się tak oczywiste: że Lisa jest smutna.

Nie pamiętam, co mi odpowiedziała. Musiało minąć wiele lat, nim zrozumiałam związek między rozmową o fatalnych skłonnościach Ragnara a przechwałkami braci, gadających o ptaszkach w cipkach dziwek z Jamtorget.

Lisa nauczyła mnie trzech rzeczy o ogromnym znaczeniu: rozumieć innych, cierpliwie wszystko znosić i stać w sklepie za ladą. Anna mówi, że pierwszej lekcji nauczyłam się aż za dobrze, to znaczy: rozumienia innych i współczucia im.

Moja matka nigdy nie potrafiła okazywać zrozumienia. Ona osądzała i potępiała – w ten sposób oszczędzała sobie wielu zmartwień.

Ale kiedy Lisa zaczęła opowiadać mi o moich zapijaczonych braciach, o tym, jak boją się dużego miasta i jakie spustoszenie poczyniło w nich poczucie wyobcowania, odnalazłam w jej mowie coś znajomego, jakby melodię sprzed wielu lat. Potrzebowałam dużo czasu, by pojąć, że ojciec uczył mnie jej tak dawno temu, iż nie mogłam przypomnieć sobie słów. Pozostało tylko doznanie, które jest zawsze silniejsze niż słowa.

Zresztą ja też podzielałam pogląd Anny, że ten, kto okazuje wiele zrozumienia, musi także dużo znosić. Tu w

zasadzie się zgadzamy. Różnica między nami leży w samej postawie wobec życia. Ja uważam, że ono musi sprawiać ból. Według Anny życie jest po to, by z niego korzystać. To czyni ją zgorzkniałą i wiecznie głodną. Ciężko jest tak myśleć, bo wiem przecież, kto ją nauczył oczekiwać aż tyle, i na dodatek wyłącznie tego, co najlepsze.

Lisa była człowiekiem wyjątkowo wyrozumiałym i dlatego przyszło jej znosić znacznie więcej, niż się należało. Jej ojciec to alkoholik, który maltretował i żonę, i dzieci. Dwaj bracia umarli, jeden wyjechał do Ameryki, a Lisa, mając zaledwie dwanaście lat, uciekła do Góteborga.

O tym, jak sobie poradziła, nie miała ochoty mówić, ale z tego, co powiedziała, wywnioskowałam, że utrzymywała się, żebrząc, a spała w bramach, dopóki nie dostała pracy w przędzalni, gdzie zniszczyła sobie płuca od pyłu. Aż ciarki przechodziły człowieka, gdy słyszał jej okropny kaszel w długie jesienne miesiące w Góteborgu. Ragnar nie wytrzymał tego, toteż gdy tylko zaczynała się jesień, znikał z domu, jakby go ktoś ścigał, i zaszywał się w mieście. Wiedziałam bardzo dobrze, co go męczy, ale Lisie było przykro.

Kiedy umarła jej matka gdzieś daleko na prowincji, ojciec popełnił samobójstwo. Lisa odziedziczyła sama całe gospodarstwo, ponieważ pozostałego rodzeństwa nie dało się odszukać. I właśnie wtedy się okazało, że ma talent do robienia interesów. Inwentarz sprzedawała na

licytacji, ziemię sąsiadom, las jakiejś firmie, a dom pewnemu hurtownikowi, który chciał sprawić sobie letnią siedzibę na wybrzeżu Hallandu.

Uzyskane pieniądze przeznaczyła na zakup sklepu galanteryjnego, który leżał na granicy między robotniczą Hagą a wytworną Vasastan. Oczywiście do dnia, w którym poznała Ragnara i zakochała się w nim beznadziejnie, była wolnym i niezależnym człowiekiem.

Czy była wówczas szczęśliwa? Nie wiem.

Ale wrażenie szczęśliwej sprawiała wtedy, kiedy wzięła ślub, została żoną i uczciwą kobietą. To, że Ragnar poszedł z nią do księdza, jest zasługą Hanny Broman – powtarzała. I za to będzie jej wdzięczna do końca swoich dni. Pamiętam, że długo łamałam sobie głowę nad tym, co też mama mogła powiedzieć Ragnarowi. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, żeby traktował poważnie to, co mu mówiła. Naśmiewał się z niej.

Ja nie śmiałam się z mojej matki. Ja jej nienawidziłam, wymyślałam i wstydziłam się jej.

W samym środku wojny, kiedy akurat najbardziej brakowało jedzenia, urosły mi piersi i dostałam okres. Matka powiedziała, że dopiero teraz zacznie się prawdziwa bieda, że teraz hańba może mnie dopaść w każdej chwili. Pamiętam to bardzo dobrze, bo zrobiła się biała jak prześcieradło i miała przerażenie w oczach, kiedy mnie uczyła, jak zakładać podpaskę.

– Musisz mi obiecać, że będziesz ostrożna – rzekła. – I będziesz na siebie uważać.

Próbowałam się od niej dowiedzieć, czego mam się bać, ale ona tylko prychnęła, poczerwieniała i zamilkła.

Jak zwykle, kiedy miałam kłopot, poszłam do Lisy. Lecz tym razem mi nie pomogła. Ona też zrobiła jakąś dziwną minę i zaczęła się jąkać, mówiąc, że musi porozmawiać z Ragnarem. Zrozumiałam wtedy, że ta ohydna krew, która ze mnie wypływa, wcale nie jest najstraszniejsza. Jest coś jeszcze gorszego.

Następnego dnia Ragnar, wyraźnie zakłopotany, oznajmił krótko, że muszę mieć się na baczności przed mężczyznami. To wszystko, co od nich usłyszałam. Resztę dopowiedziałam sobie sama. Pomyślałam o tych odrażających określeniach, które słyszałam od moich braci, o „ptaszku” i „cipce”. I wtedy pomogło mi pewne wspomnienie z dzieciństwa. Przypomniało mi się, jak prowadziliśmy przez las jedną z maminych krów do byka pradziadka. Razem ze mną był Erik, a kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce, dostaliśmy od jednej z ciotek ciastka i sok.

Potem przyglądałam się, jak byk wskoczył na krowę. Tak mi jej było żal.

Jasne, że wiedziałam, jak to się odbywa.

Było lato, kiedy Lisa urodziła swoje pierwsze dziecko, a ja z całą powagą uczyłam się prowadzić sklep. Szło mi całkiem dobrze, rachowałam i odmierzałam, odcinałam i gawędziłam z klientami. Lisa przyznała, że jak na swój młody wiek jestem zadziwiająco zdolna. Przychodziła mniej więcej w porze obiadowej z małym i

jedzeniem dla mnie, obliczała kasę i nie posiadała się z radości. Jezu! Gdybym ja miała pieniądze, żeby cię zatrudnić!

Eleganckie panie z Vasastan mówiły, że mam dobry gust. A to nieprawda. Śmiałam się z nich w duchu, bo one w ogóle nie zauważały, że ja tylko im potakuję i powtarzam za nimi, iż najlepiej pasuje wstążka żółta, a pani Holm jest szczególnie do twarzy w niebieskim.

Sporo się nauczyłam, i to więcej o ludziach niż o materiałach i wstążkach. Ale najwięcej dowiedziałam się o sztuce stania za ladą.

Matka cieszyła się z pieniędzy, które zarabiałam. Nie podobało jej się jedynie to, że byłam w sklepie zupełnie sama.

– Jak tylko skończysz szkołę, pójdziesz na służącą – powiedziała. – Żebym miała pewność, że jesteś bezpieczna. Znajdziemy ci jakąś porządną rodzinę.

– Nigdy!

Wrzeszczałam. Wykrzykiwałam to moje „nie” przez cały ostatni rok szkoły, ale nic to nie pomogło. Matka była uparta jak osioł. Lisa na próżno usiłowała ją przekonać. Nawet Ragnarowi nie udało się nic wskórać. Erik też próbował:

– Głupio mama robi. Przecież ta dziewczyna jest za mądra na służącą.

– Nie jest mądrzejsza od innych.

Dostałam się do tak zwanej lepszej rodziny przy Viktoriagata. Zwłaszcza pan, lekarz z zawodu, był

elegancki, do tego jeszcze pisał w gazetach. Teraz, już po wszystkim, zdaję sobie sprawę, że to właśnie tam stałam się socjaldemokratką. Oni byli o całe niebo lepsi ode mnie. Tak po prostu. W sposób zupełnie oczywisty. Mnie nie dostrzegali, ja nie istniałam. Puszczali baki, mówili ponad moją głowę, zostawiali obrzydliwe plamy na prześcieradłach i dziwaczne gumowe paluchy w łóżku.

Najpierw myślałam, że zwyczajnie nie mają za grosz wstydu. Ale potem, kiedy odkryłam, jak się zachowują przy gościach, wszystko zrozumiałam. Byłam nikim. Niele dwie psem.

Wyzyskiwali mnie też niczym jakieś zwierzę: od szóstej rano, gdy budziły się ich dzieci, do późnego wieczoru, kiedy usługiwałam im przy stole. Moją nędzną pensję posyłali matce. Co dwa tygodnie miałam wolne popołudnie. Wtedy szłam do Lisy, nie do domu. Pracowałam u nich przez dwa lata, chyba żaden człowiek nie czuł się nigdy bardziej samotny niż ja wtedy.

A potem zdarzyła się ta noc, kiedy pan doktor siedział w jadalni, pisał jakiś artykuł i popijał koniak. Nagle usłyszałam, jak z rumorem zatacza się przez kuchnię w stronę zachowanka nazywanego przez nich służbówką. Nie mógł trafić na klamkę. Wskoczyłam z łóżka i kiedy rzucił się na mnie, kopnęłam go w przyrodzenie. Zawył z bólu. Wytworna pani nadbiegła jak szalona. Podczas gdy ona krzyczała i wymyślała, ja chwyciłam swój płaszcz i popędziłam w dół po schodach. Wprosiłam się do Lisy i Ragnara. Chyba nigdy nie widziałam go bardziej

wściekłego niż wtedy, gdy pognał na Viktoriagata. W środku nocy.

Co powiedział tej wytwornej rodzinie, czy zagroził pobiciem, czy policją – tego nie dowiedziałam się nigdy. Ale musiał ich chyba przestraszyć, bo przyniósł mi całe pięćdziesiąt koron.

– Schowaj pieniądze przed matką – poradził.

Nie dowiedziałam się też, co rzekł jej następnego dnia. Wiem tylko, że się rozchorowała i przez trzy dni leżała w łóżku, miała wysoką gorączkę i dreszcze. Kiedy już wstała, żeby pójść do piekarni, gdzie nie można było chorować dłużej niż trzy dni, usiłowała coś mi powiedzieć. Ale słowa nie przeszły jej przez gardło, tak samo jak i mnie. Wiedziałam, że ją pokonałam.

– Jesteś chuda jak kościotrup – oznajmiła mi po południu, wróciwszy do domu.

– Niech mama nie myśli, że ja się tam obżerałam do syta – odparłam. – Dostawałam same resztki, kiedy państwo się już najedli. A raczej rzadko coś zostawało.

– Widocznie u nich też jest krucho zjedzeniem – rzekła.

Posmarowała mi kromkę chleba. Cisnęłam jej tę pajdę prosto w twarz i uciekłam do Lisy. U niej powróciłam do sił, ona zawsze miała dosyć jedzenia, mimo wojny. W domu przebąkiwano, że Ragnar prowadzi jakieś brudne interesy, ale ja nie wiedziałam, na czym one polegają, poza tym niewiele mnie to obchodziło. Jadłam jak opętana, a kiedy nie jadłam. Lisa wysyłała mnie na

długie spacery z dziećmi.

To były miłe dzieci, spokojne i ufne. Razem odkryliśmy i poznaliśmy las wokół zamku, podobny do tego w domu nad potokiem, tylko oczywiście ładniejszy, z pagórkami porośniętymi trawą i dziwnymi drzewami, których nie znałam. No i te wszystkie kwiaty!

Wieczorami, kiedy leżałam sama na ławie w kuchni u Lisy, zastanawiałam się, co zaszło tamtej nocy, gdy doktor się upił. Na początku myślałam przede wszystkim o tym, że w ogóle się nie przeraziłam, wprost upajałam się myślą o własnej odwadze. Dopiero potem pojęłam, że nie mam dość rozumu, żeby się bać.

To właśnie wtedy moje myśli coraz częściej zaprzętała owa dziura we mnie, ta, z której co miesiąc wyciekała krew.

Zaczęłam ją badać. Nie dostrzegłam w niej niczego specjalnego, była jak usta, które się rozciągają, gdy obraca się w środku palcem. Dziwne okazało się co innego: to, że robiło mi się tak przyjemnie, że czułam się podniecona. A kiedy już raz zaczęłam, nie mogłam z tym skończyć, bawiłam się tak co wieczór przed zaśnięciem.

Przez pół roku pomagałam Lisie przy dzieciach i w sklepie. Potem dostałam pracę u Nissego Nilssona, który miał delikatesy na bazarze Alliance. Przyjaźnił się z Ragnarem, łączyły ich wspólne interesy i jesienne wyprawy na polowania. Nisse okazał się miłym i pogodnym człowiekiem, zwłaszcza popołudniami, kiedy butelka wódki była już do połowy pusta.



– Potrzebuję kogoś, na kim mógłbym polegać – powiedział.

Nigdy jednak nie pił więcej, niż mógł wytrzymać. Jedna butelka wystarczała mu na dwa dni.

Nadszedł rok 1918 i kolejki przed piekarnią na Sódra Allegata stały się krótsze. Głód powoli przestawał dokuczać miastu. Ale właśnie wtedy ludzie zaczęli umierać na hiszpankę, która była przecież tylko zwykłą grypą. Czyli w gruncie rzeczy umierali z niedożywienia, na przykład dzieci z mieszkania pod nami, sąsiadka Lisy i wielu innych. Cały czas się bałam, pilnie uważałam na maluchy Ragnara i na matkę, która z każdym dniem czuła się bardziej zmęczona.

Ale niepokój zniknął, gdy co rano o ósmej szłam do mojej nowej pracy, przecinałam Sódra Allegata, a potem aleją wzdłuż kanału Rosenlund i przez most Bazarowy dochodziłam do części miasta otoczonej fosą, gdzie leżał wielki plac Kungstorget i wielkie hale. Po raz pierwszy dostrzegłam, że to miasto jest naprawdę piękne, ozdobione połyskującymi szlakami wodnymi i wysokimi drzewami, które tworzyły zielone sklepienia ponad nabrzeżem. I poczułam wtedy, że tam jest moje miejsce. Byłam jedną z wielu, którzy podążali truchtem do codziennej pracy.

Powoli nadeszła wiosna, przynosząc słońce i ciepło. Myśleliśmy, że położy kres hiszpance. Tymczasem lato dodało jej jeszcze siłę, coraz więcej ludzi umierało w nędznych piwnicznych norach Hagi.

W ogromnej hali targowej witaliśmy się, wykrzykując do siebie nawzajem „dzień dobry”, jednocześnie otwieraliśmy nasze stoiska i wyjmowaliśmy na lady przysmaki dnia. Greta, która miała sklepik z serami, prawie zawsze była gotowa pierwsza i wołała, że może już nastawić kawę.

Piłyśmy na stojąco, jedząc okrągłe białe bułeczki z serem, a kiedy przelykałyśmy dosłownie ostatni łyk kawy, otwierała się brama i do środka napływali ludzie, którzy chcieli kupić chrupiący chleb na śniadanie, świeże masło, a czasami też jakieś ciastka. Przez pierwsze godziny nie miałam wiele do roboty, dopiero około południa mieszkańcy Góteborga zaczęli myśleć o delikatesach. A po południu stali już u mnie w kolejce.

Nauczyłam się dużo: kroić wędzonego łososa na cieniutkie jak pergamin plasterki, rozróżniać wiele rodzajów marynowanych śledzi, ściągać skórę z węgorza, robić smakowite sosy, wyczuwać, czy kraby są odpowiednio mięsiste, gotować raki, podtrzymywać życie w homarach i setek innych nowości. Jak na przykład ważenia i rachowania. Ćwicząc codziennie, zapomniałam o mojej wstydlivości i nauczyłam się rozmawiać. Czyli „być wyszczekaną”, jak mawiał Nisse Nilsson.

– To jest najważniejsze ze wszystkiego. Pamiętaj.

Rano Nisse był w porcie rybackim i w wędzarniach, a po południu, wiadomo, jak zwykle... Pod koniec robiłam już prawie wszystko, prowadziłam kasę i księgowość, na mojej głowie była też lista zakupów i sprawy bankowe.

– Boże, jaki to skarb ta dziewczyna – mawiał, kiedy Ragnar zaglądał do nas czasem.

Czułam wtedy, że rosnę.

Ale najlepsze z tego wszystkiego było to, że zyskałam koleżanki. Niektóre zostały nawet przyjaciółkami na całe życie: Greta od sera, Aina od kielbasy i Lotta z cukierni.

No i był też Stig, syn rzeźnika. Podobno kochał się we mnie. Ale ja udawałam, że o tym nie wiem, i dlatego mogliśmy pozostać przyjaciółmi.

To właśnie tam, w hali, usłyszałam, że jestem ładna. Pierwsza piękność hali targowej – powiedział Nisse jak zawsze z przesadą. Lecz kiedy biegałam między rzędami stoisk, chłopcy zawsze za mną gwizdali, czyli coś jednak w tym było. Żartowali sobie, śpiewając: „Umiesz gwizdać, Johanno?” Od jednego dwunastolatka z naszej kamienicy nauczyłam się kiedyś gwizdać na palcach: wkładałam dwa palce do ust i wydobywałam dźwięk, który płoszył koty na drzewach.

Od tamtej pory gwizdałam jak jakiś ulicznik, kiedy tylko słyszałam tę głupią piosenkę. Choć znajdowało to uznanie, Nissemu wcale się nie podobało.

– Skończ z tym – mówił. – Zdeformujesz sobie piękne usta.

Na samym początku zauważyłam któregoś dnia doktora z Viktoriagata. Zdecydowanym krokiem zmierzał prosto do mojego stoiska. Od razu zrobiło mi się sucho w ustach i usłyszałam, jak wali mi serce, lecz myśl o

Nissem, który siedział za przepierzeniem, podziałała kojąco.

Poza tym nie warto było się denerwować. Doktor w ogóle mnie nie rozpoznał. Chciał kupić dwa homary, dwadzieścia cienkich plastrów łososia, kilogram krabów i pół kilo piklinga.

Zapakowałam sprawunki, on je wziął i zapłacił. Suma była dokładnie dwa razy taka jak moja pensja, którą mi wypłacał co miesiąc.

Próbował się targować.

– Przykro mi, ale mamy stałe ceny.

Nisse, który słyszał tę rozmowę, wyszedł z ukrycia i mnie pochwalił. Właśnie takim powinno się być: zdecydowanym i miłym. Potem dodał:

– Jaka ty jesteś blada, dziewczyno. Chodź, napijesz się może kawy.

Siedziałam więc w kawiarni i próbowałam przetrwać w sobie to, co wydało mi się zupełnie nieprawdopodobne: on mnie nie rozpoznał, ten łajdak.

Powiedziałam już wcześniej, że na posadzie służącej stałam się socjaldemokratką. Ale mam już w ogóle taki nawyk, że staram się robić z siebie kogoś lepszego, niż jestem w rzeczywistości. To właśnie u tej rodziny z Viktoriagata nauczyłam się nienawidzić mieszczaństwa. Zdarzyło się to w pewien wietrzny kwietniowy dzień 1920 roku. Tuż przed południowym szczytem.

Stałam sama na stoisku. Lada była brudna, ponieważ kroiłam węgorza dla klienta, który powiedział mi, że na

dworze szaleje orkan i kanały występują z brzegów. Kiedy odszedł, chciałam wytrzeć ladę, stwierdziłam jednak, że nie mam wody.

Nie mieliśmy bieżącej wody w naszych kramikach. Ale pod ogromną szklaną kopułą pośrodku bazaru znajdował się okrągły dziedziniec z fontanną i pompą. Poprosiłam Gretę od serów, żeby zwróciła uwagę na moje stoisko, sama zaś poszłam po wodę.

– Biegnij szybko – powiedziała.

Popędziłam więc. Lecz kiedy właśnie miałam otworzyć ciężkie drzwi na oszklony dziedziniec, wiadro wypadło mi z ręki, grzechocząc po kamiennej posadzce. Zirytowana, próbowałam się pochylić, żeby je podnieść. Ale nie mogłam.

Potem chciałam unieść rękę do góry i pchnąć drzwi. Gdy i to okazało się niemożliwe, zrozumiałam, że jestem sztywna jak posąg. Przez sekundę pomyślałam o paraliżu dziecięcym. Wcale się nie bałam, było tak cicho wokoło. I we mnie w środku. Panował taki spokój, że nie mogłam ani myśleć, ani odczuwać strachu. Zrobiło się też przedziwnie jasno. Tak jakoś... uroczyście.

Minęło kilka dobrych chwil, a ja tylko raz pomyślałam o tym, że się spieszę.

Potem rozległ się trzask, gdy szklana kopuła nie wytrzymała naporu wiatru i zawaliła się z hukiem, który obudziłby umarłego. Drzwi otworzyły się na oścież, uderzyły mnie w głowę i cisnęły przez korytarz prosto na ścianę. Odłamki szkła sypały się na ziemię, coś kłuło

mnie w ramię, zasłoniłam rękami twarz i dzięki temu uchroniłam ją od obrażeń. Ze wszystkich stron nadbiegali ludzie, krzyczeli, że, „Bogu dzięki, Johanna jest tutaj! Zdążyła jeszcze wyjść, zanim... Ale ona krwawi. Trzeba zadzwonić! Policja! Pogotowie!”

Miły doktor w sahlgreńskim szpitalu wyjął mi odłamek z ramienia i zaszył ranę.

– Panienska musi mieć chyba niejednego anioła stróża – powiedział.

Niedługo potem przyjechali policjanci i oficer straży pożarnej: Nie, panienska ani nie widziała, ani nie słyszała niczego niezwykłego.

– Bardzo się spieszyłam – wyjaśniłam.

Uwierzyli mi.

Mówiono o wypadku bardzo dużo, bo ów huk słychać było w całym mieście. Pisano o tym zdarzeniu i o mnie w gazecie: „Dziewczyna, nad którą czuwa anioł stróż”. Na bazarze żartowano sobie potem:

– No, Johanno, co tam słychać u twojego anioła?

Któregoś dnia już nie wytrzymałam i wybuchnęłam płaczem. Stig pocieszał mnie i wycierał mi nos. Wreszcie dali spokój z tą anielską strażą.

Tymczasem matka przeczytała o mnie w gazecie i powiedziała coś dziwnego:

– Mam nadzieję, że wierzysz, że to prawda.

Nic nie odpowiedziałam, ale pierwszy raz od wielu lat spojrzałyśmy na siebie ze zrozumieniem. Wtedy ona uśmiechnęła się nieznacznie, po czym spytała:

– Czy to był twój ojciec, Johanno?

– Nie wiem, mammo.

Rzeczywiście nie wiedziałam. Do dzisiaj nie wiem. Nie chciałam żadnych wyjaśnień. Ani wtedy, ani potem.

Wiedziałam tylko jedno: to był cud. Od tamtej pory bez trudu umiałam przypomnieć sobie ojca i lasy, huczący wodospad i gołębia czubatego, który krzyczał o zmierzchu, bajki opowiadane przez tatę, śpiewane wspólnie piosenki. Dotychczas nie miałam na to odwagi. A teraz obrazy wprost mnie zalewały, najpierw w nocnych marzeniach sennych, a później w jasnym świetle dnia. Zupełnie jakbym otworzyła jakąś szluzę.

Śniło mi się, że lecimy, ojciec i ja, że zmagamy się z prądem pod Wilczą Skałą. Była noc, kiedy dotarliśmy na jej czubek i usiedliśmy, żeby odpocząć. On wskazał ręką na gwiazdy, mówiąc, że to odległe, obce światy. Gdy spytałam, kto tam mieszka, usłyszałam, że w domu gwiazd jest pusto i odludnie.

Unosiliśmy się także ponad wszystkimi jeziorami, nad Długim i Norweskim Stawami, a także nad tysiącem małych oczek wodnych w lesie.

Te sny o lataniu przepełniały mnie nieopisaną radością, poczuciem zwycięstwa. Poczuciem władzy, tak, po prostu władzy.

W dzień było inaczej. Wspomnienia nasuwały się same. Gdy wracając aleją do domu, słyszałam śpiew jakiegoś ptaka, wtedy zatrzymywałam się od razu, nasłuchiwałam i nie miałam wątpliwości: to zięba.

Wstępowałam do Ernsta, piekarza z bazaru, i czułam od razu, jak pachnie mąką, widziałam, jak promienie słońca igrają z mącznym pyłem w naszym młynie. Pewnej niedzieli Greta i ja wybrałyśmy się nad jezioro Delsjón, usiadłyśmy na cyplu, przyglądając się, jak wielki las odbija się w głębokiej wodzie. Na brzegu rosły brzozy i wierzby usiane koćkami. Od razu ujrzałam klony przy naszym domu, jak gubiły jasnozielone kwiecie w Norweskich Stawach.

– Czujesz, jak tu pachnie miodem?

Nie, Greta nie czuła tego zapachu.

Prawie tak samo dziwnie było potem z mamą. Myślałam, że się od niej uwolniłam. A oto teraz pojawiła się znowu z całą swoją władzą, jaką ma matka. Bo przecież mimo wszystko to ona jest tą jedyną osobą, która nigdy mnie nie opuściła.

Wiodłam z nią długie rozmowy. Nieme rozmowy, które jednak dla mnie były rzeczywiste. Siedziałyśmy przy pierwszomajowym obiedzie, szłam razem z nią w pochodzie, słyszałam pieśni bojowe i łopotanie czerwonych chorągwi na wietrze.

Spytałam:

– Co złego mama widzi w tym, że biedni ludzie domagają się swoich praw?

A ona odparła:

– To źle się skończy, jeśli lud przestaje być pokorny. No bo kto zrobi to wszystko, co musi być zrobione, jeśli nie biedni? Chyba nie myślisz, że bogacze i panowie



kiedykolwiek zatroszczą się o własne gówny.

– Mama musi zrozumieć, że przyszły nowe czasy.

– Zrozumiałam. Lud karmi się nienawiścią.

– Coś w tym jest, mamó. Nienawiść zaczyna wreszcie dojrzewać i już niedługo wyda owoce.

– A jak one smakują?

– Myślę, że będą gorzkie jak jagody tarniny, o których mama zawsze mówiła, że są takie zdrowe.

– Człowiek nie przeżyje na owocach tarniny.

– To prawda, musi mieć uczciwą zapłatę i pewną pracę. To coś nowego, mamó, coś, o czym mama nigdy nie myślała.

– I co by miało z tego wyniknąć?

– Sprawiedliwość, mamó.

Na tym świecie nie ma sprawiedliwości. To Bóg nami kieruje, od wiek wieków.

A jeśli Bóg nie istnieje? Ten zły Bóg, w którego mama wierzy. A jeśli to my sami kierujemy?

– Ty chyba nie wiesz, co mówisz, dziecko. Ludzie ślepną, chorują i tracą władzę w członkach. Umierają niewinne dzieci. Dla wielu życie jest przekleństwem, zanim jeszcze nauczą się myśleć.

– Znacznie więcej ludzi mogłoby nie umierać i cieszyć się zdrowiem, gdyby lepiej się odżywiali i godniej mieszkali.

To prawda. Ale ciągle przybywa nowych panów.

– Będziemy mieć taki świat, w którym każdy człowiek stanie się panem samego siebie. Słyszałam to od

mówcy na Jamtorget.

Pokręciła głową.

– Czyli jak Larsson spod trójki – rzekła. – Dzięki swojemu warsztatowi jest przecież bogaty i nie musi się przed nikim płaszczyć. Ale tłucze swoje dzieci do nieprzytomności i pije jak Świnia. Ludzie nie stają się lepsi tylko dlatego, że lepiej im się powodzi. Przypomnij sobie choćby tę bogatą rodzinę, u której służyłaś. Nie byli ani odrobinę lepsi od najgorszych chłopów z mojego dzieciństwa.

Długo myślałam o tej rozmowie. Nieszczęście matki polegało nie na tym, że była głupia, tylko na tym, że nie potrafiła wyrazić tego, co myśli.

Tak więc Ragnar miał skończyć czterdzieści lat. Zamierzał zorganizować przyjęcie z zimnym bufetem pod ogromnymi drzewami na podwórzu. Pogoda była piękna, Lisa upiekła chleb, a mama ciasta. Nisse Nilsson wyładował ogromną skrzynię śledziami, łososiem, pasztetami i innymi przysmakami.

– To prezent urodzinowy dla twojego brata – wyjaśnił. – Tylko powiedz mu, że o piwo i wódkę sam się musi postarać.

Spodziewano się dużo gości, Ragnar miał przyjaciół w całym mieście.

Gdy stół był już nakryty, my, kobiety, poczułyśmy się dumne. Wyglądał bardzo ładnie, przyozdobiony kwiatami, brzozowymi gałązkami i szeroką zieloną wstęgą. Nikt się nawet nie domyślał, że białe obrusy to prześcieradła, a

naczynia, każde z innej parafii, zostały pożyczone od wszystkich sąsiadów po trochu.

Kiedy pobiegliśmy z matką na górę, żeby przebrać się w odświętne sukienki, usłyszałyśmy, że właśnie przyszli muzykanci i zaczęli ćwiczyć na akordeonach.

Matka zachichotała. Potem wyjęła swoją starą suknię z czarnej wełny, długą do samej ziemi.

– Ten jeden jedyny raz mogłaby mama chyba włożyć coś modniejszego. Może tę zieloną sukienkę... ?

Wiedziałam jednak, że nie ustąpi, chciała wyglądać dostojnie. Staro i godnie.

Uroczystość się udała, goście śpiewali i jedli, a w miarę jak ubywało wódki w butelkach, robiło się coraz głośniejsze i gwarniejsze. Matka wyglądała na przestraszoną, lecz uspokoiła się, gdy usłyszała od Lisy, że Ragnar jest trzeźwy i pilnuje, by nie doszło do żadnej bijatyki czy innego nieszczęścia. Szybko opuściła towarzystwo. Powiedziała mi na ucho, że jest zmęczona i bolą ją plecy. Zaprowadziłam ją na górę, pomogłam się położyć i nakryłam kocem.

To ją rozdrażniło. Nigdy nie umiała przyjmować pomocy czy uprzejmości.

– Teraz są tańce. Idź na dół i zabaw się trochę.

Zatańczyłam rundkę z Nissem Nilssonem. Ale nie sprawiło mi to przyjemności, przez cały czas myślałam o matce, byłam zirytowana i smutna. Dlaczego ona nie umiała cieszyć się tak jak inni ludzie, jak wszystkie te kobiety, które siedziały sobie teraz w wieczornym słońcu,

mieliły językami i śmiały się do rozpuku? Niejedna z nich jest od niej starsza. Ona ma przecież zaledwie pięćdziesiąt trzy lata.

Pięćdziesiąt trzy lata!

Coś niepojęcie straszego kołatało mi się po głowie, chciało się z niej wydostać.

Nie.

A jednak tak. Ona ma pięćdziesiąt trzy lata, a jej syn kończy dzisiaj czterdzieści.

Mając trzynaście lat, urodziła dziecko.

Odliczyłam dziewięć miesięcy – październik.

Miała wtedy dwanaście lat.

Dziecko!

To przecież niemożliwe. Może on jest adoptowany.

Nie, oboje są do siebie zbyt podobni!

Wiedziałam o tym, że Ragnar miał innego ojca niż ja i moi bracia. Kogo? Opowiadano, że mama jako młoda dziewczyna zakochała się w pewnym kuzynie, ale to przecież też niemożliwe. Dwunastolatka nie zakochuje się tak namiętnie, żeby iść z mężczyzną do łóżka. Ktoś mówił, że omal nie umarła z żalu, gdy ów kuzyn zginął nieszczęśliwie na polowaniu. Kto to był? Trzeba spytać Lisę. Ale co ona może wiedzieć?

– Czy ona jest chora?

– Nie wiem, martwię się o nią.

Pobiegłam na górę, wiedząc, że muszę zadać to pytanie.

– Śpi mama?

– Nie, tylko trochę odpoczywam.

– Właśnie sobie obliczyłam, że mama miała dwanaście lat, kiedy zaszła w ciążę, i trzynaście, kiedy urodziła.

Usiadła na łóżku, a ja, choć panował mrok, dostrzegłam, że jej twarz oblał płomienny rumieniec. Wreszcie powiedziała:

– Ty zawsze byłaś sprytna. To dziwne, żeś nie wyliczyła tego już wcześniej.

– Tak, to dziwne. Ale ktoś mi powiedział, że mama była zakochana w ojcu Ragnara i bardzo się smuciła po jego śmierci. Dlatego pewnie nie chciałam ani o tym myśleć, ani o nic pytać.

Wtedy ona zaczęła się śmiać – upiornym śmiechem. Zupełnie jakby straciła rozum. Kiedy spostrzegła, że się przestraszyłam, zakryła sobie ręką usta. Zaległa cisza.

Po chwili powiedziała:

– Ojciec Ragnara był gwałcicielem i potworem. Nigdy w życiu nie cieszyłam się bardziej niż wtedy, gdy go postrzelili. Zawsze się go bałam. Choć właściwie nie musiałam, bo byłam już przecież żoną Bromana, który miał papiery kościelne na chłopca.

– Jak długo mama była sama z Ragnarem, zanim pojawił się tata?

– Przez cztery lata byłam dziwką i żyłam w hańbie.

Nie odważyłam się na nią patrzeć, kiedy się rozbierałyśmy i rozścielałyśmy łóżka. Ale potem podczołgałam się do kuchennej ławy, na której leżała, i

zasnęłam ze łzami w oczach, podczas gdy muzycy rzępolili na akordeonach, a wężyk rozbawionych gości tańczył wokół drzew, długiego stołu, wychodków i komórek na podwórzu. Ależ ja się natańczyłam tego lata, kiedy miasto obchodziło trzechsetne urodziny i samo siebie obdarowało Lisebergiem! Dziś dla wszystkich to tylko park rozrywki z karuzelami i kolejką wysokogórską. Choć większość przyznaje, że jest tam bardzo ładnie.

Dla nas, świadków tej budowy, po prostu bajka stała się rzeczywistością. Domy, piękne jak świątynie, stały w parku, w którym był staw z nenufarami, potoki szemrzące na zboczach, orkiestry, teatrzyki, balety pod palisadami i tysiące... nie, setki tysięcy kwiatów.

Przez kilka tygodni zdarłam w tańcu trzy pary butów. Pierwszą połowę lat dwudziestych wspominam jako najpogodniejszy czas mojego życia.

Ale to nie tylko zasługa Lisebergu.

Wprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy. To było ważne dla matki, której przestał trochę dokuczać ból w plecach. Potem dostałyśmy urlop i Aina, Greta i ja pojechałyśmy pociągiem do Karlstadu. Stamtąd odbyłyśmy wędrowkę przez dolinę Fryksdal do Sunnę i Marbacka. Już sama podróż okazała się przygodą, także dla mieszkańców wiosek nad jeziorem. Trzy młode kobiety w długich spodniach (!) przemierzające samotnie okolicę – to było naprawdę coś niezwykłego jak na tamte czasy.

Widzę teraz, że zapomniałam o czymś bardzo

istotnym: Selma Lagerlof. To Aina przeczytała o niej w gazecie i wypożyczyła z biblioteki trylogię o rodzie Lówenskóldów. Przeczytałyśmy wszystkie trzy części z takim zapalem, że zostały z nich dosłownie strzępy, tak jak z moich butów podczas tego jubileuszowego lata. Boże, jakie ta powieść zrobiła na nas wrażenie!

Chyba największe na mnie, ponieważ wszystko wydawało mi się znajome. Było w tych książkach właśnie to – zauroczenie z dzieciennych lat. Czytałam i czytałam, i świat na nowo odzyskiwał głębię. Opowieść snuła kobieta, która wiedziała, że nic nie jest takie, jakim się wydaje, że wszystko ma ukryty sens. Tydzień w tydzień odkładałam co nieco z pensji i kupowałam inne książki Lagerlof na określone w umowie raty w wielkiej księgarni u Gumpertów. Oprawne w piękny półskórek. Boże, ależ ja byłam dumna, gdy uzbierałam ich kilka w mojej skromnej biblioteczce!

Nie pamiętam wiele z Marbacka, chyba dlatego, że czułam się zawiedziona. Może uroiłam sobie, że od tej posiadłości bije taki blask, iż oblewa poświatą cały park, a pod drzewami przemykać będą Gósta Berling, Charlotta Lówenskóld i Nils Holgersson.

To od Selmy Lagerlof nauczyłam się, że miłość jest potężną siłą, której nie sposób nie ulec, stokroć boleśniejszą i zarazem miłszą, niż sobie wyobrażałam. Teraz, po tylu latach, uzmysławiam sobie, co panna Lagerlof uczyniła z nami, młodymi i pełnymi tęsknot. Urodziłyśmy się w świecie, w którym nie było miejsca na

tak wspaniałe uczucia.

Tak czy inaczej, Aina, Greta i ja zaczęłyśmy śnić o księciu z bajki.

Ale nie zamierzam zrzucać dzisiaj całej winy wyłącznie na książki. Podczas gdy my, jedna w drugą, nabijałyśmy sobie głowy myślami o tym „jednym jedynym” i uczyniłyśmy zamążpójście celem naszych dążeń, pojawiły się także inne siły napędowe, z których wpływu nigdy nie zdałyśmy sobie sprawy.

Przecież trzeba pamiętać, że właśnie pod koniec lat dwudziestych Göteborg zaczął nieco zwalniać tempo. Ludzie mieli coraz mniej pieniędzy, dwa stoiska w hali splajtowały, po ulicach wałęsało się coraz więcej bezrobotnych.

Był to początek ogromnej depresji. Ale wtedy nie znaliśmy jeszcze ani tego słowa, ani jego znaczenia.

W gazetach pisano, że kobiety zabierają pracę mężczyznom. Domagano się nowego prawa, które zabraniałoby wykonywania pracy zawodowej mężatkom. W każdym sklepiku w mieście wypowiedano ekspedientkom, a za ladą stawali właściciele. Ja, która uważałam za rzecz oczywistą, że zawsze powinnam być w stanie utrzymywać się sama, czułam się coraz bardziej niepewnie.

Nie sposób dziś wyjaśnić współczesnym młodym kobietom, do jakiego stopnia tęsknota za miłością splatała się wówczas z lękiem, prowadząc w rezultacie do desperackiego polowania. Chodziło o przeżycie.



Doszliśmy z powrotem do sytuacji, w jakiej kiedyś znajdowała się moja matka, z tą jednak różnicą, że chłopska córka w poszukiwaniach mężczyzny, który mógłby ją utrzymać, miała wsparcie całej rodziny.

Jeśli istniał ktoś całkowicie otwarty na wielką miłość – to na pewno tym kimś byłam ja, kiedy spotkałam Arnego. Pracował jako mistrz w jednej z większych stoczni, której chyba nigdy nie powinien osiągnąć kryzys. Wstydziłam się tej myśli i dlatego potem, kiedy matka powiedziała mi, że to porządny mężczyzna, bo zawsze będzie umiał wyżywić rodzinę, wpadłam w złość: „Wysłałabym za niego nawet wtedy, gdyby zamiatał ulice”.

Wspomniałam już wcześniej, że mam nieszczęsny zwyczaj robienia z siebie kogoś lepszego, niż jestem. Upiększania się. A prawda jest taka, że po prostu czułam się zmuszona, aby się w kimś zakochać, gdy Nisse Nilsson nie sprzedawał nawet tyle łososia, żeby móc mi wypłacić pensję, a Greta ze stoiska z serami splajtowała i musiała przyjąć posadę służącej.

Ale byłam naprawdę zakochana. W moim ciele zaczęło się coś dziać, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Arnego Karlgręna. Spocily mi się ręce, szybciej biło serce i poczułam jakieś łaskotanie w podbrzuszu. Dopiero wtedy zrozumiałam, że ów otwór w moim ciele może być siedliskiem żądz, a krew może kipieć od tęsknoty.

Zdarzyło się to na zebraniu stowarzyszenia socjaldemokratycznego. Mężczyźni jeden za drugim

wstawali i mówili to, co zwykle, o niesprawiedliwości i że mimo nędznych czasów musimy obstawać przy naszych żądaniach. Pod koniec wystąpił naprzód prawdziwy olbrzym i oświadczył, że kobiety odbierają mężczyznom nie tylko pracę. To one przyczyniają się także do utrzymania wynagrodzeń na niskim poziomie, gdy wykonują tę samą ciężką robotę co oni, ale nie mają dość rozumu, aby domagać się takich samych pieniędzy.

Tak mnie to rozzłościło, że zapomniałam o własnej nieśmiałości, poprosiłam o głos i zapytałam, jak – jego zdaniem – żony pijaków, kobiety niezamężne, wszystkie wdowy i inne samotne matki mają zapewnić dach nad głową i jedzenie sobie oraz swoim dzieciom.

Wśród zgromadzonych dało się słyszeć oznaki niezadowolenia.

Ale wtedy za pulpitem stanął on, Arne, i oznajmił, że nie zgadza się ze swoim przedmówcą. I że związki zawodowe powinny zrobić wszystko, by pozyskać dla siebie kobiety, i dopilnować, by nie działa im się krzywda.

Jednakowa płaca za jednakową pracę – powiedział, i to był ten pierwszy raz, kiedy usłyszałam te słowa.

Publiczność zaczęła gwizdać.

A ja patrzyłam na niego i w moim ciele działo się wszystko to, co wcześniej opisałam. Był taki przystojny. Wysoki i jasnowłosy, miał wrażliwą twarz, ale o zdecydowanym wyrazie, niebieskie oczy i szczękę świadczącą o wojowniczości.

Nareszcie!

Po zebraniu podszedł do mnie i spytał, czy pozwolę się zaprosić na kawę. Najbliższa kawiarnia znajdowała się na Sódra Allegata, poszliśmy tam, ale na miejscu stwierdziliśmy, że nie chce nam się pić. Ruszyliśmy więc dalej aleją, a potem chodziliśmy wzdłuż kanałów. Spacerowaliśmy tak pół nocy, także po nabrzeżach portowych, Yastra, Norra i Ostra Hamngata. Na koniec usiedliśmy na cokole pomnika bohaterskiego króla na rynku Gustawa Adolfa, gdzie Arne powiedział, że ten władca był rozbójnikiem, prawdziwym nieszczęściem i że dobrze by mu zrobiło, gdyby się przysłuchał szczerzej rozmowie współczesnych ludzi.

Wybuchnęłam śmiechem. Potem wpatrywałam się w niego, przypominając sobie, co ojciec powiedział kiedyś o Karolu XII – błogosławiona kula, która położyła kres temu bohaterowi.

Noc robiła się coraz chłodniejsza, było nam zimno, mój towarzysz odprowadził mnie więc do domu. W bramie wyznał, że jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś tak wspaniałego jak dzisiaj: dziewczyny, która wstała z miejsca na zebraniu i z oburzenia aż ciskała wokół siebie iskry.

Miał żaglówkę, sam ją zbudował. W piątek, akurat kiedy mieliśmy zamknąć kramik, pojawił się w halach i spytał, czy nie miałabym ochoty pozebrać z nim w sobotę. Moglibyśmy przeciąć szkiery, skierować się na północ na Marstrand i obejrzeć twierdzę.

Po chwili, jakby badając grunt, dodał:

– Taka wyprawa może się trochę przeciągnąć. Dlatego musisz liczyć się z tym, że trzeba będzie przenocować na łodzi.

Skinęłam głową, zrozumiałam, byłam gotowa.

Dał też parę wskazówek. Ciepłe ubranie. I lekkie. Jajka, chleb, masło, kiełbasę weźmie on. Jeśli chciałabym coś więcej, mogę zadbać o to sama.

W sobotę w południe oczyściłam sklepik ze wszystkich smakowitych resztek. Widziałam przecież, że kiedy Arne stanął przed ladą i zobaczył te przysmaki, które sprzedawaliśmy, aż mu się do nich zaśmiały oczy.

Co powiedziałam matce? Nie przypominam sobie.

To, co najlepiej pamiętam z tej wyprawy, to nie Arne ani kochanie się w ciasnej kajucie. Pamiętam morze. I łódź.

To dziwne. Mieszkałam w Göteborgu już od wielu lat, czułam, że miasto pachnie morzem i solą, zwłaszcza kiedy wiatr wiał od zachodu. Ale nigdy dotąd nie widziałam morza. Wszystkie wyprawy wiodły w głąb lądu – do lasów i w wysokie góry, nie zaś na morze. Rzecz jasna, spacerowałam po porcie tak jak wszyscy, podziwiałam obce statki i wdychałam zapach korzeni, konopi czy owoców. I jak wszyscy mieszkańcy tego miasta stałam na nabrzeżu, gdy powoli wtaczał się i przybijał do brzegu „Kungsholm”.

Ale ten parowiec kursujący do Ameryki, ze swoimi pochyłymi kominami, potężny i wyniosły, nie należał do mojego świata. On był dla bogatych.

A teraz oto siedziałam w łodzi, która przy postawionych żaglach tańczyła po nieogarnionej przestrzeni. Błękitny bezkres aż po koniec świata, szum wiatru, bryzgi fal, blask – tak jaskrawy, że aż kłuł w oczy.

– Dam ci czapkę z daszkiem – powiedział Arne.

Ale ja nie chciałam żadnej osłony, pragnęłam mieć szeroko otwarte oczy i chłonać wszystko, morze i niebo.

– Powinnaś zarzucić sobie na ramiona koszulę, bo możesz się poparzyć – dodał.

Nie chciałam też koszuli. Wolałam chłonać wszystkie te wspaniałości całym swoim ciałem. Arne jednak nie ustąpił i dał mi koszulę. Musiałam go posłuchać. Byłam mu później za to wdzięczna, gdy nadszedł wieczór i poczułam, jak pali mnie twarz i szyja.

– Z tyłu, za nami, widać latarnię morską na Bóttó – objaśniał Arne. – A tam, daleko, to Vinga. Kiedy do niej dopłyniemy, zrobimy zwrot i skierujemy się na północ. Przetniemy szlak wodny między Invinga i Vinga. Łódź będzie się trochę przechylać, ale to nic groźnego.

Potaknęłam głową. Gdy jednak zrobił hals i łódź położyła się na bok, krzyknęłam głośno, ale nie ze strachu, tylko raczej z powodu zawrotu głowy.

– Podoba ci się?

Nie było to odpowiednie słowo, zaczęłam się więc śmiać jak mała dziewczynka.

– Jest cudownie! – zawołałam.

Sunęliśmy poza pasmem szkierów, wzdłuż brzegu, na północ przy silnym bidewindzie, żagle łopotwały, od morza

wiał wiatr, opryskując nas słoną wodą.

– Jeśli się boisz, mogę refować.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy, roześmiałam się więc znowu i krzyknęłam, że się nie boję.

– Płyniemy na Stora Pólsan, a poniżej Klaveró będziemy pewnie musieli zacumować! – krzyknął. – Jest tam niezły port, który nazywają Utkaften.

Wszystko, co mówił, brzmiało dla mnie tak, jakby czytał mi wiersze. Wiatr przybierał na sile, Arne wrzasnął więc znowu:

– Chyba musimy zrzucić foka!

Narysowałam w powietrzu duży znak zapytania.

Roześmiał się głośno i krzyknął:

– Usiądziesz za sterem, bo ja muszę iść na chwilę na dziób!

Chwyciłam za pióro steru, on zaś wskazał mi kurs, którego miałam się trzymać. Po paru minutach szło mi już bardzo dobrze.

Gdy fok opadł, łódź od razu się wyprostowała i nie płynęliśmy już tak szybko. Niedługo potem znaleźliśmy się na zawietrznej za wyspą, gdzie zapanował niebiański spokój.

– Możesz jeszcze raz posterować, a ja zrzucę duży żagiel.

Wielki żagiel łopotał, uderzając o maszt, aż wreszcie opadł na pokład. Potem zrobiło się cicho, zupełnie cicho. Słyszać było jeszcze tylko łagodny szum łodzi sunącej po wodzie. Krzyknęła jakaś mewa, a potem cisza stała się

jeszcze głębsza. Po chwili rozległ się potężny plusk, gdy Arne rzucił do wody kotwicę. Później pierwszy wyszedł na brzeg, z cumą w rękę.

– Wybraliśmy dobre miejsce – rzekł, gdy z powrotem znalazł się na łodzi. – Płaczesz? Co się stało?

– Jest tak cudownie.

Staliśmy na pokładzie, całując się i obejmując.

– Boże! – powiedział. – Jesteś dziewczyną, na którą czekałem całe życie.

Potem pokazał mi łódź. Do kajuty na dole prowadziły schodki, których stopnie były jednocześnie ściankami dużych, pojemnych szuflad. Mieściła się w nich cała kuchnia: szklanki, talerze, noże, sztucce, garnki – po prostu wszystko. Zapasy jedzenia Arne upchnął pod podłogą kajuty, czyli – jak to nazwał – w stępcie. Pokazał mi też kocher i wyjaśnił, jak się nim posługiwać.

Przygotowywałam coś dojedzenia, podczas gdy on zajmował się żaglami. Pachniało bosko: solą, wodorostami i jajkami smażonymi na kielbasie. Jedliśmy, jakby nam groziła śmierć głodowa.

– Morze wycieńcza – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Na morzu człowiek robi się głodny.

Pamiętam wyspę, kwiaty, jakich nigdy dotąd nie widziałam, ciepłe skały pod stopami i mewy, które frunęły prosto na nas, skrzecząc przy tym jak oszalałe.

– Mają w gniazdach jaja – wyjaśnił Arne. – Nie powinniśmy im przeszkadzać.

Dokładnie to samo mówił mi ojciec, kiedy wiosną zbliżaliśmy się zbyt blisko do Wilczej Skały.

Wróciliśmy więc na łódź i całowaliśmy się dalej. Zauważyłam teraz, że powietrze między nami kłuje, jakby było naładowane elektrycznością, a krew w żyłach szumi.

Pamiętam jeszcze, że bolało, ale potem przeszło. Nic obezwładniającego. Poczułam się lekko zawiedziona. Zostałyśmy z matką same w mieszkaniu i wreszcie mogłyśmy utrzymać w nim porządek. Od sprzedawcy kwiatów z hali targowej dostałam kilka doniczek pelargonii, na które nie znalazł nabywców. Mama tak o nie dbała, że w naszych oknach zrobiło się po prostu przepysznie. Nawet w dni powszednie pozwalałyśmy sobie na to, żeby na stole w pokoju leżały piękne haftowane serwetki.

Była w znacznie lepszym nastroju, a wynikało to nie tylko z tego, że bardziej się ze sobą zżyłyśmy i tak dobrze się rozumiwałyśmy. Nie, główna przyczyna leżała chyba w tym, że zaświtała nadzieja dla moich braci. Wszyscy trzej mieli pracę i uczciwie się poženili.

Wcale nie tak rzadko robiła się dosyć rozmowna. Potrafiłyśmy spędzać całe wieczory na pogawędkach o dawnych czasach. Ja przypominałam sobie, oczywiście, najczęściej las i jeziora, wędrownie sokoły pod Wilczą Skałą i śpiew ptaków o zmierzchu. Matka wspominała ludzi, kowalową o złym spojrzeniu, kowala, który namawiał ojca na wódkę. I Annę, akuszerkę.

– Ty też powinnaś ją jeszcze pamiętać. Mieszkała u



nas, kiedy byłaś mała – powiedziała.

Rzeczywiście, przypomniam ją sobie. Tę pogodną kobietę, która nauczyła mnie wszystkiego o gotowaniu i pieczeniu, o ziołach i lekarstwach.

– To był poczciwy człowiek – rzekła matka. – I życzliwy.

Ona była jak anioł – pomyślałam. Dlaczego, jak mogłam o niej zapomnieć?

– To, że żyjesz, zawdzięczasz jedynie jej zręczności – wyznała matka, po czym usłyszałam całą historię tych strasznych narodzin dziecka, „które nie spieszyło się na świat. Zaparło się. Anna nie miała wyjścia i musiała mnie rozciąć”.

Byłam przerażona, nie odważyłam się nawet myśleć o sobocie spędzonej na łodzi Arnego.

Najwięcej mówiłyśmy o ojcu i jego opowieściach.

– Pamiętasz tę legendę o Śmierci, która w swojej grocie miała świecę dla każdej ludzkiej duszy?

– Tak. To ta o Johannesie.

I zaraz usłyszałam opowieść o pokutniku, śmierci babci, a także o Johannesie i jego przepowiedni dotyczącej ojca.

– Zgadzała się dokładnie co do roku.

Opowiadała też o Ingegerd, ciotce, która nigdy nie wyszła za mąż i pozostała wolna i niezależna, mimo że była kobietą. W samym środku opowiadania przerwała na chwilę, po czym rzekła coś osobliwego:

– Miała swoje własne życie. I dlatego zawsze mogła

być uczciwa i wiarygodna.

Długo milczałam. Potem powiedziałam o Arnem.

Matka poczerwieniała, jak zawsze kiedy się denerwowała.

– Czy on będzie w stanie utrzymać ciebie i dzieci?

– Tak.

Następnie zastanowiła się przez chwilę i spytała:

– Lubisz go?

– Chyba tak.

– Na początku to nie takie ważne. Jeśli to dobry człowiek, przywiążesz się do niego z czasem.

To było tak dalekie od Selmy Lagerlof, że wprost nie mieściło mi się w głowie. Ale nie wybuchnęłam śmiechem, żywiłam jedynie nadzieję, że matka ma rację.

Potem nadeszła ta sobota, gdy miał do nas przyjść z wizytą Arne. Już wcześniej zdążyłam mu opowiedzieć o Dalslandzie i ojcu, braciach, którym tak ciężko żyło się w mieście, Ragnarze, który był dla nas jak ojciec – „on jest wspaniały i trochę szalony, ale teraz ma trzy samochody i wszystko nadal mu się udaje”.

Gdy mówiłam o nim, Arne miał zaciętą twarz. Kiedy jednak wspomniałam o matce, że jest miła i że papple bez przerwy jak mała dziewczynka, od razu się rozpromienił.

– Lubię takich ludzi – rzekł. – Tacy nie kłamią.

– Niesamowite! – odpowiedziałam. Masz całkowitą rację, nigdy o tym nie pomyślałam.

I chociaż szliśmy właśnie ulicą, zatrzymałam się i go objęłam. Ludzie się śmiali, a on wyglądał na

zakłopotanego.

W domu przebiegło wszystko cudownie: najdroższe filizanki, najpiękniejszy obrus i siedem rodzajów ciastek do kawy. Matka miała na sobie czarną wełnianą suknię, naszyjnik ze strasu i oślepiająco biały fartuch.

– Mamy dokładnie takie samo mieszkanie, tylko jakby odwrócone – rzekł Arne.

Potem jego wzrok zatrzymał się na sofie z Varmlandu.

– Co za piękny mebel! Jaka wspaniała robota!

Przesunął dłonią po złączeniach i kantach, stwierdził, że dziś nie spotyka się już takich wyrobów stolarskich ani takiej cudownej intarsji.

Ani matka, ani ja nie wiedziałyśmy, co to intarsja, ja byłam zdumiona, a ona niemal nie dostała ataku serca z radości.

– Muszę panu powiedzieć, Arne, że przez te minione lata ciągle mnie tylko wyśmiewano z powodu tej sofy.

Tego popołudnia szło wszystko jak po maśle. Arne mówił jeszcze o swojej pracy w zakładach Gota, gdzie odpowiadał za warsztat stolarski, w którym produkowano wyposażenie wnętrz wielkich statków.

Wyposażenie wnętrz – to były nowe słowa i dla mnie, i dla matki.

– Masz na myśli meble?

– Tak, ale to nie są zwyczajne meble. Większość z nich jest wbudowana na stałe. Jak na mojej małej łodzi. Tyle że tamte są elegantsze – z mahoni, drewna

orzechowego i tak dalej.

– Pewnie są piękne – rzekła matka.

Późnym popołudniem wstąpił Ragnar. Obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem, jakby oceniali swe siły przed starciem. Uścisnęli sobie jednak dłonie, a mój brat ni z tego, ni z owego wybuchnął nagle śmiechem. Chyba jeszcze o tym nie mówiłam, ale jego śmiechowi nie jest w stanie oprzeć się żaden człowiek. Drżą od niego naczynia i powietrze, przenika aż do serca, a każdego, kto go słyszy, też zmusza do śmiechu. Arne wyglądał zrazu na zdziwionego, ale już po chwili obaj śmiali się tak donośnie, że aż pelargonie zaczęły gubić płatki.

– Nie rozumiem, co wy widzicie takiego wesołego – odezwała się matka. – Lepiej zrobię świeżej kawy.

Wówczas Arne powiedział coś, co mnie zdumiało:

– Chyba tylko mężczyzna może to zrozumieć.

Zauważyłam isierkę aprobaty w oczach Ragnara, po czym przez pokój przetoczyła się kolejna fala śmiechu. Następnie mężczyźni rozpoczęli rozmowę o samochodach. Mój brat wiódł prym, lecz szybko się okazało, że również Arne wie niemało o silnikach. Po chwili mówili już o łodziach. Wówczas Ragnar przyznał nieśmiało:

– Na tym się w ogóle nie znam. Człowiek to ostatecznie szczur lądowy.

– To może dasz się namówić na wyprawę łodzią?

I wtedy postanowiono, że nazajutrz wybierzemy się pożeglować, jeśli wiatr i pogoda dopiszą. Matka nie

chciała jednak nam towarzyszyć.

– Ja tak strasznie boję się morza.

Następnego dnia dostałam okres i też nie popłynęłam. Kiedy jednak Arne i Ragnar wrócili pod wieczór do domu, nie sposób było nie zauważyć, że dobrze się bawili. Cieszyłam się z tego prawie tak samo jak z owego błogosławionego krwawienia. Tamtego wieczoru padły dwa zdania o wielkiej wadze. Najpierw Ragnar zwrócił się do mnie i wyznał, że zawsze byłam dzielną dziewczynką, toteż trudno się dziwić, że udało mi się znaleźć przyzwoitego chłopaka.

Arne promieniał z dumy, kiedy Ragnar się z nim żegnał.

A potem, gdy matka usłyszała, że mój znajomy nadal mieszka w rodzinnym domu, mimo że jest najstarszym z braci, rzekła:

– Czyli jesteś jednym z tych piskląt, co to boją się wyfrunąć z gniazdka.

Arne najpierw zrobił się czerwony, a następnie biały na twarzy. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że gdy jest wściekły, zmienia mu się kolor skóry. Przyzwoitość kazała mu zachować spokój, nie mógł przecież ani wrzasnąć, ani uderzyć pięścią w stół. Dlatego milczał.

Wiele lat później opowiedział mi, że to właśnie tamte słowa mojej mamy skłoniły go do podjęcia decyzji. Bo rzeczywiście wreszcie to zrobił. Ale dopiero kiedy zaszłam w ciążę. Wtedy poznałam jego matkę i powoli zaczęłam rozumieć to i owo. Siedziała pośrodku sofy w

dużym pokoju domu sędziego w Majorna. Sama. Mała osoba potrzebująca wiele miejsca.

Była ładna, przypominała chińskie figurki z kości słoniowej, jakie sprzedawano w eleganckich sklepach przy Aveny. Prosta jak struna, o długiej szyi, delikatnych rysach, niebieskich oczach. Podobna do syna. Ale chłodniejsza niż on, znacznie chłodniejsza. Dygnęłam przed nią i wyciągnęłam ku niej dłoń. Nie uścisnęła jej.

W tym momencie pożałowałam, że dygnęłam.

Znajdowała się tam jeszcze jedna kobieta, młodsza i miłsza.

– To jest Lotte, żona mojego brata – powiedział Arne.

– Gustav niedługo przyjdzie – dodała Lotte. – Miał tylko coś załatwić.

Od razu ją polubiłam, a ona potrzęsała moją ręką długo i mocno, jakby chciała w ten sposób dodać mi animuszu.

Minęła dłuższa chwila, zanim dostrzegłam jego ojca, rosłego mężczyznę, który w ogóle nie zajął miejsca w pokoju. Siedział w kącie za kuchennymi drzwiami i czytał gazetę, było w nim coś dzikiego, w ogóle nie patrzył mi w oczy, kiedy się witaliśmy. Ale podał mi rękę. Zrozumiałam od razu, że jest wystraszony.

– A więc to jest ta Johanna, która chce wyjść za mojego chłopca. Pewnie spodziewa się dziecka – rzekła królowa lodu.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparłam. – Poza tym to właściwie on chce się żenić, a nie ja.

Twarz z kości słoniowej o żółtawym odcieniu poczerwieniała z wściekłości, a po chwili zbladła. Zupełnie tak samo jak u syna.

– Mamo – powiedział Arne błagalnym tonem.

Niczym mnie nie poczęstowała, nawet filiżanką kawy. Wszyscy milczeli, było upiornie. Rozejrzałam się wokół, mieszkanie wyglądało na starsze i bardziej zniszczone niż nasze. Ciemnobrązowe tapety, ściany obwieszane fotografiami i błyszczącymi obrazkami religijnymi. Gdy tylko przestąpiliśmy próg, zauważyłam, że czuć tu brudem, że mieszkają tu ludzie, którzy sikają do kuchennego zlewu. Potem wpadł jak burza brat Arnego i uścisnął mnie mocno.

– Boże, ale sobie znalazłeś wspaniałą dziewczynę – zwrócił się do brata. Do mnie zaś powiedział: – Tylko nie daj się wystraszyć naszej matce, ona wcale nie jest taka potężna, na jaką wygląda.

Dama z kości słoniowej chwyciła się za serce, a Lotte zaproponowała, żebyśmy już poszli. Gustav i Arne zamierzali wypróbować nowy żagiel.

Wszyscy czworo popędziliśmy w dół po schodach. Nikt nie powiedział „do widzenia”. Oprócz mnie. Podałam rękę staremu mężczyźnie.

Nie udaliśmy się na łódź, tylko do domu Gustava i Lotte. Mieli ładne dwupokojowe mieszkanie przy Allmanna vagen. Stół był już nakryty do popołudniowej kawy. Stał na nim nawet tort na moje powitanie.

– Mam nadzieję, że się nie wystraszyłaś, maleńka –

rzekł Gustav.

– Może troszkę. Ale bardziej się zdziwiłam.

– To Arne nic ci nie powiedział? – spytała Lotte, a w jej głosie wyczuwało się lodowaty chłód.

– A co, u licha, miałbym powiedzieć? Przecież to nie sposób opisać, jaka jest nasza matka.

– Można, można – zaprotestowała Lotte, a z jej słów tchnęło zimno. – Ona jest samolubna i chora na manię wielkości.

W tej chwili już po raz drugi ujrzałam, jak Arne robi się najpierw czerwony, a potem biały jak ściana. Uderzył pięścią w stół i wrzasnął:

– Jej jedyną wadą jest to, że za mocno kocha własne dzieci!

– Uspokój się! – krzyknęła Lotte. – W naszym domu należy zachowywać się po ludzku.

Gustav próbował załagodzić sytuację.

– To nie jest takie proste, Lotte. Ona była dobrą matką aż do czasu, kiedy zaczęły się te jej dolegliwości sercowe.

– I akurat musiało jej się to przydarzyć wtedy, gdy synowie zaczęli znajdować sobie żony.

– Idziemy stąd, Johanno – powiedział Arne z wściekłością.

– Ja zostaję – odparłam. – Nie zamierzam być tą osobą, która sieje niezgodę między wami. Musisz jednak przyznać, że twoja matka nie zachowała się właściwie, nie podając mi ręki i nie częstując nawet kawą. Z takim



przyjęciem nie spotkałam się jeszcze nigdy.

Dopiero teraz odczułam naprawdę, jak bardzo jest mi przykro. To, co stało mi w gardle, jakoś przełknęłam, ale nie potrafiłam poradzić sobie ze łzami.

Gustav i Lotte pospieszyli mnie pocieszyć, Arne zaś wyglądał na zrozpaczonego.

– Czy nie moglibyście spróbować wyjaśnić mi wszystkiego bez kłótni?

Nie byli w stanie, toteż zaległa całkowita cisza. Wtedy ja się odezwałam:

– Tak mi żal waszego ojca. Pewnie było mu strasznie wstyd. Dlaczego nie powiedział ani słowa?

– Odzwyczał się od mówienia już wiele lat temu – wyjaśnił Gustav. – To okropne.

– Ale mógłby chyba być sobą! – krzyknął Arne. – Dlaczego, do diabła, on jest takim tchórzem i tylko chowa się po kątach i milczy?

– On się jej boi – powiedziała Lotte. – Tak samo jak ty. I Gustav.

– Przecież ja, u licha, wcale się nie boję.

– To pokaż jej to, nie wracaj tam, dopóki cię nie przeprosi. I ożeń się z Johanną.

– Nie jestem pewna, czy nadal tego chcę – rzekłam, wstając z miejsca. Podziękowałam za kawę i wyszłam. W drzwiach usłyszałam, jak Lotte wykrzykuje, że Arne pozwala, by matka rujnowała mu życie.

Dogonił mnie na schodach. Odwróciłam się, oznajmiając, że chcę być teraz sama, bo muszę się

zastanowić.

Ale wcale mi się to nie udało. Jedna myśl goniła drugą, wywołując tylko w mojej głowie wielki chaos.

Kiedy dzisiaj przyglądam się temu, co napisałam o owym pierwszym zdumiewającym spotkaniu z matką Arnego, zadaję sobie pytanie, czy przypadkiem nie przedstawiłam fałszywego obrazu. Przecież to niemożliwe, żebym pamiętała słowo w słowo, co wtedy mówiono. Nasza pamięć dokonuje wyboru i wypacza, dlatego może jednak kłamię, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Tak czy inaczej, nie znosiłam swojej teściowej, póki żyła. A z upływem lat zaczęłam u Arnego nienawidzić tych cech, które mi ją przypominały, na przykład jego dążenia, by być zawsze w centrum uwagi, jego skłonności do ciągłego forsowania własnej woli, jego złości i nieustannego rozdrażnienia.

Gdy wróciłam do domu, oznajmiłam matce, że nigdy dotąd nie spotkałam człowieka tak trudnego jak moja przyszła teściowa. Płakałam, opowiadając jej o wizycie, ona zaś spytała:

– Czy ta kobieta jest może na dodatek religijna?

– Chyba tak, bo na ścianie wisiał krzyż i obrazki z Jezusem.

– To najgorszy typ – rzekła matka. – Tacy ludzie są źli w imię dobrego.

Arne czekał na mnie, gdy w poniedziałkowy wieczór zamknęłam stoisko w hali targowej.

Wyprowadziłem się z domu – oznajmił.

– I gdzie teraz mieszkasz?

– Na łodzi. Dopóki jest lato, da się wytrzymać.

– Co jej powiedziałaś?

– Nic, wpadłem do domu tylko po to, żeby spakować rzeczy. Powinna teraz zmięknąć.

Jasne, że się ucieszyłam. Mimo wszystko?

– Potrzebuję jeszcze więcej czasu do namysłu – oświadczyłam i poszłam dalej. Ale nie dano mi czasu i nie miałam już wyboru. Bo trzy tygodnie później okazało się ponad wszelką wątpliwość, że jestem w ciąży. Wymieniliśmy się obrączkami, zapewniliśmy o wzajemnym oddaniu, a ja przekonywałam samą siebie, że on jest miły i godny zaufania.

Matka oświadczyła:

– Nie musisz wychodzić za mąż. Poradzimy sobie z dzieckiem same.

To było cudowne.

Musiałam jej wtedy powiedzieć, że ze sklepikiem Nissego Nilssona jest coraz gorzej, nasze przychody są niewiele większe od wydatków.

Tego wieczoru nie mogłam zasnąć. Leżałam w łóżku i przewracałam się z boku na bok, próbując uporządkować sobie różne obrazy Arnego. Był to chłopak, który wstał odważnie na zebraniu i został wyśmiany za to, że opowiedział się za prawami kobiet. Żeglarz, który robił karkołomne halsy na morzu. O trzeźwych poglądach politycznych, inteligentny i otwarty. Mistrz! A mimo to taki mięczak, zupełnie malutki przy własnej matce.

Nie będę ukrywać, że myślałam też trochę o Stigu, synu rzeźnika, który kochał się we mnie i miał odziedziczyć sklepik po ojcu. Gdybym związała się z nim, mogłabym zachować swoją pracę, pozostać w kręgu tych samych znajomych i dalej polegać na sobie. To był dobry człowiek. Troskliwy. Lubili mnie też jego rodzice.

Nie potrafił jednak sprawić, by w moim ciele rozpałił się ogień.

Zaplanowaliśmy, że popłyniemy łodzią do Kopenhagi i tam się pobierzemy. Ale najpierw postanowiliśmy uczcić zapowiedzi u mojej mamy. Podjęła wszystkie oszczędności i przygotowała dla mnie wyprawę jak dla jakiejś panny z bogatego domu – prześcieradła i powłoczki, ręcznie wyszywane ręczniki, firanki z najdelikatniejszej koronki i dwa obrusy z adamaszku.

Z mieszkaniem było trudno, ale liczyliśmy na Ragnara. Już on nam na pewno coś znajdzie, przecież ma kontakty ze wszystkimi mistrzami budowlanymi w mieście.

A potem przyszedł ten straszny poniedziałek. Byłam w trzecim miesiącu. Kiedy rano wybierałam się do pracy, poczułam dziwne bóle. W sklepiu osunęłam się na ziemię i zaczęłam krwawić. Aina zawiozła mnie taksówką do jakiejś prywatnej kliniki położniczej, gdzie podali mi narkozę. Kiedy się obudziłam, moje ciało było paląco puste.

Mama przyszła po południu. Błada, mówiła o przeznaczeniu. Ragnar i Lisa przysłali kwiaty. Czułam się

źle, leżałam ciągle jakby w półśnie, pogrążając się w osobliwej tęsknocie za domem – nie znanym mi miejscem, gdzie byłabym u siebie.

Ocknęłam się wreszcie dzięki mocnej kawie i kanapce. Powoli dochodziłam do w miarę normalnego stanu. Miałam parę myśli w głowie i dużo czasu, by je roztrząsać.

Kiedy zjawił się Arne, zamierzałam mu powiedzieć, żeby przeprowadził się z powrotem do swojej matki. Spokojnie, bez gniewu czy złości, chciałam wyjaśnić, że tak będzie najlepiej dla nas obojga. On odzyska w ten sposób spokój sumienia i przestanie być rozdarty między nią i mną. A ja będę wolna, co na pewno dobrze mi zrobi, bo stałam się nagle bardzo samodzielnym człowiekiem.

Lecz kiedy przyszedł, ujął moje dłonie w swoje ręce, oczy miał wilgotne, a głos mu drżał.

– Moja dziewczynka – powiedział. – Moja mała dziewczynka.

To wszystko, i to wystarczyło. Nagle wiedziałam, że to jest człowiek, na którym można polegać. I się nie pomyliłam. Bo z nim było właśnie tak, że kiedy robiło się trudno, gdy czyhało niebezpieczeństwo albo groziła choroba czy coś złego, on rósł, stawał się silny i niezawodny, tak jak kiedyś mój ojciec.

– To był malutki chłopczyk – szepnął, a ja dopiero teraz spostrzegłam, że płacze. On też.

Zanim wyproszono go z sali, usiłował mi jeszcze

powiedzieć, że to był tylko nieszczęśliwy wypadek i już niedługo zawita do nas nowe dziecko. Przepeliło mnie to nadzieją. Kiedy zasypiałam tego wieczoru, przycisnęłam obie dłonie do boleśnie pustej jamy powyżej łona i szepnęłam: „Wróć”.

Nieraz potem myślałam, że to właśnie tamta chwila w owej eleganckiej klinice jakby przypieczętowała mój los. Bo pytanie, kim jest Arne, nasuwało mi się nieraz w ciągu najbliższych lat. Dopiero później nauczyłam się stopniowo pytać także o to, kim jestem ja. A jeszcze później: kim on jest dla mnie, a ja dla niego? Co poza naszą tęsknotą mamy wspólnego? Bo on przecież, podobnie jak ja, był daleko od domu.

Dopiero dzisiaj, kiedy jestem już stara, zrozumiałam, że tęsknota nie jest złą podstawą wspólnoty. Może się okazać bazą znacznie solidniejszą i mocniejszą niż wyśniona przeze mnie w młodych latach rzeczywistość. Przestałam wierzyć, że ona w ogóle istnieje, i myślę, że w pogoni za nią wszystko zabijamy.

Pewnej słonecznej letniej niedzieli, zaraz po nabożeństwie, mama przygotowała uroczysty obiad z okazji zapowiedzi. Matka Arnego siedziała sama na środku varmlandzkiej kanapy, która wreszcie doczekała się swojej chwili. Obie świetnie do siebie pasowały: owa dama z kości słoniowej i niewygodny, ale elegancki mebel. Mówiła niewiele, za to pilnie obserwowała. Prezentu żadnego nie przyniosła. Nie sędzę, by czuła się głupio, gdy długo i uważnie przyglądała się wspaniałej

wyprawie przygotowanej przez moją matkę. Lisa, ta kochana kobieta, zajęła się ojcem Arnego. Gdy rozmawiali ze sobą o rolnictwie, oczy mężczyzny wyraźnie się ożywiły, a głos nabrał miłego brzmienia.

Tutaj mógł naprawdę rozmawiać.

Nieco później przyszli Lotte i Gustav i przynieśli w prezencie serwis do kawy. I ja, i mama zauważyłyśmy, że Lotte w ogóle się nie przywitała ze swoją teściową. Ostatni pojawił się Ragnar i od tej chwili nie musieliśmy się już martwić podtrzymywaniem rozmowy. Przydźwigał butelkę białego musującego wina, otworzył ją z hukiem i wznosił toast za naszą pomyślność.

– Masz więcej szczęścia, niż zasługujesz – zwrócił się do Arnego. – Bo Johanna to nie tylko najładniejsza dziewczyna w całym mieście, ale na dodatek ma jeszcze najszczerze serce i najwięcej rozumu.

Arne zrobił dumną minę, jego matka chwyciła się za serce, a Ragnar, który to zauważył, wybuchnął swoim słynnym śmiechem. Kiedy zaraziła się nim reszta towarzystwa, stara kobieta straciła pewność siebie. Zaczęła błędzić wzrokiem po pokoju, a ręka trzymająca szklankę wyraźnie drżała. Przez krótką chwilę zrobiło mi się jej żal.

Mój brat, który miał teraz także przedsiębiorstwo taksówkowe, odwiózł starszych państwa do domu, podczas gdy ja pomagałam mamie w zmywaniu. Arne kręcił się koło nas, jakby chciał coś powiedzieć, aż wreszcie wyrzucił z siebie:

– Ja wiem, moja matka jest trochę dziwna.

Ponieważ Hanna Broman nie należała do osób, które ślepo ze wszystkim się zgadzają, rzekła:

– To delikatnie powiedziane. Szkoda mi tylko twojego ojca.

Wrócił Ragnar i chciał porozmawiać z nami o pewnym pomysle. Za miastem, w stronę morza, wokół starej wioski rybackiej budowano nowe domki jednorodzinne, zaledwie pięć kilometrów od centrum. Jeden z właścicieli stracił pracę i splajtował. Domek przejął tartak, dla którego Ragnar woził drewno. Budynek był już pod dachem, należało go jeszcze tylko wykończyć wewnątrz i pomalować. Właściciel tartaku chciał go sprzedać, szybko i tanio.

W miarę jak Ragnar opowiadał, Arne dostawał coraz większych wypieków na twarzy, a jego oczy nabierały blasku.

– Za ile?

– Około dwunastu tysięcy, ale można się potargować.

– Mam zaledwie połowę.

Blask w niebieskich oczach przygasł, mimo to Ragnar mówił dalej:

– Nie szkodzi, na resztę możesz wziąć pożyczkę z banku. Na pewno ci dadzą, masz stałą pracę, a ja za ciebie poręczone.

– Ale obiecałem mamie, że nigdy nie będę pożyczał pieniędzy.

– Idź do diabła! – krzyknął Ragnar.



Arne zaś, widząc, że się ośmieszył, spytał:

– Kiedy możemy zobaczyć ten dom?

– Zaraz. Samochód czeka na ulicy. Ale może powinieneś najpierw spytać Johannę?

– Przecież nic nie zaszkodzi go zobaczyć – odparłam, a kiedy zbiegaliśmy po schodach, byłam wprost nieprzytomna z ciekawości i mocno ścisnęłam Arnego za rękę.

Na miejscu zastaliśmy glinę i gruz, wysokie skały i odpryski granitu, wokoło pleńło się zielsko, a wśród tego wszystkiego stał na wpół gotowy domek, niski i długi, z trzema pokojami, kuchnią i miejscem na pokój dziecienny na pięterku. Spodobał się nam od pierwszej chwili. Mnie przypomniały się od razu te osobliwe marzenia o powrocie do domu i byciu u siebie.

– Dużo tu jeszcze roboty – rzekł Ragnar.

– A kto by się bał roboty – odparł Arne.

– Chcę mieć ogródek – wyznałam.

– Tu prawie zawsze wieje, dlatego to nie będzie łatwe – wyjaśnił Arne. – Zbuduję ci mur, żebyś miała cichy zakątek.

Przynieśliśmy drabinę i wdrapaliśmy się na pięterko. Widok był taki, jak Arne się spodziewał: mieliśmy przed sobą morze i port, w którym co niedziela cumowały łodzie rybaków.

Potem przez cały wieczór siedzieliśmy w kuchni u mamy, wyliczając odsetki i terminy spłaty pożyczki. Będzie ciężko, ale jakoś będzie.

Z wyprawy łodzią do Kopenhagi nic nie wyszło. Wzięliśmy skromny ślub w dzielnicy Haga, a potem zaczęliśmy harówkę, ja na działce, Arne w domku. Dopiero wtedy się przekonałam, że mój mąż ma mnóstwo przyjaciół i zadziwiający talent organizacyjny: z dobrym skutkiem kierował ludźmi i podejmował decyzje. Płacił wódką podawaną do dobrego jedzenia, które gotowałam. W niedzielne wieczory robiło się wesoło i niewiele pracowano. Czasami nawet on wypijał kieliszek.

Na działkach wokół nas pracowali inni młodzi ludzie, wykańczając swoje na wpół gotowe domy. Szybko znalazłam sobie znajome – młode mężatki, mające takie same marzenia jak ja.

Wprowadziliśmy się w październiku. Ściany nie były jeszcze pomalowane i prawie nie mieliśmy mebli. Ale było nam wesoło. Poza tym działała już kuchnia do gotowania i dwa kaflowe piece, więc nie musieliśmy marznąć. Czasy nadal były ciężkie, a nawet jeszcze gorsze. W fabryce łożysk kulkowych, gdzie pracowało około pięciu tysięcy ludzi, zostało tylko trzysta osób. Reszta głodowała i marzła. W pustym warsztacie fabryki na Hisingen budowano samochody, które nazywały się „Volvo”. Byli tacy, co wierzyli, że coś z nich będzie.

Nawet stocznia jest zagrożona – mówił Arne. Ale póki co, trzyma się jeszcze dzięki dokonywanym naprawom.

A ja pośród tego wszystkiego czułam się szczęśliwa. Założyłam ogródek i nie przesadzę ani trochę, jeśli

powiem, że był wspaniały. Nikt nie miał tak wyśmienitych jabłek jak ja i nigdzie, nawet w stowarzyszeniu działkowców, nie rosły piękniejsze róże.

Mój ogródek ma z tyłu wysokie skały, zbocze otwarte na południowy zachód i mur od strony morza. Zachodnie wybrzeże Szwecji jest miejscem tak osobliwym, że jeśli ma się kawałek ziemi w nasłonecznionym miejscu, osłoniętym od wiatru wiejącego znad morza – wówczas ogródek nabiera wprost śródziemnomorskiego wyglądu. Można w nim hodować winorośl i zakładać plantację brzoskwiń. Nie mówiąc o różach.

Nigdy nie opowiadałam Amemu o tym, że ze sklepikiem Nissego Nilssona jest coraz gorzej. Nie potrzebowałam, ponieważ uważał za rzecz oczywistą, że zostanę w domu, a on będzie utrzymywał rodzinę.

Mnie też wydawało się to naturalne, zwłaszcza tej jesieni, kiedy miałam tak dużo roboty. Mnóstwo szycia do nowego domu, nie wspominając już o innych rzeczach. Dostałam starą maszynę od Lisy. Ciężko chodziła i bez przerwy się zacinała, a ja przeklinałam i złorzeczyłam na tego potwora. Gdy Arne wracał do domu, śmiał się ze mnie, rozkładał maszynę na kawałeczki, tu coś wymieniał, tam znowu coś smarował. Stałam obok niego, pełna podziwu. Po złożeniu stawała mi się znowu posłuszna, a przez te lata, które minęły, „wydreptałam” na niej parę kilometrów.

Naszym pierwszym meblem była duża używana ławka z surowych desek. Do piwnicy. Kiedy Ragnar nam

ją przywiózł, wpadłam w złość: kto to słyszał, żeby kupować nie oheblowaną ławkę, jeśli nie mamy nawet stołu, przy którym moglibyśmy jeść! Nic jednak nie powiedziałam, a po niedługim czasie zrozumiałam wszystko. Każdego wieczoru bowiem Arne znikał w piwnicy, a wkrótce po schodach na górę zaczęły płynąć nieprzerwanym strumieniem stoły i krzesła, szafy i regały.

To były ładne meble, dąb, mahoń i drewno tekowe na kuchenne blaty.

– Gdzie ty kupujesz takie piękne drewno?

Arne poczerwieniał i odpowiedział zirytowany, że nie powinnam tyle pytać. Jak zawsze nie rozumiałam, dlaczego się tak zezłościł.

Dużo czasu poświęciłam tej pierwszej jesieni na obsługiwanie malarza Anderssona. Był jednym z niezliczonych kolegów Arnego, a ja musiałam przestrzegać określonych reguł postępowania: co dwie godziny jedno piwo, ale nie więcej, żeby tapety nie zostały przyklejone krzywo. Coś gorącego i kieliszek wódki wieczorem przed odejściem, ale nie więcej, żeby przyszedł następnego dnia.

W ten oto sposób utrzymywałam Anderssona w ciągłej gotowości, a dom rozjaśniał się w takim samym rytmie, w jakim za oknami ciemniały wieczory. Mieliśmy jasnozielone paski w sypialni i bladoróżowe na białym tle w pokoju stołowym, gdzie stały nowe mahoniowe meble o ciemnoczerwonym połysku. Kuchnię pomalowaliśmy sami, ponieważ którejs soboty Andersson zniknął ze

skrzynką piwa, którą – jak mi się wydawało – dobrze ukryłam w spizami.

Robiłam sobie wyrzuty, Arne jednak śmiał się z całej tej historii.

Nadeszło Boże Narodzenie. Zaprosiliśmy na obiad rodzinę. Mama się opierała, bo nie umiała sobie poradzić z nowymi krewnymi. Poszłam jednak do Ragnara i powiedziałam, że jeśli nie przyjdą, to go zabiję. No i przyszli wszyscy: mama, Lisa, Ragnar i dzieci. I dwaj moi pozostali bracia ze swoimi żonami. Zaprosiliśmy także Gustava i Lotte, ale podziękowali.

Królowa lodu milczała, z jej ust nie padła ani jedna złośliwa uwaga.

– Widzisz – szepnął mi do ucha Arne – ona już mięknie.

Nie potrafiłam tego dostrzec. Lecz zanim usiedliśmy do stołu, wydarzyło się coś bardzo znaczącego. Tamtej zimy nie było śniegu. Przy ośmiu stopniach ciepła wiał łagodny wiatr znad morza, gdy przechadzałam się z moim teściem po działce, opowiadając mu o ogródku, jaki sobie wymarzyłam.

Stary mężczyzna był jak odmieniony, jego głos stał się dźwięczny, a krok sprężysty. Obiecał mi pomoc. Tu może być prawdziwy raj – powiedział. Gdybyśmy tylko postawili mur od zachodniej strony... wtedy słońce i golfsztrom zrobią już resztę. Kartofle – rzekł – kapusta, truskawki.

– Róże – powiedziałam.

Gdy się śmiał, przypominał Arnego.

– Możesz na mnie polegać.

Kiedy poszli goście, a ja pozmywałam, Arne zaś wyniósł resztki jedzenia do spiżarni – powtórzyłam mu rozmowę ze staruszką. Uśmiechnął się szeroko, lecz bardzo szybko spochmurniał:

– To się nie uda – stwierdził. – Mama nigdy mu na to nie pozwoli.

– A założymy się? – spytałam. – Przyjdzie, wszystko jedno, co ona powie.

– Osobliwy z ciebie człowiek – rzekł Arne, na co ja się zarumieniłam. Z radości, lecz także dlatego, że wcale nie byłam taka pewna, jak by się mogło wydawać.

Tego wieczoru siedzieliśmy długo przy kuchennym stole i rysowaliśmy, robiliśmy jeden szkic za drugim, próbując ustalić, jak ma wyglądać nasz ogród. Ja mówiłam o różach i fiołkach, Arne o kartoflach i warzywach.

– Musimy oszczędzać każdą koronę.

– Wiem, ale róże chciałabym mieć wzdłuż muru, a poza tym jedną dużą rabatę na kwiaty przed domem. Floksy, pnące róże, malwy...

Pewnego ranka w połowie stycznia oznajmiłam Amemu, że wieczorem pojedziemy odwiedzić jego rodziców. Weźmiemy szkice ogrodu, żeby omówić je z ojcem. Arne przeląkł się i ucieszył zarazem, widziałam to wyraźnie, udałam jednak, że nic nie spostrzegłam. Zrozumiałam już wtedy, że on ciągle ma wyrzuty

sumienia, bo zaniedbuje swoją matkę. Tymczasem kiedy przekroczyliśmy próg starego domu przy Karl Johansgata, królowa lodu wyraźnie się ucieszyła i potrzebowała dobrych paru sekund, aby nadać twarzy martwy wyraz.

– Wchodźcie, wchodźcie. Zaraz zrobię kawę.

Usiedliśmy przy stole w kuchni. Wyciągnęłam teścia z kuchennego kąta, oznajmiając, że musimy coś omówić.

I udało mi się, staruszek znowu się ożywił, miał uwagi, przemyślał wszystko. Górska sosna tu, przy końcu muru – powiedział. Bo przecież wieje nie tylko z zachodu, burza może przyjść i od południowej strony. Mur powinien przebiegać pod kątem – dodał – bo Johanna chce mieć róże i przyda jej się ściana właśnie od południa.

W największe osłupienie nasza rozmowa wprawiała wcale nie królową lodu, tylko Arnego.

Poza tym cieszył się, i to jak!

Odważyłam się więc na następny krok.

– Spróbuję załatwić z moim bratem, żeby teść mógł przyjeżdżać i wracać samochodem.

– Wolę jeździć autobusem – odparł staruszek.

– Jeśli będziesz zbyt zmęczony, możesz się przespać na pięterku – dorzucił Arne.

Moja teściowa milczała.

Tej wiosny, kiedy razem z teściem zakładaliśmy ogród, przeżyliśmy wiele szczęśliwych chwil. Wypożyczyliśmy konia i bronę z jakiegoś gospodarstwa. Staruszek tak kierował koniem, jakby niczego innego do tej pory nie robił. Odwracaliśmy ziemię, kładliśmy w nią

kartofle, robiliśmy grządki i flancowaliśmy warzywa, usypaliśmy też rabatkę, a ja posiałam na niej kwiaty. Wykopaliśmy w ziemi głębokie otwory i zasadziliśmy w nich drzewka jabłoni i krzewy porzeczki. Pewnego razu, gdy odpoczywaliśmy przy kawie i kanapkach, teść powiedział:

– Przecież ja mam chłopską krew w żyłach.

Wtedy poczułam, że ja też ją mam.

Mój teść nie lubił wiele mówić, a mimo to nauczyłam się od niego wyjątkowo dużo. Rozróżniać świeży i dobrze dojrzały nawóz. Rozgniatać grudki ziemi między palcami, żeby wyczuć, czy dodać do niej piasku czy torfu. Dowiedziałam się, że śliczne bratki zdradzają brak wapna i że bez przerwy muszę zwracać uwagę na glinę, przez którą lekka ziemia na kwiatowej rabacie twardniała na skorupę.

To była mądrość płynąca z doświadczenia, dająca się przekazać bez wielu słów.

Ale staruszek miał także nowe pomysły.

– Róże są piękne latem – powiedział. – Przy murze, tuż pod oknem, posadziłbym jeszcze forsycję. A trochę niżej szafirki i krokusy.

Skinęłam głową, już to widziałam. Tak więc między murem i oknem od kuchni założyliśmy wiosenny kącik. Był naprawdę cudowny. A jak cieszył mnie w marcu, gdy szare dni za okienną szybą straszyły mrozem i nie chciało się nawet wytknąć nosa na zimową zawieruchę. Siadałam sobie wtedy z kubkiem ciepłej kawy przy oknie i



patrzyłam na złote obłoczki wiosennego krzewu.

Teść próbował nauczyć mnie także cierpliwości.

– Uprawiać to znaczy czekać – mawiał. – Na pogodę nic nie poradzisz.

To prawda, nigdy jednak nie nauczyłam się być cierpliwa. Wpadałam w złość, gdy na tulipany sypał śnieg w maju i gdy podstępny luty pędził pączki na gałęziach drzew i krzewów, by zabić je potem nocnym mrozem.

I przeklinałam piwonie, które tkwiły w ziemi już trzeci rok i jeszcze ani razu nie zakwitły, mimo że dodawałam im i nawozu, i lekkiej ziemi. Czwartej z kolei wiosny, w dniu, w którym wzięłam szpadel do ręki, żeby je wykopać i wyrzucić na kompost, najpierw przyjrzałam się im dokładnie. Były usiane grubymi, dorodnymi pąkami. A potem kwitły każdej wiosny przez dwadzieścia lat.

Ale to nie tylko ja i mój teść męczyliśmy się w ogrodzie. W dni wolne od pracy brat Arnego wznosił mur, kamień po kamieniu. Gustav był murarzem i cieszył się jak skowronek, rozprawiając z ojcem o tym, jaki musi być wysoki, gruby i szeroki ten mur, by ochronić przed mrozem, i czy ma zakończyć go u góry pochyłym daszkiem z dachówek. Niech spróbuje – powiedział staruszek, a zabrzmiało to jak rozkaz.

Mur nie miał ani jednego ostrego kąta, biegł łukiem ku południowemu zachodowi i dochodził do skały, która w kierunku północnym tworzyła łagodny zakręt. I tak oto mój ogród był do złudzenia podobny do okrągłej czarki z

domem pośrodku.

Pewnego dnia wśród tej ciężkiej harówki pojawił się Ragnar. Miał przyczepkę wyładowaną różami, także pnącymi, poza tym różami szlachetnymi i niemodnymi już różami polnymi. Skakałam wokół niego, szczęśliwa jak dziecko.

– Gdzie ty kupiłeś to wszystko? Ile to musiało kosztować?

– To nie twoja sprawa, siostrzyczko – odparł.

Wyglądał dokładnie tak samo jak Arne, gdy spytałam go kiedyś, ile zapłacił za to drogie drewno na meble. Widzę, że muszę bardzo uważać, aby niedobre wspomnienia z przeszłości nie zamieniły się w jedyną prawdę. Coś takiego łatwo może się zdarzyć. Ową błogosławioną zdolność zapamiętywania tego, co było piękne, i zapominania wszystkiego, co trudne, dano nam chyba po to, żebyśmy w ogóle mogli jakoś wytrzymać na tym świecie. Jednakże wiele spraw możemy całkowicie wypaczyć, jeśli spróbujemy budować zamki z piasku, tak jak robi to Arne, kiedy opowiada o swojej dobrej matce i własnym promiennym dzieciństwie.

Może jestem niesprawiedliwa. No bo co można o tym wiedzieć? Czy właściwie wiadomo, co to jest kłamstwo, a co prawda? I jak odnieść się do czegoś, co przeżywaliśmy jako dzieci? Teraz wciąż nęka mnie niepewność.

W każdym razie twierdzę, że moje pierwsze lata tam, nad morzem, to dobre lata. Brałam dni takimi, jakie były, i męża takim, jaki był. Uważam, że młode zakochane

kobiety wcale nie są takie ślepe, jak próbują sobie wmówić.

Za pierwszym razem, kiedy zobaczyłam jeden z tych wybuchów furii Arnego, wściekłam się prawie jak on, wskazałam mu drzwi i krzyknęłam: „Wynoś się!” Stłukł wtedy dwa talerze, cała podłoga w kuchni pokryta była kałużami zupy, resztkami jedzenia i kawałkami porcelany.

Nie starałam tego, poszłam prosto do sypialni i spakowałam walizkę. Potem usiadłam na niej w przedpokoju i czekałam.

Kiedy wrócił, był zrozpaczony i pełen skruchy.

– Wybacz mi, Johanno.

Przestraszyłam się, pomyślałam sobie po raz pierwszy, że jest coś szalonego w tych częstych zmianach nastroju, coś chorobliwego. Zauważyłam, że Arne tak samo upajał się skruchą jak własną furią.

– Miałam zamiar pojechać do domu, do mamy – wyjaśniłam. – Jeśli to się jeszcze raz powtórzy, pojedę.

Później poszłam ku wzgórzom, siedziałam długo na jakimś skalnym występie, uroniłam kilka łez i patrzyłam na słońce topiące się w morzu. Gdy wróciłam do domu, kuchnia była posprzątana, a przez cały następny tydzień Arne zachowywał się nienaturalnie miło.

Kiedy coś podobnego zdarzyło się znowu, uderzył mnie. Było wtedy lato, wypadłam z domu, pobiegłam do autobusu, uciekłam do miasta, do matki. Nie mówiła wiele; okleiwszy mnie plastrem, zaprowadziła do łóżka. Specjalnie się nie przejęła, uważała, że kobiety powinny

się z czymś takim pogodzić.

– Czy mama chce przez to powiedzieć, że tata mamę bił?

– Jasne, że tak, i to nierzadko.

Posmutniałam. Wiedziałam przecież, że ona nigdy nie kłamie, mimo to odebrałam jej słowa jak paskudne pomówienie.

Później zrozumiałam, że musiała rozmawiać z Ragnarem, bo kiedy Arne pojawił się w naszej dzielnicy, pełen skruchy i litości dla samego siebie, powiedział, że mój brat mu zagroził, iż złoży na policji doniesienie o stosowaniu przemocy wobec żony.

– Bardzo dobrze – rzekłam. – Jeśli Ragnar pójdzie na policję, tym łatwiej dostanę rozwód.

Przez dwa tygodnie szukałam pracy w hali targowej i wreszcie wychodziłam parę godzin tu, parę godzin tam. O zatrudnieniu na stałe nie było w ogóle co myśleć. Później spotkałam Gretę, która przekwalifikowała się na fryzjerkę damską i otworzyła niewielki salon w Vasastan, gdzie ludzi stać jeszcze było na ondulację. Mogłam więc zacząć u niej, nauczyć się zawodu i powoli dojść do takiej pensji, że z powodzeniem dałabym sobie radę sama. Zdążyłam jednak umyć zaledwie parę damskich głów, kiedy stwierdziłam, że znowu jestem w ciąży. Mama powiedziała, że wszystko jest tak, jak myślała, po prostu przeznaczenie.

Kiedy przyjechałam z powrotem do domku nad morzem, ogród był zarośnięty zielskiem, a krzewy

porzeczek niemal się łamały pod ciężarem dojrzałych owoców. Mimo wszystko cieszyłam się ze spotkania, odważyłam się nawet przyznać przed samą sobą, że cały czas tęskniłam za tym miejscem... za drzewami jabłoni i kwiatami, za widokiem na morze. Arne płakał jak mały chłopczyk, gdy przyszedł z pracy i zastał mnie w domu. Powiedziałam zgodnie z prawdą, że wróciłam, ponieważ będziemy mieli dziecko. Ucieszył się, jego radość była szczera. Ale przestałam wierzyć w zapewnienia, że już nigdy nie ulegnie tym swoim przerażającym nastrojom.

Pojawiło się więcej ciepła między nami, chociaż ja przez cały czas byłam czujna. Naprawdę spokojna czułam się tylko wtedy, kiedy odwiedzał nas Ragnar, a czynił to często. Jeśli zastał Arnego w domu, pytał głośno:

– No, co tam u ciebie, siostrzyczko?

Było to przykre, na początku bałam się, że Arne wyleje na mnie swoją wściekłość. Ale on wcale się nie złościł, ja zaś z czasem pojęłam, że lepiej się czułam, gdy wskazywano mu jego miejsce.

Nigdy nie nauczę się rozumieć własnego męża.

We wrześniu znowu poroniłam. Nie jestem w stanie o tym opowiadać.

To, o czym chcę pamiętać, to ogród i długie letnie wypady żaglówką we dwoje. Było wspaniale, w łodzi Arne stawał się nagle dorosły, tam nigdy nie był nieobliczalny. Popłynęliśmy do Kopenhagi i z rozkoszą wałęsaliśmy się po wąskich uliczkach i parkach, oglądaliśmy wszystkie osobliwości.

Następnego lata zawinęliśmy do fiordu pod Oslo, żeby odwiedzić rodzinę.

Przez cały okres dorastania karmiłam się fantazjami na temat mojej ciotki, pięknej Astrid. Miałam mgliste wspomnienie kogoś zwiewnego, atrakcyjnego i cudownego. Poza tym znałam też jej listy. Hanna i Astrid przez wszystkie te lata prowadziły ze sobą korespondencję. Listy ciotki były długie, wesołe i pełne przedziwnych myśli. Ponieważ mama nie umiała za bardzo pisać, zawsze ja musiałam odpowiadać. Astrid pytała często o Ragnara, a ja we właściwie dobranych słowach opisywałam, jak dobrze mu się wiedzie w Góteborgu i jak bardzo jest szczęśliwy z Lisą i dwoma synami.

Ona zaś odpowiadała, że zawsze była pewna, iż ułoży mu się w życiu, bo jest ulubieńcem bogów i ma dostęp do ich szcudrych darów.

Uwielbiałam jej zdumiewające sformułowania i lekki charakter pisma, który zapełniał strony.

Kiedy napisałam jej, że zamierzam wyjść za mąż, przysłała mi sznur pereł, prawdziwych, tylko hodowlanych, tak długi, że sięgał mi do pępka.

Muszę otwarcie powiedzieć, że pisałam w listach znacznie więcej, niż dyktowała mi mama, i nie wszystko odczytywałam jej na głos.

Henriksen przeniósł swoje interesy do Oslo i – jeśli dobrze rozumiałyśmy – żyło im się tam całkiem nieźle. Dlatego w ten lipcowy dzień, gdy Arne cumował łódź w

eleganckim porcie dla gości w Oslo, byłam w kiepskim nastroju.

– Czuję się jak uboga krewna ze wsi.

– Ach, daj spokój! Jeśli nie będą mili, wypijemy kawę i pójdziemy. Ale może byłoby dobrze, gdybyś najpierw zadzwoniła.

Zadzwoniłam więc. Łagodny głos w telefonie aż śpiewał z radości.

– Już jadę, już jadę, zaraz po was jadę.

Przyjechała własnym samochodem, była tak piękna jak w moich snach. Sprawiała wrażenie, jakby lata nie odcisnęły swego piętna ani na jej sylwetce, ani na jej duszy. Kwiecisty jedwab spowijał ją jak obłok, a ona sama pachniała niczym kwiaty brzoskwini rosnącej pod murem naszego starego domu. Najpierw objęła mnie, a potem odsunęła od siebie, złożyła razem ręce i powiedziała:

– Boże, ale z ciebie wyrosła śliczna dziewczyna, Johanno.

Po chwili objęła Arnego, który od razu się zaczerwienił, zachwycony i przerażony, po czym rzekł:

– Jesteście tak podobne, że aż trudno uwierzyć.

– Tak, to prawda! – roześmiała się Astrid. – To stare dziedzictwo naszej rodziny. A ja mam tego w dwójnasób, tak samo jak Ragnar, tylko w inny sposób.

Oboje nic nie zrozumieliśmy, ona zaś, z głową przechyloną na bok i smutnym wyrazem twarzy, mówiła dalej:

– Moi synowie wszyscy wdali się w Henriksena i są szpetni jak nie wiem co. Pokażcie mi teraz waszą łódź.

Wskoczyła na pokład lekko jak elf, podziwiała wszystko, a kiedy usłyszała, że Arne sam zbudował łódź i ją wyposażył, ucałowała go.

– Henriksen też chciałby mieć żaglówkę wyznała. – Kiedy zobaczy tę waszą łódź, zwariuje. – „Zwariuje”, powiedziała, mówiła bowiem bardzo szybko, a ja zauważyłam, że mam trudności ze zrozumieniem norweskiego. Mimo że brzmiał tak swojsko.

Zjedliśmy obiad w jej dużym mieszkaniu. Ja i ciotka rozmawialiśmy z ożywieniem, podczas gdy Henriksen z Arnem dyskutowali o Hitlerze. Nagle usłyszałam, jak Arne wykrzykuje głośno:

– Czy to możliwe?!

Henriksen prowadził interesy w Niemczech. To od niego usłyszeliśmy po raz pierwszy o Żydach, którzy przepadali jak kamień w wodę, i o ludziach umyślowo chorych, których zabijano.

Henriksen wiedział, co mówi. Przy stole zapadła cisza, trudno było oddychać. Wreszcie Astrid powiedziała:

– Za kilka lat naziści będą stukać obcasami, maszerując po promenadzie Karla-Johanna.

Zabrzmiało to jak przepowiednia.

Arne od razu zaprotestował:

– Anglia do tego nie dopuści.

Ale gospodarz tylko westchnął.



– Astrid powtarza to już od dawna, a ona ma rzeczywiście zdolność odczytywania przyszłości.

Henriksen i Arne razem żeglowali, jednakże handlarz rybami był już stary, ociężały i powolny w nauce. Nie będzie z niego żeglarza – oznajmił potem Arne. Zjedliśmy jeszcze jeden obiad w tym eleganckim mieszkaniu, poznałam moich kuzynów i po raz pierwszy poczułam się rzeczywiście jak uboga krewna z prowincji.

Podczas pobytu w Oslo najważniejsza była dla mnie pewna długa rozmowa. Astrid, Arne i ja siedzieliśmy w kawiarni przy muzeum, w którym wystawiona jest łódź z Osebergu. Mówiliśmy o moim ojcu, ciotka miała dużo wspomnień i wiele do powiedzenia.

– To był taki człowiek, który zadowala się tym, że istnieje – rzekła. – Dobrze wiecie, że ten gatunek ludzi nie czuje potrzeby, by się wyróżniać.

Usłyszałam potem, jak bardzo mnie kochał, swoją małą córeczkę, którą nazwał imieniem własnego dziecka z pierwszego małżeństwa, jak się mną opiekował, kiedy byłam niemowlęciem, jak nosił mnie w koszu na plecach i uczył słuchać odgłosów lasu i patrzeć na wodę, niebo i chmury.

– Hanna oczywiście prychała, patrząc na to – dodała Astrid. – Toż byłaś zaledwie niemowlęciem.

Przecież ja to wszystko wiedziałam, bo ciało i zmysły mają swoje własne wspomnienia. Jednakże nikt z rodziny nie powiedział mi o tym nigdy ani słówka, opowiadano tylko, że ojciec mnie bardzo rozpieszczał. Teraz to

wszystko się potwierdzało.

Ciotka opowiadała o jego bajkach i piosenkach. Mama też o nich wspominała, dlatego nie czułam się zaskoczona.

– Bardzo często o tobie myślałam. I o tym, jaką ogromną poniosłaś stratę, kiedy on odszedł – wyznała.

Zamilkła na chwilę, jakby się zawahała, po czym ciągnęła dalej:

– Mimo to nie ubolewałam nad jego śmiercią. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, powiedział mi, że życie zawsze było dla niego za ciężkie. Nie potrafił się z nim uporać już jako dziecko.

Zimą chodziliśmy z Arnem na zebrania partyjne. Dużo czytałam i dużo się uczyłam, nie brakowało nam tematów do rozmowy.

Arne poskładał do kupy jakieś radio, ogromne monstrum, które pokochałam ze względu na muzykę. Kiedy spostrzegł moje upodobanie, zaczął chodzić ze mną na koncerty, na których on zasypiał w fotelu, ja natomiast się upajałam.

Kupiliśmy sobie gramofon na korbkę.

To były dobre lata.

Oboje obawialiśmy się Hitlera i nazistów. Ragnar, zupełny ignorant polityczny, powiedział, że dzięki temu diabłu przynajmniej maszyna znowu się rozkręci, na co Arne odparł, że teraz, kiedy zbrojenia ruszą pełną parą, czasy z pewnością będą lepsze. Ale potem przyjdzie wojna.

Jego słowa zabrzmiały jak przepowiednia Astrid, nie pozwoliłam jednak się wystraszyć.

Byłam znowu w ciąży. I tym razem miałam urodzić, tak postanowiłam. Lekarz, który doglądał mnie po moich poronieniach, zapewniał, że wszystko jest ze mną w porządku.

Pielęgniarka z rejonu przychodziła raz w tygodniu. Była to prosta kobieta, która powiedziała Amemu, że powinien być mi oparciem i dobrze na mnie uważać. I uważał, zawsze mogłam na niego liczyć w krytycznych sytuacjach. Mnie zaś nakazała być szczęśliwą.

Robiłam, co mogłam, żeby jej posłuchać. Pomyślałam o swoim ogrodzie i kupiłam sobie nowe katalogi nasion. Myślałam o Arnem i o tym, że zrobił się o wiele łagodniejszy, myślałam też o mamie, która niedługo miała iść na emeryturę i odpocząć. Ale najczęściej myślałam o tych miłych rzeczach, które Astrid opowiadała o ojcu, i każdego wieczoru przed zaśnięciem obiecywałam, że urodzę mu wnuczkę.

Byłam całkowicie pewna, że to będzie dziewczynka. O dziwo, Arne też w to nie wątpił. Wspomniałam mimochodem, że w starej rybackiej wiosce, tam gdzie mieszkaliśmy, przybyło nam sąsiadów – same młode rodziny, takie jak my. I że byli to mili ludzie, tacy, z którymi można się zaprzyjaźnić. Ja zaprzyjaźniłam się już chyba ze wszystkimi kobietami, popijałyśmy razem kawę w swoich kuchniach, plotkowałyśmy i dzieliłyśmy się babskimi sekretami. Przed niektórymi się broniłam –

przed tymi, które nie umiały zachować dystansu. To było ciekawe i jednocześnie niemiłe przeżycie, kiedy dostrzegałam, jak odtwarzamy wzorce określające bytowanie w starych wioskach, w których każda z nas miała swoje korzenie. Obserwowałyśmy się nawzajem i zazdrościłyśmy sobie, pomagałyśmy jedna drugiej i odmawiałyśmy pomocy. Bardzo szybko zbudowałyśmy hierarchię: na samym dole były najbiedniejsze, które nie miały pracy i piły, a na szczycie znajdowały się te najlepsze.

Najlepsza była rodzina nauczyciela. Drugie miejsce zajmował sternik, potem policjant i celnik. Nie, zaraz po nauczycielu znajdowała się chyba pani Gren, która prowadziła sklep. Nie dlatego, żeby jej się tak dobrze wiodło, ale raczej z tego powodu, że miała władzę. To właśnie ją, a nie kogo innego, musieliśmy prosić o kredyt, kiedy czasami pod koniec tygodnia robiło się krucho z pieniędzmi.

Starzy mieszkańcy, rybacy i ich rodziny, stanowili świat sam w sobie, nie mieszała się do nas. Należeli do zielonoświątkowców, do czego przyznawali się przynajmniej w niedziele i święta.

Ich łodzie przybijały do brzegu w sobotnie przedpołudnia. Rybacy byli już wcześniej w miejskim porcie i zdążyli sprzedać to, co złowili. Po zacumowaniu kawalerowie, odświętnie ubrani, płynęli kupą do Majorna i pili na umór w tamtejszych gospodach. Wracali w nocy, wznosząc w porcie gromkie okrzyki i głośno śpiewając.

Czasami mieli także na pokładzie damy wiadomego autoramentu. Ale w niedziele, kiedy brać rybacka ode-spała i wytrzeźwiała, udawała się z ponurymi twarzami do swojego kościoła, gdzie po wyznaniu grzechów otrzymywała rozgrzeszenie.

Arne uważał to za oburzające, ja za osobliwe, ale mama, która często odwiedzała nas w niedzielę, uznała, że to zupełnie naturalne. Tak było zawsze – stwierdziła.

Mieliśmy też, oczywiście, wśród nas typową plotkarkę, o oczach, które nigdy nie widziały dalej niż na metr, lustrowały kawałek po kawałku, bardzo dokładnie, po najdrobniejszy szczegół. I, ma się rozumieć, gdy potem Agneta Pettersson składała te detale w ponure wzory, interpretowała wszystko na opak i nie pozostawiała na nikim suchej nitki.

Arne mawiał o niej, że wie, co jest w każdym liście, jaki do nas przychodzi. I to zanim zostanie napisany. Nie znosił jej.

– Ciekawe, skąd Karlsgrenowie mają na taki ładny ogród i na łódź – powiedziała kiedyś do Ireny, która była naszą najbliższą sąsiadką i nie omieszkała nam tego powtórzyć.

Ja się roześmiałam, Arne wpadł w złość.

To było tej wiosny, kiedy dostaliśmy telefon. Co gorsza, Arne kupił też wtedy od Ragnara używany samochód – zdezelowaną dekwę. Zaniedbał łódź, żeby go naprawić, rozebrał silnik, wymienił części i nasłuchiwał się mnóstwa pochwał od Ragnara.

– Jeśli chcesz, w każdej chwili możesz dostać pracę mechanika.

Ale Arne był głuchy na jego słowa, czuł się dumny ze swojej pracy w stoczni, gdzie nadeszły lepsze czasy.

– Budujemy skrzydła do samolotów – powiedział. – Na zamówienie wojska, do obrony Norrlandu.

– Boże drogi!

Wprost między nas, właścicieli jaskrawoczerwonych i kolorowych domków, wprowadziła się pewna żydowska rodzina. Agneta Pettersson miała wiele do obserwowania i wiele do opowiadania, biegła więc rozgorączkowana po osiedlu i mella jęzorem, jak określiła to moja matka.

Rakel Ginfarb przypominała z wyglądu ptaka i była równie jak on płochliwa. Pamiętałam, co Henriksen opowiadał nam w Oslo, poszłam więc do ogrodnika, kupiłam jakiś kwiatek i zadzwoniłam do drzwi nowych sąsiadów.

– Chciałam tylko powiedzieć „dzień dobry” i przywitać na naszym osiedlu – rzekłam.

Kobieta chyba zauważyła moje zakłopotanie, bo powoli zdobyła się nawet na uśmiech, ja zaś zebrałam się na odwagę i mówiłam dalej:

– Jeśli potrzebuje pani pomocy albo ma pani jakieś pytania, to ja mieszkam w ostatnim domu przed portem.

– Dziękuję – odparła. – Bardzo dziękuję.

Tak właśnie zaczęła się nasza przyjaźń, która miała odegrać dla mnie dużą rolę.

W niedzielę zaprosiliśmy ich na kawę w naszym

ogrodzie. Właściwie to zaprosiliśmy ich na sobotnie popołudnie, ale ten termin im nie odpowiadał, ponieważ obchodzą wtedy szabat – wyjaśniła Rakel.

– Rzeczywiście mamy parę problemów – wyznał Simon Ginfarb po wypiciu trzech filiżanek kawy i skosztowaniu wszystkich moich ciast. – Nie daję rady sam ustawić półek na książki.

Nie prosił wprost o pomoc, lecz Arne zrozumiał. Od razu zniknął razem z Simonem i nie było ich całe popołudnie. Natomiast Rakel i ja gadałyśmy przez ten czas, a jej dzieci bawiły się w ogródku.

Miała synka i dwie córeczki.

– I jeszcze jedno jest w drodze – rzekła, gładząc się po brzuchu.

– U mnie też – rzuciłam, dziwiąc się samej sobie. Posłuszna jakiemuś przesądowi, dotąd nie powiedziałam o tym jeszcze nikomu. Wiedzieli jedynie Arne i mama.

Od razu szybko wyliczyłyśmy, że nasze dzieci powinny urodzić się w tym samym czasie, a Rakel wprost rozpromieniała, mówiąc:

– Jak to cudownie dla nich obojga, że będą rówieśnikami. Ja urodzę dziewczynkę, wiem to.

– Ja też.

– To musi być jakiś znak – dodała, a ja nagle się przestraszyłam.

– Co tobie, Johanno?

Po raz pierwszy byłam w stanie mówić o moich poronieniach, o tym, jak to boli, kiedy traci się dzieci, a

także o tym, jak bardzo... czułam się gorsza od innych.

– Straciłam wiarę w siebie – rzekłam.

Rakel nic nie mówiła, ale umiała słuchać. Potem dosyć długo siedziałyśmy razem w milczeniu. Było to przejmujące milczenie, tak głębokie, że musiało coś zmienić. Kiedy śmiech dzieci, krzyk mew i odgłos silnika łodzi rybackiej na morzu przerwały tę ciszę, poczułam przyływ nowej nadziei.

Na odchodnym Rakel szepnęła, że pomodli się za mnie, a ja, nie mając żadnego Boga, do którego mogłabym się zwrócić, byłam jej wdzięczna.

Arne wrócił do domu i oznajmił, że Simon jest dokładnie taki, jak go sobie wyobrażał: mężczyzna o dwóch lewych rękach. Obaj się z tego śmiali. Gdy Arne przybijał gwoździe, piłował i przykręcał śruby, rozmawiali o polityce.

– To prawda, o czym mówił nam Henriksen. I Rakel, i Simon mają krewnych w Niemczech i strasznie się o nich martwią. Nieustannie, każdego dnia.

Oczy Arnego pociemniały, jak zawsze wtedy, kiedy się bał.

– Przypomniała mi się przepowiednia Astrid – rzekł.

– Myślisz, że ona umie widzieć przyszłość?

– Tak czasami mówiono. W rodzinie mamy zawsze był ktoś, kto widział więcej niż inni.

Arne prychnął z irytacją.

– Przesady.

Ale potem dodał, że Astrid nie powiedziała, iż



Niemcy będą maszerować po góteborskiej Aveny. Nie wspomniała ani słowem o Szwecji – rzekł, sprawiając wrażenie uspokojonego.

Zanim zasnął tej nocy, opowiadał jeszcze o Ginfarbach.

– Nie wyobrażasz sobie nawet, ile oni mają książek. On jest wykładowcą na wyższej uczelni.

Trochę się przełękałam, pomyślałam sobie, że ta nowa rodzina jest najznamienitsza z całego osiedla – a także o tym, jakie niskie mam wykształcenie i jak bardzo nienawidzę mieszczaństwa.

Ale najwięcej rozmyślałam o owych osobliwych chwilach, gdy siedzieliśmy razem w milczeniu.

Tej jesieni pomogłam Rakel posadzić róże w ogródku. Ona jednak najbardziej cieszyła się wówczas, gdy chodziliśmy razem z dziećmi po wysoko położonych przełęczach między skałami, przez łąki, wzdłuż brzegu, po lesie. Pewnego dnia pokazałam jej moją tajemną kryjówkę na skalnym występie, ciepłą i spokojną, bo osłoniętą od zachodnich wiatrów, z najwspanialszym widokiem na morze.

– Niedługo stanę się prawdziwą miłośniczką szwedzkiej przyrody – oznajmiła.

To ona namówiła męża, by kupili dom właśnie tutaj, na wsi – opowiadała. Nie lubiła miast, uważała je za swego rodzaju twierdze.

– Wielkie domy i piękne ulice – rzekła. – Zupełnie jakby ludzie próbowali zapewnić sobie bezpieczeństwo,

ograniczając własną egzystencję.

Pomyślałam wtedy o brudnych uliczkach Hagi i o niepewnym, ciągle narażonym na niebezpieczeństwo życiu w murach. Jej miasto nie było moim miastem. Nic jednak nie powiedziałam, byłam tchórzem, bałam się, że przepaść między nami może stać się zauważalna.

Rakel miała bardzo dużo do ofiarowania. Przede wszystkim ufność, ale także wiedzę. O dzieciach, o ich wychowywaniu, a także o tym, jak bardzo jest ważne, by okazywać szacunek każdej najmniejszej istotce.

– One wszystkie są zupełnie inne, od samego początku – wyjaśniała.

Pewnego razu powiedziała, że zawsze wie, kiedy człowiek kłamie. To właściwość, którą odziedziczyła po matce. Potem wyznała, że jeśli o mnie chodzi, to czuje mniejszą pewność niż zwykle, a ja wiedziałam, że to prawda. Miałam przecież zwyczaj okłamywać samą siebie, mimo że ani tego nie rozumiałam, ani nie zamierzałam.

– Jesteś pełna tajemnic – rzekła.

Jej mąż, bardzo elegancki mężczyzna, wprost pachniał dobrobytem i cygarami. Był religijny i co niedziela jak każdy prawowierny żyd chodził do synagogi. Jednakże jego postawa okazała się na wskroś racjonalna, była raczej nacechowana respektem dla prastarych rycerzy niż jakąś religijną ekstazą – objaśnił. Uważaliśmy też, Arne i ja, że nasz sąsiad jest trochę zarozumiały. Ale nigdy nie pozwoliliśmy sobie powiedzieć tego na głos.

Nowi są-siedzi to żydzi, czyli ludzie poza wszelką krytyką.

Arne miał wtedy wielkie radio, które zmaistrował z rozmaitych części. Jak wszystko, co wykonywał własnymi rękami, urządzenie to było wspaniałe; mieliśmy lepsze warunki odbioru niż ktokolwiek inny. Toteż gdy Simon udawał się na wieczorną przechadzkę, kierował się w stronę naszej kuchni, by móc wysłuchać wiadomości z Berlina.

Rakel nigdy nie było w pobliżu, gdy wrzaski Hitlera rozlegały się z głośnika.

– Kobietom należy tego oszczędzić – rzekł Simon.

Arne zaprotestował:

– Nie sędzę, żeby Johanna chciała być oszukiwana.

Simon wybuchnął śmiechem. W owym czasie wiedzieliśmy już, że nasz znajomy śmieje się zawsze wtedy, gdy czuje się niepewnie.

Potem przyszły jesienne zawieruchy i zima. Brzuchy rosły nam na wyścigi. Zaczęłam mieć trudności z wiązaniem sznurowadeł przy butach. Pomyślałam sobie, że teraz to już na pewno będzie dziecko, prawdziwe, gotowe dziecko, które musi jeszcze tylko trochę urosnąć, zanim się pojawi. No i pojawiła się jednak – w pewien błękitny dzień marcowy. Nigdy bym nie pomyślała, że to może być takie trudne. Zupełnie jakby przemierzało się długą drogę przez nieznośny ból, by spotkać wreszcie miłosierną śmierć, gdy wszystko zaciera narkoza.

Trwało to ponad dobę.

Jeszcze wiele lat potem patrzyłam ze zdumieniem na każdą mamę. Ty! I ty też, i to parę razy!

Boże drogi, ile te kobiety muszą przecierpieć! Jak niewiele się o tym mówi, bo większość z nas zachowuje wszystko w tajemnicy, dla siebie.

Ale już wkrótce, tak jak każda matka, poczułam bezgraniczną radość. Wartą najokropniejszego cierpienia.

Gdy obudziłam się w klinice, dostałam słodką zupę owocową. A potem włożono mi w ramiona dziecko. Godziny, które nastąpiły, jeszcze trudniej jest opisać niż ból. Patrzyłyśmy na siebie, ona wlepiła we mnie wzrok, a ja widziałam ją niewyraźnie przez łzy. Byłyśmy otoczone światłem. Tym samym, które pamiętałam z letnich wędrówek nad jeziorami, gdy jeszcze żył ojciec, i z cudownego wydarzenia w hali targowej, kiedy to nie mogłam otworzyć drzwi.

Niewiele było myśli w mojej głowie tego pierwszego dnia. Umiałam się tylko głupawo uśmiechać, kiedy Arne przyszedł do szpitala i próbował mi powiedzieć, jak bardzo jest szczęśliwy.

Gdy nazajutrz odwiedziła mnie mama, przypomniało mi się jej opowiadanie o tym, jak mnie rodziła.

– Mamo – rzekłam – ale ty byłaś silna.

Od razu się zmieszała, jak zwykle broniąc się przed pochlebstwami. To wcale nie jej zasługa, że tamtym razem wszystko dobrze się skończyło, to zasługa akuszerki.

Przypomniała mi się Anna, ta promienna kobieta. I

wówczas powiedziałam bez namysłu, że chcę, aby mała nosiła imię Anna. Mama bardzo się ucieszyła, widziałam to doskonale, powiedziała jednak, że najpierw powinnam porozmawiać z Arnem.

Jego zdaniem imię było staromodne, ale porządne. Poza tym też się cieszył, ponieważ nikt jeszcze w rodzinie tak się nie nazywał.

– Zauważyłaś, jaką ona ma inteligentną buzię? – spytał.

Pośmiałam się z niego trochę, ale tak w głębi duszy przyznałam mu rację. Bo rzeczywiście ją miał.

Co to była za wiosna! A jakie lato! Zupełnie jakby życie chciało mi wynagrodzić wszelkie zło, jakie mi wyrządziło. Cały ten czas wydawał się wprost błogosławiony: miałam wystarczająco dużo pokarmu, Anna była zdrowa, jadła, spała, rosła, uśmiechała się i gaworzyła. Zrozumiałam, że wtedy w Oslo, gdy Astrid opowiadała o moim ojcu, Arne musiał słuchać bardzo uważnie. Zrobił bowiem to samo co on: zmajstrował nosidełko i razem z córeczką wędrował po górach. I śpiewał dla niej! On miał głos, a ja potrafiłam opowiadać. I nagle – zupełnie nie wiadomo skąd – pojawiły się wszystkie dziecięce rymowanki i piosenki, których uczył mnie tata.

Mój entuzjazm był tak ogromny, że umiałam nawet okazać ciepło teściowej.

– Popatrz, Anno, to jest twoja babcia!

Dla pierwszej wnuczki pozbyła się swej sztywności,

uśmiechała się i śpiewała z dzieckiem. Spostrzegłam, że za tą maską z kości słoniowej kryje się jakaś tęsknota. Kiedy jednak powiedziała – a była pierwszą osobą, która to stwierdziła – że mała jest podobna do niej, przestraszyłam się.

I rozzłościłam.

Być może Arne też się przeląkł. Zaśmiał się bowiem szyderczo i oznajmił, że wszystkie stare kobiety to wariatki.

– Wczoraj była tu mama Johanny i zauważyła, że Anna podobna jest do niej i do całej jej rodziny.

Spojrzałam na niego i lekko się uśmiechnęłam. Wiedzieliśmy oboje, że moja matka nie wspomniała ani słowem o podobieństwie. Arne nie daje za wygraną – pomyślałam. Został ojcem i wreszcie może się postawić.

Teściowa prychnęła. Znacznie później zrozumiałam, że chyba jednak się nie myliła. W Annie jest rzeczywiście pewna nieśmiałość, która czyni ją nieprzystępną, duma i lęk przed kontaktem i poddaniem się. Miała poza tym, jak babka, skórę barwy kości słoniowej i delikatne rysy twarzy.

Tylko usta były moje, duże i wyraziste.

Rakel wróciła ze szpitala w tydzień po mnie. Nasze dziewczynki okazały się zupełnie inne: moja, blondynka, była silna i uparta, jej – ciemnowłosa, miła i posłuszna.

Tymczasem nastał już rok 1937 i Franco zrzucił hitlerowskie bomby na hiszpańskie miasta. Nie dawało się już dłużej nie zauważać, że świat wokół nas coraz bardziej

mrocznieje. Nawet nie zamierzam podejmować próby opisanego tego, co druga wojna światowa uczyniła z nami, czyli tymi, którzy niczym spłoszone zające ukryli się za kruchą neutralnością.

Ja sama starałam się ze wszystkich sił wznieść mur między światem na zewnątrz a moim światem z dzieckiem. Bardzo szybko zauważyłam, że Anna rozpoznaje najmniejsze wahnięcia mego nastroju, zmuszałam się więc, by nie myśleć o wojnie, nie słuchać wiadomości, nie bać się, przynajmniej wtedy, kiedy ona nie śpi.

A wieczorem zasiadałam przed radiem. Potem w nocy źle spałam. Samotna przez długie miesiące, ponieważ Arne przebywał „gdzieś w Szwecji”.

Wcale nie było łatwo żyć w dwóch światach, ale robiłam, co mogłam. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że mi się nie udało. Gdy Anna skończyła rok, Hitler wkroczył do Austrii; kiedy miała dwa latka, przyłączył do Rzeszy Czechosłowację, a jesienią przyszła kolej na Polskę i wybuchła wojna.

Do tej pory stawiałam czoło lękowi. Lecz później nastąpiły trzecie urodziny Anny, a tuż po nich zaczęła się okupacja Danii i Norwegii.

Szwedzka obrona przeciwlotnicza terkotała teraz w pobliskich górach. Oczy Anny chmurzyły się za każdym razem, gdy zadawała swe niezmiennie pytanie: „Do czego oni strzelają?”

Kłamałam i odpowiadałam, że oni tylko ćwiczą.

Lecz któregoś dnia tuż nad naszymi głowami zapalił się samolot, maszyna z hakenkreuzem na skrzydle. Wybuchła płomieniem, skapotowała i zniknęła gdzieś w zachodnim kierunku. Widziałam, jak młody Niemiec płonie niczym pochodnia na tle nieba, póki nie ugasiły go wody miłosiernego morza.

Stałyśmy na górze. Trzymałam Annę w objęciach, próbując wepchnąć jej głowę pod moje ramię. Ona jednak uwolniła się z uścisku i zaczęła się gapić jak zahipnotyzowana. Potem jej oczy odszukały moje i w tym momencie zdałam sobie sprawę, że to dziecko patrzy w sam środek mego lęku.

O nic mnie nie pytała. Nie miałam nic do powiedzenia.

Arne przyjechał do domu na urlop. Zmieniony. Twardszy. W mundurze. Nie robił uników przed niemymi pytaniami Anny. Posadził ją sobie na kolanach, po czym opowiedział jej wszystko tak, jak było: że na świecie jest wiele zła i że wszyscy przyzwoici ludzie powinni mu się przeciwstawić. Że on jest żołnierzem, bo musimy się bronić, że obrona przeciwlotnicza strzela, aby wróg nie przekroczył naszych granic, i że dobro na koniec zwycięży.

Na to ona:

– Ale oni zabijają...

– Tak, córeczko, muszą.

Mnie zaś wyznał, że sytuacja na granicach nie jest najlepsza, czasami żołnierze mają broń, ale brakuje im



amunicji, niekiedy zaś jest amunicja, ale brak broni.

– Boisz się?

– Nie. Głównie czuję wściekłość.

Nie kłamał, był taki, jaki był, czyli silny wtedy, kiedy robiło się ciężko.

Następnego dnia zadzwonił do swoich rodziców.

– Jak się masz, mamó. Spieszę się, chciałbym porozmawiać z ojcem.

Potem mówił bardzo długo o ewakuacji do rodzinnej posiadłości w lasach Billingen.

– Musicie tam wyjechać, tato. Ustal to z Johanną. Pomoże ci zadzwonić i poprosi, żeby wyszykowali stary dom.

– A co zrobimy z mamą? – spytałam, gdy odłożył słuchawkę.

– Jeśli Ragnar o nią nie zadba, będziecie musieli zabrać ją ze sobą.

Jak się okazało, także Ragnar został powołany, a wszystkimi jego samochodami dysponowało teraz wojsko. Pomyślałam, że pobyt mojej matki i teściowej pod jednym dachem w ciasnej chałupie nie skończy się niczym dobrym. Potem się tego wstydziłam.

Tego wieczoru, gdy Arne odjeżdżał, długo trzymał Annę na ręku.

– Musisz mi obiecać, że będziesz dzielną dziewczynką i zaopiekujesz się mamą.

To był błąd. Czułam całą sobą, że to błąd. Ale nie chciałam kłótni w tym momencie. I stało się to, co się stać

musiało: niepokój Anny znalazł określony punkt odniesienia.

– Nie bój się, mamusiu.

– Nie boję się – odpowiedziałam, po czym wybuchnęłam płaczem, a moja trzyletnia córka zaczęła mnie pocieszać.

Wojna podkradała się bliżej także w inny sposób. Przez dom Rakeli przepływała fala żydowskich uchodźców z Danii i Norwegii. Wynurzali się z ciemności wieczorem lub nocą, wysypiali się, najadali do syta i znikali. W owym czasie możliwa jeszcze była ucieczka z Torslandy do Londynu.

Większość z nich zmierzała stamtąd dalej, do Ameryki.

Niektórzy byli Żydami z gatunku, jaki widywałam jedynie na nazistowskich plakatach i w obrzydliwym magazynie satyrycznym Alberta Engstróma. Ich wizerunki brałam za karykaturę, ale oto musiałam stwierdzić, że oni naprawdę istnieją – ci mężczyźni w dziwacznych kapeluszach i z długimi pejsami. Teraz, kiedy już upłynęło tyle czasu od tamtych dni, mogę przyznać, że mnie przerażali.

Jeden z nich był rabinem i w odróżnieniu od innych przybył z żoną i synami w słoneczne popołudnie. Anna siedziała właśnie u Ginfarbów, bo z naszymi dziewczynkami stało się tak, jak przewidziała Rakel: były nierozłączne.

Nagle przybiegła do domu z błyszczącymi oczami.

– Mamo, dostałam boże błogosławieństwo. On położył mi dłoń na głowie i mówił takie piękne rzeczy, z których nic nie rozumiałam.

Dzięki ci, Boże – pomyślałam, zawstydzona własnym sformułowaniem.

Następnie posypały się wszelkie możliwe pytania o Boga. Anna miała zwyczaj wypytywać w taki sposób, że czułam się, jakbym stała przed sądem w krzyżowym ogniu pytań. Dlaczego nie modlimy się do Boga? Kim On jest? Czy jest niewidzialny?

Odpowiadałam, jak umiałam, z czego mogę być tylko dumna: poważnie i jak osobie dorosłej. Dziewczynka poczuła się zawiedziona, że rabin nie jest samym Panem Bogiem, tylko jego wysłannikiem na ziemi. Coś jednak zrobił dla mego dziecka, ponieważ po otrzymaniu tego żydowskiego błogosławieństwa jeszcze długo promieniało czymś wyjątkowym.

Rakel rzekła:

– Simon ciągle nie daje mi spokoju. Chce, żebyśmy też wyjechali.

– Dokąd?

– Do Ameryki. Mamy tam rodzinę. Próbuję mu się opierać, ale on wciąż opowiada o tych wszystkich ślepych i głuchych Żydach w Niemczech, którzy zostają, aż wreszcie jest za późno.

Tydzień potem szwedzcy naziści zaczęli rysować haken-kreuze i gwiazdy Dawida na oknach i drzwiach domu Ginfarbów. Byłam tam i pomagałam Rakel zmywać

do czysta te rysunki. Płakałam i chyba nigdy w życiu nie wstydziłam się tak bardzo jak tamtego przedpołudnia. Gdy minęły następne dwa tygodnie, cała rodzina była już w drodze do Ameryki. Jeden ze stolarzy ze stoczni kupił tanio ich dom. To hańba – powiedziałam Arnemu.

Całe umeblowanie zostało zmagazynowane.

Zostałam sama.

W przeraźliwie mroźną zimę 1941 roku, w sam wieczór wigilijny, sięgnęłam po kalendarz i zaczęłam liczyć dni: zrozumiałam, że znowu jestem w ciąży. Nie sądzę, bym od początku wiedziała, że stracę to dziecko, ale już w lutym ustaliłam z Lisą, że weźmie do siebie Annę na jakiś tydzień w marcu. Na wszelki wypadek.

Tak było najlepiej, Anna nigdy się nie dowiedziała. Piętnastego pojawiły się pierwsze lekkie bóle. Zdążyłam jeszcze wpaść z małą do Lisy i od razu popędziłam do szpitala. Kiedy obudziłam się z narkozy, pomyślałam sobie, jak dobrze musi być Annie w tym sklepie bławatnym, pełnym ślicznych szpilek jedwabiu.

Oczywiście, żałowałam również i tego dziecka. Ale przecież na świecie wokół tak dużo było śmierci.

Arne dostał urlop. Przyjechał i zabrał mnie ze szpitala. Posmutniał, bo – jak się okazało – tym razem to też był chłopiec. Odebraliśmy Annę z Hagi. Bardzo zmizerniała, na co jej ojciec powiedział: „Przecież to niemożliwe, żeby w ciągu jednego tygodnia stała się blada jak córka młynarza!”

To wtedy pierwszy raz przyszło mi do głowy, że ona

wie. W jakiś sposób chyba rzeczywiście wiedziała, chociaż nie mogła wiedzieć. Krwawiłam, musiałam dużo leżeć w łóżku. Właśnie tej wiosny Anna zaczęła coraz częściej przesiadywać wysoko na skale, w samotności oddając się tajemniczemu grom i zabawom.

– Brak jej małej Judith, tak jak mnie brak jest Rakeł – wyjaśniłam Amemu.

On mimo wszystko był znacznie pogodniejszy. Obrona szwedzka zaczęła wreszcie działać, a Niemcy napadły na Związek Radziecki.

– No, księżęta piekieł – powiedział Arne, nie szczędząc wyraźnych aluzji do wojennych doświadczeń Karola XII i Napoleona.

Mniej więcej około Bożego Narodzenia Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, a zatem potężna Ameryka została zmuszona do przystąpienia do wojny.

– Zobaczysz, damy sobie radę – uspokajał Arne.

I rzeczywiście.

W 1943 roku, kiedy Niemcy skapitulowali pod Stalingradem, przeżyłam kolejne, ostatnie już poronienie. Doszło do niego zupełnie nagle, zaczęłam krwawić, odprowadzając Annę do Lisy.

Nie chcę więcej o tym opowiadać. Pamiętam wiosnę, kiedy nastał pokój. Tamte dni opromienione były blaskiem, światłem przydającym ostrości każdemu detalowi.

Rok 1945 – koniec nauki.

Autobus wiozł do szkoły chłopców o przylizanych na

mokro włosach i wystrojonych w białe koszule, wyondulowane dziewczynki w nowych jasnych sukienkach i odświętnie ubrane mamy z bukietami w dłoniach. Anna siedziała naprzeciw mnie i wyglądała równie uroczo jak kwiaty jabłoni w ogrodzie przy domu. Mimo że jej jasne włosy były proste jak druty. Nie istniały bowiem szczypcy, które dałyby im radę.

Kiedy tak spoglądałam na córkę, myślałam o tym, że wojna rzuciła cień na całe jej dzieciństwo. I o tym, że teraz, gdy nastał pokój, jeszcze trudniej będzie coś przed nią ukryć. Pewnego razu tej wiosny kupiła sobie w drodze ze szkoły gazetę, jakieś zagraniczne pismo ze zdjęciami ukazującymi oswobodzone obozy koncentracyjne.

Gdy przyszła do domu, była zielona na twarzy. Cisnęła we mnie gazetą i od razu zniknęła w ubikacji, gdzie zwymiotowała.

Nie potrafiłam znaleźć ani jednego słowa pocieszenia. Siedziałam przy stole w kuchni, patrzyłam na te niepojęte fotografie i nie umiałam płakać.

Nadchodzi pora kwitnienia.

Czy tylko sobie to wmówiłam, czy w głosach śpiewających wtedy dzieci rzeczywiście była jakaś promienna nadzieja? Na razie nikt jeszcze nie słyszał o bombie ani o mieście o tej pięknej nazwie.

Hiroszima musiała poczekać do jesieni.

Niebawem życie zaczęło się toczyć pełną parą, rósł dobrobyt i zbudowano podstawy pod det svenska folkhemmet\*, o którym tak długo marzyliśmy. Socjaldemokraci byli teraz zupełnie sami u steru rządów, a żądania reform, wstrzymane na czas wojny, właśnie przedłożono parlamentowi. Podniesiono podatki spółkom i bogatym. Jezu drogi, jakież jad rozlewał się z szeregów mieszczaństwa.

Arne i ja szaleliśmy z radości.

Przecież miałam tak dobrze: zarówno mama, jak i moje przyjaciółki uważały, że lepiej nie mogło mi się ułożyć. Tylko jedno dziecko do opieki, a poza tym los dał mi męża, który przynosił do domu pieniądze, nie pił ani się nie łajdaczył. Mama nie ubolewała nawet nad poronieniami, niezmiennie uważając, że każde dziecko, które nie chciało się urodzić, było zrzędzeniem Opatrzności. Ja jednak nie potrafiłam, tak jak ona, posłusznie przyjmować przypisanej mi roli. Władza Arnego wciąż rosła, ja zaś w coraz mniejszym stopniu umiałam zachować własny punkt widzenia.

Chciałam wierzyć, że to poronienia tak mnie złamały. Nie byłam jednak tego pewna. Nie ulegało wątpliwości, że dziecko, które miałam, zwiększyło moją wrażliwość. Unikałam Arnego, milczałam, by chronić Annę. Żadnych scen, żadnych kłótni. Musiało panować ciepło, poczucie bezpieczeństwa i miła rodzinna atmosfera.

Gdybym miała jeszcze czworo dzieci, czołgałabym się pewnie poddańczo po ziemi.

Czy na pewno?

\* „Dom ludu” – określenie ukształtowane w latach trzydziestych, oznaczające tak zwany model szwedzki, czyli państwo opiekuńcze, którego głównymi cechami miały być bezklasowość oraz równość społeczna i ekonomiczna.



Na czym polegała ta jego władza nade mną?

Dlaczego stałam się taka drażliwa i uległa? Bo taka właśnie się stałam. Zaczęłam żebrać o litość. Oczywiście na próżno. Zamieniłam się w męczennicę, w jedną z tych męczennic domowych.

Coś odrażającego.

Minęło sporo czasu, nim znalazłam odpowiedź na moje pytania. Może trwało to tak długo, ponieważ nie chciałam dostrzec wielu rzeczy. Na dodatek bałam się posądzenia o małostkowość, bo chodziło przecież o pieniądze.

Myślę, że nikt, kto tego nie przeżył, nie zrozumie, jak można się czuć, gdy trzeba prosić o każdy grosz. Jego pieniądze przeciekają mi przez palce – powtarzał. To prawda, ale działo się tak nie z mojej winy. Nie byłam złą gospodynią, to pieniądze traciły na wartości. Okres powojenny stał pod znakiem wiary w przyszłość i inflacji.

Staralam się myśleć, że los obszedł się ze mną sprawiedliwie. Szukałam bezpieczeństwa i je znalazłam.

Zdaję sobie sprawę, że nie doceniam miłości. Bo przecież istniała między nami. Kochałam Arnego. Przez wszystkie te lata byłam trochę zakochana. Ale nie wierzę, że miłość doprowadziłaby mnie do uległości, gdybym zachowała swoją pracę i zarabiała własne pieniądze.

Pewna specyficzna właściwość, którą dzieliłam z wieloma kobietami mojego pokolenia, polegała na tym, że zakochanie nie miało niczego wspólnego z seksualnością. Współżycie było nieuniknione, po prostu nieodłączne. Bo

potrzebowali go mężczyźni. Ja zaś nie uważałam go za odpychające – powiedzmy, czasami – ale i nie znajdowałam w nim rozkoszy.

Może to go bolało? Nie, nie sędzę. Myślę, że byłby zszokowany i dopatrywałby się we mnie cech dziwki, gdybym to lubiała.

Byliśmy tacy nieporadni. Nie wiedzieliśmy, jak można okazywać czułość w seksie. Zamykaliśmy oczy i pozwalaliśmy, by to wszystko działo się jakby samo. O uczuciach mówiliśmy tylko wtedy, kiedy się kłóciliśmy. A Arne jeszcze wówczas, gdy robił się taki odrażająco sentymentalny.

Pewnego razu w łóżku, już po wszystkim, powiedział, że rodzice jego matki byli rozpustni. Zaczerwienił się przy tym, a ja się zdziwiłam. Naprawdę nie zastanawiałam się nigdy nad tym, jacy byli ojciec i matka owej damy z kości słoniowej.

– Przecież to religijni ludzie – rzekłam.

– To chyba jeszcze nigdy nie powstrzymało nikogo od łajdaczenia się.

– Czy twoja babcia się łajdaczyła? – Byłam tak oszołomiona, że aż usiadłam.

– Nie, chyba nie, ale dziadek był dziwkarzem, i bardzo to lubił.

– Skąd o tym wiesz?

Arne wrzasnął:

– Dlaczego, u diabła, ciągle ci się coś nie podoba?!

Oczywiście, przestraszyłam się, jak zwykle, kiedy

wpadał w złość. Milczałam. Wkrótce usłyszałam, że śpi. Ja zaś leżałam, rozmyślając.

Jakiś czas później zastanawiałam się nad tą dziwną rozmową: nad tym, czy mogło być prawdą to, co on wtedy powiedział, i dlaczego to powiedział. Dzisiaj, wiele lat po tym wydarzeniu, myślę, że chciał w ten sposób usprawiedliwić swój stosunek do seksualności. I do matki.

Żałowaliśmy sobie słów, gdy tylko nie chodziło o rzeczy praktyczne. Albo o politykę.

Przykład. Anna miała około jedenastu lat i pewnego dnia wróciła do domu blada, niemal sparaliżowana. Opowiedziała, co jedna z koleżanek mówiła o tej ohydnej rzeczy, którą ma każdy mężczyzna, i o tym, jak wkładają do środka i pompuje, pompuje, i że to tak strasznie boli, że można umrzeć. Akurat prasowałam chustki do nosa. Z przerażenia spaliłam jedną. A potem powiedziałam to samo, co matki, babki i prababki powtarzały od wieków: że jest to coś, z czym kobiety muszą się pogodzić.

– Poza tym to nie boli, Anno. Wiele osób uważa, że to jest cudowne.

– Ty też to robisz?

– Nie mam nic przeciwko temu.

Co za lakoniczność! Ale w jaki sposób miałam jej wyjaśnić, jak nieskończenie skomplikowana jest cała ta miłość i seks, zakochanie i pożądanie, jak złożona, jak powikłana...

Pewnego dnia jesienią, gdy niebo i morze zjednoczyły się w głębokim odcieniu szarości, zadzwonił

Nisse Nilsson i powiedział, że interesy znowu idą świetnie. I czy byłoby możliwe, żebym pomagała mu w piątki po południu i w soboty przed południem? Za przyzwoite pieniądze.

Nie zastanawiałam się ani chwili, od razu się zgodziłam.

Po rozmowie jeszcze długo nie ruszyłam się od telefonu. Uzmysłowiłam sobie bowiem, że tego wieczoru dojdzie w domu do sceny. Przygotowałam obiad z nieco większym oddaniem niż zwykle. Arne zjadł i powiedział, nie pierwszy raz, że dobrze gotuję.

Potem Anna zniknęła w swoim pokoju na pięterku, a Arne jak zawsze zszedł do piwnicy. Bardzo dobrze, bo jeśli dojdzie do kłótni, dziecko nie będzie musiało jej wysłuchiwać.

Poszłam więc za nim i opowiedziałam mu o rozmowie z Nissem. Zdziwił się, pokiwał głową, stwierdził, że Anna jest już na tyle duża, iż przez kilka godzin może dać sobie radę sama. Jeśli więc tylko chcę...

– Chcę.

– Już dawno zauważyłem, że dni spędzane w domu zaczynają ci się dłużyć.

A to niespodzianka! Wprost nie mogłam uwierzyć!

– Nie to jest najtrudniejsze. Mam przecież ręce pełne roboty – nie brak mi szycia i podobnych rzeczy. Tylko czuję się tak, jakbym miała tu posadę służącej, ciągle musiała być do usług i prosić o każdy grosz.

Nie wpadł w złość, jedynie się zasmucił.

– Dlaczego nigdy nic nie mówiłaś?

To był przedziwny wieczór, bo to wreszcie ja wpadłam we wściekłość, a nie on. Przez dobre dziesięć minut wyrzucałam z siebie wszystko. Mówiłam o łodzi, dla której nie liczył się z kosztami, o środkach przeznaczanych na utrzymanie domu, o które ciągle miał pretensję; wypomniałam mu beztroskę, z jaką zawsze sięgał po czyste i wyprasowane koszule, pełny serwis usług w domu i mnóstwo kolegów w pracy.

– Jestem twoją służącą! – krzyczałam. – I niczym więcej!

Po czym popędziłam na górę.

Kiedy przyszedł do łóżka, był zdesperowany.

– Nigdy tak tego nie widziałem – rzekł. – Mogłaś coś powiedzieć.

Zastanowiłam się nad tym dłużej i przyznałam mu rację.

– Jesteś tajemniczą osobą.

Tak samo mówiła Rakel.

Także w tym musiałam mu przyznać rację.

Od tego dnia wszystko stało się lepsze. Nie chodziło tu tylko o radość, jakiej doznawałam, idąc w sobotę rano krok w krok z innymi przez most Bazarowy, rozmawiając z kolegami z pracy, śmiejąc się z nimi i ćwicząc w sztuce okazywania zainteresowania każdemu klientowi, słuchania go i czynienia użytku z własnego ostrego języka – „bycia wyszczekany”, jak mawiał Nisse Nilsson.

Tu chodziło o własne samopoczucie.

Nissemu powiedziałam, że uratował mi życie. Mamie oświadczyłam, że potrzebujemy pieniędzy, co było nieprawdą. Annie zaś wyjaśniłam, że muszę wyjść z tych czterech ścian.

Zrozumiała mnie; rosła, w piątki gotowała obiady, w soboty sprzątała dom i dzięki temu niemało się nauczyła. Mimo że liczyła sobie dopiero dwanaście lat.

– Ma poczucie odpowiedzialności – rzekł Arne i w ogóle nie narzekał, jeśli kotlety były za słone, a ryba nie dopieczona.

Ale to zdarzało się tylko na samym początku. Anna bowiem, jak zawsze ambitna, zaczęła sama uczyć się z podręczników, wyciągnęła moją starą książkę kucharską i dostała nową, lepszą, od Arnego.

Kiedy przyszedłam do domu z pierwszą wypłatą, oznajmił, że rozmyślał nad tym, co mu powiedziałam. Przyznał, że rzeczywiście był skąpy.

– Bałem się chyba, że mógłbym stać się taki jak ojciec – rzekł.

Matka zabierała mu każdą koronę, a w razie potrzeby dawała co najwyżej kilka óre. Jeśli o nie poprosił.

Chwała Bogu, byłam tak zdziwiona, że nie powiedziałam, co myślę. Amemu nie groziło bynajmniej podobieństwo do ojca, miał natomiast wiele cech wspólnych z matką.

W tej sytuacji zażyczył sobie, żebym to ja przejęła kierowanie finansami rodziny. Z pewnością jestem w tym lepsza niż on – tak myślał. Od tamtego dnia zostawiał mi

każdą swoją pensję i nigdy więcej nie padły już słowa „to są moje pieniądze, a ty je trwonisz”. W naszych finansach zapanował też większy porządek. Na wiosnę Arne chciał zamówić nowy żagiel, powiedziałam jednak „nie”. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Musieliśmy przeznaczyć oszczędności na zainstalowanie centralnego ogrzewania.

Zrozumiałam wreszcie coś, co wiedziałam już od dawna: że kobiety nigdy nie doczekają się szacunku, jeśli nie będą mocno stały na własnych nogach.

Dzisiaj, po wielu latach, znowu mam wątpliwości.

Anna zawsze potrafiła utrzymać i siebie, i swoje dzieci. W rzeczywistości to ona lepiej się realizowała niż ja. Potwierdza to także rozwód. Ale dalej? Czy jest w naturze kobiecej coś, czego nie chcemy widzieć i uznać? Parę słów o samym starym pokoleniu.

Siła, jaką zyskałam dzięki mej nowej samoświadomości, umożliwiła mi rozprawienie się z problemem mieszkaniowym mamy. Mieszkanie na Hadze zrobiło się dla niej za duże i zbyt uciążliwe, było nienowoczesne, opalane drewnem, zimne. Do tego ta ubikacja na podwórzu i trzy piętra w górę i w dół po schodach. Poza tym nie czuła się już tam dobrze, odkąd tyłu znajomych się wyprowadziło i zmarła jej najbliższa sąsiadka, Hulda Andersson.

Zaczęto budować nowe domy z mieszkaniami dla emerytów na Kungsladugard. Namówiłam Ragnara i ją, żeby obejrzeć jednopokojowe mieszkanie, mniejsze od jej dotychczasowego, ale z centralnym ogrzewaniem,

łazienką i ciepłą bieżącą wodą.

Stwierdziła, że jest w nim jak w raju.

Arne pomógł mi w załatwianiu wszystkich formalności i papierków, fundacja zajmująca się domem wymagała mnóstwa dokumentów. Uporanie się z biurokracją zajmowało więcej czasu niż zbudowanie domu.

Otrzymaliśmy wreszcie umowę najmu i mama wprowadziła się tam ze swoją varmlandzką sofą, którą obita na nowo jedwabiem w pasy i wyścieliłam mnóstwem miękkich poduszek. Ciągle na niej siedziała i była szczęśliwa.

U staruszków z Karl Johansgata wydarzyło się coś złego i nieoczekiwanego. Serce damy z kości słoniowej trzymało się całkiem nieźle przez wszystkie te lata, ale pewnego wiosennego dnia, idąc ulicą, teściowa wpadła pod tramwaj.

Umarła w ambulansie w drodze do szpitala.

Kiedy zadzwoniono do nas z tą wiadomością, byłam sama w domu. Zanim przyszedł Arne, zdążyło mi przemknąć przez głowę wiele trwożnych myśli – jak mam mu o tym powiedzieć. Ale odczułam też ulgę, nie ma co ukrywać.

Gdy tylko usłyszałam warkot nadjeżdżającego samochodu, wybiegłam naprzeciw, narzuciwszy płaszcz na ramiona.

– Arne, stało się coś strasznego. Musimy natychmiast jechać na Karl Johansgata.



Potem opowiedziałam mu o nieszczęściu. Kiedy spostrzegłam, że chyba doznał ulgi, szybko opuściłam wzrok. Ale on wiedział, że zauważyłam, i miał mi tego nigdy nie wybaczyć.

– Co zrobimy z ojcem? – spytał, zawracając samochód.

– Chyba będziemy musieli wziąć go do siebie.

– A twoja praca?

Przeraziłam się. Powiedziałam jednak:

– Te parę godzin na pewno da sobie radę sam.

I rzeczywiście. Ucieszył się, że może zamieszkać u mnie, tej, którą zawsze tak lubił. Oznajmił, że chce jednak sam dbać o siebie. Anna odstąpiła mu swój pokój na pięterku. Zrobiła to bez marudzenia, bo lubiła dziadka.

Arne przeprowadził niewielki remont; przeciągnął na górę wodę i przewody kanalizacyjne.

Tego lata miałam sporo roboty. Poczułam się zmęczona i musiałam przyznać, że nie jestem już najmłodsza. Na początku sądziłam, że staruszek odczuje ulgę po śmierci swojej dziwacznej żony. Myliłam się jednak. Opłakiwał ją, przywoływał po nocach, kiedy budził go kaszel, i żalił się, gdy nie przychodziła. Jedno przeziębienie następowało po drugim, lekarz przepisywał antybiotyki, ale nic nie pomagały. Ojciec tracił siły i w zimie umarł na ostre zapalenie płuc. Siedziałam przy nim, trzymając go za rękę. Dobrze mi to zrobiło. Wiedziałam bowiem, że wyleczyłam się w ten sposób z lęku przed śmiercią,

który dręczył mnie od czasu, kiedy mój ojciec zakaszał się na śmierć we młynie w Dalslandzie.

Anna poszła do gimnazjum. Twierdzi, że pamięta dyskusje na ten temat, ale się myli. Dla Arnego i dla mnie było oczywiste, że nasza córka powinna dostać wszystko, czego my nie dostaliśmy.

Przede wszystkim wykształcenie. To było najważniejsze.

Pociągnęło to jednak skutki, których w ogóle nie przewidzieliśmy. Bo oto Anna znalazła się jedną nogą w innym świecie – świecie nauki i mieszczaństwa.

W początkowym okresie wiele rozmyślała.

– Nie będę zaprzeczać, że lubię moich niektórych nowych kolegów.

– Miło to słyszeć – odparłam, naprawdę tak myśląc.

Ona jednak posłała mi pełne niedowierzania spojrzenie.

– Pod wieloma względami są strasznie dziecinni – rzekła. – Czy możesz sobie wyobrazić, że oni nic nie wiedzą o wojnie i prześladowaniu Żydów?

– Mogę sobie wyobrazić. W ich domach nie mówi się o rzeczach, które są niemiłe. Wiem o tym, ponieważ byłam służącą w takim domu.

W tej samej chwili przypomniałam sobie, jak sama próbowałam ochronić Annę przed wszelkimi okropnościami wojny. Zdążyłam jeszcze pomyśleć, że ja także zrobiłam się trochę mieszczańską, kiedy Anna spytała:

– Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Opowiedziałam jej więc, nie pomijając żadnych odrażających detali, z próbą gwałtu włącznie.

Rozpłakała się ze współczucia. Wreszcie i ja mogłam zapłakać i poczuć żal za dwa stracone lata młodości.

Ona jednak odbierała to wszystko znacznie bardziej osobiście niż ja; nagle ogarnęła ją wściekłość na babcię.

– Jak ona mogła... ?

-Nie zrozumiesz tego. Wtedy dla niej i właściwie dla wszystkich było to najzupełniej naturalne. Na tym polegał ówczesny system społeczny.

Początkowo nie mogłam się oswoić z widokiem wszystkich tych mieszczańskich dzieci biegających nagle po moim domu i ogrodzie. Kolegów szkolnych córki, którzy w swojej niewzruszonej pewności siebie przypominali wstrętne bachory doktora. Potem jednak pomyślałam o Rakel, szlachetnej żydowskiej kobiecie.

Korespondowałyśmy ze sobą. Dokładnie pamiętam jej pierwszy list z amerykańskimi stemplami: czytając go, tańczyłam z radości wśród moich róż.

Mała Judith napisała także. Do Anny, która zmarszczyła swój delikatny nosek i oświadczyła, że przecież ona nie umie czytać. I Arne, i ja uśmieśliśmy się z niej, a następnie wyjaśniliśmy, że Judith z pewnością potrafi czytać po angielsku i że jest on jej drugim językiem ojczystym. W kilka lat później Anna odpisała jej po angielsku, najpierw przy pomocy nauczyciela, a niedługo potem samodzielnie.

W latach sześćdziesiątych Judith wyemigrowała do Izraela, a Anna i Rickard polecili do Jerozolimy na jej ślub.

Jak Annie udało się znaleźć harmonię między jej uczonym światem a naszym – nie wiem. Nie mówiła wiele, była, podobnie jak ja, zamknięta w sobie, gdy chodziło o sprawy trudne. Widziałam jednak, że rośnie dystans między nią a moją matką, właściwie całą moją rodziną. Odsunęła się nawet od Ragnara, którego kochała i podziwiała.

Zaczęła krytykować mój sposób wysławiania się.

Niekiedy bywała złośliwa wobec Arnego, ironiczna i zjadliwa.

Kiedy chciała kontynuować naukę na uniwersytecie, Arne oznajmił, że uzbiera tyle pieniędzy, ile się da, choćby miało być ciężko. Wtedy ona odpowiedziała:

– Nie musisz się martwić, tatusiu. Dostałam już pożyczkę na studia.

Udała, że nie widzi, jak bardzo poczuł się zawiedziony.

Gdy przeniosła się do akademika w Lundzie, w domu zrobiło się pusto. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że doznałam też ulgi. Nie musiałam już dzień w dzień przyglądać się, jak rośnie przepaść między nami, ani nie musiałam balansować na cienkiej linii, pośrednicząc między nią i Arnem. W ciągu ostatnich lat ich sprzeczki stawały się coraz bardziej zażarte.

Brakowało mi jednak bliskości i zażyłości, i to jak

bardzo. Powtarzałam sobie każdego dnia, że nie należy zbyt mocno przywiązywać się do dzieci, że trzeba umieć dać im wolność. Prawdopodobnie niemożliwa jest zażyłość między ludźmi blisko ze sobą związanymi, ponieważ ryzyko zadania bólu staje się wówczas zbyt duże. Jak miałam jej powiedzieć, że wiem o tej desperackiej historii miłosnej z cudzoziemcem w Lundzie? I o zabiegu.

Zabieg.

Jak miałabym o tym mówić, skoro przemilczałam własne cztery poronienia?

Kiedy przyjechała tamtego lata do domu, blada, wychudzona i poważna, czułość do niej niemal mnie rozsadzała. Pracowałyśmy ramię w ramię w ogrodzie, lecz ona nie opowiadała mi o niczym, a ja nie śmiałam pytać. Potem dostała pracę w gazecie, gdzie zastępowała kogoś w dziale korekt.

Rickard Hard.

Polubiłam go od samego początku.

Powodów było kilka: oczy – jasnoszare i o tak długich rzęsach, że właściwie bardziej pasowałyby kobiecie. Potem jego usta. Wielu uważa, że to oczy najwięcej mówią o człowieku. Nigdy się z tym nie zgadzałam, oczy piwne o łagodnym wyrazie kłamią równie skutecznie jak zimne niebieskie. Dla mnie to zawsze usta odsłaniają usposobienie i zamiary. Ale nie przez słowa, które z nich wypływają, nie, nie, mam na myśli ich kształt.

Nigdy nie widziałam ust bardziej wrażliwych niż te, które miał Rickard. Były duże, w kącikach lekko uniesione za sprawą wesołego usposobienia i ciekawości. Mimo że był jeszcze młody, miał już sporo drobnych zmarszczek od śmiechu.

Śmiać umiał się rzeczywiście.

I opowiadać – jedną zwariowaną historię za drugą.

Kogoś mi przypominał, ale nie od razu na to wpadłam, ponieważ w ogóle nie był podobny do tej osoby. Dopiero kilka tygodni później, kiedy pił u mnie kawę i nagle zjawił się z wizytą Ragnar, zyskałam pewność. Dlatego mogę powiedzieć, że właściwie się nie zdziwiłam, gdy pewnego dnia zadzwoniła Anna i z paniką w głosie rzuciła:

– Wiesz, mam, mówią, że on ugania się za spódniczkami.

Nie pamiętam, co odpowiedziałam, wiem jedynie, że potem długo jeszcze siedziałam przy telefonie i myślałam, że Anna nie jest podobna do Lisy, i to pod żadnym względem.

Dopiero kiedy Anna skończyła dwadzieścia trzy lata, a było to w 1960 roku, nauczyłam się, że nie da się nic zrobić dla własnych dorosłych dzieci.

Rickard bardzo szybko zjednał sobie swoim nieodpartym urokiem rodzinę, przyjaciół i sąsiadów. Najgorzej było z mamą, ona się po prostu rozplęwała na sam jego widok. Przyjemnie było na nich patrzeć, ponieważ on także ją lubił i szanował. Nigdy się z niej nie

śmiały, w przeciwieństwie do moich braci, lecz słuchał jej z dużym zainteresowaniem.

Do mnie powiedział:

– Trzeba by napisać o niej książkę.

– Przecież ona nie ma znowu tak dużo do powiedzenia!

– Ale myśli i ocenia po staremu – odparł. – Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że jest jedną z ostatnich przedstawicielek wymierającej już generacji?

Czułam się zdziwiona, ale przyznałam mu rację. Nagle i właściwie wbrew własnej woli zaczęłam opowiadać o urodzinach Ragnara i moim odkryciu dokonanym podczas uroczystości.

– Zgwałcona w wieku dwunastu lat i matka w wieku lat trzynastu. Dziwka – powiedziałam.

– Boże drogi!

Oczywiście potem żałowałam, uważałam, że ją zdradziłam. Rickard musiał mi mocno obiecać, że nikomu tego nie powie.

– Nie chcę, żeby Anna się o tym dowiedziała.

– Nie rozumiem wprawdzie, dlaczego, ale obiecuję, że będę milczał.

Zaręczyli się już w sierpniu, przed powrotem Anny na uniwersytet i wyjazdem Rickarda do Sztokholmu, gdzie otrzymał posadę w jednej z wielkich gazet.

– To znaczy, że osiedzicie w Sztokholmie?

– Gdzie on, tam i ja. Poza tym mnie też będzie łatwiej znaleźć tam pracę.

Mówiła, że jest jej przykro, ale ja dobrze wiedziałam, że kłamie. Cieszyła się z przeprowadzki i z nowego życia w wielkim, interesującym mieście. Cieszyła się także z tego, że znajdzie się z dala ode mnie i od moich oczu, które widziały o wiele za dużo.

– Jeździ tyle pociągów, mamó. I to szybkich, w parę godzin możesz być w Sztokholmie i mnie odwiedzić.

I Arne, i ja pełni byliśmy typowego dla mieszkańców Góteborga lęku przed tym obcym miastem po drugiej stronie kraju. Uważaliśmy, że sztokholmczycy to zarozumiałe mruki, zarówno wtedy, kiedy mówią przez radio, jak i gdy przyjeżdżają wypoczywać na naszych wyspach.

Musieliśmy jednak zmienić zdanie. Już podczas pierwszej wizyty pokonaliśmy nasz lęk; ludzie ze Sztokholmu okazali się podobni do innych, byli po prostu mili. Poza tym o wiele skromniej ubrani i mniej aroganccy niż wielu wykwintnych góteborczyków. Miasto było piękne, słyszałyśmy już o tym wcześniej, mimo to nie kryłyśmy zachwyty, gdy spacerowałyśmy z Anną po Strómmen, przyglądając się rybakom i ich dziwacznym ogromnym sieciom.

Niepotrzebnie wyprzedzam wydarzenia. Najpierw bowiem świętowaliśmy ślub, u nas, w domu nad morzem. Tam właśnie poznałam Signe, matkę Rickarda, i od tamtej pory zaczęłam pojmować to i owo. Mieliśmy rozmach, to prawda. Jak powiedział Arne: „Kiedy ma się tylko jedną córkę, to...” Ale prawie nic nie pamiętam, przypominam



sobie jedynie jak przez mgłę, że przez cały tydzień przygotowywałam różne wyszukane potrawy i że dom wypełnił się młodymi ludźmi, tańcem i muzyką. Naprawdę pamiętam jedynie Signe.

Tym razem wiedziałam od razu, do kogo jest podobna, mimo że wyglądała zupełnie inaczej, pachniała perfumami, nosiła makijaż i mówiła o wszystkim, tylko nie o tym, co ważne. Miała takie same nieobecne niebieskie oczy jak dama z kości słoniowej.

– Powierzchowna i głupia – ocenił potem Arne.

Jeszcze gorzej – pomyślałam. Lodowato zimna.

– Chłopak jest jak wosk w jej rękach – dodał Arne.

Nie powiedziałam na głos tego, co pomyślałam – że dużo jest takich mężczyzn.

– Musiał mieć chyba dobrego ojca.

Arne jakby odetchnął z ulgą. Wiedzieliśmy, że ojciec umarł, kiedy Rickard skończył dwanaście lat, ale nie mieliśmy pojęcia o tym, że popełnił samobójstwo.

Zanim młodożeńcy wyjechali w podróż poślubną do Paryża, zdążyłyśmy jeszcze z Anną odbyć krótką rozmowę. Układałyśmy butelki w ciemnej piwnicy i wtedy Anna spytała:

– Co ty o niej myślisz, mamó? Chodzi mi o Signe.

Wyjątkowo powiedziałam wprost:

– Że jest... podobna do twojej babki, Anno.

– Czyli się nie myliłam – rzekła. – Dziękuję ci za szczerłość.

Wcale nie byłam szczerą. Nie wspomniałam ani

słowem, że Anna również jest podobna do swojej babki, ale nie pod względem charakteru, tylko oddziaływania na innych. Rickard był w niej niewiarygodnie mocno zakochany, a miłość bywa często odbiciem jakiejś wewnętrznej tęsknoty, stanu duszy kochającego.

Gdy odjechali, zaczęłam się martwić; musiałam się uspokajać, powtarzając sobie, że widzę upiory, że nastąpiły nowe czasy – czasy zupełnie innych, trzeźwo patrzących młodych ludzi.

I że tak szalona jak moja teściowa ta Signe z Johannebergu mimo wszystko nie jest.

W okresie narzeczeństwa Anny dużo rozmyślałam. Dlaczego Rickard nie poznał nas ze swoją matką? Czyżby się nas wstydził? Nie, nie należał do tego rodzaju ludzi. Zresztą jego pochodzenie nie było wcale wyjątkowe, ojciec pracował jako przedstawiciel handlowy. W branży papierniczej.

Uświadomiłam sobie, że to swojej matki się wstydził. Podczas weselnego przyjęcia poznałam po jego oczach, że czuje się zakłopotany i pełen obaw, co sobie pomyślimy o jej pustej paplaninie i blagowaniu. Ale jednocześnie pojęłam także, że Rickard nigdy nie przyzna tego głośno, tylko zachowa się jak Arne – będzie jej bronić i starać się ukazać ją w jak najlepszym świetle.

Wiedziałem przecież lepiej niż większość kobiet, że mężczyźni, którzy nie zwyciężyli własnych matek, mszczą się na swoich kobietach, żonach i córkach.

Próbowałam sobie wyobrazić, że Rickard nie jest

brutalny, nie taki jak Arne. Mimo wszystko czułam się zaniepokojona. Jak to dobrze, że przenoszą się oboje do Sztokholmu.

Ale pocieszenie to na niewiele się zdało, bo mniej więcej po roku przeprowadziła się także Signe; zamieniła mieszkanie w Johannebergu na podobne w tej samej peryferyjnej dzielnicy Sztokholmu, w której osiedli Anna i Rickard.

– Przecież on jest dla mnie wszystkim, co mam – wyznała, kiedy zadzwoniła do mnie, żeby opowiedzieć mi o swoich planach.

– Bądź spokojna, mamó. Już ja dam sobie z nią radę – rzekła Anna przez telefon.

A w dwa tygodnie później zadzwoniła znowu, wielce rozradowana:

– Wyobraź sobie, że Rickard załatwił jej pracę w redakcji jakiejś gazety w Södertalje. Niedługo się tam wyprowadza.

– Jak to dobrze, Anno.

– On rozumie znacznie więcej, niż przyznaje.

– Tylko nie pozwól mu się domyślić, że ty to widzisz – powiedziałam, po czym obie roześmiałyśmy się. Jak to baby.

Przez wiele lat Greta, Aina i ja utrzymywałyśmy ze sobą stały kontakt. Niestety, oprócz Lotty, która wyszła za mąż za angielskiego policjanta. Spotykałyśmy się raz na dwa miesiące – zimą w mieszkaniu Ainy na Órgryte, a latem w moim ogrodzie. Było naprawdę miło – jadłyśmy

kanapki, prześcigając się w wynajdywaniu nowych i coraz smakowitszych kompozycji.

Aina też wyszła za mąż i prowadziła dom. Jej mąż, który zajmował jakieś wyższe stanowisko, nie chciał, żeby poszła do pracy. Nie mówiła wiele o swoim życiu osobistym, ale nie ulegało wątpliwości, że nie czuje się z niego zadowolona.

Kiedyś była gruba. Potem strasznie schudła. W pewien lipcowy dzień wśród róż pod murem powiedziała mi, że ma raka i niewiele już jej pozostało. Wstyd mi, kiedy przypomnę sobie, że nie znalazłam wtedy żadnych słów pocieszenia, tylko się rozplakałam.

Tamtej jesieni odwiedziłyśmy ją dwa razy w szpitalu. Powoli nikła w oczach.

Greta i ja spotykałyśmy się jednak nadal, teraz nawet częściej, jakbyśmy bardzo się nawzajem potrzebowały. Mówiłyśmy o starzeniu się, o tym, jak trudno to zrozumieć. Greta porzuciła fryzjerstwo i wróciła do sklepiku z serami w hali targowej Alliance.

– Przestaję sobie radzić w pracy – wyznała pewnego razu. – Nie chodzi o siły, tylko o głowę. Wszystko myślę i nie umiem już liczyć.

Bez wahania powiedziałam, że ja też zrobiłam się zapominalska. Nie wyglądało to na czcze pocieszenie. Nie minęło więcej niż pół roku, gdy zauważyłam, że Greta z dnia na dzień traci przytomność umysłu. Nie potrafiła prześledzić najprostszej myśli, wszystko rozpadało się na maleńkie kawałeczki. Zaledwie miesiąc później została

umieszczona w klinice psychiatrycznej.

W sierpniu Anna i Rickard przyjechali do nas na urlop, zamierzaliśmy popłynąć do Skagen. Byli szczęśliwi, promienni. Już przy powitaniu Anna oznajmiła:

– Ja dziękuję za wino. Niedługo będziemy mieli dziecko.

Tak się ucieszyłam, że z radości aż się popłakałam, a po chwili omal nie zemdlałam z przerażenia.

– Ależ, mamusiu! To przecież nie tragedia!

Spojrzałam na Arnego i od razu wiedziałam, że zrozumiał. I że przestraszył się tak samo jak ja.

Anna prowadziła wykłady na uniwersytecie, zastępując kogoś.

– I tak nie mogłabym utrzymać tej pracy – rzekła.

– To chcesz zostać gospodynią domową?

Próbowałam nadać własnemu głosowi ton zdecydowany, ale nie wiem, czy mi się udało.

Rickard jednak powiedział:

– Nigdy w życiu! Nie chcę mieć żadnej kury domowej. Zaraz wszystkiego się dowiecie.

Następnie jedno przez drugie zaczęli opowiadać o książce, którą chciała napisać Anna – pracy popularnonaukowej opartej na jej dysertacji doktorskiej z Lundu.

– Rickard mi pomoże.

– No, dobrze – rzekłam, myśląc jednocześnie, że z takiego zajęcia pieniędzy raczej nie będzie.

Dziecko miało się urodzić na początku marca. Musiałam obiecać Annie, że zamieszkam wtedy u nich.

Maria przyszła na świat w ustalonym czasie. Może zabrzmiało to dziwnie, ale muszę powiedzieć, że cieszyłam się z niej co najmniej tak samo jak Rickard. I sama Anna. Gdy pierwszy raz wzięłam wnuczkę na ręce, poczułam się tak, jakbym odzyskała coś drogiego i dawno utraconego.

Była niezwykle ciepłym i pogodnym dzieckiem. Patrzyła na mnie jasnoniebieskimi oczyma Anny i uśmiechała się uśmiechem Rickarda. Ale tak naprawdę to najbardziej była podobna... tak, najbardziej przypominała moją mamę. Wypisz, wymaluj mała Hanna – pomyślałam, lecz pilnowałam się, żeby nie powiedzieć tego na głos. Przecież doskonale wiedziałam, jak bardzo przeszkadzało Annie, kiedy ludzie mówili, że jest podobna do matki swojego ojca.

Zamienili się na trzypokojowe mieszkanie, jasne i przestronne, które urządzili sobie miłutko, nadając mu – zgodnie z Anny smakiem – chłodny i oszczędny wystrój. Ale kiedy do nich przyjechałam, od razu zauważyłam, że ponad obojgiem majaczy mroczny cień. Ona była zgorzkniała, on przepełniony lękiem.

Myślałam, że będą skakać z radości z powodu sukcesu książki i upajać się narodzinami dziecka. Coś jednak musiało się wydarzyć. Nie chciałam pytać, wolałam nawet nie wiedzieć.

– Nie jest łatwo – to wszystko, co powiedziała.

– Zauważyłam. Chcesz porozmawiać?

– Nie teraz. Muszę myśleć wyłącznie o dziecku. I o tym, że ma być szczęśliwe.

Później stało się z nią to, co kiedyś ze mną: była tak pochłonięta córeczką, że wszystko inne przestało być ważne. Zostałam, dopóki nie zaczęła regularnie karmić piersią, po czym wyjechałam, nie pytając, co się wydarzyło.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – powiedziałam przy pożegnaniu.

– Chodzi o lojalność@

– Domyślam się.

W rzeczywistości byłam tego świadoma cały czas. Już pierwszego wieczoru w Sztokholmie przypomniała mi się ta rozmowa telefoniczna sprzed paru lat, podczas której Anna wykrzyknęła: „Mówią, że on ugania się za spódniczkami!”

Wracając pociągiem do domu, starałam się podtrzymać w sobie radość z przyjścia na świat Marii. Wiedziałam, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami, wyobrażałam sobie długie letnie miesiące spędzane razem z nią nad morzem i w moim ogrodzie, wszystko to, czego ją nauczę i co jej pokażę, wszystkie bajki, jakie będę jej opowiadać, i piosenki, które będę śpiewać.

Lecz to wcale nie było takie łatwe. Na każdym złączu szyn koła wystukiwały: do diabła z mężczyznami, do diabła z mężczyznami, do diabła z cholernymi mężczyznami...

Mój własny stał na dworcu głównym w Göteborgu, kwaśny, że tak długo mnie nie było.

Niewiele brakowało, a umarłbym z głodu oznajmił.

Do diabła z tobą. Do diabła z tobą.

– To naprawdę nie udało ci się trafić do zamrażarki?

Przygotowałam obiady na dziesięć dni, wystarczyło je tylko podgrzać.

– Nie bądź jeszcze na dodatek ironiczna.

Zamilkłam.

Wówczas wyznał, że właściwie to chodzi mu głównie o to, że czuł się tak okropnie samotny. Musiałam zacisnąć zęby, żeby mu nie współczuć.

W domu zaczynała rozwijać się forsycja, rzucając słaby złoty blask. Mama często chorowała tamtej wiosny. Musieliśmy wreszcie razem z Ragnarem ostro się za nią wziąć, żeby zaprowadzić ją do lekarza.

To serce – orzekł.

Dostała lekarstwa, które po jakimś czasie pomogły.

Pewnego wieczoru, kiedy siedziałam u niej tak długo, że nie zdążyłam na ostatni autobus do domu, wydarzyło się coś nieprzyjemnego. Zadzwoiłam do Arnego i uprzedziłam, że wrócę tramwajem do Kungsten. Miał wyjechać tam po mnie samochodem.

Zmęczona, siedziałam w przedniej części wagonu. Kiedy podniosłam głowę, spojrzałam w wielkie lustro wsteczne motorniczego. Dostrzegłam w nim kobietę, która była tak niesamowicie podobna do mojej matki, że aż się wzdrygnęłam – ta sama postarzała twarz i takie



same smutne oczy. Obróciłam się, żeby sprawdzić, kto to jest.

Wagon był pusty. Tylko ja nim jechałam.

Minęło kilka chwil, nim zrozumiałam, że ujrzałam w lusterku swoje własne oblicze. Zrobiło mi się tak smutno, że po starej twarzy w lustrze zaczęły płynąć łzy.

– Wyglądasz na zmęczoną – rzekł Arne, kiedy usiadłam wygodnie w samochodzie.

– Owszem, jestem chyba zmęczona bardziej, niż sądziłam. Starzeję się, Arne.

– Ależ skąd – zaprotestował. – Jesteś tak samo młoda i śliczna jak zawsze.

Przyjrzałam mu się wtedy w skąpej poświacie światełek deski rozdzielczej. On się nie zmienił, był młody i przystojny.

Oczy miłości kłamią. Liczył sobie przecież sześćdziesiąt dwa lata i już za trzy lata miał zostać emerytem.

Arne, jak zwykle, zasnął od razu, ledwie położył głowę na poduszce. Ja zaś leżałam, nie śpiąc i starając się przekonać samą siebie, że musiałam się pomylić, że to nie mogła być prawda. Potem wymknęłam się po cichu do łazienki, gdzie stałam długo w zimnym, bezlitosnym świetle.

Wcale się nie pomyliłam. Miałam głębokie pionowe zmarszczki nad górną wargą, zupełnie jak mama. Obwisły podbródek, smutne oczy, wokół nich kurze łapki, siwe pasemka w kasztanowych włosach, będących zawsze

moją dumą. Trudno się jednak dziwić: za rok miałam skończyć sześćdziesiątkę.

Osobliwe było to, że dotychczas niczego nie dostrzegałam, w ogóle nie miałam pojęcia. Nie czułam. Byłam taka jak zawsze, ciągle ta sama dziecinna osoba. W środku.

Lecz ciało stawało się coraz starsze, a ono nie kłamało.

Chwyciłam się umywalki. Ciekły mi łzy, a twarz w lustrze wydawała się jeszcze starsza. Możesz gwizdnąć, Johanno. Niestety, już nie potrafiłam.

Wreszcie wślizgnęłam się do łóżka i płacząc, zasnąłam.

Następnego ranka Arne powiedział, że powinnam poleżeć sobie cały dzień. I wypocząć. Mam przecież książki. Ale tamtego dnia nie mogłam jakoś czytać. Przeleżałam poranek, próbując pojąć samo zjawisko starzenia się oraz to, że ja jestem stara i muszę się z tym pogodzić.

Starzeć się z godnością.

Co to znaczy? Co za idiotyzm! Wreszcie o jedenastej wstałam, zadzwoniłam do fryzjerki i umówiłam się na podcięcie włosów i farbowanie. Kupiłam drogi, „czyniący cuda” krem i moją pierwszą pomadkę do ust. Zakończyłam dzień długą wędrówką po stromych skałach.

Podobno ruch tak dobrze robi.

Kiedy Arne wróci! do domu, powiedział, że wyglądam olśniewająco i że cieszy się z tego, ponieważ

już zaczął się niepokoić. Nie zauważył jednak, że w moich ciemnorudych włosach nie było już ani jednego siwego pasemka, podobnie jak nie dostrzegł na twarzy działania cudotwórczego kremu.

Szminki nie odważyłam się użyć.

Ale wszystkie te moje sztuczki nic nie pomogły.

Jesteś stara, Johanno.

Próbowałam przywołać pogodne myśli. Poszcęściło mi się. Mam porządnego męża, który nie potrafi żyć beze mnie, promienną córkę, malutką słodką wnuczkę. Ogród, morze, mamę, która jeszcze żyje, przyjaciół, rodzinę.

Lecz serce przez cały czas zgłaszało zastrzeżenia: mój mąż z upływem lat coraz bardziej upodabnia się do swojej uciążliwej matki, staje się nieznośny i kapryśny. Moja córka jest nieszczęśliwa, a mama chora.

Malutka Maria!

Tak.

A ogród?

Zaczynałam dochodzić do przekonania, że praca, jakiej wymaga, przerasta moje siły.

Morze?

O tak, ono zachowało swą moc.

Mama?

Niełatwo o niej myśleć. Tak wcześnie zdecydowała się na starość, a nigdy nie była młoda.

Później, kiedy już pogodziłam się ze starością, zaczęłam rozważać, czy ten szok, który przeżyłam wtedy w tramwaju, nie był rodzajem lęku przed śmiercią. Chyba

jednak nie. Wcześniej nigdy nie myślałam o starzeniu się, za to często się zastanawiałam nad śmiercią. Czyniłam to co dzień, już jako dziecko.

Przestałam się jej bać, kiedy umarł mój teść. Mimo to odczuwałam potrzebę, aby gruntownie się z nią rozprawić, co oznaczało: przestać istnieć. Czasami z czystej tęsknoty za tym, by się tam znaleźć.

Może człowiek nigdy nie nauczy się starzeć, jeśli próbuje oswoić się ze śmiercią.

Pod koniec tygodnia zadzwoniła Anna z nowinami. Jej głos brzmiał pogodniej. Rickard wybierał się w długą podróż po Ameryce, żeby zrobić cykl reportaży, w związku z czym chciała spytać, czy będzie mogła sprowadzić się do nas z Marią na całe lato.

Też pytanie!

Tak bardzo się ucieszyłam, że zupełnie zapomniałam o moim problemie.

- Ale może najpierw powinnaś porozmawiać z tatą.
- Wiesz przecież, że też się ucieszy.
- Nigdy nie byłam dla niego specjalnie miła.
- Ależ, córeczko...

I rzeczywiście: Arne nie posiadał się z radości. Poprosiłam go, żeby zadzwonił do Anny. Słyszałam, jak mówi, że czeka na nią z utęsknieniem i że z malutką będzie na pewno mnóstwo uciechy.

– Wybierzemy się na żagle. Zrobimy z niej prawdziwego żeglarza. Nie, nie, to wcale nie za wcześnie – stwierdził. – Jak to powiadają: czego się Jaś nie nauczy,

tego Jan nie będzie umiał.

Domyśliłam się, że Anna wybuchnęła gromkim śmiechem.

W sobotę Arne wziął się od razu do malowania dzieciennego pokoju na pięterku. Kupiliśmy nowe łóżko dla Anny, dziadek zrobił śliczną kołyskę dla Marii i zmajstrował stół do przewijania. Zdobyliśmy się jeszcze na nowy dywan, a ja uszyłam delikatne białe firaneczki.

– Jakie to szczęście, że przeprowadziliśmy wtedy dla ojca wodę i kanalizację na górę – powiedział Arne.

Przyjechały na święto Walpurgi. A właściwie przyleciały. Arne nie pochwałał tego pomysłu, bo nie miał zaufania do samolotów. Na dodatek, kiedy jechaliśmy po nie na lotnisko, zerwała się okropna wichura. Jak zwykle w Noc Walpurgi.

Jego lęk udzielił się i mnie; stałam więc przy oknie terminalu, ściskając kurczowo barierkę, gdy samolot ze Sztokholmu, podskakując, dotknął płyty i zahamował tak mocno, że aż zapiszczały koła. Rickard miał chyba rację, mówiąc przez telefon, że samolot jest równie bezpieczny jak pociąg. Za to o wiele wygodniejszy dla dziecka.

Spodziewałam się, że Arne polubi małą dziewczynkę, lecz nie przypuszczałam, że zupełnie straci dla niej głowę. Od razu wziął ją na rękę i sprawiał wrażenie, jakby był w siódmym niebie. Kiedy wyładowano bagaże, musiałyśmy z Anną same zanieść je do samochodu, bo on nie chciał wypuścić małej z rąk.

– Nie przywitasz się ze mną? – spytała Anna.

– Nie mam czasu.

Roześmialiśmy się głośno, a potem jeszcze głośniej, gdy w samochodzie Arne usadowił się z tyłu razem z dzieckiem, oświadczając, że Anna może prowadzić.

Jazda z lotniska trwała dłużej, niż myśleliśmy, ponieważ przez miasto ciągnął pochód przebierańców.

– Zatrzymajmy się gdzieś – poprosiła Anna. – Chciałabym popatrzeć na korowód, tak jak zawsze to robiliśmy, kiedy byłam dzieckiem. Może mama zostanie z małą w samochodzie.

– Ja zostanę – oznajmił Arne. – Idźcie same.

Ten dzień był jednym wielkim świętem: Anna i ja śmiałyśmy się jak dzieci ze zwariowanych przebierańców, a kiedy dotarliśmy do domu, czekał już na nas nakryty stół, a w piecu stały ulubione potrawy naszej córki.

Gdy Anna karmiła małą, szybko podgrzałam jedzenie. Dziewczynka, najadłszy się do syta, od razu zasnęła. Przedtem odbiło jej się jeszcze jak należy.

Arne spytał o Rickarda, a ja od razu zauważyłam, że twarz Anny zasnuła się cieniem, gdy mówiła, że wyjechał i że jest mu przykro z powodu rozstania z Marią w jej pierwsze lato. Ale nie mógł odrzucić tego poważnego zlecenia. Ma zrobić długą serię reportaży o konfliktach rasowych w USA – wyjaśniła, uśmiechając się bez wyrazu. To był smutny uśmiech.

– Tych parę miesięcy szybko minie – pocieszał ją Arne. – Przez ten czas będziecie musiały zadowolić się nami.

– Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo się cieszymy, że tu jesteśmy.

Zrozumiałam wtedy, że Anna myśli o rozwodzie.

Pospiesznym haustem opróżniła kieliszek wina. Musiałam mieć chyba wystraszoną minę, bo szybko wyjaśniła:

– Tylko ten jeden, mammo.

Pierwszego maja Arne spuścił łódź na wodę. Była oszlifowana i świeżo pomalowana. Wszystkie prace wiosenne w ogródku też już zostały wykonane, bo mieliśmy tego roku długą i ciepłą wiosnę. Anna nie przywiozła ze sobą wózka, zesłałam więc do piwnicy i wyciągnęłam jej własny. Wymagał tylko porządnego mycia. Był wprawdzie stary, ale jeszcze nieźle się trzymał – stwierdziłam, gdy przygotowałyśmy w nim posłanie dla małej pod kwitnącą czereśnią, w miejscu osłoniętym od wiatru.

– Samolotem nie dało się zabrać wszystkiego – powiedziała Anna. – Moja przyjaciółka, Kristina Lundberg, w przyszłym tygodniu sprowadzi mi samochód i przywiezie resztę rzeczy. Jest bardzo, bardzo miła. Pracuje w opiece społecznej. Rozwiodła się z mężem.

Zamilkła na chwilę, po czym mówiła dalej:

– Przyjedzie ze swoimi dwoma synkami. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby tu przenocowali?

Zirytowała mnie tą swoją uniżonością.

– Przecież doskonale wiesz, że wszyscy twoi

przyjaciele są u nas zawsze mile widziani.

– Ja już nic nie wiem, mamó. Tak trudno mi przyjąć całą tę troskę i ciepło, przygotowaliście dla nas taki śliczny pokój... i...

Wybuchnęła płaczem.

– Dziecko, kochanie, porozmawiamy sobie o tym wszystkim jutro, kiedy będziemy same.

– Masz rację. Tata nie musi o niczym wiedzieć. Przynajmniej na razie.

– No właśnie.

Arne przyszedł do domu i niemalże dostał apopleksji, kiedy zobaczył wózek.

– Do diabła, Johanno! Czy ty nie widzisz, że powypadały zawlecзки i kółka ledwie się trzymają? Czy ty już zupełnie postradałaś zmysły?

Naprawił go. Zajęło mu to ponad godzinę. Widać było, że jest bardzo uszczęśliwiony, kiedy majstrując przy nim, mamrotał pod nosem:

– Ach, te kobiety.

Kuchnia nagrzała się od słońca. Rozebrałyśmy Marię i pozwoliłyśmy jej wywijać gołymi nóżkami na kocu rozłożonym na stole. Kiedy Arne wrócił, rozsiadł się na ławie i zaczął bawić małą. Wreszcie powiedział:

– To prawdziwe чудо.

Dziewczynka osiusiała go nieoczekiwanie i roześmiała się z ulgą.

Arne dalej się nad nią rozplýwał, lecz po chwili rzekł:

– Ona jest podobna do Johanny. I do Hanny.



Zauważyłaś?

– Tak – odparła Anna. – Cieszę się z tego.

Piękna pogoda utrzymywała się jeszcze przez cały tydzień. W poniedziałek siedziałyśmy znowu pod kwitnącą czereśnią. Wreszcie wszystkiego się dowiedziałam. Było gorzej, niż sądziłam.

Nie umiałam znaleźć słów pocieszenia.

Po południu spacerowałyśmy z Marią po wzgórzach, a ja opowiadałam o Ragnarze. I Lisie.

Anna przysłuchiwała się z szeroko otwartymi oczami, o niczym nie wiedziała.

– Ci dwaj mężczyźni są do siebie podobni – rzekłam.

– Tak samo ciepli, tak samo dowcipni i.... tak samo lekkomyślni.

Jej oczy zrobiły się jeszcze większe i pociemniały, kiedy odpowiedziała:

– Masz rację. Smutne jest tylko to, że ja nie jestem taka jak Lisa.

Ja też o tym pomyślałam.

To wszystko było tragiczne.

Ale gdy pod koniec tygodnia przyszedł pierwszy list z Ameryki i kiedy zobaczyłam, z jakim entuzjazmem Anna rozrywa kopertę, a potem promienieje, czytając, pomyślałam, że ona nigdy nie wyzwoli się od Rickarda. Tego lata dużo rozmawiałyśmy o mężczyznach, o tym, jak bardzo są zagadkowi. Opowiedziałam, jak Arne uderzył mnie kiedyś wkrótce po ślubie, jak uciekłam do matki, a ona zareagowała na to wzruszeniem ramion.

– Dowiedziałam się wtedy, że mój ojciec, mój ukochany tatuś, parę razy porządnie ją zbił.

– To były inne czasy – skwitowała Anna. – Dlaczego do niego wróciłaś?

– Bo przecież go lubię – odparłam.

– Czy to już nigdy się nie powtórzyło?

– Nigdy.

Powiedziałam o Ragnarze, o tym, jak czuwał nade mną niczym sęp nad swoim pisklęciem.

– Myślę, że zagroził Amemu i policją, i tym, że go pobije. Wiesz przecież, że jest od niego znacznie wyższy i silniejszy.

Obie siedziałyśmy dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Każda z nas myślała pewnie, że do mężczyzn najdobitniej przemawia przemoc.

Potem Anna powiedziała:

– Przez te wszystkie lata obserwowałam, jak swoim władczym zachowaniem doprowadził cię do tego, że stałaś się przy nim zupełnie malutka. Zrozumiałam to, kiedy miałam zaledwie dwanaście lat, a ty zaczęłaś pracować na pół etatu.

Przed dziećmi nie da się niczego ukryć, powinnam była to wiedzieć. Mimo to trochę mnie zabolalo.

– Chodziło głównie o pieniądze – wyjaśniłam. Powiedziałam jej, że byłam jak służąca, która musi prosić o każdy grosz. Nie wspomniałam ani słowem, że ona powoli zmierza do identycznej sytuacji, nie chciałam jej niepokoić. Ale chyba mnie zrozumiała. Musiała pojąć, co

chciałam wyrazić poprzez to wyznanie, bo oznajmiła, że jest niezależna finansowo: książka przyniosła jej niezły dochód, a wydawnictwo zamówiło już następną.

– Poza tym piszę przecież artykuły do czasopism i gazet.

Rozmawialiśmy o naszych teściowych. Anna spytała:

– Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że matka ojca była chora, psychicznie chora?

Owszem, przyszło. Ale nie pochwalałam tej nowoczesnej manieri tłumaczenia złego charakteru chorobą. Kiedy wracaliśmy plażą do domu, zadałam jej pytanie. Chciałam wiedzieć, czy według niej tego rodzaju choroba jest dziedziczna. Nie wierzyła w to. Powiedziała:

– Nie chciałabym być wtedy babci dzieckiem. Wyobraź sobie tylko takie maleństwo wydane na łaskę i niełaskę.

Niosła Marię w nosidełku na brzuchu, w kangurzej torbie, jak mawiał Arne.

Po chwili dodała z odcieniem desperacji w głosie:

– To dotyczy także Rickarda i jego przekłętej, lodowato zimnej matki.

Anna była matką o wiele bardziej niepewną niż ja, wylęknioną i nieporadną. Trudno się dziwić: ja miałam trzydzieści pięć lat, kiedy urodziłam, ona zaledwie dwadzieścia cztery. Ale nie martwiłam się z tego powodu, ponieważ jakby w zamian wprost zasypywała swoją córeczkę czułością. Któregoś popołudnia Marię rozboleł brzusek. Anna w tę i z powrotem nosiła małą na rękę, bo

położona do łóżeczka, od razu zanosila się płaczem. Potem ja zaczęłam ją nosić, a moja córka próbowała znaleźć przez telefon jakiegoś lekarza. Wreszcie trafiła na takiego, który powiedział jej to samo co ja: że to normalne i nie ma powodu do niepokoju.

Anna wprost umierała ze zmartwienia.

I wtedy, w samym środku tego zamieszania, przyszedł do domu Arne, wziął dziecko w swoje duże, spokojne ręce, przytulił je do siebie i też zaczął chodzić z nią w tę i z powrotem. Powiedział: „Uspokój się już, skarbenku”. W ciągu dwóch minut Maria spała – głęboko i spokojnie.

Anna poczuła ulgę i rozplakała się w ramionach ojca. Powiedziała, że pamięta przecież, tak, nagle sobie przypomniła, jak to było, kiedy tata brał ją w objęcia, gdy była mała i wystraszona.

Po chwili rozplakała się jeszcze bardziej, aż wreszcie Arne zwrócił jej uwagę, że zachowując się w ten sposób, przestraszy dziecko. „Musisz się uspokoić”.

Natomiast ja, ponieważ wiedziałam, dlaczego ona płacze, milczałam.

Kristina Lundberg sprowadziła samochód i przywiozła wszystkie ubrania Anny. Była to wysoka, raczej brzydka dziewczyna o haczykowatym chłopskim nosie, grubych powiekach i ironicznych ustach. Przyjechali z nią też jej dwaj synowie, którzy biegali jak opętani po całym domu i ogrodzie, a co najgorsze – także po pomostach w porcie.

To byli cudowni chłopcy.

Ich mama również nam się podobała – kobieta, na której można polegać. Była bardziej czerwona niż my, komunistka. Wieczorami sprzeczała się z Arnem w kuchni na temat socjalizmu reformowanego i dyktatury proletariatu, często zachowywali się bardzo głośno i oboje nie mieli najmniejszych zahamowań. W weekend Arne zabrał ją i chłopców na żagle, dzięki czemu Anna, Maria i ja zaznałyśmy trochę spokoju.

Gdy wrócili w niedzielę, Kristina wzięła się do pakowania rzeczy: wybierali się dalej, do swoich krewnych w jednej z wiosek w Vastergótlandzie.

– Byłoby nam miło, gdybyś mogła zostać trochę dłużej – powiedziałam całkowicie szczerze.

– Mnie też byłoby przyjemnie – odparła. – Ale od czasu do czasu trzeba wpaść do rodziny.

Sprawiała wrażenie smutnej, lecz zdecydowanej.

– Poza tym to dobrze robi chłopcom – dodała. – Tam nikogo nie zmęczą, bo moja matka ma dość ludzi do pomocy. Postarała się nawet o opiekunkę do dzieci. Chłopcy będą tam przez całe lato, a mama nie chce, by jej zbyt przeskadzano.

Chyba zauważyła zdziwienie w moich oczach, bo wyjaśniła:

– Widzę, że Anna nic nie powiedziała: mój ojciec jest właścicielem ziemskim i hrabią, błękitnej krwi, wyniosłym i raczej ograniczonym.

Pamiętam tamtą chwilę tak wyraźnie, ponieważ

pierwszy raz uświadomiłam sobie wówczas, że na wszystko patrzymy przez pryzmat naszych uprzedzeń. Chłopska dziewczyna przede mną uległa metamorfozie: długi haczykowany nos i ciężkie powieki nabrały arystokratycznego wyrazu.

Jakaż ona była stylowa!

Listy z Ameryki nadchodziły regularnie, szły też w odwrotnym kierunku. Anna stawała się pogodniejsza, czułam, że wokół niej się wypogadza. Lipiec, jak zwykle, przyniósł deszcze. Często zostawałam z Marią sama, ponieważ jej mama pracowała nad swoją książką. Śpiewając małej, słyszałam jednostajny stukot maszyny do pisania na pięterku. W każdą pogodę chodziłam na długie spacery z wózkiem, bardzo pożyteczne, bo dzięki nim zrobiłam się zwawsza.

Anna nie uważała, że się postarzałam.

Niespodziewanie przychodzi mi do głowy jeszcze jedno wyraźne wspomnienie. Pochmurne popołudnie, szyby zapłakane deszczem, a Anna pyta:

– Może obejrzałybyśmy biżuterię?

Zdaję sobie sprawę, że w tej relacji z własnego życia wiele pominęłam. Na przykład losy krewnych z Norwegii. Ciotka Astrid umarła: nagle, na nic nie chorując, kiedy mocny krok niemieckich butów z cholewami rozległ się na bulwarze. I przed Møllergata 19, gdzie nie było już szyldu hurtownika rybnego Henriksena. Mama dostała krótki list od jednego z synów ciotki, a ja dłuższy od jego żony Ninne, jedynej osoby, z którą zbliżyłam się podczas

wizyty w Oslo. Zasmuciła nas ta wiadomość, ale mama nie była zdziwiona. Wiedziała od dawna, że Astrid pożegna się z życiem, jeśli tylko przestanie jej ono odpowiadać.

W jakiś czas potem miałam telefon z Oslo. Dzwonił adwokat! Oznajmił, że przekazano mu testament i że Astrid Henriksen zapisała mi w spadku swoją biżuterię. Powiedział także, że przypuszczalnie jest ona nieznacznej wartości, moi norwescy krewni chcieliby ją jednak zachować ze względów sentymentalnych.

Rozzłościłam się; oświadczyłam krótko, że jest to biżuteria po rodzinie mojej matki i że, oczywiście, chcę ją mieć. Następnie popędziłam do mamy, która wtedy mieszkała jeszcze na Hadze. Wpadła w taką wściekłość, że nie przestawała krzyczeć głośno, nawet dzwoniąc później do Ragnara, który od razu przyjechał, tak samo zły. Ponieważ miał znajomych we wszystkich kręgach, wkrótce znalazłam się na Ostra Hamngata w kancelarii adwokackiej miłego, starszego pana żydowskiego pochodzenia.

Na szczęście zapisałam sobie nazwisko tamtego Norwega, który do mnie dzwonił. Niebawem prawnik z Góteborga miał już zarówno kopię testamentu, jak i rejestr biżuterii.

– Mój norweski kolega okazał się, chwała Bogu, porządnym człowiekiem – oznajmił.

Nadal posyłałam swym krewnym w Oslo paczki żywnościowe. Ale listy przestałam do nich pisać.

Prawie zdążyłam już zapomnieć o owym epizodzie, bo był to rzeczywiście drobiazg w porównaniu z tym, co w ogóle działo się w tamtych czasach. Tak czy inaczej, latem 1945 roku mój adwokat wybrał się do Oslo i wrócił z wielką brązową paczką, po którą razem z Arnem udaliśmy się do jego kancelarii. Przekazał nam pakunek za potwierdzeniem odbioru. Arne nie traktował całej tej historii poważnie aż do owego sierpniowego wieczoru, gdy w obecności mamy i Ragnara rozcięliśmy ciemny papier, odnajdując w środku niebieską szkatułkę, którą otworzyliśmy pozłacanym kluczykiem.

Były w niej broszki i pierścionki, naszyjniki z iskrzącymi się czerwonymi kamieniami, bransoletki i kolczyki. Ale przeważały staroświeckie klamry do włosów, o różnych kształtach. Szare. Czyżby z cyny? A może ze srebra? Anna zaniemówiła, robiąc wielkie oczy, mama zaś powiedziała, że jest tego znacznie więcej, niż myślała: nie tylko kosztowności odziedziczone po rodzinie, ale i to, co Astrid kupiła sobie sama i dostała od Henriksena. Ragnar stwierdził, że musimy dać to wszystko do oszacowania, Arne zaś martwił się: „Gdzie, u licha, to schowamy?”

Były tam dwie grube złote obrączki.

– Obrączki Karola – wyjaśnił Ragnar.

I opowiedział nam, jak to pewien chłop z naszej rodziny, kopiąc doły pod nowe ogrodzenie, znalazł ogromną złotą monetę. To sam król Szwecji, Karol XII, zgubił owe dukaty, gdy zatrzymał się tam kiedyś, by



odpocząć. Tak myślał chłop. Kazał przetopić monetę, a otrzymanego złota starczyło na dwie ślubne obrączki, które od tamtej pory przechodziły z pokolenia na pokolenie.

– Mogę zobaczyć?

Anna ważyła w ręce obie królewskie obrączki. Jej oczy błyszczały równie mocno jak złoto.

Ragnar uśmiechnął się do siostrzenicy i opowiedział o skarbach ukrytych w ziemi ubogiego kraju. Kiedy między Ed i Nössemark budowano wreszcie drogę, znaleziono wielką srebrną skrytkę z monetami z siedemnastego wieku.

Anna spojrzała na niego zdziwiona, on zaś wyjaśnił:

– Tereny nadgraniczne bywają zazwyczaj kością niezgody. Ziemie po zachodniej stronie jeziora należały czasem do Norwegii, a czasem do Szwecji. Kiedy Karol XII mieszkał w Ed i przygotowywał wyprawę na Norwegię, wówczas bogatsi ludzie ukrywali swoje skarby w ziemi.

Mama wzięła do ręki jedną z pięknie wypracowanych klamer, a po chwili usłyszeliśmy niezwykle opowiadanie o norweskim złotniku, który uciekł z Bergen i w okolicy Framgarden znalazł sobie jakąś chałupę.

– Na zupełnym pustkowiu – dodała.

Ale właśnie tam złotnik mieszkał przez wiele lat z żoną i dziećmi, miał w izbie swój warsztat, w którym wyrabiał brosze, wisiorki i klamry ze srebra. Nazywano je czarnym srebrem.

– Sami widzicie, że mieszał je ze zwykłymi metalami  
– dodała mama. – Jest zupełnie szare.

Pamiętam, że chciałam dać jedną z królewskich obrączek Lisie. Ragnar nie pozwolił. Rodzinne dziedzictwo nie powinno ulec rozproszeniu, a jeżeli Lisa chce mieć złotą obrączkę, to on jej kupi. Nie na darmo jest mężczyzną.

Arne rozmyślał cały dzień, jak rozwiązać problem przechowania skarbu. Wreszcie kupił kasę ogniotrwałą i pod podłogą spizami zbudował tajemną skrytkę. Nie zawracaliśmy sobie głowy wyceną, tak jakbyśmy w ogóle nie chcieli znać wartości tych przedmiotów. Woleliśmy myśleć o ukrytym bogactwie jako dodatkowym zabezpieczeniu na wypadek, gdyby coś się miało zdarzyć.

I oto teraz, po szesnastu latach, Anna chce obejrzeć te kosztowności. Odpowiedziałam jej, że ma do tego całkowite prawo, bo to przecież ona kiedyś je dostanie.

– Ale musisz poczekać, aż wróci tata. Nie chcę się włamywać do jego skrytki.

– Tam leżą twoje rzeczy – rzekła Anna.

– Mógłby się poczuć dotknięty – wyjaśniłam. – Poza tym nie mam pojęcia, jak się ją otwiera.

– Ależ, mamoo...

Był to podniosły wieczór, gdy ja i Anna z Marią na ręce stałyśmy w spizami skupione wokół Arnego, a on pokazywał nam, jak trafić do ogniotrwałej kasy ze szkatułką w środku.

– W razie gdyby coś mi się przydarzyło, będziecie już

teraz wiedziały...

Potem siedzieliśmy razem, tak jak przed wieloma laty, nie mogąc się nasycić bijącym ze szkatułki blaskiem. Oczy Marii rozszerzyły się tak samo jak niegdyś oczy jej matki. Ale prawdopodobnie największe wrażenie robił na niej ten podniosły nastrój. Anna wzięła do ręki wisiołek z jasnozielonej emalii, częściowo pozłacany i bogato zdobiony iskrzącymi się malutkimi kamieniami.

– To secesja – stwierdziła. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby te błyszczące kamyki okazały się brylantami.

– Zwariowałaś – zaprotestował Arne. – Ostatecznie ona była tylko żoną handlarza rybami.

– Weź go sobie, jeśli ci się tak podoba – rzekłam.

Wówczas Anna powiedziała to samo, co kiedyś Ragnar:

– Spadek po rodzinie mamy nie powinien ulec rozproszeniu.

Pod koniec lipca znowu pojawiło się słońce, a pod koniec sierpnia wrócił z Ameryki Rickard. Stał się dojrzały: w bruzdach wokół ust krył się głęboki ból, a w oczach ponury smutek.

Rozmawialiśmy ze sobą sami tylko jeden jedyny raz.

– Nie potrafisz mnie zrozumieć, Johanno?

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, nie musiałam więc na nie odpowiadać.

Gdy przechylił głowę na bok, po raz pierwszy zauważyłam, że jest podobny do kota, zwinnego kocura,

pewnego własnej wartości i urody. Ale i do kota z rodzaju tych, które wałęsają się po okolicy w marcowe noce i miauczą, spragnione miłości.

Zawsze trzymałam w domu jakiegoś kota. Kastrowanego kocura.

Zarumieniłam się, serce biło mi mocniej.

Ten mężczyzna zachował w sobie całą swą zmysłowość. Przemknęła mi przez głowę myśl, że może jednak dałoby się go zrozumieć. Ale od razu zbeształam sama siebie. Co za bzdury.

Kiedy odjechali, zrobiło się pusto. Brakowało mi Marii. Myślałam często o Annie i o tym, co mogła stracić. Coś, czego nie rozumiałam, bo nigdy tego nie miałam, ale co być może znaczyło więcej niż tylko bezpieczeństwo. W tamte lata sporo zajmowaliśmy się naszym domem. Wymagał już remontu. Arne, jak zwykle, robił wszystko sam wieczorami albo w weekendy, korzystając z niemal darmowej pomocy kolegów, hydraulika i elektryka.

Od razu po przejściu na emeryturę urządził jeszcze jeden pokój na pięterku.

We dnie szyłam zasłony do świeżo pomalowanych okien. Pod wpływem Anny kupowałam tylko białe materiały.

Ale najlepiej z tamtego okresu pamiętam to, co śniło mi się po nocach. Zwłaszcza na samym początku. W pierwszym śnie trafiłam na drzwi znajdujące się w krótszej ścianie nowego pokoju na górze, otworzyłam je i wyszłam na długi korytarz, ciasny i przerażający.

Posuwałam się po omacku, było ciemno, korytarz robił się coraz węższy, ale z każdym krokiem dostrzegałam wyraźniej smugę światła w oddali. Znajdowały się tam jeszcze jedne drzwi, lekko uchylone. Długo się wahałam, nim odważyłam się zapukać.

Głos, który powiedział: „Proszę wejść!”, był mi dobrze znany, jakbym słyszała go każdego dnia przez tysiące lat. Nareszcie! Otworzyłam i ujrzałam w środku mojego ojca, zajętego kartkowaniem jakiejś książki. Cały pokój był pełen książek, wylewały się z regałów i wielkimi stosami piętrzyły na podłodze. Tata miał zatknięty za uchem żółty ołówek i duży notes przed sobą. W kącie siedziała mała dziewczynka. Patrzyła na mnie swymi promiennymi, brązowymi oczami.

– Jak to dobrze, że przyszedłeś, Johanno! Musisz pomóc mi szukać.

– Czego szukasz, tato?

Obudziłam się i dlatego nigdy nie usłyszałam odpowiedzi. Kiedy usiadłam na łóżku, trochę wylekniona, ale przede wszystkim zadowolona, przypomniało mi się, że ta wielka biblioteka nie miała w ogóle dachu. Była otwarta ku niebu. Później pomyślałam sobie, że w tym śnie nie odnalazłam właściwie niczego zaskakującego, niczego, o czym bym już wcześniej nie wiedziała.

Sen powtórzył się znowu: jego oprawa uległa zmianie, lecz przesłanie było ciągle to samo. Również towarzyszące mu uczucie wydawało mi się dobrze znane. Za którymś razem korytarz zamienił się w strome schody,

a pokój, w którym siedział tata – w laboratorium. Mieszkał tam – jak oznajmił – i przeprowadzał eksperymenty chemiczne. Unoszący się wewnątrz zapach był dławiący, ale i krzepiący. Znowu się ucieszył, że przyszłam, i poprosił mnie o pomoc.

Te sny zmusiły mnie do zrobienia porządków. Rankami, gdy marzenia senne tkwiły jeszcze mocno w pamięci, zdobyłam się nawet na to, że ściągnęłam z podłóg dywany i umyłam okna.

Mój dom nigdy nie stał się taki, jakiego najbardziej bym chciała: nigdy nie był do końca gotowy. Jego największą zaletą było morze – szumiące za murem. Dostałam się we wsi na języki z powodu moich codziennych marszów po plaży, niezależnie od pogody. Te długoletnie wyprawy nauczyły mnie bardzo dużo o morzu: jak brzmi i pachnie podczas sztormu i w dni bezwietrzne, w słońcu i we mgle. Niczego jednak nie dowiedziałam się o jego zamiarach, w każdym razie niczego, co umiałabym wyrazić w słowach. Czasami myślę, że jest tak samo wszechogarniające jak obecność Boga.

To chyba Sofia Johansson obudziła we mnie takie myśli. Znalazłam sobie bowiem nową przyjaciółkę, tak niepodobną do Rakel, jak tylko to można sobie wyobrazić: żonę rybaka ze starej wsi.

Jak już wspomniałam wcześniej, pierwotni mieszkańcy nie utrzymywali żadnych kontaktów z nami, nowo osiadłymi. Ale Sofia miała piękny ogród. Pewnego

dnia zatrzymałam się przy jej płocie i przyglądałam się anemonom, dużym ciemnoniebieskim kwiatom o czarnych środkach.

– Tak tu stoję i podziwiam – powiedziałam.

Wtedy ona obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem.

– Tak, są przepiękne. Mogę wykopać dla pani parę cebulek.

Aż zarumieniłam się z radości. Zapewniłam, że będę się nimi dobrze opiekować.

– Wiem. Widziałam pani ogród.

Następnego ranka przyszła z paroma sękatymi brązowymi bulwami i pomogła mi znaleźć miejsce, które najlepiej by im służyło. Zaprosiłam ją na kawę, a ponieważ pogoda była ładna, usiadłyśmy wśród róż pod murem, osłonięte od wiatru. Miałam bardzo niski, prawie płozący się po ziemi, stary gatunek białej róży, dla którego ona straciła głowę. Umówiłyśmy się, że jesienią wykopię jeden krzak i dam jej w prezencie.

– No, a teraz możemy chyba wreszcie przejść na ty – zaproponowałam.

Uśmiechnęła się znowu tym swoim dobrym uśmiechem i od tego dnia spotykałyśmy się często w jej lub w moim ogrodzie. Gadałyśmy, jak to kobiety, o najrozmaitszych rzeczach. Sofia miała dwóch synów, którzy pływali na łodzi rybackiej; męża zabrało jej morze już wiele lat temu.

– To przykre – powiedziałam. – W jakim wieku były wtedy dzieci?

Chłopcy skończyli już szkołę. Łódź, która zatonięła z ich ojcem, należała do nich. Gdy wypłacono im odszkodowanie, od razu kupili nową.

– Nie czują się dobrze na łodzi ci moi chłopcy – rzekła.

Miała też córkę, która sprzedawała ryby w hali targowej Alliance.

Zaciekawiło mnie to. Od razu odpowiedziałam, że ja też tam pracowałam, praktycznie aż do ubiegłego roku.

– Co prawda tylko w soboty.

Wiedziała o tym, jej córka widywała mnie często w hali i bardzo się dziwiła.

– A dlaczegoż to?

– Należysz przecież do tych lepszych – wyjaśniła Sofia.

– No wiesz! – zaprotestowałam i zanim jeszcze zdążyłam pomyśleć, już zaczęłam jej opowiadać o latach młodości spędzonych na Hadze, o mamie i braciach, a także o ojcu, który zmarł, kiedy byłam dzieckiem.

Spodobała jej się ta moja historia, opowiedziała mi więc swoją: o dzieciństwie w rybackiej wiosce w Bohuslan, gdzie ojciec i bracia, kuzyni i sąsiedzi harowali na morzu, żeby utrzymać rodzinę. Był to świat mężczyzn, wymagających od nich wyjątkowych sił i umiejętności. Pojęłam jednak, że Sofia nigdy nie czuła się podporządkowana ani nie wiedziała, co to jest kobieca niechęć wobec mężczyzn.

– Potem zostałam nawrócona – oznajmiła, a jej oczy



wyraźnie nabrały blasku.

Zmieszałam się, ale nie ośmieliłam się o nic zapytać; pomyślałam, że Sofia jest zbyt inteligentna, by należeć do tego naiwnego kościoła zielonoświątkowców.

Tak to jest z uprzedzeniami.

Nie pamiętam już, w którym to było roku, kiedy wiosenny sztorm zamienił się w orkan. Rozszalałe morze sięgnęło pomostów i domów, roztrzaskało łodzie i pozrywało cumy. Chwała Bogu, nie zdążyliśmy jeszcze spuścić naszej żaglówki na wodę. Stała między domem a wzgórzem, dobrze zabezpieczona przed wiatrem. Ale okrywająca ją plandeka została zdmuchnięta i zniknęła gdzieś nad lądem niczym ogromny czarny ptak.

Wichura trwała trzy dni i trzy noce, a kiedy wreszcie się oddaliła, obeszałam ze smutkiem mój ogród. Stara jabłoń z Akeró była złamana. Moje róże tkwiły w słonej wodzie, naniesionej przez sztorm ponad murem.

Nagle pojawiła się sąsiadka i zawołała:

– Słyszałaś, że zatonęła jakaś łódź z naszej wsi?! Nikt się nie uratował.

Drżałam na całym ciele, kiedy włączyłam radio i usłyszałam to, czego się obawiałam. Synowie Sofii utonęli. Wykopałam moje najpiękniejsze ciemiemiki, zeszałam do wsi i zapukałam do drzwi przyjaciółki.

Przyszło do niej dużo kobiet. Modliły się za dusze chłopców.

Sofia była blada, przeraźliwie blada i zamknięta w sobie. Nie płakała, to ja się rozpłakałam, kiedy wręczając

jej kwiaty, szepnęłam:

– Daj mi znać, jeśli tylko będę mogła ci w czymś pomóc.

– Oni są już u Pana – rzekła.

Idąc do domu, płakałam jeszcze bardziej i nie mogłam przestać myśleć o tym, że Bóg – jak zawsze powtarzała mama – jest okrutny. Jeśli w ogóle istnieje. Mimo wszystko ogarnął mnie jakiś podniosły nastrój.

Nigdy nie miałam okazji pomóc Sofii. Lecz gdyby ona nie wsparła mnie w tamtym roku, gdy w moim domu umierała mama, nie wiem, czy dałabym sobie radę.

Co lato Arne i ja zajmowaliśmy się Marią. Między nią i mną ułożyło się tak, jak sobie wymarzyłam. Obie żyłyśmy w takim samym wolnym rytmie, dużo chodziłyśmy, odkrywając nowe i niezwykle rzeczy w górach oraz na plaży. Boże drogi, ileż to dziwów jest na świecie, nad którymi należy zatrzymać się z podziwem: naniesione przez wodę drewno, przedziwne kamienie, nowe kwiaty, których jeszcze nigdy nie widziałyśmy i które po zerwaniu wkładałyśmy w domu do zielnika. Poza tym robaki. I owady. I żabi skrzek, który chowałyśmy w misce w piwnicy. Znikał za każdym razem, a ja nie zdradzałam, że to kot go zjadał.

Maria wielbiła kota.

Boże Narodzenie często obchodziliśmy wspólnie w Sztokholmie. Między Rickardem i Anną układało się już lepiej, oboje znacznie się uspokoiłi. Nie miałam jednak odwagi o nic pytać. Ona znowu spodziewała się dziecka.

– W maju będziemy mieli nową dziewczynkę – oznajmił Rickard.

– A skąd wiesz, czy to nie będzie chłopiec? – spytał Arne.

– Anna jest pewna. A kobiety z tego dalslandzkiego rodu mają jakieś mistyczne właściwości.

Arne najpierw pokręcił głową, lecz potem sam opowiedział, co Astrid mówiła o marszu nazistów po bulwarze. W połowie lat trzydziestych!

Ustaliliśmy, że Maria powinna spędzić wiosnę u nas. Chciałam wsiąść w pociąg i ją przywieźć.

Ale stało się inaczej. Już w marcu wprowadziła się do mnie mama. Na ostatnie miesiące swego życia.

– To nie potrwa długo – rzekła.

A jednak potrwało. Ona pragnęła już umrzeć, natomiast jej ciało nie bardzo – miało więcej sił niż ona. Było ciężko. Moja przyjaciółka, pielęgniarka gminna, przychodziła trzy razy w tygodniu, opatrywała mamie rany i pomagała mi przy zmianie pościeli. Pożyczono nam wózek inwalidzki i basen. W którymś momencie zaczął też przychodzić lekarz, od którego dostałyśmy tabletki na sen. Trochę odetchnęłam, odkąd mogłam sypiać w nocy. Arne, jak zawsze w trudnych sytuacjach, był silny i cierpliwy. Jednakże mama czuła się śmiertelnie zakłopotana, gdy pojawiał się w drzwiach i chciał na przykład pomóc mi ją podnieść.

To właśnie było najgorsze. To, że tak strasznie się wstydziła i nie chciała być dla nas ciężarem.

– Pewnie życzysz mi już śmierci – mawiała.

Nieprawda, nawet gdy było najciężej, nic takiego nie przeszło mi przez myśl. Miałam dla niej wiele czułości – czułości, której nie potrafiłam wyrazić, a ona nie umiała przyjąć. U mnie dochodził jeszcze do tego głęboki smutek, wywołany świadomością jej samotnego, biednego życia.

Jedyną osobą, która w tych ostatnich chwilach potrafiła dać mamie nieco radości, okazała się Sofia Johansson. Przychodziła każdego dnia, siadała przy łóżku chorej i opowiadała o swym świetlanym Bogu. Mama przez całe życie uznawała się za wierzącą, ale jej obraz Pana był ponury. Teraz przysłuchiwała się opowieściom o innym Bogu i znajdowała w nich pocieszenie.

– Aż trudno sobie wyobrazić – rzekła. – Bóg zabrał jej i męża, i synów, a ona powiada, że On wezwał ich do swego domu.

Sama Sofia mówiła o sobie, że nie przychodzi, by nawracać. Chciała tylko, żebym wybrała się w ciągu dnia na spacer i trochę wypoczęła, jeśli akurat miałam za sobą ciężką noc.

Pod koniec maja przyjechała do nas Anna z nowym dzieckiem. Malin była inna, nie tak przymilna jak Maria – poważniejsza, powściągliwsza. Przypominała małą Annę.

Już pierwszego wieczoru nasza córka oznajmiła, że stara się o rozwód. Nie dawało się dłużej tego ukrywać ani przed Marią, ani przed Arnem. Wpadł w furję, gdy Anna wspomniała krótko o tej drugiej – dziennikarce, z

którą Rickard żył, kiedy ona była w ciąży i leżała w szpitalu. Miała zbyt wysoki poziom białka i skomplikowane rozwiązanie.

Arne chciał wybrać się do Sztokholmu, żeby dać zięciowi nauzkę.

– Musiałbyś jechać do Hongkongu. Bo on teraz tam pracuje – wyjaśniła Anna.

Maria powiedziała coś, co wszystkich ścisnęło za serce:

– Szkoda mi taty.

Nie byliśmy w stanie pomóc w żaden sposób, nawet uczynić tego, co najbardziej oczywiste, czyli zająć się Marią. Kiedy Anna wyjechała z dziećmi, żeby zamienić mieszkanie na mniejsze i poszukać sobie stałej pracy, zadzwoniłam do Kristiny Lundberg i poprosiłam, żeby informowała mnie o jej położeniu.

– Anna jest taka dumna i zamknięta – powiedziałam.

– Wiem. Raz w tygodniu będę do ciebie dzwonić. Nikt się o tym nie dowie. Ale nie martw się. Anna to silna kobieta.

W czerwcu Arne pojechał do Sztokholmu, aby pomóc jej w przeprowadzce. Znalazła dwupokojowe mieszkanie i miejsca w przedszkolu dla obu dziewczynek.

Powiedział to samo, co Kristina:

– Ona jest silna. Da sobie radę.

W październiku umarła mama. Było ciężko, krzyczała z bólu aż do ostatniej chwili.

Spałam przez dwie doby. Arne zajął się pogrzebem, a

kiedy już wróciłam do rzeczywistości, poczułam ulgę. Ze względu i na nią, i na siebie. Pogrzeb odbył się w piątek. Mowę nad grobem wygłosił Ragnar.

A w niedzielę już nie żył, postrzelony przypadkowo na polowaniu. Na wieść o tym rozchorowałam się, wymiotowałam dzień i noc. Już od dawna miałam krwawienie kiszek i byłam słaba. Teraz nie mogłam się utrzymać na nogach. Musieliśmy wezwać lekarza. Jakiś tydzień później znalazłam się w szpitalu.

Wrzody żołądka. Operacja.

Czasami myślę, że już nigdy nie stałam się sobą po tamtej jesieni.

Ale chyba przesadzam.

Mam na myśli to, że po śmierci mamy i Ragnara zrobiłam się stara, nieodwołalnie stara. I wszystko stało mi się obojętne.

Nie mam też dobrego samopoczucia, snując tę opowieść. A to dlatego, że nie potrafię uczynić jej wiarygodną. Naczytałam się wielu pamiętników i za każdym razem uznawałam je za mało prawdopodobne. Podczas lektury bardzo szybko się orientowałam, jak autor dokonuje selekcji własnych wspomnień, jak stara się je przedstawić w określonym świetle i w których miejscach to robi. Gdy odkryje się ten zabieg, można się domyślić, co zniknęło w ciemnościach.

A jak ja to robiłam? Nie sądzę, żebym dokonywała selekcji, w każdym razie nie świadomie. Pamięć sięga raz tu, raz tam, jakby sama chciała przejąć ster.

Myślę, że pozostało mi jeszcze wiele tajemnic. Nie wiem jednak dokładnie, jakie. Chodzi chyba o sprawy, które były tak trudne, że nie mam odwagi nawet ich dostrzec.

Przypominam sobie ten dzień, kiedy przyszła odwiedzić mnie w szpitalu Lisa. Było to co najmniej tydzień po operacji. Paskudna rana na brzuchu zaczynała się już goić, ból się zmniejszył, aleja nadal byłam tak zmęczona, że spałam i w nocy, i w dzień.

Spotkanie z Lisą mnie przerażało, nie chciałam oglądać jej żałoby. A prawda jest taka, że nie chciałam widzieć nikogo, kto miał prawo do nieopisanego smutku po Ragnarze.

Lisa była blada, ale opanowana i taka jak zawsze. Rozpłakałam się i powiedziałam:

– To takie niesprawiedliwe, Liso. Ragnar powinien być nieśmiertelny.

Roześmiała się, a kiedy dodała, że „to przecież dziecinada, Johanno”, poczułam do niej nienawiść. Ale ona mówiła dalej:

– W przeciwieństwie do swojego starszego brata ty nigdy tak naprawdę nie dorosłaś. Po prostu przymykałaś oczy i go wielbiłaś.

Wtedy rzeczywiście przymknęłam oczy i pomyślałam sobie, że Lisa ma rację. Jeśli chodzi o mężczyzn, istotnie nigdy nie dojrzałam. Najpierw ojciec, potem Ragnar. A później Arne, który mógł mnie traktować jak małe, nierozsądne dziecko. Dlaczego na to pozwalałam? I

delektowałam się własnym poniżeniem jak gorzko-słodkim cukierkiem.

– Mimo wszystko Ragnar był wspaniałym człowiekiem – powiedziałam na koniec.

– Owszem, owszem – rzekła Lisa. – Też pozostawił po sobie ogromną pustkę. Lecz i ona się zapełni. Uczuciem ulgi.

Kiedy dostrzegła przerażenie w moich oczach, stała się wyjątkowo rozmowna.

– Czy ty naprawdę nie rozumiesz? Wreszcie nie muszę czuwać po nocach i na niego czekać, zachodzić wiecznie w głowę, gdzie on jest i z kim ani czym pachnie. Po raz ostatni wyprałam te jego przekłete zafajdane kalesony.

– Liso, kochanie...

– Wiem, wiem. Trzeba się uspokoić.

Przez najbliższe pół godziny opowiadała o planach na przyszłość. Kupiła duże mieszkanie na Sprangkullsgata, w kamienicy stojącej prawie naprzeciwko jej sklepu. Chciała się tam przeprowadzić i w jednym z pokoiów urządzić pracownię krawiecką.

– Zamierzam rozbudować mój interes – oznajmiła. – Razem z chłopcami sprzedamy firmę spedycyjną i kupimy duży sklep na rogu, tam gdzie Nilsson handlował tymi staromodnymi ubraniami. Chcemy wyremontować pomieszczenie i zrobić z niego coś naprawdę eleganckiego. Anita już projektuje nowe stroje. W przyszłym tygodniu wybieram się z nią do Paryża, żeby



się zapoznać z najświeższą modą.

Przysłuchiwałam się jej w milczeniu. Przy moim łóżku siedziała zupełnie inna, silna Lisa. Brzydziłam się nią wtedy. Tak, kalala pamięć mego brata. Ale najgorsze, że ona była wolna, a ja spętana.

– Pamiętam, jak Anna zadzwoniła do mnie i oznajmiła, że się rozwodzi – opowiadała. – Pogratulowałam jej z całego serca. Rickard Hard to też niezły gagatek. Jak Ragnar. Ach, Johanno, gdybym miała tyle siły i zrobiła przed laty to samo, co ona...

To był ten jeden jedyny raz, kiedy widziałam ją smutną.

Tuż przed wyjściem dodała:

– Zostanie wszczęte dochodzenie w sprawie tego wypadku na polowaniu. Raczej wszystko przemawia za tym, że mężczyzna, który strzelił, jest niewinny. Ragnar opuścił swoją kryjówkę i wyszedł z lasu tuż za łośiem. To było nieodpowiedzialne.

Kiedy poszła, próbowałam jakoś usprawiedliwić te nieprzyjazne dla niej myśli. Na przykład zaczęłam rozważać kwestię synowej Lisy, Anity, której naprawdę nie lubiłam. Skończyła szkołę rękodzielniczą, szyła szykowne stroje i sama też była szykowna. Bez najmniejszych oporów, niemal bezczelnie, brała z życia, co się da. Wiedziałam dokładnie, kto będzie szefową nowego interesu Lisy, i miałam nadzieję, że powinie im się noga.

Potem zrobiło mi się wstyd. Przypomniałam sobie, co

powiedział kiedyś Ragnar: „Anita przypomina mi ciebie, jak byłaś młoda i prowadziłaś sklepik Nissego Nilssona w hali”.

Tego popołudnia dostałam gorączki i musiałam wziąć jakieś lekarstwo. Przespałam kolację i całą noc aż do czwartej. Gdy się obudziłam, czułam się już lepiej; miałam jasną głowę i dość czasu, żeby zastanowić się nad słowami Lisy. Ale przede wszystkim nad samą sobą, nad moją zależnością od mężczyzn, od takich czarodziejów jak Ragnar czy Rickard. Nad Arnem, który nie był czarodziejem i pod wieloma względami wydawał się jeszcze bardziej dziecinny niż ja. Również nad tym, że byłam tego świadoma, a mimo to uczyniłam z niego silnego mężczyznę i dałam mu władzę.

I ponownie nad Ragnarem. Czy on popełnił samobójstwo?

W porze wizyt przyszedł Arne. Uradowany. Rozmawiał z lekarzem oddziałowym; dowiedział się, że w następnym tygodniu mogę iść do domu.

– Bez ciebie jest tak diabelnie pusto – wyznał.

Dzwoniła Anna, żeby spytać, czyjego zdaniem w najbliższe lato będę w stanie zaopiekować się dziećmi.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc mamie – odparł, a ja uśmiechnęłam się do niego i powiedziałam to, co czułam: że, oczywiście, damy sobie radę. I że będzie wesoło.

Opowiedziałam mu o wizycie Lisy, o wspaniałych planach, jakie miała wraz ze swoją rodziną. I o tym, co

mówiła na temat śledztwa. Arne już to wiedział. Całą tę historię opisano w gazetach, a po mieście krążyły najdziwksze plotki, jakoby firma Ragnara zbankrutowała. Potem jednak przestano gadać, ponieważ przedsiębiorstwo spedycyjne miało niezachwianą pozycję, a wdowa uzyskała za nie dobrą cenę przy sprzedaży.

– Myślisz, że Ragnar... popełnił samobójstwo?

– Nie sędzę. Gdyby chciał odebrać sobie życie, wybrałby na pewno inny sposób i nie postawiłby nikogo, a zwłaszcza przyjaciela, w dwuznacznej sytuacji. Wydaje mi się, że był wyczerpany i oszołomiony po stracie Hanny.

Odczułam ogromną ulgę. Od razu bowiem zrozumiałam, że Arne ma rację. Potem długo jeszcze rozmyślałam nad tym, jak silna okazała się więź między dziwką i jej bękartem. I że nikt tego nie pojmował. Lata przychodziły i mijały, dzieci przyjeżdżały i odjeżdżały. W starzeniu się najgorsze jest wcale nie zmęczenie ani strzykanie w boku czy gdzie indziej. Najgorsze jest to, że tak strasznie pędzi czas; w końcu można odnieść wrażenie, iż w ogóle go nie ma. Dziś jest biały dzień zimowy, a potem ciepły dzień lata. Między nimi zaś pustka.

Dziewczynki rosły i świetnie się rozwijały. Wydawało się, że rozwód im nie zaszkodził. Nie musiały tęsknić za ojcem. Mieszkał w tym samym domu na ostatnim piętrze i nie tylko poczuwał się do odpowiedzialności za ich życie, ale i brał w nim udział.

– A mama?

– Wygląda na zadowoloną. Tam, gdzie mieszkamy, jest dużo dzieci z rozwiedzionych rodzin, ale nasi rodzice są inni. Oni nigdy nie mówią o sobie źle.

Potem Rickard wrócił, do Anny i do nas. Pobrali się po raz drugi, co mnie zasmuciło. Nie mogłam tego zrozumieć. Lecz Anna była rozszczebiotana jak skowronek na wiosnę, kiedy zadzwoniła, mówiąc, że przyjadą już na Zielone Świątki – Rickard prosto z Włoch, a ona z dziećmi ze Sztokholmu. To dziwne uczucie widzieć go znowu – był starszy, ale przystojniejszy niż kiedykolwiek. Jeszcze bardziej koci.

Spotkanie to okazało się najtrudniejsze dla Arnego. Obaj mężczyźni odbyli długą rozmowę w piwnicy, po której Arne wyznał, że teraz już rozumie. Co – tego nie dowiedziałam się nigdy, ale dokładnie pamiętam, jak pomyślałam sobie wtedy, że czarodziej znowu użył swej magicznej różdżki.

Później Anna urodziła następne dziecko, chłopca, który wkrótce zmarł. Wtedy mogłam jeszcze pomóc.

Dziewczynki zdążyły już podrosnąć, kiedy podkradła się do mnie choroba. Myślicie może, że zaczęła się od zwykłego zapominania; że na przykład szłam do własnej kuchni i nie pamiętałam, po co. Coś takiego zdarzało mi się coraz częściej. Walczyłam z tym, wypracowując określone nawyki w wykonywaniu wszelkich codziennych czynności: najpierw to, później tamto, następnie... W ten sposób powstał niemal rytuał i

wszystko jako tako funkcjonowało: dbałam o siebie i o dom, nie dając się lękowi.

Przez kilka lat.

Ale choroba zaczęła się już wcześniej – tym, że przestałam kojarzyć... określone związki. Gdy ktoś do mnie mówił, nie odbierałam treści, widziałam tylko poruszające się usta. A kiedy ja mówiłam, nikt mnie już nie słuchał.

Byłam sama.

Arne wyjaśniał i wyjaśniał. Anna biegała i biegała. Mama nie żyła, nie żył Ragnar, Sofia była u Pana. Greta w domu wariatów, a z Lisą nie chciałam się widywać.

Jedynymi osobami, które miały czas i potrafiły słuchać, były wnuczki. Nigdy nie zrozumiem, jak to możliwe, że dzieci Anny są znacznie sympatyczniejsze niż moje.

Lecz rozmowy z Marią i Malin też się skończyły. Byłam samotna już tyle lat, że nikt nie mógł wiedzieć, gdzie jestem.

Ostatnie, co pamiętam, to oni wszyscy wokół mnie. Znaleźli się tam nagle, stali, szeroko otwierając oczy, mroczne od lęku. Chciałam ich pocieszyć, lecz słowa, które jeszcze gdzieś tam były, nie mogły dotrzeć do ust. Potem pojawiło się szpitalne łóżko z wysoką siatką i przerażający strach przed znalezieniem się w zamknięciu. Szarpałam tą siatką po całych nocach, chciałam wydostać się na wolność. Na początku siedziała przy mnie Anna, od rana do wieczoru. Płakała. Przestała biegać. Może dałoby

się zacieśnić wówczas jakąś więź, ale ja straciłam  
wszystkie swoje umiejętności.

Było za późno.

ANNA

Epilog

Za oknami wieżowca była dżdżysta i zimna noc marcowa. Plac na dole grzmiał głośną muzyką i okrzykami pijanej młodzieży. Samochody zatrzymywały się z piskiem opon na mokrym asfalcie przed kioskiem. W tych czasach nawet peryferyjne osiedla nie zaznawały nocą spokoju.

Zaciągając zasłony, Anna zatrzymała się chwilę przy oknie i spojrzała na iskrzące się na horyzoncie światła wielkiego miasta. Jakie ono złowrogie – pomyślała. Właśnie tam jakiś obcy człowiek zastrzelił przed paroma tygodniami premiera.

Nie chciała myśleć o Olofie Palmę.

Znowu wzięła do ręki manuskrypt Johanny. Czytała go raz za razem, i znowu, wciąż wzruszona i wdzięczna. Mimo wszystko czuła zawód, jakby spodziewała się czegoś innego. Ja zawsze chcę czegoś innego – pomyślała. Przy tej mojej idiotycznej skłonności do szukania ucieczki pragnęłam... czego właściwie?

Rozwiązać twoją zagadkę.

Co za naiwność! Życie to nie tekst do interpretacji. Układamy jego mapę, najlepiej jak potrafimy, a potem siedzimy i denerwujemy się bardziej niż kiedykolwiek. Tyle się namieszało i połączyło. Ale ty byłaś pełna tajemnic, zawsze zdawałam sobie z tego sprawę. W twoim opowiadaniu widać to tu i ówdzie. Zaledwie przebłysk, krótki i szybko znikający. Jak we śnie. Potem przyjmujesz znowu rolę zatroskanej, wprowadzającej ład i wiarygodnej.



Muszę zacząć od tego, co proste, co chyba rozumiem – pomyślała. Napiszę list.

Włączyła komputer. Sztokholm, marzec 1

Kochana Mamo!

Dzisiejszej nocy chciałabym napisać do Ciebie list, powiedzieć Ci to, czego nigdy nie ośmieliłabym się wyrazić, gdybyś jeszcze mogła czytać.

Prześledziłam całą Twoją historię, i to dokładnie. W jakiś niewiadomy sposób zstąpiłaś z nieba i zajęłaś miejsce w zwykłej ziemskiej codzienności!

W Twoim życiu nie było niczego ponadziemskiego.

Oczywiście nie jesteś też tą, którą próbowałam zdeptać, kiedy jeszcze byłam młoda i rugałam Cię za niedouczenie i arogancję. Nic nie mówisz o tym okresie, jakby minął, nie pozostawiając ran. Może zrozumiałaś, że potrzebna mi była ta idiotyczna akademicka obrona, do której uciekają się niepewni siebie młodzi ludzie z generacji awansu społecznego, aby przewyciężyć swoich rodziców i zaprzeczyć własnemu pochodzeniu.

Przez pewien czas sądziłam, że pozbawiłam Cię władzy, zdobywając to próżne wykształcenie. Lecz kiedy zostałam matką, znowu zajęłaś swoje miejsce. Pamiętasz, jak Maria wrzeszczała z głodu w kołysce? To straszne, ale ja właśnie się nauczyłam – z jakiejś książki, oczywiście – że niemowlę powinno dostawać jeść o stałych godzinach. Ty powiedziałaś:

– Ależ, Anno, kochanie...

I to wystarczyło.

Jest późna noc, piszę w podnieceniu, jestem sama i wzburzona. Och, Mamo, taka zawsze byłaś zdrowa i tak strasznie zachorowałaś. Najpierw taka silna, a później taka krucha.

Pamiętam, jak próbowałam Cię chronić, ściągając złość taty na siebie. Jak to zwykle robią dzieci. Pozwalałaś na to? A może nie widziałaś? On powiadał, że jestem podobna do jego matki: dumna i jasnowłosa. Może to sprawiło, że cały ciężar jego gniewu przesunął się z Ciebie na mnie?

Rzucałam mu wyzwania. Poza tym szybciej wpadałam w złość niż Ty, bardziej przypominałam jego. A kiedy stałam się nastolatką i szkoła zrobiła swoje, moje odpowiedzi nabrały większej ciętości, słownictwo zaś znacznie się wzbogaciło. Prześcignęłam go pod tym względem.

Pogarda? Tak. Kwestia pochodzenia? Owszem, też. Nie do zaakceptowania dla kogoś takiego jak on, kto nie potrafił znieść nawet najmniejszej krytyki. A kiedy poczuł się dotknięty, a o to nie było trudno, musiał się tego pozbyć. Zrzucić na innych. Na nas.

Jako dziecko dostawał tęgie baty i jak większość ludzi z jego pokolenia mówił o tym z dumą. Miewał osobliwe sadystyczne fantazje. Ponieważ ani on, ani nikt inny nie rozumiał, że mają podłoże seksualne, mógł im swobodnie dawać upust.

Czy mnie nienawidził? Boże drogi, czy on mnie

nienawidzi? Czy cała ta jego obłąkańcza złość jest teraz skierowana przeciwko mnie? Czy to dlatego z takim trudem przychodzi mi dzwonić do niego? I odwiedzać?

Upraszczam, ma przecież wiele dobrych cech. Był zawsze niezawodny w trudnych sytuacjach. Czy dlatego dałaś tacie prawo do tego, aby Cię poniżał, że przypominał Ci Twojego ojca? A co Ty wiesz o młynarzu z Varmlandu, o jego mrocznych nastrojach i pijaństwie? O ile dobrze rozumiem, był wszystkim, co miałaś. To jasne, że w wyniku takiej relacji dziecko staje się lękliwe. Czy to ten lęk przeniosłaś na Arnego?

A ja? Robię to samo, co Ty, podporządkowuję się, poddaję biegowi wydarzeń. Rickard jest w Londynie, przez trzy miesiące zastępuje jakiegoś korespondenta. Ma tam kobietę, z którą sypia. Sądzi, że w ten sposób przybliży się do mnie, pokona mój „uczuciowy chłód”. Lecz za każdym razem chodzi mu o nią, o tę banalną, lodowato zimną Signe z Johannebergu.

Ona nie żyje od pięciu lat. Ale co znaczy śmierć dla kogoś, kto nie stąpa po ziemi? A czy może być inaczej w przypadku dziecka, które zawodzi pierwsza rzeczywistość, z jaką ma kontakt – czyli matka?

Rickard szybuje w powietrzu, Mamo, i to jest to, co czyni go nie do zniesienia.

Pracując nad książką, pomyślałam sobie, że Hanna okazała się najsilniejsza z nas trzech. Miała swoje poglądy i nie czuła się zagubiona. Była realistką. Kiedy sobie przypomnę, jak widziała Boga, jestem oszołomiona jej

śmiałością, tym zuchwałym własnym stanowiskiem. Żyła tak, jak wierzyła. Jak kiedyś powiedział twój ojciec: liczyła się z krzywdami i dlatego nie gromadziła ich w sobie.

Tak jak czynimy to Ty i ja.

Złościła się, ponieważ nie umiała płakać. My obie płakałyśmy, jakbyśmy miały ocean łez do wylania.

Ale i to nie pomagało.

Nie wątpię ani przez chwilę, że jesteś ode mnie lepszym człowiekiem, dobrotliwszym. Ale ja jestem silniejsza, bo nie dałam się złamać i poddać totalnej zależności. Oczywiście, ma to też związek z duchem czasu, wykształceniem, z tym, że jestem w stanie utrzymać siebie i moje dzieci. Ale bierze się to też stąd, że tę siłę otrzymałam od matki, a nie od ojca.

Nawet nie wiesz, jak się zdziwiłam, kiedy zrozumiałam, że zazdrościsz mi rozwodu. Nie spodziewałam się tego. Nie mógł on przecież – jak mówiłaś – przerodzić się w zwycięstwo. Pozostałam w tyle niczym nędzny powój.

Kiedy mówisz o waszym życiu seksualnym, jest mi Cię naprawdę żal. Zmysłowość jest przecież czymś tak cudownym. Wspaniałym, jakby wszechogarniającym.

Dlatego tak trudno jest znieść niewierność Rickarda.

Jutro napiszę list do Londynu: „Nie zamierzam przyjąć cię z powrotem...”

Mam to zrobić?

Mamo, jest rano, przespałam się kilka godzin i czuję

się spokojniejsza. Czy mniej przenikliwa? Mam Ci coś prostego i ważnego do powiedzenia. To, co Ty dostałaś od swojego ojca, ja dostałam od Ciebie. W pewnej mierze przekazałam to dalej Marii i Malin; czasami ośmielałam się sądzić, że one dwie bardziej się szanują nawzajem niż Ty i ja. Być może nie zaznają w swoim życiu szczęścia, czymkolwiek ono jest. Ale mają własne dzieci i cieszą się poważaniem. Nigdy nie poznałaś Stefana, przyjaciela Malin i ojca Leny. Jest podobny do Rickarda. I wuja Ragnara.

Czytam Twoje opowiadanie jeszcze raz. W jaskrawym świetle poranka. Jakie to dziwne, że dziecko potrafi wiedzieć, nie wiedząc! Bo wiedziałam, w jakiś sposób wiedziałam, że istnieje, istniało rodzeństwo.

Boże, jak Ty to wytrzymałaś! Przecież wiem, jak to jest, straciłam jedno dziecko i myślałam wtedy, że zwariuję. Dosłownie. Nie mówiłam Ci, jak blisko znalazłam się granicy. Nie chciałam Cię chyba przerazić.

Jeszcze bardziej osobliwe było to, co wiązało się z wojną. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jakie piętno wywarła ona na moim dzieciństwie, ile lęków ma w niej swe źródło. Pamiętam jednak tego niemieckiego pilota, który spłonął nad nami w powietrzu, i tatę, jak przyjeżdżał i odjeżdżał, ubrany w mundur, i opowiadał o tym, ile działo się zła. A tej zagranicznej gazety, którą sobie kupiłam w kiosku za pieniądze od Ragnara, nie zapomnę nigdy.

Są rzeczy, których nie dostrzegałaś. Chodzi o Twoich

braci. Ty widzisz ich tylko jako męskich szowinistów. Ale to był też rodzaj zemsty, kiedy zmuszali Cię do biernego uczestniczenia w popijawach, czyszczenia im butów i przysłuchiwania się żalonym erotycznym przechwałkom. Oni byli po prostu zazdrośni o siostrę, która okazała się od nich ładniejsza i zdolniejsza. I skupiła na sobie całe zainteresowanie ojca.

Wiem to, ponieważ kiedyś przyznał mi się do tego wuj August. „Ona była oczkiem w głowie tatusia, dla niej zrobiłby wszystko. Na nas nawet nie patrzył”.

Możesz odpowiedzieć, że zyskali za to zainteresowanie matki. Nie sądzę jednak, żeby miało ono dla nich wartość.

Częściowo dlatego, że gdy tylko przenieśli się do miasta, stała się ona żywym anachronizmem, niewykształcona i po wiejsku prosta. Ale również i z tego powodu, że jej opiekuńczość ich dusiła.

Nie wiem, przebijam się po omacku przez dżunglę uprzedzeń i psychologicznych uogólnień. Dziś rano obudziłam się w środku snu o pociągu. Siedziałam sama w wagonie, który stał gdzieś na ślepym torze. Odłączony przez pomyłkę. Zapomniany. Nie czułam się w nim jednak nieswojo. Wprost przeciwnie. Ukryta we wnętrzu tego zapomnianego wagonu, miałam czas na myślenie.

Teraz przychodzi mi do głowy, że może gdzieś istnieje ten główny tor, który przegapiłyśmy.

Miłość.

Może my obie, i Ty, i ja, jesteśmy jej więźniami.

Przypominam sobie pewne wydarzenie sprzed kilku lat. Byłaś już wtedy trochę zdezorientowana, ale nadal obecna. Znajdowałaś jeszcze słowa i cieszyłaś się, kiedy przyjeżdżałam, rozpoznawałaś mnie. Potem tata się rozchorował, musiał być operowany. Mieszkałam wtedy sama i codziennie kursowałam między szpitalem sahlgreńskim, gdzie odwiedzałam jego, i domem opieki, w którym przebywałaś Ty. Za każdym razem tata powtarzał:

– Szkoda czasu, żebyś tu siedziała. Jedź już do mamy.

Mówiłam:

– Okay. Zabieram się stąd.

On się uśmiechał i machał mi na odchodne.

Mniej więcej po tygodniu został wypisany, odebrałam go i zawiozłam prosto do Ciebie. Prowadzono Cię właśnie na wózku do jadalni. Kiedy go ujrzałaś, wyrzuciłaś do góry ramiona, tak jak ptak unosi skrzydła do lotu. Prawie jakbyś zawołała: „No, nareszcie jesteś!”

Potem odwróciłaś się do dziewczyny, która pchała wózek, i rzekłaś:

– Zobaczysz, teraz szybko dojdę do siebie.

Pamiętam, że poczułam zazdrość.

Dlaczego gdy chcemy pokochać mężczyzn, oni tak nam to utrudniają?

Jeszcze jedna myśl: powiedziałam wcześniej, że łatwiej niż Ty popadam w złość. Niezwykłe jest to, że nigdy nie rozzłościłam się na Rickarda. U Ciebie było odwrotnie – całą swoją agresję kierowałaś przeciwko

Amemu. Czy brało się to z waszych seksualnych niepowodzeń? Z tego, że miłość nigdy nie doznała spełnienia?

Co chciałam osiągnąć, odbywając tę podróż przez życie trzech kobiet? Pragnęłam odnaleźć dom?

Jeśli tak, to mi się nie udało. Nie było żadnego domu. Albo nie dawało się go odnaleźć na nowo, w każdym razie nie w ten sposób, który wybrałam. Wszystko okazało się znacznie bardziej złożone i niejednoznaczne, większe, mroczniejsze, niż mogło sobie wyobrazić dziecko.

Nie wiem nawet, czy rozumiem teraz lepiej. Ale mnóstwo się nauczyłam i, niech mnie diabli, nie mam zamiaru zrobić tego, co Ty: poddać się, gdy prawda zaczyna się rozsypywać na tysiące prawd.

Anna zamierzała właśnie skończyć list, gdy zadzwonił telefon. Zaskoczona, spojrzała na zegarek: dochodziła siódma. Któż to dzwoni tak wcześnie w niedzielny ranek?

Kiedy wyciągnęła rękę, żeby podnieść słuchawkę, czuła lęk. Dlatego nie zdziwiła się, gdy usłyszała głos zdenerwowanej opiekunki, która zajmowała się ojcem w Góteborgu.

– Znaleźliśmy go nieprzytomnego. Zabrali go karetką do szpitala sahlgreńskiego.

Ubrała się, spakowała do torby parę niezbędnych rzeczy i zadzwoniła do szpitala. Minęło kilka chwil, zanim uzyskała połączenie z izbą przyjęć i usłyszała głos



zmęczonego lekarza:

– Atak serca. Będzie najlepiej, jeśli przyjedzie pani natychmiast. Nie zostało mu wiele czasu.

Zdażyła jeszcze zostawić wiadomość Marii: „Żebyś wiedziała, gdzie mnie szukać”. Złapała taksówkę, dostała na Arlandzie bilet stand-by i na Landvetter w Göteborgu znowu wsiadła do taksówki.

Tuż przed dziesiątą siedziała przy jego łóżku. Leżał na dużej sali, nieprzytomny, pod kroplówką.

– Chyba macie jakąś izolatkę?

Tak, właśnie ją sprzątają. Wstawią tam krzesło i szpitalną kozetkę, żeby mogła się na niej rozprostować.

Tuż potem przyszedł lekarz o zmęczonym głosie, osłuchał płuca i serce.

– Nie wykluczam jeszcze zapalenia płuc.

W jego głosie było zawieszona pytanie, zrozumiała i odezwała się:

– Czy on wyzdrowieje?

– Nie. Serce nie da już rady.

– Nie dostaje antybiotyków.

Skinął głową, powiedział, że próbują zaoszczędzić staruszkowi bólu.

Siedziała więc tam, mijały godziny, w głowie miała pustkę. Niczego nie czuła, była dziwnie nieporuszona. Po południu przyszła siostra oddziałowa i zaproponowała, że przez godzinę ktoś inny posiedzi przy ojcu, żeby ona mogła coś zjeść. Na dole przy wejściu jest kafeteria. „Proszę tam pójść, żebyśmy wiedziały, gdzie pani

szukać”.

Dopiero teraz Anna poczuła, jak bardzo jest głodna.

Wzięła smażone ziemniaki, dwa jajka i czerwoną kapustę. Zdążyła też zadzwonić do domu opieki, by uprzedzić, że nie odwiedzi dziś Johanny. Kiedy wróciła do pokoju, nic się nie zmieniło. Znowu ujęła dłoń starego mężczyzny. Około siódmej wieczorem przyszła siostra z wiadomością, że jest do niej telefon z Londynu.

Poczuła niewiarygodną ulgę.

– Jak tam, Anno?

– Dziwnie... nudno – odparła i od razu zrobiło jej się wstyd.

– Mam samolot jutro rano. Około dwunastej będę przy tobie.

– Dziękuję.

– Rozmawiałem z Marią. Spróbuje przyjechać jutro, ale ma kłopoty ze znalezieniem opiekunki do dziecka. Nie złapaliśmy Malin, jest gdzieś w Danii na jakimś seminarium.

Kiedy Anna usiadła znowu przy staruszką, wybuchnęła płaczem. Pustka zniknęła, pojawiło się czucie. Ująwszy jego dłoń, szepnęła:

– Byłeś takim dobrym ojcem.

To prawda – pomyślała. Zawsze na swoim miejscu i zawsze wysokiego mniemania o mnie.

Na drodze stała im tylko jego złość. Furia, nie nienawiść.

O trzeciej nad ranem poruszył się niespokojnie.

Chciała właśnie zadzwonić po siostrę, kiedy dostrzegła, że ojciec próbuje coś powiedzieć. Wysuszone wargi drgnęły, lecz słowa nie dotarły do ust.

Pogłaskała go po policzku, szepnęła:

– Tak, rozumiem, tato.

Jego oczy wpatrzone były prosto w jej źrenice, potem głęboko westchnął i przestał oddychać. Stało się to bardzo szybko, prawie niezauważalnie. Tak łatwo, jak gdyby nigdy nic.

Nacisnęła guzik dzwonka. Dopiero kiedy przyszła siostra i przybrała uroczyście poważną minę, Anna zrozumiała, że ojciec nie żyje. Przepęłnił ją cichy, bezsilny ból. Pojęła, że to smutek i że będzie musiała z nim żyć jeszcze długo.

Nie potrafiła teraz płakać.

Po długich minutach milczenia siostra szepnęła, że w pokoju pielęgniarek jest gorąca kawa. Dobrze by było, gdyby Anna tam poszła, a one tymczasem zajmą się zmarłym. Była posłuszna jak dziecko, napiła się kawy i zjadła pół kanapki. Potem mogła już wrócić do pokoju, który był ładnie wysprzątny. Po obu stronach zmarłego zapalono świece, na jego piersi leżał bukiet kwiatów.

Anna siedziała tam przez godzinę, próbując zrozumieć, co się stało. O piątej nad ranem zadzwoniła do Marii, powiedziała jej, że nie musi na razie przyjeżdżać. „Odezwę się, kiedy załatwię wszystko z pogrzebem”.

Srebrzysta mgła leżała ponad miastem, kiedy Anna wsiadła do taksówki i ruszyła do domu nad morzem. Rogi

mgło we zawodziły nad szkierami i wyspami.

Pielęgniarka domowa usunęła już ślady tej ciężkiej nocy, kiedy znaleziono ojca nieprzytomnego. Anna chodziła z pokoju do pokoju, nabierając przekonania – jak już wiele razy wcześniej – że dom stracił swój charakter, odkąd zniknęła z niego mama. Nie było już w nim żadnych roślinek, żadnych serwetek ani poduszek. Panował tylko porządek i ta skąpa surowość, jaką mężczyźni często nadają swemu otoczeniu.

Poza tym było zimno. Zeszła do piwnicy i włączyła ogrzewanie. Potem udała się na górę do swojego pokoju, wyjęła z szafy jakiś koc. Położywszy się, myślała o samych praktycznych rzeczach i odkryła, że to pomaga.

O jedenastej się obudziła. Piec olejowy na dole aż dudnił, zrobiło się nieznośnie ciepło. Anna nie zmniejszyła jednak temperatury, pootwierala wszystkie okna, zrobiła przeciąg. Czuła ból w plecach i ramionach po długim czuwaniu w nocy, ale nadał uparcie myślała o sprawach praktycznych: musi zadzwonić na lotnisko Landvetter, by poinformowano Rickarda, że ma przyjechać tutaj, a nie do szpitala. Przydałaby się ciepła kąpiel. Czy jest tu coś do jedzenia? Muszę wyjść do sklepu.

Kiedy leżała potem w gorącej wodzie i czuła, jak odrętwienie, niczym wyługowane, ustępuje z jej ciała, podjęła decyzję: zostanie tutaj, będzie tu mieszkać. Przez całą wiosnę, może zawsze. Wyszła do ogrodu. Mój ogród – pomyślała pierwszy raz i zawstydziała się, gdy ujrzała,

jak bardzo jest zaniedbany. Słońce przedzierało się przez mgłę; w zimnym świetle marcowego dnia Anna przyglądała się zdziczałym różom, które nie kwitły od lat, trawnikowi zarośniętemu mchem i wysokiemu na pół metra, jeszcze zeszłorocznemu zielsku.

Potem usłyszała samochód i padli sobie w ramiona.

– Chodzisz w szlafroku po takim zimnie? I w samych drewniakach? – zdziwił się, kiedy wypuścił ją z objęć.

– W środku jest bardzo ciepło – wyjaśniła.

– Jadłaś coś dzisiaj?

– Nie, nie ma nic do jedzenia.

– Jesteś szalona, moja mała dziewczynko – powiedział, po czym, zupełnie nie wiadomo jak, znaleźli się w wąskim łóżku na pięterku, a on całował jej oczy i piersi. Smutek zniknął, ona zaś wiedziała, że tu, właśnie tu, jest jej dom.

Główny tor?

Lecz chwilę później, gdy Rickard zaparzył dla niej kawę, którą znalazł w jakiejś starej puszcze, pomyślała sobie, że nie ma niczego łatwiejszego jak właśnie to, co Hanna nazywała współżyciem.

Nie pytał o śmierć, była mu za to wdzięczna.

– Musimy pojechać do mamy – rzekła.

Wynajął na lotnisku samochód, jak to dobrze. Zrobili listę zakupów. Anna zaproponowała, żeby poszedł do sklepu, gdy ona będzie w domu opieki. Później zamierzali zjeść lunch gdzieś w mieście, a na koniec chcieli się wybrać do zakładu pogrzebowego.

– Zawsze kiedy się boisz, oddajesz się bez reszty sprawom organizacyjnym – powiedział, a jego głos był pełen czułego ciepła.

Kiedy podwiózł ją przed dom opieki, nagle wpadła w panikę.

– Co ja mam jej powiedzieć?

– Musisz powiedzieć prawdę.

– Rickard, chodź ze mną.

– Oczywiście – odparł i zaparkował samochód.

Czekał, podczas gdy Anna rozmawiała z siostrą oddziałową. Ona też uważała, że należy powiedzieć prawdę.

– Przekonamy się potem, ile z tego zrozumie.

Johanna była jak zwykle gdzieś daleko, hen, hen, daleko.

Siedzieli chwilę, przyglądając się chorej, po czym Rickard ujął jej rękę, a Anna pochyliła się nad nią i powiedziała bardzo wyraźnie:

– Mamo, posłuchaj mnie. Dzisiaj w nocy umarł Arne.

Drgnęła. Czy zrozumiała? Nie, wmawiam sobie.

Lecz kiedy od niej wychodzili, Rickard powiedział, że jest przekonany, iż jej dłoń zareagowała.

Zjedli wczesny obiad w nowej restauracji rybnej, zrobili zakupy i poszli do firmy pogrzebowej. Wielkie nieba, ileż to wymagało różnych decyzji: Anna zgodziła się na dębową trumnę, nie zgodziła się na krzyż w ogłoszeniu, zgodziła się na listy z zawiadomieniem i na jakąś urnę. Nagle zrozumiała, co ludzie mają na myśli,

mówiąc, że przedpogrzebowa bieganina całkowicie tłumi smutek w pierwszym tygodniu żałoby.

W drodze do domu wstąpili jeszcze do starego konsumu mamy. Potem pojechali do ogrodnika, u którego Anna zawsze kupowała kwiaty do domu. Kiedy wreszcie wrócili, Malin oczekiwała ich na schodach. Anna uśmiechnęła się na jej widok, Rickard zaś roześmiał się radośnie. Marii udało się z nią skontaktować wczoraj wieczorem w Kopenhadze, jeden z kolegów podwiózł ją do Helsingór, gdzie znalazła miejsce na promie.

– Mamo, ty znowu zamknęłaś się w sobie. Może spróbowałabyś popłakać?

– Nie potrafię. Anna, zbyt zmęczona, żeby zasnąć, leżała na plecach, trzymając Rickarda za rękę – zimna dłoń szukała dotyku cieplej.

On był niespokojny, Anna to czuła.

– Chcesz tabletkę na sen?

– Nie.

– A może whisky?

– Chętnie.

Wypiła ją jak dziecko wodę, dziwiąc się, że tak szybko zapanował w jej wnętrzu spokój. Po chwili stwierdziła, że chyba łatwo mogłaby się stać alkoholiczką, i zasnęła. Obudził ją zapach kawy unoszący się z dołu. Słyszała Rickarda i Malin rozmawiających w kuchni. Była ładna pogoda.

Muszę im to powiedzieć – postanowiła, schodząc na dół. Usiadła przy stole, dostała duży kubek kawy, dołała

trochę mleka i wypła.

– Pomyślałam sobie, że chyba tutaj zostanę... na pewien czas. Ktoś musi przecież odwiedzać mamę.

– Jeśli o mnie chodzi, to mi nawet odpowiada. Z Londynu do Góteborga jest bliżej niż do Sztokholmu – rzekł Rickard.

– Będziesz tu bardzo samotna – powiedziała Malin. – Ale możemy do ciebie przyjeżdżać tak często, jak tylko się da.

– Zamierzam zadzwonić do Marii i poprosić ją, żeby sprowadziła mój samochód. I przy okazji zabrała komputer, drukarkę i wszystkie notatki. No i ubrania.

Po chwili dodała:

– Przecież równie dobrze mogę siedzieć tutaj i pisać.

Jej słowa zawisły pod kuchenną lampą. Te same co już tyle razy wcześniej.

Opuściła głowę na stół, poddała się i rozplakała.

– Położę się na minutkę – rzekła. Wzięła ze sobą rolkę kuchennego papieru i poszła na górę. – Muszę trochę pobyć sama – dodała, widząc wylęknione oczy obojga.

Leżała w swoim dawnym panińskim pokoiku. Wreszcie szloch ucichł, a ona zaczęła trząść się z zimna.

Boże, ależ dygotała.

I znowu obudził ją jakiś miły zapach. Jedzenie. Pieczona wieprzowina, ziemniaki, cebulka. Gdy szła do łazienki, trzęsły jej się nogi. Umyła twarz w zimnej wodzie i stwierdziła, że wygląda staro i okropnie. Lecz



kiedy pojawiła się w kuchni, Rickard powiedział:

– Jak to cudownie, że znowu masz oczy.

– A nie puste studnie – dodała Malin, uśmiechając się do niej.

Anna poczuła w tej chwili, że uśmiech, którym obdarzyła córkę w odpowiedzi, pochodzi z głębi duszy.

– To chyba dobrze, że mógł wreszcie umrzeć – rzekła.

– Tak, dobrze dla niego i dobrze dla nas. Powinnaś pamiętać, że miał wyjątkowo długie i bogate życie.

W tych zdaniach nie było właściwie niczego szczególnego, ale ponieważ Anna tyle czasu nie dopuszczała do siebie jakichkolwiek myśli, słowa na nowo nabierały wagi. Każde z osobna.

– Jak długo możecie zostać?

– Do pogrzebu – odpowiedzieli oboje.

– Rickard, czy nie mógłbyś się zająć sprzedażą łodzi? Wolałabym się jej pozbyć. Poza tym przyda nam się gotówka.

Sformułowanie ogłoszenia i połączenie się z „Góteborgs-Posten” nie zajęło mu wiele czasu. Następnie wybrał się do stoczni i sprowadził jakiegoś mężczyznę, który opukał cały kadłub, przyjrzał się wyposażeniu i podał odpowiednią cenę.

– A propos gotówki: może byłoby dobrze przejrzeć rachunki ojca i wyciągi bankowe?

– Słusznie. Pokażę ci jego skrytkę.

Znaleźli schowek ukryty za bielizną starego

mężczyzny, wbudowany w ściankę szafy.

– Sprytnie pomyślane – rzekł z uznaniem Rickard. – Ale dlaczego masz taką dziwną minę?

– Coś mi się przypomniało. Malin, gdzie są moje kwiaty?

– W piwnicy. Zaniósł je tam wczoraj po południu.

W piwnicy!

Malin razem z Anną umyły wszystkie okna, wyprały i wyprasowały zasłony, kupiły też pelargonie do pustych skrzynek na parapetach. Rickard sprzedał łódź, poszedł do banku i wyszukał taksatora – zrównoważoną kobietę, która obesła cały dom, wyceniając wszystko możliwie najniżej.

– Z myślą o podatku spadkowym – wyjaśniła.

W czwartek po południu przyjechała samochodem Maria razem z dziećmi. Anna wyściskała je tak mocno na powitanie, że dziewczynkom wprost zabrakło tchu. Po obiedzie Rickard wniósł do domu komputer i drukarkę.

– Po pogrzebie urządzimy ci tu śliczne miejsce do pracy.

Na pogrzeb przyszło dużo ludzi, o wiele więcej, niż się spodziewali: koledzy z pracy, towarzysze z partii, zaprzyjaźnieni żeglarze. No i ci nieliczni, którzy jeszcze pozostali ze starej rodziny. Zarówno sama ceremonia, jak i późniejszy poczęstunek rozplynęły się dla Anny w nierzeczywistości. Była sama. Dni płynęły jeden za drugim.

Każdy ranek poświęcała swojej książce. Praca nad nią

posuwała się opornie, przychodziły jej do głowy same luźne myśli. Czasami po prostu siedziała godzinami i myślała o prababce – matce Hanny – która widziała, jak umiera z głodu czworo jej dzieci. Potem zastanawiała się nad Johanną i jej nieudanymi porodami oraz nad tym, że tych utraconych dzieci było też, o dziwo, czworo. Ona sama straciła tylko jedno dziecko, ale to wystarczy, żeby wiedzieć, co to znaczy.

Dwoje! Aborcja. Jak mama się tego domyśliła? Jakie było to dziecko, któremu nie dane było się urodzić? Chłopiec? Dziewczynka?

Weź się w garść – powiedziała głośno. Klawiaturze na pewno nie najlepiej to zrobi, jeśli zaleję ją łzami.

Po chwili napisała: I pomyśleć, że nigdy nie wiedziałam, że oplakiwałam to dziecko.

Zamyśliła się nad damą z kości słoniowej, matką Arnego, a jej babcią. W obrazie tej kobiety stworzonym przez Johannę nie było miejsca nawet na próbę zrozumienia. To dziwne, bo mama zawsze starała się zrozumieć i wybaczyć. Musiała nienawidzić swojej teściowej, przypisywać jej winę za wszystko, co było w ojcu trudne i niepojęte.

„On robi się coraz bardziej podobny do swojej matki” – mawiała w ostatnich latach. Nie mogłam tego słuchać: „Anna biegała i biegała”.

Czyżby w życiu babki była jakaś mroczna tajemnica, hańba, którą należało ukryć pod tą idiotyczną dumą?

Okolo południa zjadała kefir z comflakesami i jechała

do szpitala, aby nakarmić matkę. Ci starcy z domu opieki przestali już ją przerażać. Jak wszystko, z czym się oswajamy, nabrali jakiejś normalności. Poznała też innych odwiedzających – zmęczoną niską kobietę, która przychodziła dzień w dzień i karmiła swego brata; starego mężczyznę, który mimo chorej nogi przemierzał całe miasto, by zobaczyć żonę.

Córki. Większość w jej wieku.

Pozdrawiali się nawzajem, zamieniali parę słów na temat chorych i pogody tej pięknej wiosny; wzdychali, zastanawiając się, ile czasu zostało jeszcze tej samotnej staruszce spod piątki.

Anna opowiadała Johannie o ogrodzie, jak pracuje w nim każdego popołudnia, by uratować, co się da, i odrodzić. Przestała się już zastanawiać, czy matka rozumie.

– Najgorzej jest z trawnikiem – mówiła. – Wyrwałam mech i kupiłam jakiś środek do użyźniania gleby. Jak tylko spadnie deszcz, posieję trawę.

Następnego dnia:

– Krzaki porzeczek odbijają. Przycięłam je bardzo krótko i spulchniłam wokół nich ziemię, poza tym trochę nawiozłam.

Pewnego dnia przyszła z radosną nowiną:

– Wyobraź sobie, że róże mają pąki! Pomogło im to przycięcie, dodałam też trochę świeżej ziemi i nawozu.

– Wszystko będzie tak jak dawniej, mamó – obiecała.  
– Posieję słoneczniki, bo z bylin przetrwały jedynie

piwonie, te ciemnoczerwone, no wiesz.

Aż wreszcie któregoś dnia mogła powiedzieć:

– Już prawie skończyłam, mamó. Będzie naprawdę pięknie.

Gdy ogród był już uratowany, Johanna umarła. Nocą, we śnie. Anna siedziała przy niej tak jak przy ojcu i trzymała ją za rękę.

Kiedy nad ranem wróciła do domu i wyszła do ogrodu, nie czuła smutku. Tylko głęboką melancholię.

Przyjechała rodzina i pomogła jej w zorganizowaniu pogrzebu. Również i tym razem przyszło więcej ludzi, niż oczekiwano.

– Zostanę tu jeszcze trochę – oświadczyła Anna.

– Ależ, Anno!

– Ależ, mamó!

Rickard, który już skończył pracę w Londynie i musiał wrócić do redakcji w Göteborgu, posmutniał. Wyraźnie to zauważyła.

– Jak długo?

– Aż zmarli ostygną w ziemi.

Dostrzegła przestרח na jego twarzy. Zrozumiała, że zachowała się jak osoba niespełna rozumu. Przecież ciała rodziców zostały poddane kremacji. Wraz z Rickardem złożyli urny w grobie Hanny. Babcia okazała się jedyną osobą, która przygotowała się do śmierci: za pieniądze ze sprzedaży młyna kupiła sobie plac na góteborskim cmentarzu.

– To było dziwne określenie – powiedział Rickard.

– Owszem – przyznała Anna, nie ustępując jednak do końca: – Mimo wszystko ma sens w całej swej absurdalności.

Próbowała mu wyjaśnić:

– Mam takie mgliste przeczucie, że chcę się nauczyć... nie ulegać nerwom. Przyzwyczać się do myśli, że odtąd ze wszystkim musi być tak, jak ma być...

– Z czym na przykład?

Na przykład z twoją kobietą w Londynie. Nie obchodzi mnie, kim ona jest, jak wygląda i co robi w twoim życiu.

Anna nie powiedziała tego, ale roześmiała się w głos, gdy pomyślała, że byłoby to możliwe.

– Musimy jednak być realistami. Wpłaciłem zaliczkę za domy w Roslagen.

Anna skinęła głową. Mimo wszystko była zdziwiona. Od wyjazdu do Anglii nie mówił o kupnie domu. Może jednak nie było żadnej kobiety w Londynie.

– Musicie dać mi trochę czasu.

W tym momencie Malin rozstrzygnęła problem:

– Uważam, że to najzupełniej słuszne. Nie uporałaś się jeszcze z tym domem. Myślę, że nie uda ci się tego dokonać, do póki nie skończysz książki. W tym samotnym bytowaniu kryło się niewysłowione szczęście.

Kiedy zgrabiła na kupkę zeszłoroczne liście i śmieci i podpałała je, stała długo w miejscu, przyglądając się płomieniom. W podniosłym nastroju, oddalona w czasie. Spacerowała po plaży, wspinała się na strome góry,

spychając drobne kamienie z urwiska prosto do morza.

– Sprawiasz wrażenie szczęśliwej – rzekł Rickard, gdy wyszła po niego na lotnisko w piątkowy wieczór.

To było pytanie... Zadumała się nad nim.

– Nie – powiedziała wreszcie, nie całkiem rozumiejąc, co właściwie ma na myśli. – Nie mam już żadnych oczekiwań – dodała.

Szczęśliwa? To pytanie nie dawało jej spokoju, gdy wracała do Sztokholmu. Nigdy więcej szczęścia – myślała sobie. Nigdy więcej tego, co miłe, kruche i lęдлиwe. Bo skazane jest na pęknięcie, a potem człowiek zawsze się kaleczy skorupami. Cieknie krew, przykładamy plaster, bierzemy jakąś tabletkę i myślimy, że to pomoże.

Ale przecież jest tak, jak mówi mama: wszystko pozostawia ślad.

A przed każdą zmianą pogody bolą stare blizny.

Maria przyjeżdżała i odjeżdżała. Okazała się bliska prawdy, gdy powiedziała:

– Zrobiłaś się taka dziecinna, mamó.

– Tak.

Również Malin ją odwiedzała.

– Czy jesteś wreszcie wolna, mamó?

Miała rację, coś w tym było.

– Być może jestem na dobrej drodze – odrzekła, chichocząc. – Akurat teraz znalazłam się w krainie, która nazywa się Nigdzie. Można się w niej obejść bez słów. Ale najlepsze jest to, że nie ma tu żadnych przymiotników. Przez wiele lat w ogóle nie widziałam:

ani drzew, ani morza, ani nawet ciebie i Marii, ani waszych dzieci. Z powodu tych przeklętych przymiotników, które tylko przesłaniają człowiekowi obraz.

Anna miała stopniowo odkrywać, co znajduje się w krainie Nigdzie. Miała taką nadzieję. Ale nie spieszyła się, była ostrożna. Nie dawała się ponieść ciekawości. Chciała zostawić sobie dużo czasu, zanim zada pierwsze pytania. Na razie zadowalało ją zatrzymywanie się na interesujących detalach.

Twarze. Jej własna w lustrze. Panienki z poczty, listonosza i tego poważnego dziecka z sąsiedniego domu. I Birgera, jedyne, który przychodził ją odwiedzać. Jego promienny uśmiech przykuwał uwagę, osobliwy mrok w oczach już jej nie przerażał. Myśli. Poświęcała sporo uwagi swoim pomysłom. Nie miała ich dużo, nasuwały się i znikwały. Zaskakiwały ją jednak i radowały niczym pąki na starych krzewach róż.

Kiedy zakwitły jabłonie i aż grzmiały od pszczoł, dokonała nowego odkrycia. Potrafiła przestać myśleć, wieczne trajkotanie w mózgu ucichło. Nagle dotarła tam, dokąd przez lata zmierzała, stosując medytację.

Fascynowały ją rzeczy. Wyrzucone przez morze drewno na plaży. Kamienie, ciągle na nowo cieszyły ją kamienie. Pewnego dnia znalazła wypolerowany kamyk z przedziwnym rysunkiem żyłek, o miękkich kształtach płodu. Usiadła wtedy w ciszy i długo płakała. Przez chwilę miała zamiar zabrać go do domu. Rozmyśliła się



jednak, cisnęła go z powrotem w fale.

Nigdy nic nie da się zrozumieć – pomyślała. Ale to, co małe, pozwala się nam domyślić. Kiedy wróciła do domu, przed furtką stało dwoje ludzi. Kobieta i mężczyzna. Z kwiatami, z ciężkim dzbanem pełnym ciemniemika. Przekwitłego. Kobieta o szerokiej twarzy i otwartym spojrzeniu niebieskich oczu miała w sobie coś znajomego.

– Spotkałyśmy się bardzo dawno temu – powiedziała.  
– Jestem Ingeborg, córka Sofii. Przyszliśmy, żeby złożyć wyrazy współczucia i oddać ciemniemik, który moja mama dostała od twojej, kiedy bracia zginęli podczas sztormu. A to mój mąż, Rune – dodała, po czym dłoń Anny znalazła się w silnej męskiej dłoni.

Chciała podziękować, lecz wybuchła płaczem.

– Jak to miło – szepnęła, szukając po kieszeniach chusteczki. Znalazła ją, wzięła się w garść i powiedziała:  
– Zrobiła się ze mnie prawdziwa beksa. Wejdźcie, proszę, na filiżankę kawy.

Usiedli w kuchni. Anna parzyła kawę i rozmrażała cynamonowe bułeczki.

– Ty, Ingeborg, chyba najlepiej wiesz, co to jest żal po czyjejsz stracie.

– To prawda. Najtrudniej było mi wtedy, kiedy ojciec został na morzu. Byłam taka malutka, nie potrafiłam tego zrozumieć.

– Twoja mama to prawdziwy anioł. Czy wiesz, że przychodziła tu każdego dnia, gdy moja babcia leżała

umierająca?

– Tak. Cieszyła się, że może pomóc.

– Gdy Johanna robiła się coraz starsza, często wyliczała swoich znajomych, którzy już zmarli: ten nie żyje, tamten nie żyje, i Sofia jest już u Pana – mawiała.

Teraz Ingeborg wyjęła chusteczkę, Runę zaś wyraźnie poczuł się nieswojo. Wiercił się i wiercił na ławie, po czym chrząknął i rzekł:

– Mówiąc szczerze, to przyszliśmy nie tylko po to, żeby wyrazić współczucie. Mamy też pewien interes.

– Runę, co ty!

Ingeborg zdołała go powstrzymać. Kobiety kontynuowały rozmowę, siedząc przy stole. Stwierdziły, że nigdy dobrze się nie poznały.

– Jest między nami dziesięć lat różnicy, a to dużo, kiedy jest się dzieckiem.

– Uważałam, że jesteś taka dorosła i ładna. No, a potem dostałaś jeszcze pracę w hali targowej. Jak moja mama.

– Ty byłaś trochę dziwna po tych wszystkich swoich szkołach.

W tym momencie nie mogły powstrzymać się od śmiechu. Potem poszły do ogrodu i zasadziły ciemiemik na jego starym miejscu, pod południowym zboczem.

– Jak ładnie tu wszystko urządziłaś.

– Zdążyłam uporządkować ogród, zanim umarła mama.

– Czy wiedziała, że twój ojciec... ją wyprzedził?

– Chyba tak.

Obejrzeni dom. Runę stwierdził, że jest wspaniała, i w tym momencie musieli już przejść do rzeczy.

– Chodzi o to, że chcielibyśmy kupić tę działkę.

Tysiące myśli pędziło w jej głowie, wirowało.

– A pewnego dnia do jej drzwi zapukała rzeczywistość – szepnęła, po czym uśmiechnęła się z uczuciem ulgi i rzekła głośno: – Trudno mi sobie wyobrazić lepsze rozwiązanie od tego, że córka Sofii... i jej zięć przejmą mamy dom i ogród.

Runę wspomniał o cenie rynkowej, oznajmił także, że mają pieniądze. Anna pokręciła głową, oświadczyła, że dla niej ważne jest to, aby nikt nie oszpecił budynku plastikowymi panelami ani innym nowobogackim paskudztwem, na co on odpowiedział, że jest stolarzem i ma dobrą rękę do starych domów. Anna, uśmiechnąwszy się, stwierdziła, że przypomina jej ojca, i wyraziła nadzieję, że oboje będą tutaj szczęśliwi. Ingeborg wyznała, że marzyła o tym miejscu już jako mała dziewczynka – ten dom zamieszkały przez młodą rodzinę ze słodką małą córeczką był dla niej symbolem szczęścia.

A więc i tak dało się na to spojrzeć – pomyślała Anna zdumiona. Następnie powiedziała, że musi porozmawiać z mężem i dziećmi, na co Runę wyraźnie się zaniepokoił.

Wówczas zapewniła, że Rickard się ucieszy i dziewczynki również.

– Chcą już mieć mnie blisko.

– Rickard przyjedzie w weekend. Możemy spotkać

się wtedy jeszcze raz i omówić wszystkie szczegóły. Mam kłopot z meblami...

– Ma pani na myśli te piękne mahoniowe?

– Tak, te, które zrobił tata. Nie chciałabym ich wyrzucać...

– Wyrzucać?! – zdziwił się Rune. – O czym pani mówi!

– Czy weźmiecie to, czego nie uda się nam pomieścić?

– Nie ma sprawy – odpowiedział Rune.

Anna roześmiała się.

– Te sprzęty stanowią część tego domu.

Następnie wyznała, że jest jednak pewien szkopuł: musi skończyć swoją książkę.

– Trzy tygodnie – oceniła. – Obiecuję, że za trzy tygodnie będę gotowa.

Kiedy poszli, wbiła wzrok w komputer. Nie napisała ani jednej linijki od śmierci mamy.

– Najwyższa pora – powiedziała sama do siebie. – Nie mogę stracić tego, co sama znalazłam.

Zadzwoiła do Rickarda. Spodziewała się wprawdzie, że się ucieszy, nie przypuszczała jednak, że aż krzyknie z radości.

– Jezu drogi, jak ja za tobą tęsknię!

– Zobaczymy się w sobotę. Będziesz mógł sam ustalić wszystko z Runem.

– Zadzwoię do jakiegoś maklera i dowiem się o cenę. Jak ci idzie pisanie?

– Teraz już pójdzie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, jeszcze przez dłuższą chwilę stała przy telefonie. Wreszcie zrozumiała. Nie było żadnej kobiety w Londynie. Gdybym nie miała tych paru tygodni wyłącznie dla siebie, popadłabym chyba w paranoję – pomyślała.

Następnego dnia o siódmej rano siedziała już przy komputerze i myślała zdumiona: Znosi się chyba na happy end. Mimo wszystko.

Decyzja o sprzedaży zmusiła ją do tego, co ciągle odkładała na później: do zajęcia się domem, uporządkowania go i posortowania rzeczy. Przeznaczyła na to popołudnia, zaczynając od poddasza.

Niebawem się przekonała, że dom odsłaniał więcej tajemnic niż opowieść Johanny. Choćby te wszystkie książki zgromadzone w północnej części strychu. Leżały w starej skrzyni okrętowej i były bardzo zniszczone. Zaczytane. Czy mama je zostawiła, ponieważ nie miała serca wyrzucać książek? Czy zamierzała je naprawić? Niektóre miały posklejane grzbiety.

Przez całe życie Johanna połykała książki. Takie intensywne lektury musiały przecież pozostawić ślad. Mimo to prawie o nich nie pisze, jedynie o Selmie Lagerlof na początku, a potem niemal mimochodem wspomina, że co tydzień wypożyczała z biblioteki stos książek.

Był tu Strindberg, chyba wszystkie jego dzieła, o ile Anna potrafiła to ocenić. Tanie, broszurowe wydania.

„Małżeństwa” już się rozpadały, wielu kartek brakowało. Wszędzie podkreślenia, tu i ówdzie wściekłe wykrzykniki. Największe wrażenie zrobił na Annie egzemplarz „Idioty” Dostojewskiego, w miękkiej oprawie, z uwagami na marginesach. Nie mogła przeczytać, co było napisane na każdej stronie, dopiero gdy wyszła z książką na światło dzienne, zobaczyła, że obok każdego podkreślenia Johanna starannie wykaligrafowała: „Prawda!”

Znajdowały się tam także „Babunia i Bóg ojciec” Hjalmara Bergmana, „Kalloccain” Karin Boye, wiersze Haralda Forssa, Moa Martinson, wszystko w tanich wydaniach i postrzępione.

Dziwne!

Znani szwedzcy pisarze proletariaccy, Lo-Johansson, Harry Martinson, Vilhelm Moberg, stali w pięknych twardych oprawach na regale w dużym pokoju.

Dlaczego nigdy nie rozmawiałyśmy o książkach? Przecież czytanie było naszą wspólną pasją.

Bo nie miałaś odwagi!

Nie, to niemożliwe.

Bo nie słuchałam? Tak.

Nie interesowałaś mnie jako osoba, jedynie jako matka. Dopiero kiedy się rozchorowałaś, zniknęłaś i zrobiło się za późno, powstały wszystkie te pytania.

W kolejne popołudnie przeglądała ubrania mamy: eleganckie, solidnie uszyte, dobrej jakości. Jak ona sama. Była też szkatułka na biżuterię, a w niej nic szczególnie wartościowego. Johanna nie lubiła się ozdabiać, nie

chciała rzucać się w oczy.

A przecież byłaś taka piękna, mamo.

Znalazła nie znane jej pudełko ze starymi fotografiami. Jaka ty byłaś śliczna! A to pewnie jest Astrid na moście w Oslo. Anna czuła, jak bije jej serce, gdy usiadła ze zdjęciami na kanapie w pokoju na dole. Natrafiła też na wspólne zdjęcie Astrid i Johanny, zrobione pewnie przez Arnego. Ależ one do siebie podobne!

I zupełnie inne niż Hanna, zarówno jedna, jak i druga. Właśnie w tym, w przejściu między bliską ziemi ociężałością a tą ulotnością motyla, musiała się zawierać cała tajemnica. To, co... nadziemskie.

Anna długo się wahała, zanim użyła tego słowa.

Nie znalazła lepszego.

Istniało coś, o czym wy obie wiedziałyście.

W głębi strychu, pod samym dachem, stała jakaś nieforemna ogromna paczka, szczelnie owinięta starym żaglem. Anna szarpała i ciągnęła. Nie mogła sobie dać rady, ale wreszcie udało się jej rozwiązać sznury i ściągnąć płótno.

To była ona: varmlandzka sofa Hanny! Kiedy Rickard przyjechał w piątek, wyglądał dziesięć lat młodziej. Przebiegł jak wicher przez cały dom: „Ale byłaś pracowita”.

Pierwszej nocy prawie w ogóle nie spali. Anna wreszcie pomyślała, że to jest właśnie to – kraina bez myśli.

Potem okazali się bezgranicznie praktyczni. Sortowali, jeździli na składowisko śmieci. Był to imponujący, nowoczesny zakład, tak zbudowany, by sprostać wszystkim potrzebom. Pojemniki na ubrania, ogromne skrzynie na książki, papier tutaj, metale tam.

W porze obiadowej zjawili się – zgodnie z umową – Rune i Ingeborg. Sprawiali wrażenie onieśmielonych, jakby spłoszył ich Rickard. Jemu też brakowało pewności siebie.

– Nie znam się na tym i nie mam głowy do interesów – rzekł. – Zadzwoń w mieście do maklera i usłyszałem cenę, od której można po prostu dostać zawrotu głowy. Około miliona – zakończył.

– To by się zgadzało – odparł Rune.

– Nie! – krzyknęła Anna. – Rickard, to bezczelność!

– Oczywiście, też jestem tego zdania.

– To ze względu na położenie – wyjaśnił Rune. – Widok na morze i spora działka.

– Najwyżej osiemset metrów – wtrąciła Anna.

Rune nagle pozbył się onieśmielenia.

– Powtarzam jeszcze raz, że nie zamierzam się bogacić na czyjejś głupocie w sprawach finansowych – wybuchnął i nagle wszyscy czworo zaczęli się śmiać.

Następnie odezwała się Ingeborg:

– My mamy trochę grosza. Musisz wiedzieć, Anno, że dostaliśmy pieniądze z ubezpieczenia za zatopioną łódź.

Dla Runego i Ingeborg było to zupełnie naturalne, ale



Rickard i Anna spuścili wzrok.

– Musimy teraz oblać ten zakup – rzekł Rickard, który nie mógł już dłużej wytrzymać. – Resztę załatwimy w poniedziałek w banku.

– W porządku – odparł Rune, a kiedy Rickard przyniósł whisky, dodał: – Nie mam nic przeciwko temu.

– Posłuchaj – zaczęła Anna, gdy goście już wyszli. – Dlaczego nic mi nie powiedziałeś o cenie domu wczoraj wieczorem? Albo w nocy? Lub nawet dzisiaj przed południem?

– Tak nam było dobrze i spokojnie, Anno, że nie chciałem żadnej sprzeczki.

– Czy ty się mnie boisz?

– Tak, twojej powagi.

Anna poczuła, że te idiotyczne łzy znowu zaczynają płynąć jej po policzkach.

Tymczasem Rickard zezłościł się i krzyknął:

– Dlaczego my nigdy nie możemy być tacy jak inni ludzie?! Dlaczego nie skaczemy z radości, że nieoczekiwanie staliśmy się bogaci? Dlaczego nie przysiadzimy sobie teraz i nie zaplanujemy tego wszystkiego, co można by zrobić w domu nad Risjón?

W tym momencie Anna zaczęła się śmiać i przyznała, że Rickard ma całkowitą rację. Pieniądze to rzecz cudowna. Na dodatek nie będzie żadnego podatku spadkowego, bo dom od wielu lat należy do niej.

– Ale mamy na nim około stu tysięcy długu.

– Ponieważ, jak widzę, dzisiaj wyjątkowo jesteś

skłonna rozmawiać o sprawach przyziemnych, wspomnę tylko, że dostałem dziewięćdziesiąt tysięcy za łódź. A na książeczkach oszczędnościowych ojca znajdowało się ponad pięćdziesiąt tysięcy.

Anna nie mogła wprost uwierzyć:

– A bez przerwy narzekał, że nie starcza mu pieniędzy. Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

– A dlaczego, kochanie, w ogóle mnie o to nie pytałaś?

On ma rację – pomyślała Anna. Normalny człowiek przecież by się zainteresował. Muszę złapać kontakt z rzeczywistością.

– Jeszcze jeden ogród na mnie czeka – rzekła.

– No, właśnie.

Zostali przy kuchennym stole cały wieczór, rysowali i projektowali. Anna zauważyła od razu, że Rickard już od dawna musiał o tym myśleć.

– Zbudujemy nową, dużą kuchnię w rogu zwróconym na północ. W nowym domu, rozumiesz? Mamy tam też dość miejsca na łazienkę i pralnię. No i na garderoby i inne schowki.

– A co z wodą i kanalizacją?

– Rozmawiałem tam, na miejscu, z jakimś fachowcem. Dzisiaj można rozwiązać ten problem na różne sposoby. No i jeszcze jest to oszklone przejście między obydwojma domami. Chętnie bym je poszerzył, tu, pośrodku. Mielibyśmy coś w rodzaju ogrodu zimowego, rozumiesz?

Anna skinęła głową, rozpromieniona entuzjazmem.

– Postawiłabym tam tę varmlandzką kanapę mojej mamy – rzekła.

Byli tak podnieceni, że nie mogli w nocy zasnąć. Akurat dobrze się złożyło, bo o dwunastej zadzwonił telefon.

Anna skamieniała z przerażenia.

– Nie – szepnęła, podczas gdy Rickard zerwał się z łóżka i zbiegł po schodach, aby podnieść słuchawkę.

– Cześć. Czy ty nie masz za grosz wstydu? Nie wiesz, która godzina?

Kto to może być? – zastanawiała się Anna, już nieco spokojniejsza.

Rickard sprawiał wrażenie uradowanego.

– Dobrze, to na pewno jest możliwe. Ale poczekaj momencik, muszę porozmawiać z żoną.

Zawołał z dołu, że to dzwoni Sofie Rieslyn, właśnie w tej chwili przyleciała z Londynu i chciałaby tu wpaść, żeby pokazać swoje zdjęcia.

– Zapraszamy! – krzyknęła Anna, wprost osłupiała ze zdziwienia.

– Zupełnie zapomniałam spytać cię o twoją książkę – wyznała, kiedy Rickard wrócił już na górę. – To straszne, że się tak zachowałam.

– To już nieważne, Anno. Ale przydałaby mi się twoja pomoc w wydawnictwie i... w sprawach językowych. Chętnie zrobiłbym coś innego niż książkę z reportażami. Ale może porozmawiamy o tym jutro.

Jak to dobrze, że uporałam się już z moim manuskrytem – pomyślała Anna u boku zasypiającego męża. Jak mogłam o tym zapomnieć, że Rickard wziął zastępstwo w Londynie, ponieważ chciał przygotować książkę o tym mieście.

Razem z Sofie Rieslyn.

Już na granicy snu przyszło jej do głowy, że to była ta słynna fotografka, której się bała.

To prawdziwa paranoja – pomyślała. Musisz na siebie diabelnie uważać, Anno. – Ona wygląda jak wrona – powiedział Rickard przy porannej kawie.

Anna krzątała się niespokojnie, jak zwykle, gdy była zdenerwowana.

– Posprzątam pokój taty. I przygotuję jej łóżko. Może spakuję swoje papiery. Będziecie wtedy mogli wykorzystać do pracy biurko i jadalnię. A ty jedź teraz na targ rybny i kup świeżego turbota.

– Tak jest.

Wcale nie wyglądała jak wrona, przypominała raczej kruka. Niewysoka, o przenikliwym, baczym spojrzeniu. Miała ostro zarysowane zmarszczki na twarzy i białe pasma w czarnych włosach.

– Jesteś zupełnie inna niż na zdjęciach Rickarda – wyznała Annie. – Zrobię ci nowe.

– Przestrzegam cię – rzekł Rickard. – Jej rekord prędkości w robieniu portretów wynosi cztery godziny.

– Ale ja rzeczywiście bym chciała – odparła Anna. – Chciałabym wreszcie wiedzieć, jak naprawdę wyglądam.

– I kim jesteś – dodał gość. – To staje się interesujące zwłaszcza wtedy, gdy człowiek się smuci.

Potem długo siedzieli przy niedzielnym obiedzie, po którym Sofie oznajmiła, że chce odpocząć.

– Oczywiście – odparł Rickard. – Przecież dzisiejszej nocy tak mało spałaś.

Anna zwykle miała trudności ze zrozumieniem dziennikarskiego żargonu, surowego poczucia humoru. Ale nie dzisiaj – śmiała się i na równi z nimi dowcipkowała.

Po południu Sofie wyjęła swoje fotografie. Rickard aż gwizdnął z zachwytu. Ale po chwili jęknął:

– Jak, do licha, napisać teksty do takich zdjęć?

Anna chodziła od stołu do stołu; dopiero po jakimś czasie zauważyli, że jest blada i zamknięta w sobie.

Oto człowiek, który wie – pomyślała. Który zawsze zatrzymuje się na detalach, na szczegółach wyrażających wszystko.

– Co się stało, Anno?

Nie odpowiedziała, zwróciła się do Sofie i szepnęła:

– Czy zawsze posiadałaś tę wiedzę?

– Chyba tak.

– Ja właśnie dopiero się tego nauczyłam. Przez trzy tygodnie tutaj, na plaży.

– To dobrze. Już tego nie utracisz. Pamiętasz: kto raz zobaczył, ten...

– Rozumiem.

Po chwili milczenia odezwał się Rickard. Powiedział,

że zdążył już zrozumieć, iż taki zwyczajny pismak nie powinien zadawać żadnych pytań.

– No, właśnie – odparła Sofie przy wtórze śmiechu Anny.

– Bezczelne baby – oburzył się Rickard.

Jego żona zaś nie omieszkała sięgnąć po słowa pociechy, do jakich sama była przyzwyczajona:

– Później ci wyjaśnię, Rickardzie.

– Hej, hej – upomniała ich Sofie, na co Anna pokryła się rumieńcem.

Wyjechała jeszcze tego samego wieczoru, do swego zapuszczonego atelier w Sztokholmie, jak sama powiedziała. Spotkamy się jeszcze – oznajmiła na pożegnanie, a Anna nie miała wątpliwości, że tak będzie. One dwie rzeczywiście spotkają się jeszcze.

W poniedziałek – zgodnie z umową – poszli razem z Runem i Ingeborg do banku.

We wtorek przyjechały dzieci ze Sztokholmu. Wspólnie opróżnili dom i doprowadzili go do ładu. Malin chciała zabrać komodę i dwa fotele, Maria zaś, która nigdy nie umiała oprzeć się książkom, załadowała do samochodu zawartość wszystkich regałów. Obie córki chciały też stare porcelanowe serwisy, a Rickard wziął część narzędzi z piwnicy Arnego.

– A ty, mamó? Nie chcesz zupełnie nic?

– Owszem, chcę. Przydałaby mi się ta varmlandzka kanapa z poddasza.

– Matko Boska!

- Wartość sentymentalna?
- Można by tak powiedzieć.

Do środowego popołudnia uporali się już ze wszystkim. W czwartek rano mieli się zjawić Rune i Ingeborg, aby odebrać klucze. Potem wyładowanymi po brzegi samochodami zamierzali jechać drogą nr 40, a później E-4 na północ.

Długa droga do domu – pomyślała Anna.

Po lekkim obiedzie z mięsem na zimno i z łososiem rzekła:

– A teraz posłuchajcie wszyscy. Opowiem wam cichutko bajkę.

Oczka małych wnuczek rozpały się od razu, dziewczynki lubiły historyjki babci. Ale Malin trochę się wystraszyła:

– Mamo, nie wytrzymam, jeśli zrobisz się sentymentalna.

– Siedź teraz cicho i słuchaj – odparła Anna.

I tak oto babcia opowiedziała o starym domu gdzieś na granicy z Norwegią, o wodospadzie i młynie, o młynarzu, który przybył z Varmlandu i wziął sobie za żonę Hannę.

– Babcię waszej babci – wyjaśniała dzieciom.

Mówiła dalej o bogatej posiadłości, którą przodkowie Hanny dostali kiedyś od samego króla. Potem doszła do kryzysu i nędzy. Wspomniała o dzieciach, które umierały z głodu, oraz o majątkach dzielonych na coraz mniejsze i mniejsze gospodarstwa.

– Kiedy umarł ostatni bogaty chłop, majątek był jeszcze coś wart – kontynuowała opowiadanie. – Odziedziczyła go córka, Hanna. Otrzymała prawo własności młyna i inwentarz, jej bracia zaś dostali mniejsze gospodarstwa. Ale była tam jeszcze jedna siostra, dziewczyna przypominająca elfa. Po ślubie przeniosła się do Norwegii. Jej przypadły w udziale wszystkie rodzinne kosztowności. Powiadano, że są tyle samo warte co pozostałe części odziedziczonego majątku.

Anna pokazała zdjęcie Astrid, na co jedna z mniejszych dziewczynek od razu stwierdziła:

– Ona jest podobna do babci Johanny.

– Jak miło, że to zauważyłaś.

– Tradycja chce, aby wszystkie kosztowności przechodziły w rodzinie z matki na córkę – opowiadała dalej, a jej słuchacze wyraźnie czuli rosnące napięcie. – Jednakże Astrid nie miała córki i dlatego postanowiła, że biżuterię dostanie moja mama. Kiedy umarła, w Norwegii trwała wojna. Latem czterdziestego piątego roku przyjechał pewien adwokat.

Tego dnia nie zapomnę nigdy.

A teraz ty, Rickardzie, zaopatrz się w jakieś odpowiednie narzędzie, bo za chwilę przyniesiemy z piwnicy skarb.

Dzieci pobladyły z napięcia. Maria miała ogromne ciemne oczy, Malin zaś nie szczędziła wysiłku, by zachować sceptyczną minę, kiedy schodzili do piwnicy.

– Możesz teraz liczyć, malutka – rzekła Anna. – Od



północnej ściany musi być szesnaście kroków.

– To tutaj – oświadczyło dziecko.

– Dobrze, zostań tam! A ty, Leno, odlicz cztery kamienie od zachodniej ściany.

– Tam stoi pojemnik na piwo – odparła dziewczynka.

– To odsuńmy go na bok.

Ceglana podłoga pod pojemnikiem była czysta i nietknięta.

Anna kontynuowała:

– Teraz ty, Rickardzie, wbij dłuto w fugę dokładnie w tym miejscu, w którym stoi Lena.

– Tu jest zaprawa murarska.

– Nieprawda, to tylko wypalona. ałma.

– No tak, faktycznie!

Usunął pierwszy kamień, drugi i jeszcze jeden.

– To kasa ogniotrwała! – krzyknął.

– Gdzie jest klucz?! – zawołała Malin.

– Ja go mam. Zanieśmy teraz skrzynię do kuchni.

Usiedli potem wszyscy i wielkimi oczyma wpatrywali się w świecidełka na kuchennym stole. Malin stwierdziła, że to szaleństwo. Zastanawiała się, ile to może być warte, na co Anna odpowiedziała, że tych kosztowności nigdy nie poddano wycenie, ale – jej zdaniem – duże czerwone kamienie w naszyjniku to rubiny, a to, co się tak świeci w broszkach, to brylanty.

– Te najdroższe okazy właściwie nie należą do spadku. Astrid dostała je lub kupiła w Oslo. Jej mąż z upływem lat stał się bogaty.

Anna wzięła do ręki dwie ciężkie złote obrączki i zaczęła opowiadać historyjkę o tym, jak sam bohaterski król zgubił złotą monetę, którą potem znaleziono i dano przetopić na obrączki dla córek.

Następnie zaczęła się śmiać, mówiąc, że na tym bajka się kończy. Została jeszcze tylko jedna rzecz.

– Kazałam dorobić do skrzynki klucze i teraz dam po jednym każdej z mych córek.

Przyjęły je, ale nie były w stanie podziękować.

– Zdaje się, że odjęło wam mowę – rzekła Anna, wciąż się śmiejąc.

Na koniec Rickard oznajmił, że wcale nie jest zdziwiony. Od początku wiedział, że żeniąc się, wszedł do rodziny pełnej tajemnic.

Nazajutrz o świcie wszyscy po raz ostatni wyruszyli z domu nad morzem. Ingeborg powiedziała na pożegnanie, że zawsze będą tu mile widziani. Anna, dziękując, pomyślała to samo, co kiedyś Hanna, gdy opuszczała dom przy młynie.

Już nigdy tu nie wrócę.